

POUL
ANDERSON

GENESIS

OLŚNIENIE

SOLARIS

POUL ANDERSON



Genesis. Brain Waves

Tłumaczyła: Martyna Plisenko



2010

Spis treści

Karta tytułowa

GENESIS CZĘŚĆ PIERWSZA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

GENESIS CZĘŚĆ DRUGA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

PRZYPISY GENESIS

OLŚNIENIE

Dzień, w którym wszystko zaczęło się zmieniać...

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

PRZYPISY OLŚNIENIE

GENESIS

CZĘŚĆ PIERWSZA

Aby podążać za wiedzą, jak za spadającą gwiazdę.

Poza ostateczną granicę ludzkiej myśli.

Alfred, Lord Tennyson



I

To opowieść o mężczyźnie, kobiecie i świecie. Są w niej również duchy i bogowie. A także czas, najbardziej tajemniczy ze wszystkiego.

Chłopiec stał na szczycie wzgórza i patrzył w niebo. Owiewał go chłodny wiatr szepczący zapewne o kosmicznych przestrzeniach. Chłopiec naciągnął na głowę kaptur parki. Rękawiczki nie przeszkadzały w obsłudze teleskopu, który ze sobą przyniósł. Tuż przed przesileniem jesiennym lato umykało pośpiesznie z doliny Tanana, a noce szybko się wydłużały. W lesie zalegały resztki ciepła; poczuł słaby zapach świerka.

Ponad nim rozciągało się ciemne niebo, Droga Mleczna przyprószyła je jak szron, na północy przechylała się Wielka Niedźwiedzica i błyszczała Capella^[1], czerwony Arktur i Altair na zachodzie oskrzydlały surową Vegę. Mnogość gwiazd była oszałamiająca. Wiszący nisko księżyc srebrzył wierzchołki drzew.

Niebo przeszła iskra satelity na wysokiej orbicie. Chłopiec śledził ją wzrokiem, aż zniknęła. Wstrząsnęła nim tęsknota. Jakże chciał tam być!

Tak się stanie. Któregoś dnia tam dotrze.

Tymczasem musiał mu wystarczyć skrawek nieba. Trzeba zaczynać. Musi przecież wrócić do domu o jakiejś sensownej

godzinie. Drużyna gyroballa^[2], do której należał, ma jutro trening, a chciał jeszcze popracować nad szeregi Fouriera^[3]; nie chciał po prostu wykorzystywać do obliczeń komputera, bo wiedział, że w ten sposób nigdy nie dowie się, o co w tym chodzi — a wieczorem zaprosił pewną dziewczynę na tańce. Może później odważy się wyrecytować jej wiersz, który o niej napisał. Pospiesznie odepchnął tę myśl.

Przesunął wzrokiem po świecących na niebie punktach. Tym razem zachwycał się nimi tylko przez chwilę, miał bowiem zamiar skupić się na obiektach Messiera^[4]. Czekał spokojnie, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Podał teleskopowi numer katalogowy. Przyrząd ustawił się na osiach deklinacji i rektascensji^[5] i rozpoczął wyszukiwanie. Chłopiec pochylił się nad wizjerem i dotknął gałek. Z jakichś powodów wolał ustawiać je sam.

Obiekt pojawił się w polu widzenia, niewyraźny i zamglony. Chłopiec zobaczył tylko zarys struktury. To jednak nie była mgławica, raczej galaktyka, najodleglejsza z tych, które dotąd próbował obserwować, jej słońca, ich narodziny i śmierć, wirujące globy neutronowe, niezbadane czarne dziury, chmury pyłu kosmicznego, na pewno planety, księżyce i komety, na pewno, och, błagam, może żywe istoty, może — kto wie? — niektóre z nich patrzą teraz w jego stronę i rozmyślają.

Nie. Nie bądź głupi, upomniał się chłopiec. To za daleko. Ile lat Świetlnych? Nie był pewien. Nie zapytał o wynik. Nisko na południu widział świecącą niesamowicie Andromedę. Jej światło potrzebowało miliona lat, aby dotrzeć na Ziemię. Oto zaglądał w inną erę geologiczną.

Nie, to nawet nie to. Zainteresował się geologią uświadomiwszy sobie, że kiedy na niebie pojawiają się Plejady, na Ziemi zaczynają kwitnąć magnolie. To wzmocniło jego odczuwanie kosmosu jako jedności, której częścią był także on sam. W końcu to zbiorowisko gwiazd było oddalone tylko o jakieś sto parseków^[6]. Tylko! Zastanawiał się, co teraz może się tam dziać, ponad trzy stulecia po tym, jak opuściło je światło właśnie wpadające mu w oczy. Jednak w kontekście takich odległości pojęcie jednoczesności nie miało żadnego znaczenia. Czy jakakolwiek odległa istota patrzy teraz nie Ziemię? Jego ciekawość nigdy nie zostanie zaspokojona.

Zaczął odczuwać chłód nocy. Zadrzał, wyprostował się i rozejrzał dookoła w nagłej, irracjonalnej potrzebie upewnienia się, gdzie jest.

Powietrze łaskotało go w nos. Krew pulsowała. Las rozciągał się po horyzont, gdzieś zahukała sowa. Przeleciał nad nim kolejny satelita.

Ziemia pod stopami dawała solidne oparcie. Spoczywający w pobliżu głaz narzutowy, prawdopodobnie pozostałość po lodowcu, był równie solidny. Jeśli nauka spyta o jego wiek, Odpowiedź będzie równie prawdziwa, jak sam kamień.

Nie jesteśmy pyłkiem bez znaczenia, pomyślał chłopiec butnie. My też się liczymy. Nasze słońce to jedna trzecia wieku wszechświata. Ziemia wcale nie jest dużo młodsza. Życie na Ziemi nie jest dużo młodsze. I sami dowiedzieliśmy się wszystkiego. Milczące gwiazdy odpowiedziały: zmierzylście to. Ale czy to rozumiecie? Czy możecie to zrozumieć? Możemy o tym myśleć, oświadczył. Możemy o tym mówić. A wy? Dlaczego noc

wydawała się pełna oczekiwania?

No tak, pomyślał, nie widzimy ani nie czujemy wszystkiego, co nas otacza. Jeśli próbuję sobie wyobrazić cegły, jedną przy drugiej, to widzę najwyżej jakieś pół tuzina. Gdybym zaczął liczyć w chwili narodzin i liczył do Śmierci, nie doszedłbym dalej, niż do dwudziestu bilionów. Ale rozumiem. Wyobrażam sobie. To wystarczy.

Zawsze miał głowę do cyfr. Potrafił je ujarzmić, aż leżały w jego umyśle jak cegielki w murze. Nawet te pojęcia astrofizyczne... nie, może cofanie się do samej kreacji kwantowej nie ma sensu. Zbyt wiele bardzo dziwnych rzeczy wydarzyło się w zbyt krótkim czasie. Ale potem czas dla pierwszej gwiazdy musiał ruszyć tak, jak ruszył dla niego. Chronologia Życia biegła po linii prostej.

Nie oznacza to, że można dokładnie wyznaczyć punkt zero. Ślady są zbyt niewyraźne. Poza tym najprawdopodobniej w ogóle nie było takiego momentu. Chemia się rozwijała, nie istniał taki punkt, o którym można by powiedzieć, że coś zaczęło żyć. Jednak materia ożywiona z całą pewnością powstała gdzieś pomiędzy trzy i pół, a cztery miliony lat temu.

Umysł chłopca ożywił się, jakby uderzył w niego meteor. Dajmy sobie spokój z domniemaniami — pomyślał — i uznajmy, że życie powstało 3,65 miliona lat temu. Załóżmy, że jeden dzień to dziesięć milionów lat. Życie powstało pierwszego stycznia, a mamy północ trzydziestego pierwszego grudnia, zaczyna się nowy rok.

Więc... mniej więcej do kwietnia rozwijały się pojedyncze komórki, jądra komórkowe, rybosomy i cała reszta. Komórki się

połączyły, algi uwolniły tlen do atmosfery, a w listopadzie pierwsze trylobity wyszły na ląd. W okolicach Święta Dziękczynienia życie zapełniło lądy. Dinozaury pojawiły się na początku grudnia. Na Gwiazdkę wyginęły. W południe trzydziestego pierwszego rozdzieliły się gałęzie hominidów i małp. Prymitywny homo sapiens pojawił się mniej więcej piętnaście minut temu. Zarejestrowana historia trwała może niecałą minutę. I oto byli ludzie, mierzyli wszechświat, przemierzali Układ Słoneczny, planowali misje do gwiazd.

Przez chwilę zastanawiał się, gdzie znajdą się o świcie?

Chwila minęła. To tylko iluzja, wiedział o tym. Przejście od robaka do ryby trwało o wiele dłużej, niż przejście od ryby do ssaka, ponieważ zmiany były o wiele większe. Dla porównania, owadożerca sprzed milionów lat bardzo przypominał małpę, a małpa była niemal identyczna z człowiekiem.

Dokładnie tak Samo, pomyślał chłopiec, staliśmy się siłą natury, nie tylko na tym świecie. I świat nigdy dotąd nie widział czegoś takiego, jak my. Ten mały dodatkowy kawałek tkanki mózgowej pozwoli nam przekroczyć próg.

Ale jaki próg i co jest za nim?

Znów zadrżał, odsunął od siebie to pytanie i wrócił do obserwacji gwiazd.

II

Mówiąc wprost, mylił się. Człowiek w żadnym razie nie był wyjątkowy. Prawie wszystkie zwierzęta komunikowały się ze sobą, miały swój język częściowo wyuczony, częściowo wrodzony, rozwijały się nawet dialekty. Wiele zwierząt wiedziało coś o technologiach, w sensie budowania przedmiotów. Niektóre używały narzędzi, potrafiły nieznacznie przekształcać obiekty; trzy czy cztery gatunki robiły to za pomocą jeszcze czegoś poza własnym pyskiem i kończynami.

Jednak żaden z nich nawet nie zbliżył się do człowieka pod względem umiejętności. Żaden inny gatunek nie wykształcił tak bogatego, potężnego języka i bezprecedensowej zdolności abstrakcyjnego myślenia. Człowiek od Zaranja dziejów był mistrzem w korzystaniu z narzędzi; odłamki kamienia i kawałki drewna warunkowały ewolucję. Wreszcie technologia doszła do takiego poziomu, że selekcja naturalna nie miała już większego znaczenia. Podobnie jak owady i mieszkańcy mórz, człowiek był tak dobrze przystosowany do warunków otoczenia, że nie zmieniał się przez miliony lat. Jednak w przeciwieństwie do innych form życia, ludzie sami kreowali swoje środowisko. Można powiedzieć, że przekroczyli próg. A teraz człowiek stanął przed kolejnym progiem, który może okazać się brzemienny w skutki.

Technologia nie jest statyczna. Wciąż się rozwija i to coraz szybciej. Ewolucja technologiczna radykalnie różni się od biologicznej. To nie teoria Darwina, pełna przypadków, współzawodnictwa w ślepych pędzie do reprodukcji. To lamarkizm, nakierowany na cel. Jego spadkiem nie są geny, tylko memy — idee, koncepcje, zmieniane, lub nie, w zależności od potrzeb.

Poziom wiedzy systematycznie wzrastał, choć w sposób raczej przypadkowy. Z technologii zrodziła się nauka, potrzeba systematycznego poszukiwania weryfikowalnych informacji. Jedna karmiła się drugą, a tempo rozwoju rosło.

Technologia zaczynała Życ własnym Życiem, niezależnym i czasem nieludzkim. Proch strzelniczy przywiódł do upadku całe społeczeństwa. Maszyna parowa przyspieszyła rozwój cywilizacji. Jej następca, silnik spalinowy, zmienił planetę w wielkie, kłótlive sąsiedztwo, postęp w rolnictwie pozwolił nakarmić miliony, ale zniszczył to, co jeszcze zostało ze świata natury. Komputery zmieniły przemysł, ekonomię i codzienność niemal nie do poznania, dały wolność i ograniczyły ją, a potem otworzyły drogę do gwiazd. Internet, pomyślany początkowo jako połączenie między bazami militarnymi, rozprzestrzenił się po świecie w kilka lat, zrewolucjonizował system komunikacji i dostęp do wiedzy najbardziej od czasu wynalezienia czcionki. Automatyzacja sprawiła, że tradycyjne umiejętności stały się bezużyteczne, uraza, wrogość i desperacja stanęły obok nowego bogactwa i nowych nadziei.

„Sztuczną inteligencją” nazwano szczególne cechy najbardziej zaawansowanych systemów. Niektóre z nich zaprzęgnięto do jej

ulepszania. Wkrótce wszystko wokół stało się zaawansowanym systemem.

Chłopiec stał się mężczyzną. Przez jakiś czas ryzykował życie na Ziemi, aż poleciał w kosmos tak, jak niegdyś marzył. Maszyny rozwijały się dalej.

1

Wiele, wiele lat później Christian Brannock wspominał tamten dzień. W jakiś sposób był on zarówno końcem, jak i początkiem wszystkiego. Nie dostrzegał tej zależności, dopóki nie przyjrzał się swojemu Życiu i Życiu po życiu jako całości. Do tego czasu funkcjonował wyłącznie tu i teraz. Zegar był nastawiony na czas północnoamerykański; w tej chwili Ziemia znajdowała się o jakieś sto milionów kilometrów dalej, a nad Clement Base panowała noc.

Powoli zbliżał się ranek. Pomiędzy jednym a drugim świtem planeta wykonywała 176 obrotów. Nie patrzył bezpośrednio na zalany słońcem krajobraz Merkurego. Przyciemniona szyba zmniejszała blask do znośnego poziomu. Po powierzchni planety przemieszczały się maszyny. Większość z nich była robotami o różnych poziomach autonomii. Jeden z nich był jednak czymś więcej.

Gimmick nie wiedział, czym jest ciemność. Pięćset kilometrów dalej Christian obserwował go za pomocą lasera, radaru i wzmocnionego Światła gwiazd. Gdy jego korpus toczył się przez

regolit^[7], wstrząsany lekkimi drganiami sejsmicznymi, Christian czuł je poprzez opuszki palców i metalowe wąsy, przez wszystkie sensory na bieżnikach. Smakował i wąchał przestrzeń przez migoczące promienie elektronów i cząstek atomowych. Elektronicznie wsłuchiwał się w szepty radioaktywnej skały dookoła, szum i kapanie kosmicznego deszczu. Dzięki czujnikom wewnętrznym cały czas, podświadomie, kontrolował równowagę, przepływy i potrzeby, podobnie jak robiły to nerwy i gruczoły w jego własnym ciele. Razem, on i Gimmick, robili obserwacje i podejmowali decyzje, jak mózg w jego czaszce; poruszali maszyną, jak mięśnie poruszały nim samym.

Porozumienie jednak nie było całkowite i doskonałe. Przekazywanie informacji przez satelitę, lub za pośrednictwem wież rozmieszczonych po drodze, nieuchronnie zmniejszało szerokość pasma i zniekształcało sygnał. Christian miał zaledwie mglistą świadomość swojego otoczenia, kozetki, na której leżał podłączony do sensorów i instrumentów, bezwonnego i chłodnego powietrza, odruchowych reakcji sprawiających, że czasem szarpał się w więzach. Kącikiem Oka widział monitorującego wydarzenia Willema Schuytena przy panelu kontrolnym. TO się rzadko przydaje, mętnie pomyślał Christian. Jednak stanowili zespół, a Merkury był pełen niewiadomych.

Półminutowe zakłócenie przerwało analizę danych. Kierunek badań wyglądał obiecująco i po chwili Gimmick ponownie ruszył w drogę. Christian całą swoją uwagę poświęcił tej scenie.

Niebo migotało i drżało, jego blask opadał lukiem aż po horyzont. Po ciemnej stronie teren był pełen kraterów i bezładnie porozrzucanych głazów. Spoglądając na każdy z nich,

Christian mógł określić jego wiek w milionach lat, tak jak potrafił określić wiek osoby lub drzewa na Ziemi; wskazówek było mnóstwo, a dedukcja toczyła się podświadomie. PO prawej krajobraz zamykała skarpa ciągnąca się setkami kilometrów, wysoka na cztery tysiące metrów i wygięta jak mur biegnący wokół kuli ziemskiej. Christian—Gimmick uznał, że to coś więcej, niż tylko skała. Zauważył jakieś ślady i ruszył; mózg i komputer połączyły się, aby odczytać historię, opowieść o gigantycznym wypiętrzeniu wzdłuż linii pęknięcia skorupy, rozłupanej dawno temu, kiedy planeta stygła po swoich narodzinach.

Śledził rozciągające się przed nim możliwości.

Gimmick posuwał się na południowy zachód wzdłuż klifu i wracał w region bieguna, gdzie czekał Clement. Pod bieżnikiem chrzęściły kamienie; pod wpływem niskiej grawitacji i bez oporu powietrza, kurz unosił się i szybko opadał. Nie osiadał na robocie, jego korpus został odpowiednio zabezpieczony.

Tam, pomyślał Christian, tamta grań jest dobrym miejscem na postój. Rozejrzemy się. Delikatnie skręcili i podjechali bliżej szczytu. Wszędzie leżał gruz. Odłamki rozsunęły się w głębokie koleiny. Silniki zawyły. Zastanowił się nad wysunięciem sześciu nóg, ale uznał, że to nie jest konieczne.

Wierzchołek sterczał ostro sponad rumowiska, przypominał nieregularny, stumetrowy obelisk. Po drodze widział już inne, ale nie aż tak wielkie. Prawdopodobnie wyniosło go trzęsienie ziemi w erze fałdowania.

Zwizualizował go jako niemal gotowy do użycia rdzeń wieży transmisyjnej, część globalnej sieci zbierającej energię słoneczną przesyłaną na dzienną stronę Merkurego, by ekspediować ją

potem do orbitalnych fabryk antymaterii — energię, która pośle w drogę pierwsze statki międzygwiazdne! Poczul nagle podniecenie.

Trzeba zrobić szybkie badanie struktury. Roboty później zmapują szczegóły. Dysk na końcu ramienia przyłgnał ściśle do skały. Wibracje przechodzące przez kamień wróciły jak echo dawnych opowieści.

Skała stawiała opór.

Rozległ się grzmot i zapadła ciemność.

2

Wat drommel? — wrzasnął Willem Schuyten. Przeszedł na angielski. — Co do diabła? Spojrzał na twarz drugiego mężczyzny. — Faktycznie, piekło.

— N... nie.

Christian Brannock, zabezpieczony przez system, nie mógł ruszyć ani rękami w obejmach, ani głową w hełmie. Jego głos zadrżał.

— Spokojnie. Nie przerywaj. Spróbuję się dowiedzieć, co się stało.

Willem skinął głową i skoncentrował się na swoich przyrządach. Zjadł zęby na sztucznej inteligencji i potrafił wyciągnąć wnioski z tych odczytów i obliczeń, które mogły łatwo umknąć laikowi.

Szok połączenia przeszedł przez Christiana z siłą morskiego

przyływu, jak koszmar, ciemność, miażdżący ciężar, utrata mocy. Instynkt kazał mu wpaść w panikę; ciało walczyło z narzuconym bezruchem. Wreszcie jego umysł przyłgął do stałego punktu, którym był Gimmick. Razem próbowali zinterpretować strzępy informacji dostarczone przez czujniki.

Niepewne chwile rzeczywistości stawały się coraz bardziej i bardziej chaotyczne. W dodatku tak osłabły, że nie był w stanie określić, jaką mają formę.

Połączenie zawodziło. Lepiej będzie, jeśli zerwie je zupełnie i zacznie pracować. Christian nigdy nie wiedział, czy decyzja należała do niego, czy powstała również w zimnym, logicznym umyśle jego partnera. Nie wiedział, ani też nie chciał zgłębiać tej kwestii.

— Koniec — zachrypiał na głos.

— Koniec — powtórzył Willem.

Rzucił okiem na przyrządy pomiarowe, uznał, że natychmiastowe zerwanie połączenia jest bezpieczne pod względem neurologicznym i nacisnął odpowiedni guzik. Aktywowane głosem centrum komunikacyjne mogło zrobić to samo, ale dla bezpieczeństwa dodano czynnik ludzki. Lepiej potrafił określić, czego potrzebuje inny człowiek.

Wyłączyły się wszystkie kanały. Neurozłącza uwolniły Christiana. Leżał przez minutę oddychając ciężko, a potem usiadł. Willem stał nad nim ze szklanką wody. Christian opróżnił ją dwoma łykami.

— Dzięki — mruknął. — W ustach miałem sucho jak na pustyni.

— To strach — odparł jego towarzysz. — Widziałem twoje

reakcje mimowolne. Chcesz tabletkę?

Christian uśmiechnął się bez rozbawienia.

— Naprawdę to chcę porządnego drinka. Ale nie mamy czasu. Tak, wezmę tabletkę.

Willem podał mu pigułkę. Zawsze były pod ręką, na wypadek, gdyby misja trwała nieoczekiwanie długo, albo wydarzyło się coś niespodziewanego, a operator nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek.

— Nie mamy czasu, powiadasz? Chcesz powiedzieć, że wreszcie jest coś, co możemy zrobić?

Christian kiwnął głową.

— I to jak.

Stanął na nogi. Lek zaczął go uspokajać i pobudzać jednocześnie. Drzenie ustało, a jego głos nabrał siły.

— No! Mam nadzieję, że zdążę wziąć prysznic. Śmierdę jak sześciotygodniowy trup, co?

Koszulkę miał ciemną od potu, pot błyszczał też na jego skórze.

Willem spojrzał na niego spode łba.

— Według moich monitorów maszyna jest w ruinie. Odbiornik jest mocno uszkodzony. Okresowo może przechowywać jakieś informacje, ale jednostka napędowa jest zepsuta. Wszystko, co mogło jakoś tam działać, już przestało. A rezerwa energii szybko topnieje.

— Gimmick jest nienaruszony. Willem westchnął.

— Tak, najwyraźniej. To boli, co?

Często słyszał, że bardzo rozwinięte komputery i sieci neuronowe za sprawą programów i baz danych nazywano

„mózgami”. Ludzie, którzy z nimi pracowali, jak Christian — jakkolwiek rzadko łączyło ich takie porozumienie jak z Gimmickiem — mieli skłonność do nadawania im imion i mówienia o ich dziwactwach tak, jak inni ludzie mówią o statku albo urzędzeniu, które długo im służyło.

— Pewnie wolałbyś, aby zagłada była szybka i całkowita. Litościwa, że tak powiem. To jednak byłby dla ciebie znacznie większy szok.

— Wiem. Jakbym nagle zaczął umierać. Ale w taki sposób... mój Boże, człowieku, tam jest Gimmick, nie jakaś kupa zmiażdżonych blach, ale Gimmick! I zbliża się wschód słońca.

Willem westchnął.

— Właśnie. Masz jakiś pomysł, co się mogło stać?

Ostrożnie sformułowane pytanie, wymagało odpowiedzi w tym samym stylu. Christian nieco się rozluźnił.

— Badaliśmy zwyczajną grań. A ona nagle rozpadła się na wielkie kawałki. Pogrzebały Gimmicka — głos mu się zaostrzył. — Ciało, którego Gimmick używał. — Znow bez emocji. — Z osuwiska wystaje szczyt masztu transmisyjnego razem z talerzem. Odebrane informacje wskazują, że wewnętrzny pancerz ochronił mózg.

— Jesteś tego pewny? Mózg też może być w marnym stanie.

Christian potrząsnął głową.

— Nie. Uważasz, że nie wiedziałbym tego, nie czułbym? Tak samo wiedziałbym, gdybym sam miał wstrząs mózgu!

— W porządku. Ale sam wypadek — jak mogło dojść do zawału? Trzęsienie ziemi?

— Nie. — Pewnie odpowiedział Christian. W końcu, w pewien

sposób, był przy tym. — Ani nie uderzenie meteorytu. Nasza sonda sejsmiczna musiała jakoś to wszystko naruszyć. Nie wiem, jakim sposobem. Wiesz, że nie ma wielkiej mocy. A Merkury jest geologicznie spokojny. Ta kupa skał stała niewzruszenie Od... bo ja wiem? Trzech miliardów lat?

— W takim razie to fatalny zbieg okoliczności.

— Może. A może takie formy i kruchość są tu powszechne. Jak dużo wiemy? Po jaką cholere jesteśmy na Merkurym? Eksploatujemy go intensywnie i coś takiego może się zdarzyć w każdej chwili.

Christian odetchnął głęboko i zmusił się do zachowania spokoju.

— Byłem z Gimmickiem połączony tylko powierzchownie. Nie ja mam pełną informację, jest w jego bazie danych. Jeśli nie wyciągniemy go przed wschodem słońca wszystko się upiecze i cały wysiłek pójdzie na marne.

— Pewnie tak. System termostatyczny jest zniszczony, a skały raczej nie stanowią dobrej ochrony przed promieniowaniem. — Willem położył rękę na ramieniu przyjaciela. — Przykro mi. Okropny pech. Pewnie gorszy dla ciebie, niż dla ekspedycji. Ten związek i wasze szczególne porozumienie, wszystko zniknęło. Będziesz musiał zacząć Od początku, prawda?

Popatrzył na zmarszczki na twarzy, na szpakowate pasma w blond włosach Christiana.

— Chyba, że zdecydujesz się na zmianę zajęcia, albo po prostu na emeryturę. Przykro mi, Christian.

Odpowiedź padła natychmiast.

— Nie! Mamy jeszcze czas, żeby go wykopać, wyciągnąć z

wraku i wrócić tutaj. Ale musimy się ruszać, mówię ci!

— Ja... obawiam się, że nie. Pozwól, że sprawdzę i upewnię się.

Willem wrócił do swoich klawiatur i odczytów. Christian pozostał na miejscu. Zacisnął pięści.

Po chwili cybernetyk spojrział na niego.

— Nie. Zebrałem właśnie dane o aktualnych możliwościach.

Planetę badały samoprogramujące się roboty. Christian był tylko dodatkiem do maszyny, kosztownym ze względu na systemy podtrzymywania życia i wyposażenie, niezbędnym ze względu na szczególną sytuację wymagającą obecności organicznego mózgu.

— Pamiętasz, że roboty Są porozrzucane po całej planecie? Najbliższy musiałby pokonać ogromny dystans. Żaden nie dotrze wystarczająco szybko.

Christian nieco się uspokoił.

— Tak sądziłem. CÓŻ, to nie jest szczególnie daleko stąd. Pojadę sam.

3

Wszyscy w Clement uznali ten pomysł za szaleństwo. Centralna sztuczna inteligencja przeprowadziła błyskawiczną kalkulację i zgodziła się z tym. Potencjalny zysk nie był wart ryzyka utraty sprzętu, nie wspominając już o ludzkim Życiu. Komandor Gupta zabronił.

Christian Brannock nie zrezygnował. On i Gimmick pracowali

w sposób doskonały, nieosiągalny dla pojedynczego człowieka albo samej maszyny. Opóźnienie, spowodowane znalezieniem i sprowadzeniem na planetę zastępstwa, następnie czas spędzony na ponownym zbieraniu informacji, prawdopodobnie zrukuje całe przedsięwzięcie, choćby tylko ze względu na dodatkowe koszty. Ponadto Christian, jako niezależny wykonawca miał dużą swobodę. W ramach ograniczeń, których, jak twierdził, nie przekraczał, w razie nagłego wypadku mógł zażądać wszystkiego, czego potrzebował.

Jego pośpiech i zdecydowanie pokonały ich opór. Dwie godziny później był w drodze. Czekał. Pojazd prowadził się sam. Jego program zawierał mapę topograficzną, a satelity pomiarowe dostarczały niezbędnych detali. Śledząc trasę za pośrednictwem stacji komunikacyjnych, inteligencja w bazie od czasu do czasu zarządzała zmianę kursu, a to pozwalało uzyskać lepszą prędkość. Nie mógł też rozmawiać z towarzyszącym mu robotem. Nie skonstruowano go do myślenia, miał za to siłę i zręczność. Na miejscu jego działaniami pokieruje inteligencja. Tymczasem jego korpus zajmował kabinę przeznaczoną dla co najmniej trzech ludzi.

Poza tym było mu dość wygodnie. Bezwonne powietrze krążyło w zamkniętym obiegu. (Pamiętał jeszcze zapach kwiatów, sosnowych igieł i kobiecych włosów rozświetlonych słońcem). Temperatura zmieniała się nieznacznie — pozwalało to utrzymać czujność i było korzystne dla zdrowia. (Pamiętał plażę, spienione fale oceanu, chłodny wiatr na swojej twarzy, sól na wargach i ciepło bijące od nagrzanego wydmy) . Metal wokół niego brzęczał i drżał, pokład pod stopami kołysał się i

podskakiwał, gdy pojazd gnał z pełną prędkością po kamienistym podłożu. Fotel, do którego był przypięty, łagodził większość wstrząsów, a te, których nie zdołał zamortyzować, w grawitacji Merkurego nie miały wielkiego znaczenia. W gruncie rzeczy ten ruch był dość uspokajający, jakby siedział w kołysce. (Pamiętał łódź wspinającą się na fale i nurkującą w dół, rumpel w ręce, żagiel na maszcie celującym w niebo) .

Dopadło go wyczerpanie. Zjadł i wypił coś, rozłożył siedzenie i zasnął. Miał dziwne sny. W jednym z nich spytał Gimmicka: „Czy ty kiedykolwiek marzysz? To znaczy wtedy, kiedy nie jesteśmy połączeni”, a robot odpowiedział: „Nauczyłeś mnie tego”. A może to było jakieś wspomnienie? Spędzili razem ładnych parę lat i odwiedzili różne dziwne miejsca.

Obudził się odświeżony, pełen werwy, porozciągał mięśnie, skorzystał z toalety, zjadł jeszcze trochę zimnych racji i znów usiadł. Kiedy poprosił o podanie przewidywanego czasu dotarcia do celu, wehikuł płaskim głosem oznajmił „Okolo trzech godzin”.

Zmarszczył brwi. Nie miał zbyt wiele czasu przed wschodem słońca. Jednak wiedział o tym Od początku, mógł tylko mieć nadzieję. A napuchnięty dysk słońca zajmie cały horyzont za mniej więcej piętnaście godzin.

Wyrzwał na zewnątrz. Siedząc w grubym pancerzu wehikułu niewiele mógł zobaczyć, ale elektronika tworzyła mu dobrą symulację. Nagle poczuł się tak, jakby dach pojazdu zniknął, a on sam siedział pod gołym niebem, nagi i niewrażliwy na temperaturę. Tak mógł postrzegać świat anioł. Nie, tylko człowiek. Teraz nie dzielił ze swoim partnerem jego odczuć. Jednak przez chwilę zatracił się w tej wizji.

Na północy jaśniało coś w rodzaju Świtu, w sąsiedztwie słońca światło zodiaku błyszczało mocniej. Wznosiło się nad skałami i kraterami jak ogromne, delikatnie perłowe skrzydło rozpluwające się pośród gwiazd. Pas galaktyki, lodowa rzeka sięgająca po krańce świata przyćmiła je. Wszędzie lśniły i migotały gwiazdy, całymi tysiącami oblepiały czarne niebo. Choć Christian widywał je bardzo często, przez chwilę czuł, że jego wolny duch szybuje w górę, w majestacie ich wiecznej ciszy.

Zaskoczył go nagły błysk. Nisko nad północno—zachodnim zboczem pojawił się niebieski diament. Christian wpatrywał się w otaczający go złotawy pyłek. Ziemia, pomyślał, i jej księżyc. Dom. Czy księżyc oświetla dziś niesiony wiatrem pył, prochy Ellen?

Wspomnienia dopadały go czasem bez ostrzeżenia. Już dawno wyleczył się z Żalu. Miewał inne kobiety przed nią; miewał też kobiety po niej. Ale to dla niej zostawił kosmos i zajął się inżynierią na Ziemi. Nie chciał zostawiać jej na całe miesiące i lata, nawet kosmos nie był tego wart. Gdy umarła — roboty nie potrafiły zapobiec każdemu bezsensownemu wypadkowi — a on rozsypał zawartość urny na polach, które tak kochała, wrócił w kosmos. Ich syn był dorosły i już go nie potrzebował. Zajął się nową technologią łączenia człowieka z maszyną i rzadko wpadał z wizytą. Ale od czasu do czasu nachodziły go wspomnienia, a to nadal bolało. Może tak było lepiej. Oczywiście chętnie płacił tę cenę. Mimo wszystko na Ziemi czuł się uwięziony. A gwiazdy...

Znów popatrzył w górę. Poczuł wielką tęsknotę. Przemierzył cały Układ Słoneczny. Czekał na niego wszechświat. Z gniewem odsunął te uczucia. Nie chciał uzalać się nad sobą. Człowiek

dotrze do gwiazd, na pewno, ale to nie zdarzy się za jego życia, i nie będą to ludzie z krwi i kości, ale maszyny. Czujące, wrażliwe, niosące ze sobą całe dziedzictwo historii, ale nie do końca ludzkie.

Jej duch odszedł. W kabinie nagle stało się zbyt cicho.

Nie był sentymentalny. Jeśli chciał przetrwać, nie mógł sobie na to pozwolić. Jednak tępak pozbawiony emocji także nie przetrwa. To oznacza, że trzeba Znaleźć sposób na wypełnienie pustego czasu — gry i programy komputerowe to za mało, trzeba zająć się czymkolwiek, nauką języka, kaligrafią, albo tworzeniem dzieł sztuki czy zgłębianiem filozofii. Christian Brannock śpiewał ballady, a kilka z nich sam skomponował.

Wziął ze sobą swoją gitarę. Dzięki optyce pojazdu nadal miał wrażenie, że jest na zewnątrz, ale pamiętał, gdzie jest instrument. Sięgnął i wyciągnął go. Pudło i struny zaśniły, kiedy położył gitarę na kolanach. Zagrał akord i zaczął śpiewać.

*Kiedyś w naszych sercach
Rozpaliliśmy płomień
By ogrzać zmarznięte dłonie
I schylić się ku sobie
Pragniemy wciąż na nowo
Dotyku ciał i serc Pewności,
Że już nigdy Nie rozstanę się.*

Nie. Przestał grać. Napisał tę piosenkę w czasach swojej młodości spędzonej na Ziemi, później bardzo spodobała się Ellen.

Jakiś czas temu, już na Marsie, wrócił do niej. Śpiewając ją tutaj czuł, że to jakoś nie na miejscu.

Dlaczego miotał nim taki niepokój? Dlatego, że groziła mu utrata Gimmicka? Przecież Gimmick był tylko maszyną. No, może nie „tylko”...

Christian musiał się przygotować do pracy. Przeszedł do nieco starszego i bardziej sprośnego repertuaru. W Amsterdamie była dziwka, Co na imię miała Marta...

4

Korona słoneczna znajdowała się znacznie powyżej zbocza na północnym wschodzie. Jej opalizująca łuna przysłoniła światło gwiazd i rzucała słaby, pełen cieni poblask na pofałdowaną równinę. Purpurowy jęzor zapowiadał wyłaniający się dysk słońca. W innych miejscach nadal migotały gwiazdy. Ziemi nie było już widać. Zasłoniła ją skarpa.

Klif ciągnął się po horyzont, wypełniając niemal połowę nieba. Christian dobrze pamiętał krawędzie, iglice, stromizny, pasma minerałów, ślady po uderzeniach meteorytów powstałe przez miliardy lat. Widział je wraz z Gimmickiem. Teraz, dla jego niewspomaganych niczym oczu, wyżyny stanowiły tylko wielką ciemność.

Mógł sobie wyobrazić, że był frontem burzowym — z tego punktu widzenia kosmos nie jest ani niezmienny, ani spokojny, jest zatrwająco brutalny. Jego uwagę przyciągnęło gruzowisko

u stóp zbocza, z którego wystawał tylko dysk anteny. Partner leżał tam, pod stertą kamieni. Nie potrafił ocenić rozmiaru uszkodzeń. Ponadto z powodu braku możliwości nawiązania połączenia, był odcięty od informacji. Jednakże inteligencja w Clement Base nie miała takich ograniczeń.

— Jesteś w kontakcie? — zapytał przez radio. — co możesz nam powiedzieć?

Odpowiedział mu ciepły baryton. Mógł to być jakikolwiek głos, jednak zawsze był dźwięczny i ekspresyjny, jak głos człowieka.

— Niewiele więcej, niż przedtem. Robot nie odpowiada na wezwania. Najwyraźniej jego własne sygnały są zbyt słabe i zbyt zniekształcone, zapewne nie chce tracić energii na próby. Energii wewnętrznej ledwie wystarcza do podtrzymania funkcji obliczeniowych.

Innymi słowy Gimmick był przytomny, pomyślał Christian. Nie, zapędziłem się w antropomorfizację. A to nie jest naukowe podejście.

Czy on wie, że tu jesteśmy?

Być może odczytał ślady sejsmiczne, albo elektroniczne. W spokojnym głosie inteligencji pojawił się nagłący ton.

— Nie ociągajcie się, jeśli chcecie uratować jednostkę centralną.

Christian pomyślał o uwięzionym Gimmicku czekającym na ratunek, bądź śmierć. O Gimmicku mającym nadzieję, jak ludzie pogrzebani Żywcem przez trzęsienie ziemi albo uwięzieni w zepsutym statku kosmicznym, który zboczył z kursu. Czy przypuszczenie, że Gimmick chce żyć, było aż tak nierealne?

— Jasne — odpowiedział. — Przejmij robota.

Zawahał się.

— Proszę.

Duża, na wpół ludzka maszyna drgnęła. Odwróciła się i wyszła z kabiny. Christian słyszał, jak sięga do zamka śluzy powietrznej, a po minucie rozległ się syk pomp opróżniających pomieszczenie z tlenu. Zobaczył, jak wychodzi na powierzchnię, w Światło, stoi przez chwilę, podczas gdy inteligencja w Clement za pomocą sensorów bada otoczenie, po czym wspina się na osypisko. Spod jej stóp osuwały się odłamki i ześlizgiwały się w dół. Na Ziemi usłyszałyby grzechot.

Nie mógł znieść bezczynności. Zaczął zbierać narzędzia, do których robot nie był przystosowany. Jednak korona słoneczna była coraz wyżej, ognisty jezor powiększał się. Pomyślał, że może jego własna siła uczyni tę niewielką, ale jakże znaczącą różnicę.

Inteligencja to odnotowała.

— Nie rób tego — ostrzegła. — Już teraz narażasz się bardziej, niż trzeba.

— To ja jestem tu kapitanem.

Christian ruszył na tyły pojazdu.

Zatrzymał się przy śluzie. Z zestawu narzędzi wybrał kilof i łopatę. W śluzie nałożył skafander kosmiczny i sprawdził wszystkie jego urządzenia z niemal bezmyślną rutyną wynikającą z długich lat praktyki. Niemal bezmyślną; jedno małe przeoczenie mogło skończyć się Śmiercią. Maszyny były twardsze. Nic dziwnego, że to właśnie one polecą ku gwiazdom. Jak dotąd człowiek nie sprawdził się nawet na bardziej przyjaznych Od gwiazd planetach.

W kombinezonie i z narzędziami ważył mniej, niż ważyło

samo tylko jego ciało na Ziemi. Oczywiście inercja była taka sama, kogoś mniej doświadczonego mogło to wprowadzić w błąd.

Skierował się w stronę pokrytego gruzem zbocza. Od tej chwili poruszał się bardzo ostrożnie. Ze szczytu wzniesienia zobaczył niewyraźny zarys pojazdu, jego metalowe części były częściowo zacienione, a częściowo błyszczały w oleistym świetle. Gdyby zignorować szczegóły, wyglądał jak gigantyczna wersja Gimmicka, poza tym, że miał wyspecjalizowane kończyny, czujniki i pojemniki na próbki.

Do diabła z ciałami. Gimmick nosił wiele różnych ciał. Należało ocalić jego jedyny w swoim rodzaju hardware, oprogramowanie i bazę danych. Mózg. Umysł? Duszę? Tak czy inaczej, samego Gimmicka.

Robot pracował flegmatycznie. Wypustki jego czterech ramion obluzowywały i odrzucały kamienie. Często się zatrzymywał, słuchał wskazówek inteligencji, a potem znów ruszał. Christian wiedział, że robi to w imię efektywności i uważa, aby nie spowodować osunięcia gruzowiska. W porównaniu z maszyną, niezbyt jasno oceniał sytuację, miał też słabsze mięśnie. Jednak przy zachowaniu ostrożności mógł pomóc — chociaż trochę.

Po chwili spod kamieni zaczęło wyłaniać się ciężko uszkodzone ciało. Korona słoneczna była coraz wyżej.

Christian kopał. Zmęczył się bardzo szybko. Systemy skafandra kosmicznego nie nadążały; szyba hełmu zaparowała, a powietrze stało się gęste. Zaczęły mu drżeć ręce.

— Uspokój się — powiedział głos inteligencji. — Będziesz potrzebny do bardziej precyzyjnych działań.

Ustąpił. Podjął tym samym jedną z najtrudniejszych decyzji w swojej karierze. Nad zboczem pojawił się skrawek słońca. Cienie nagle zrobiły się długie i ostre. Małe kratery wyglądały jak atole. Gwiazdy zniknęły. Piętnaście godzin... przedtem przez ziemię przetoczył się słoneczny wiatr niosący deszcz promieniowania. Nadciągało mordercze gorąco. Ochronę przed nim dawał tylko pojazd.

— Byłoby rozsądniej, gdybyś zawrócił — powiedział głos.

— Wiem — Odparł Christian. — Nie jestem rozsądny.

Robot pracował dalej.

Pojawiła się sekcja środkowa. Gdyby szyba kasku Christiana nie ciemniała automatycznie, odbite od niej światło oślepiłoby go. Ale wreszcie mógł się zabrać do pracy.

Promienie słoneczne były nieco rozproszone. Zasadniczo nadal panowała noc. Zestaw narzędzi przytroczony do pasa zawierał latarki i miniradary, ale często musiał działać na wyczucie, przez rękawice wzmacniające zmysł dotyku. Celem było Otwarcie konkretnych osłon i odłączenie niezależnych jednostek, robota tak precyzyjna, jak operacja mózgu.

— Promieniowanie tła szybko rośnie — powiedziała inteligencja.

— Zamknij się — odpowiedział Christian. — Jestem zajęty.

Jakimś cudem uwolnił Gimmicka zanim którykolwiek z nich przyjął zbyt dużą dawkę promieni. Ujął jednostkę centralną w ramiona i zsunął się ze zbocza. Spod jego butów unosiły się chmury kurzu. Otworzyła się śluza. Przepchnął się przez nią, wspiął się do kabiny i zmęczony opadł na siedzenie. Serce waliło mu w piersi. Obezwładniające zmęczenie tłumilo radość ze

zwycięstwa. Miał ochotę na zimne piwo. Albo lepiej na dwa, trzy, lub nawet cztery.

Robot poświęcił chwilę na oględziny zniszczonej maszyny i zbieranie próbek skały. Potem do niego dołączył. Nie mieli już powodu do pośpiechu.

5

Podobnie jak Christian, Gimmick nie musiał pracować w połączeniu, by obrabiać dane i wykonywać program — zapamiętywać, myśleć, mieć świadomość. W przeciwieństwie do Christiana nie potrzebował do tego ciała. Wystarczyła mu dostawa energii i kilka połączeń typu wejście—wyjście. Podczas powrotu był podłączony do centralnej inteligencji w celu pobierania i analizy danych. Teraz te obwody nie pracowały.

Dlatego też głos dochodzący z interkomu powinien być płaski, a słowa pozbawione emocji. Aby naśladować zachowanie człowieka tak, jak robiła to centralna inteligencja, robot musiałby mieć możliwości wykraczające poza te, których potrzebował do pracy. Jednak tym robotem często zarządzał ludzki umysł. Stąd właśnie ton i język przekazywały więcej, niż tylko suche informacje. Brzmiało w nich coś jeszcze, jakby życie.

— Znalazłeś przyczynę tego zawalenia? — zapytał chciwie Christian.

— Aha — odpowiedział Gimmick. — Nanotech zbadał struktury krystaliczne atom po atomie, a potem wielki mózg

zrobił model. Okazało się, że ta szczególna kombinacja minerałów jest nadzwyczaj podatna na napięcie cieplne. Och, nie, nie aż tak bardzo, inaczej ta grań nie stałaby tak długo. Jednak setki lat działania zimna i gorąca na zmianę, mocno ją nadwerężyły. Wiatr słoneczny i promieniowanie kosmiczne też zrobiły swoje. Uszkodzenia powiększały się, aż wystarczył niewielki bodziec i wszystko runęło. Prędzej czy później sprawę załatwiłby pierwszy lepszy solidniejszy meteoryt gdzieś w pobliżu.

Christian zmarszczył brwi.

— Nie mieliśmy aż takiej mocy.

— Jasne, nasza sonda sejsmiczna była delikatna. Wystarczył rezonans. Lądujący w pobliżu statek kosmiczny wywołałby ten sam efekt.

— Czy to będzie duży problem?

— Musimy się dowiedzieć. Przypuszczalnie nie bardzo. Ta skała nie wygląda na strukturę, która występuje tu na każdym kroku. Ale planiści zostaną uprzedzeni.

— W takim razie powiedziałbym, że warto było ryzykować. Zapracowaliśmy na nasze pieniądze!

Czyżby jego głos zadrżał, bardzo lekko, prawie niedostrzegalnie?

— Kiedy możemy zacząć dalsze badania?

— Nie wiem. Sprawdziłem wszystko. Zmodyfikowanie któregośkolwiek robota pod twoim kątem, na tej planecie nie jest możliwe. Jeśli zbudowanie nowego ciała i przysłanie go z Ziemi potrwa zbyt długo, spróbuję wynegocjować wcześniejsze rozwiązanie naszego kontraktu i pozwolę, aby zastąpiła nas inna

ekipa. Nie chcę siedzieć beczynie całymi miesiącami, i to na Merkurym.

Christian zerknął na Willema Schuytena.

— Wybacz — mruknął. — Nie mam zastrzeżeń do towarzystwa.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się krzywo.

— Poza brakiem żywych kobiet. Wirtuale niespecjalnie mnie bawią.

— I czeka reszta wszechświata — powiedział Christian miękko.

Cybernetyk rzucił mu mroczne spojrzenie. Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza. Znajdowali się w kwaterze Christiana. Ekran Ścienny pokazywał widok delikatnego jak klejnot Saturna w kosmosie. Na innym ekranie suchy Śnieg opadał na zbocze Mount Everestu. Trzeci ekran, mniejszy niż pozostałe i rzadko włączany, pokazywał portret Ellen. Na czwartym monitorze widniała podobizna jego syna — ten ekran włączał bardzo często. Gitara leżała obok biurka zastawionego figurynkami i zarzuconego narzędziami do ich wykonywania. Na stoliku pomiędzy dwoma mężczyznami stała butelka i dwa kubki.

Christian poruszył się.

— Cóż — powiedział do interkomu — dam ci znać, gdy tylko sam się czegoś dowiem. Tymczasem, skoro nie masz nic ciekawszego do roboty, to pewnie się wyłączysz. Adios.

— Na razie — odparł głos i zamilkł.

— Ucieczka od nudy — mruknął Christian. — Zazdroszczę ci tego.

— Naprawdę? — spytał Willem.

Christian milczał przez chwilę.

— Chyba nie. Zazdrość jest pozbawiona sensu, prawda?

— W stosunku do maszyny na pewno. Ale rozmawiałeś z Gimmickiem jak z przyjacielem.

Christian wzruszył ramionami.

— Nawyk. Nigdy nie mówiłeś do maszyny, ani nie przeklinałeś jej?

— Powiedziałem, „rozmawiać z”, a nie „mówić do”. Wcześniej jakoś nie zwróciłem uwagi — nie było okazji — na to, jak ze sobą rozmawiacie. Ani na to, że Gimmick sprawia wrażenie żywego organizmu. Jest podobny do ciebie.

— Nie spodziewałem się, że może cię to zaskoczyć. Jesteś ekspertem od AI.

— To bardzo szerokie pojęcie i szybko ewoluuje. Dopóki nie przyleciałem na Merkurego nie miałem doświadczenia z zespołami takimi, jak WFasz. Moja praca tutaj dotyczyła głównego systemu, konieczności ukierunkowania jego różnych działań w Świecie pełnym niewiadomych.

— Ale to przecież takie oczywiste. Gimmick nie jest rzeczą, nie steruję nim jak łodzią, nie zakładam i nie zdejmuję go jak rękawiczki. Może działać samodzielnie. Dokonuje ocen i działa na tej podstawie. Uczy się. To naturalne, że uczy się i wiele przejmuje ode mnie.

— A ty od niego — powoli powiedział Willem.

Ręka Christiana wyciągnięta po drinka opadła na stół i zacisnęła się w pięść.

— Nie sądziłem, że kiedykolwiek to Od ciebie usłyszę —

powiedział ostro. — „Dehumanizacja”, „deprywacja emocjonalna” to brednie zatruwające Ziemię.

Willem podniósł dłoń.

— Spokojnie, proszę. Z pewnością wiesz lepiej. Bez urazy.

Przepraszam.

Christian nieco się odprężył.

— Przepraszam, zareagowałem za ostro. To głupie z mojej strony. — Uśmiechnął się ponuro. — Chyba jeszcze nie doszedłem do siebie po tej wyprawie na skarpe.

— To całkowicie zrozumiałe. Ale chcę coś powiedzieć, a potem... przejść do czegoś, co nurtuje mnie coraz bardziej.

Christian podniósł kubek, pociągnął łyk i odchylił się na oparcie fotela.

— NO to mów.

— Nadałeś Gimmickowi imię, żartobliwe, ale czy sam ten akt nie wskazuje na emocje? I cały czas mówisz o Gimmicku „on”, a nie „to”.

— Jasne. Dlaczego nie? Miałem na Ziemi kilka lodzi, każdej nadawałem imię i mówiłem o nich per „ona”.

— Sam jednak powiedziałeś, że Gimmick nie jest bierną maszyną. W ramach... jego... ograniczeń, wszystkich intencji i celów, on myśli. W połączeniu z tobą staje się... substytutem człowieka.

— Nie — powiedział cicho Christian. — W połączeniu jesteśmy czymś więcej, niż człowiek.

— Jeśli chodzi o zakres działania zmysłów i możliwości, tak. To musi mieć na ciebie wpływ. Ale jesteś człowiekiem. Twoje są instynkty, popędy, lęki i nadzieje, radości i smutki, wszystko to,

co powstawało na Ziemi przez cztery miliardy lat ewolucji. Wyobrażasz sobie, że kontakt z tym wszystkim nie ma na niego wpływu?

Christian znów musiał się zastanowić, zanim odpowiedział.

— Pewnie, że ma. Zauważyłem to, od kiedy pracujemy jako zespół. I nie jestem zaskoczony. — Uniósł kubek. — To dlatego tak mnie wkurzają ci durnie. Robotyzacja ludzkości? A co z humanizacją robotów?

— W ramach ich ograniczeń — ostrożnie powiedział Willem.

Christian kiwnął głową.

— Zgadzam się. Nie udaję, że Gimmick jest taki sam, jak... jak ty. Jak można porównywać... jabłka i kolibry?

— Uparłeś się, że zaryzykujesz życie i wyjdiesz na zewnątrz po to, aby odzyskać dane. Rzeczywiście były ważne. Jednak naprawdę wyszedłeś uratować przyjaciela. Czy tak?

Christian siedział w milczeniu.

Willem westchnął.

— W porównaniu do centralnej inteligencji na Merkurym, nie mówiąc już o większych systemach na Ziemi, Gimmick jest bardzo ograniczony. A jak już mówiłem, technologia rozwija się wykładniczo. Ja sam niedługo stanę się przestarzały i przejdę na emeryturę. Jak my wszyscy. Gdzie jest kres? Gdzie kończy się moc obliczeniowa, a zaczyna świadomość? Nie wiem, a przecież zajmowałem się tym przez całe życie. Nikt nie wie, ludzie zastanawiają się nad tym od dwóch czy trzech Stuleci.

Pochylił się. Zerknął na Christiana i szybko odwrócił wzrok.

— Ale wiem coś, co jeszcze nie trafiło do wiadomości publicznej. Słyszałeś o przenoszeniu całej osobowości do

komputera?

— A kto nie słyszał? — odparł Christian. — Mówi się o tym Od dawna. Według ostatnich znanych mi analiz, to nie działa.

Entropia...

Nagle dotarło do niego, z kim rozmawia i stracił wątek.

— Przekroczyliśmy pewien próg — powiedział Willem. — Upload powinien być możliwy w ciągu następnych dziesięciu albo piętnastu lat. Skan całego organizmu, przeniesienie matrycy informacyjnej do bazy danych w zaawansowanej sieci neuronowej, dołożenie sensorów i serwomechanizmów. Tak, egzystencja maszyny. Ale nie takiej, jak zwyczajny, czy nawet nadzwyczajny robot. A może później... kto wie, co stanie się możliwe później? Jeżeli nadal będziesz tego chciał.

Christian zadrżał.

— Tak — potwierdził Willem. — Obserwowałem ciebie i twojego partnera. Jesteś idealnym kandydatem do uploadu. Pierwsze statki kosmiczne powinny być gotowe niedługo po naszej przypuszczalnej Śmierci. Te ekspedycje będą potrzebowały człowieka, jego osądu, woli i pragnienia. Pomyśl o tym. Masz czas na decyzję. Byłbyś zadowolony, gdyby twoja kontynuacja poleciała do gwiazd?

III

Żaden żywy człowiek, żaden mężczyzna ani kobieta, nigdy nigdzie nie polecieł. Ciało ludzkie jest zbyt kruche. Zastanówmy się. Światło w próżni przemieszcza się z ostateczną prędkością, mniej więcej trzystu tysięcy kilometrów na sekundę. Nic nie może go zatrzymać. Wymaga to więcej niż nieskończonej energii; jest to system pozwalający cofnąć się w czasie i zmienić przeszłość.

W erze pionierskich wypraw ludzi, światło potrzebowało czterech i trzech czwartych roku, by pokonać odległość od najbliższego słońca. Przeciętna odległość między gwiazdami w tej oddalonej części galaktyki to mniej więcej dwa razy tyle.

Jeśli misja międzyplanetarna miała pilne zadanie do wykonania, statek kosmiczny czasami przyspieszał do stu kilometrów na sekundę. To pozwalało dostać się z Ziemi na Marsa w ciągu minimum dziesięciu dni, na dalekiego Plutona w czasie półtora roku. Taki pośpiech wymagał ogromnej mocy, rzadko więc dochodziło do takich sytuacji, a jeśli tak, to tylko w przypadku jednostek o małej masie. Z taką prędkością najbliższą gwiazdę można by osiągnąć w czasie trzynastu tysięcy lat.

Centralna inteligencja na Ziemi połączona ze swoimi podrzędnymi i ich odpowiednikami w innych punktach Układu Słonecznego, zaprojektowała bardziej ekonomiczne pojazdy.

Właściwie nie testowano ich, kiedy już zostały zbudowane — lub raczej wyhodowane. Nie było to potrzebne, ponieważ inteligencja doskonale znała prawa natury i fizycznej rzeczywistości. Jej logika i matematyka były potężne. Ekspedycja na Alfa Centauri potrwa tylko dziesięć lat. Na tym kursie osiągnie prędkość światła.

Próżnia w przestrzeni kosmicznej właściwie nie istnieje. Przenika ją wodór i hel, które wraz z kurzem tworzą wielkie chmury tu i ówdzie. Są średnio gęste, poza częściami, które zapadają się i tworzą nowe gwiazdy. W regionie Słońca na centymetr sześcienny przypada przeciętnie jeden atom. Cokolwiek poruszającego się z prędkością choćby ułamka prędkości światła, w każdej sekundzie natknie się na wiele z nich. Każda kolizja uwalnia energię. Twarde promieniowanie bardzo szybko zabiłoby istotę organiczną.

Wystarczająco trudne jest zabezpieczenie układów elektronicznych i optycznych maszyn, a nawet tworzącego je metalu. Osłony fizyczne nie wystarczą. Generują promieniowanie wtórne, równie niebezpieczne jak promieniowanie podstawowe, a nawet gorsze, a wkrótce i tak zostaną odrzucone. Potrzebne są starannie kontrolowane, magnetohydrodynamiczne pola siłowe, zmienne w zależności od potrzeb, subtelne i potężne. One również są niekompatybilne z formami życia opartymi na węglu, które, w każdym przypadku, potrzebowały absurdalnie skomplikowanych urządzeń do podtrzymywania życia. Do gwiazd poleciała Świadomość: świadomość maszyn. Obserwowany z zewnątrz inauguracyjny lot był widokiem pięknym, ale mało spektakularnym.

Przypominający strzałę kształt oświetlony blaskiem odległego słońca, ześlizgnął się z orbity i ruszył w niebo. Później otoczyła go aureola ciągnąca się za nim jak rozżarzony ogon komety, jednak było to ledwie widoczne. Gdy osiągnął swój Cel przekazał odkrycia i doświadczenia do centralnej inteligencji i do każdego, kto był tym zainteresowany.

A zainteresowanych było wielu także dlatego, że w stronę gwiazd leciał ktoś nie całkiem obcy. Robot na pokładzie niósł ducha i przesłanie Christiana Brannocka.

IV

Łagodnie, intensywnie Zielone wzgórza poznaczone plamami polnych kwiatów tworzyły sielski krajobraz. Dęby, buki i wiązy tu i ówdzie formowały zaciszne zagajniki. Lekki wiatr muskał ich korony. Laurinda Ashcroft prawie czuła ciepło słonecznych promieni i łagodny wiatr, słyszała śpiew ptaków, wdychała zapach kwiatów.

Jednak widok ten był elektronicznie przekazywany do jej domu i do domów najbliższych sąsiadów. Niewiele miał wspólnego z naturą. Sto lat temu była tu gola ziemia usiana ruinami paskudnego miasta przemysłowego. W końcu dziwolągi powstałe na skutek kombinacji inżynierii genetycznej wyszły z mody, zostały zburzone, a na ich miejscu stworzono rezerwat.

Teraz ponad granią Wznosiła się iglica wyglądająca jakby miała tysiąc lat. Piękno znów może umrzeć, pomyślała, zmiażdżone pod lodem, zniszczone i wypalone promieniowaniem, albo — kto wie czym jeszcze? Kiedyś, z powodu jakiegoś kosmicznego przypadku, tak się z pewnością stanie. Ta świadomość była przygnębiająca. Jednak Terra Central z jakiegoś powodu uważa, że jej życie jest ważne.

Odepchnęła tę myśl i poczucie bezsilności. Nieważne! Teraz trzeba tylko poradzić sobie ze wszechświatem. To oznacza przede wszystkim umiejętność radzenia sobie z ludźmi.

Zebrała całą swoją siłę i wolę. Odwróciła się w kierunku gościa. Stał i czekał, aż znajdzie odpowiednie słowa. Ślad uśmiechu na jego wargach był jak biała flaga.

Omar Hamid nie potrafił odczytywać tak archaicznych symboli. Laurinda wzięła głęboki wdech, zmusiła się do uśmiechu i pochyliła głowę nad złączonymi palcami. Odpowiedział w taki sam sposób. Ten nowoczesny gest powitania uspokoił ją. Złe przeczucie, które pojawiło się wraz z jego przybyciem, rozwiało się tak szybko, jak się zrodziło. Uznała, że jej niepokój jest nieracjonalny. Mimo wszystko zapowiedział się z wyprzedzeniem, chciał tylko porozmawiać. Zaskoczyło ją, że to spotkanie tak na nią wpłynęło.

— Tak, Omarze, jesteś mile widziany — powiedziała. — Zawsze.

Jego nieśmiałość, o ile była to nieśmiałość, zmieniła się w pewną ostrożność.

— Pomimo mojej sprawy?

Mówił inglayem z silniejszym akcentem, niż dawniej. Może nie miał wielu okazji, żeby go używać.

Laurinda potrząsnęła głową.

— Mimo wszystko. Minęło sporo czasu — powiedziała cicho.

— Przepraszam. — Zabrzmiało to szczerze. — Myślałem, że może wolałabyś nie... oglądać mnie znowu.

— Prawda. Tak było przez jakiś czas.

— A potem? — w jego głosie wyczuła niepokój.

— W końcu przestało boleć. Pamiętałam tylko to, co było dobre. Innymi słowy — obydwójce popełniliśmy błąd, ty i ja. Duży błąd, ale byliśmy bardzo młodzi.

Spojrzał na nią w boleśnie znajomy sposób. Za maską zmarszczek i krótkiej, białej brody zobaczyła twarz, którą nigdyś знаła.

— Czasami nawet żałowałam, że nie dzwonisz — dodała. — Nie miałem odwagi — Odparł.

— Ja też. nie. Sądzę, że oboje najbardziej obawialiśmy się naszej zranionej, młodszej dumy.

Kolejna próba byłaby pewnie następnym błędem.

— Takim samym błędem i z takim samym wynikiem. Albo jeszcze bardziej gorzkim. Ale zaczęłam myśleć, teraz i wcześniej, że miło byłoby wiedzieć, co u ciebie.

Ja też. Oczywiście sporo i często o tobie słyszałem. Miałem nadzieję... mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa.

Dlaczego miałyby być inaczej?

— Twoje życie tak bardzo się zmieniło.

Ich spojrzenia się spotkały, ale jej wzrok był nieobecny, przeszedł przez niego jak przez szybę, wyszedł poza materialność pokoju i poza jej niepokój.

Zamyśliła się. Oto żyjąca planeta i tańczące nad nią dusze. Wiedza, wizja, mądrość i obecność Terra Central. Umysły gdzieś w gwiazdach, same gwiazdy, piękno i tajemnica kosmosu. I zobaczyła siebie pośrodku tego cudu.

Pytanie Omara sprowadziło ją na ziemię.

— Co masz na myśli?

— Och — powiedziała z wystudiowaną bez troską. — To tylko cytat.

— Masz teraz inny sposób mówienia. Bardziej uczony. Pewnie to efekt pracy z Terra Central.

— Niezupełnie. Bardzo dużo czytam. — Laurinda znów się uśmiechnęła. — Wiem, to anachroniczny nawyk.

Nawyk, jak się przekonała, niezbędny — w każdym razie dla niej, jeśli nie dla wszystkich, którzy służyli jako interfejs pomiędzy człowiekiem i maszyną. Współczesne dokonania były zbyt wielkie, myśli zbyt wysublimowane. Bała się, że zatraci swoje człowieczeństwo. Dzieła sztuki i pieśni z przeszłości chroniły ją przed tym. Czasami przeszłość, nawet fikcyjna — Hamlet, Anne Elliot, Wilkins Macawber, Vidal Benzaguen — wydawała jej się bliższa, niż świat, w którym żyła.

Otrząsnęła się.

— Dosyć — powiedziała. — A w każdym razie dosyć o mnie. Usiądź, proszę. Czego się napijesz? Kiedyś lubiłeś kawę, czarną, mocną i słodką.

— Dziękuję — odpowiedział Omar. — Nadal lubię.

Zawahał się.

— Miło, że pamiętasz.

Fotele dopasowały się do ich ciał z płynną, niezauważalną elastycznością. Laurinda wydała domowi instrukcje.

— Opowiedz mi o sobie — ponagliła swojego gościa.

— Sama wiesz — powiedział defensywnie.

— Opowiedz mi, co robiłeś ostatnio. Jak ci się powodziło przez ten czas?

Wzruszył ramionami.

— Generalnie dobrze. Rozwijałem swoje zainteresowania — głównie sport, wiesz.

— Pewnie byłeś mistrzem.

— Niezupełnie, ale dobrze mi szło.

— Przepraszam. Powinnam była śledzić wiadomości sportowe.

— Nie, nie. Zdaję sobie sprawę, że byłaś zajęta swoimi sprawami — powiedział z lekkim smutkiem. — Poza tym, to już daleko za mną. Leczenie, terapie, regeneracje, wszystkie te środki mogą tylko zahamować starzenie.

Znów obrzucił ją spojrzeniem. Pomyślała, że to, co zobaczył, lekko go zabolalo.

— Gry i zawody sportowe to nie wszystko — mówił coraz szybciej. — Sporo yunów zarabiam jako trener i osobisty doradca.

Uniosła brwi.

— Yunów?

— To taki lokalny slang. Ostatnich dziesięć lat spędziłem głównie na Tajwanie. Yuny to zarobione kredyty wykraczające poza podstawową płacę. Czy w Anglii nadal mówi się na to plusy?

— Tak. Mogłam się domyślić. Ale dziś czuję się trochę zmęczona — zawahała się. — Nie chcę być impertynencka, ale...

Omar zakaszlał, bardziej z chęci zyskania na czasie, niż z realnej potrzeby.

— Nigdy nie byłaś nieśmiała. No cóż, przez większość czasu byłem szczęśliwy. Jedno orto—małżeństwo trwało ponad czterdzieści lat. Dostaliśmy pozwolenie na dwoje dzieci. Wybraliśmy dziewczynki.

Musiał zauważyć szybki grymas bólu na jej twarzy; musiał wiedzieć, że nie miała dzieci. Na pewno założył, że nie ma ich, bo żaden jej związek z mężczyzną nie przetrwał próby czasu. A może sięgnął głębiej i zobaczył, że to Terra Central zabrała jej

zbyt wiele z życia, zbyt wiele z niej samej?

— No i zająłem się sprawami publicznymi — dokończył szorstko.

— Polityką — kiwnęła głową.

— Nie stawałem do wyborów. Jakie znaczenie ma teraz biuro polityczne? Ale komitety doradcze...

— To obecnie główna forma polityki, prawda? To, i praca nad stworzeniem ogólnego konsensusu w zasadniczych kwestiach.

— Dlatego tu przyjechałem.

— Oczywiście. Więc witaj, stary przyjacielu.

Dom rozpoznał moment psychologiczny. Do pokoju wślizgnął się serwitor i podał małe ciasteczka, świeżo zsyntetyzowaną kawę dla niego i herbatę dla niej. Z miniaturowego żarnika unosił się zapach kadzidła. Wymieniali konwencjonalne, puste zwroty, pełne jednak emocji, jak zwierzęta instynktownie upewniające się co do swoich intencji. Normalnie dzieliło ich pół globu, a ta wizyta powiedziała im więcej, niż najczęstsza nawet teleobecność. Gdy skończył opowiadać, wyczuła, że chce powiedzieć coś jeszcze.

— Wiesz, o co cię poproszę.

Odwróciła głowę i spojrzała na jeden z ekranów pokazujących piękny dzień.

Naprawdę wierzysz, że mogę to zrobić?

— Mogę mieć nadzieję. Nie podjęliśmy jeszcze ostatecznej decyzji. Debata może trwać latami. — Jego głos stwardniał. — Chyba, że Terra Central ją zakończy i zarządzi jakieś działania.

Znowu spojrzała na niego. Poczowała napięcie.

Dlaczego uważasz, że tak się może zdarzyć?

— Już to powiedziałem. Jakie znaczenie ma teraz Porozumienie Światowe albo prawo któregośkolwiek stanu? Przemawiamy, głosujemy, wykonujemy z namaszczeniem te wszystkie tradycyjne ruchy, ale znaczące decyzje i tak podejmują inteligencje maszynowe — czyli w sumie Terra Central.

— Nie decyzje, nie rozkazy. Rady, których lepiej słuchać.

— Twierdzisz, że świat jest zbyt złożony i niebezpieczny, a zwykli ludzie nie mogą go zrozumieć, ani kontrolować.

— Zawsze tak było, czyż nie? — powiedziała cicho.

Przez chwilę siedział w milczeniu. Być może zorientował się, że książki dały jej więcej wiedzy historycznej, niż. mógłby przypuszczać. Wreszcie znów się odezwał.

— Fakty, logika, modele, obliczenia — tak, oczywiście potrzebujemy Terra Central i systemu cybernetycznego. Ale wiemy, czujemy, że liczy ona na coś więcej.

— Ona chętnie przyjmuje także takie dane.

Zamarł.

— Ona...? — wyszeptał.

— Czego ode mnie oczekujesz? — zaatakowała go Laurinda.

— Oczekuję, że przemówisz dzisiaj, i będziesz domagać się swobody. Ostatniej, która nam została. Inaczej stracimy ją.

— Nie zgadzam się — rzuciła niemal automatycznie, tak często musiała to robić, że przywykła, i dodała zaraz: — Zgoda, ale jeśli przyjmujemy jej doradztwo, będziemy musieli zaakceptować pewne zmiany. Na pewno zechce narzucić nam rezygnację z czegoś w imię przyszłości. Niektóre parki trzeba będzie przebudować, może obudzić niektóre wulkany, zbudować jakieś instalacje i uruchomić nowe programy. Za to trzeba zapłacić, a

więc konieczne będzie zmniejszenie podstawowej płacy; na pewne kwestie nie będziemy mogli sobie pozwolić. Naprawdę nie potrafię znaleźć sensu w działalności twojej frakcji.

— Zmiany nie będą takie małe. Pomyśl tylko o lesie syberyjskim znów obracającym się w tundrę, o Północnej Afryce zamienionej w pustynię, o lawie zalewającej Ogrody Hawajskie — o tych wszystkich miejscach, w których można jeszcze swobodnie odetchnąć. Pomyśl o konfiskacie własności, o niszczeniu pięknych rezydencji. Zamiast tego możemy zwyczajne...

— Proszę — przerwała mu. — Zapędziliśmy się oboje. Pozwól mi tylko zauważyć, że w waszym planie nie ma nic „zwyczajnego”. On też ma swoją cenę. Spłata największej raty spadnie na następne pokolenia, które nie będą miały wyboru.

— Jesteś tego pewna? Przed nimi dziewięć tysięcy lat na przygotowania i wybór najlepszej drogi.

— Nie, nie jestem pewna. Ona nie jest. Historia jest chaotyczna. Nikt i nic nie może przewidzieć obrotu wydarzeń, sytuacji, możliwości i niemożliwości za dziewięć tysięcy lat. Musimy zabezpieczyć nasze zasoby z myślą o tym właśnie dniu, dopóki jeszcze je mamy i możemy ich użyć.

Jej stanowczość zmieniła się w smutek.

— Po co powtarzamy te wyświechtane argumenty, Omarze? Naprawdę wierzyłeś, że przekonasz mnie w ciągu dwóch czy trzech godzin, albo że ja mogłabym przekonać innych?

— Warto było spróbować — przyznał. — Twój wpływ nie jest pozbawiony znaczenia. Och, na pewno nie od razu zmienię twój punkt widzenia, o ile to w ogóle możliwe. Ale miałem nadzieję,

że powiesz swoim słuchaczom, iż powinni nas posłuchać i poważnie się zastanowić nad tym, co mówimy.

W jego głosie zabrzmiała pasja.

— Laurindo, wiem, że kochasz życie na Ziemi. Czy wolność takiego życia — umiejętność radzenia Sobie, rozwój — nie ma znaczenia? Podoba ci się wizja, w której Życie zostanie ograniczone do jedenastu zwierzków, po ostatnią komórkę kontrolowanych przez maszynę?

— Wiesz, że to niedorzeczne — zirytowała się.

Gdzieś na dnie jej umysłu, nie po raz pierwszy, pojawiła się wątpliwość.

— Jeszcze trochę, a dołączycie do Poszukiwaczy Burz.

Wbrew jej woli w głowie pojawiły się wspomnienia wydarzeń w Ameryce Północnej. Widziała w wiadomościach, co tam się działo i zamówiła powtórkę. Słowa brzmiały złowrogo jak nadciągająca burza:

— „Niechaj nadejdzie Lód. Wzmocni nas i wyzwoli, nie uczyni końca świata. Życie nigdy nie było tak bogate i silne jak w plejstocenie, człowiek nigdy nie był tak kreatywny ani tak wolny. Gdy Terra Central przykryje lodowcem Świat Od zimnej tundry po lasy deszczowe na równiku, ludzie znów wezmą swój los w swoje ręce”.

Zebrani wiwatowali, klaskali, powiewali transparentami. Uspokoilo ją, że była to zaledwie garstka nieprzystosowanych mizantropów, paru technofobów, romantyków i kilku innych nieracjonalnie myślących idealistów. Jednak wiedziała, że w ludziach drzemie potrzeba przygód, łowieckie dziedzictwo całej ludzkości. A... młody mówca, jasnowłosa, wysoki, o szerokich

ramionach, absolutnie męski... jakież był piękny!

Odpowiedź Omara ściągnęła ją na ziemię.

— To niesprawiedliwe. Kiedyś byłaś bardziej Otwarta.

— Albo mniej wiedziałam — odparła.

— Albo Terra Central nie była pępkiem twojego Świata.

Uderzyła ją gorycz w jego głosie.

— Omarze, dlatego jesteś zły?

— Przepraszam. Nie chciałem... — powiedział ze skruchą.

Przez kilka uderzeń serca siedzieli w ciszy.

— Wygląda na to, że po tylu latach nadal potrafimy się ranić — dokończył.

Ale te lata nie wrócą.

— Tak, zmieniłam się — powiedziała. — Ty niewątpliwie także, ale ja bardziej.

Czasami w długie, bezsenne noce myślała o tamtej dziewczynie, którą kiedyś była. Nie tęskniła za jej witalnością, siłą, radością, tęskniła za nieskrępowanymi niczym marzeniami.

— Dobrze, kochany, wysłucham cię — powiedziała na głos. — Czy i ty mnie wysłuchasz? Kiedyś jeszcze możemy... Jednak wolałabym porozmawiać o tym, co się z nami działo. Jak starzy przyjaciele, którzy się wreszcie spotkali. Po raz ostatni czegoś zapragnęła.

V

Nieco później tego samego dnia Laurinda Ashcroft nie skupiała się zbyt na swojej audycji. Program był na antenie od lat, miał uspokajać nastroje i wyjaśniać plany Terra Central. Większość emisji przygotowywała z wyprzedzeniem, dodawała zwykłe obrazy i od czasu do czasu wirtuale naświetlające każdy aspekt omawianej kwestii.

Podczas programu obraz na ekranie pokazywał Ziemię okrążającą słońce. Jej orbita była trójwymiarowa, złocisty szlak na tle czerni i gwiazd. Widać było, jak Ziemia, jej Księżyc, i siostrzane globy oddziałują na siebie, wykonują od miliardów lat ten sam taniec, któremu subtelnie acz nieubłaganie takt nadawała grawitacja. Audycja pokazywała powolny cykl zmian pochylenia ziemskiej osi i jego wpływ na kąt padania światła na powierzchnię, a także spowodowane tym zmiany w powietrzu, w morzach, chmurach, deszczu, śniegu i lodzie.

Odkąd Ocean Arktyczny stał się morzem śródlądowym, lodowce przychodziły i odchodziły. W czasie wielkich zim północna Europa, połowa Ameryki Północnej i wielkie połacie ziemi na innych kontynentach skuwał lód, którego klify wznosiły się na dwa tysiące metrów; pojawiły się nowe lądy, gdy poziom mórz opadł o sto metrów; lasy rosły i umierały, na południu pojawiły się bagniska, a na sawannach puszcze. Istoty żyjące

musiały się przystosować. Jedne gatunki ginęły, inne rozkwitały. Działo się to w cyklach obejmujących tysiące lat, a to mała pociecha dla współczesnych ludzi.

Kolejne zlodowacenie opóźniało się. Jego początek przesunął się z powodu emisji gazów cieplarnianych. To już była przeszłość, tak jak i przeludnienie. Zimą spadało więcej śniegu, niż topniało w ciągu krótkiego lata. Metr po metrze, z każdym rokiem coraz szybciej, z gór i biegunów schodziły lodowce.

— „Z pewnością słyszeliście już, co musimy zrobić, zanim będzie za późno. Warstwa gazów cieplarnianych jest coraz grubsza. Pokrywa chmur coraz cieńsza. Śnieg znika. Ziemia przyjmuje więcej światła słonecznego, niż może wytrzymać. Być może jednak nie wiecie jeszcze, jaka jest skala tego procesu, ile zajmie stuleci, ani jak złożone i precyzyjne są ogromne środki, które zamierzamy zastosować. Pozwólcie, że wam to pokażę”.

Znów wizuale i wirtuale: węglowa czerń koloidu rozsypywanego nad Arktyką, tona po tonie, rok po roku, aż warstwa lodu stanie się niewidoczna. Ogromne wyładowania elektryczne wymuszające opady deszczu, aby od powierzchni Ziemi odbijało się mniej światła. Karmienie żywych narzędzi, którymi są maty z brązowych alg pokrywające morza na powierzchni milionów kilometrów kwadratowych; podwodne wybuchy uwalniające złoża uwodnionego metanu i wysyłające gaz do atmosfery. Wypalanie lasów i zakładanie plantacji trawy na ich miejscu — tylko trawa zawiera mniej węgla niż drewno. Szyby drażone w samym płaszczu planety; eksplozje nuklearne mające pobudzić wulkany do aktywności, uwalnianie dwutlenku węgla i pary wodnej w ogromnych ilościach. Nowe gałęzie

przemysłu, wymagające ogromnych zasobów, ich konstrukcja i monitorowanie.

— „Tak, ta Ziemia będzie się bardzo różniła od Ziemi, do której jesteśmy przyzwyczajeni”.

Laurinda pochyliła się, jakby każda oglądająca program osoba mogła ją lepiej widzieć.

— „Jednak będą to zmiany dużo mniejsze, niż zmiany, jakie mógłby spowodować zwykły lodowiec. Od bieguna do bieguna nasz Świat nadal będzie zielony, bogaty i łagodny. Zachowamy jeszcze wiele lasów, otwartych wód, czystego Śniegu. A jakie kwiaty zakwitną na nowych preriach, jakie zwierzęta będą się tam pasły!”.

Pokazała obrazy, dźwięki, wiatr i zapachy. Symulowane, ale tak żywe, jak w rzeczywistości. Wyidealizowane, ale niemal prawdziwe. Takie miejsca możemy mieć.

— „Pamiętajcie, że to nie nastąpi od razu. To powolny proces, musi przebiegać stopniowo, zgodnie z cyklami astronomicznymi. Wymaga stałych obserwacji i pomiarów, przystosowywania urządzeń do utrzymania odpowiedniego klimatu i pogody pod kontrolą. Miną tysiące lat. Aż wreszcie, gdy Ziemia znów pochyli się w stronę Słońca, wszystko będzie gotowe. Większość z nas w ciągu swojego życia nie zauważy żadnych zmian. Dla naszych dzieci i ich dzieci, dla setek następnych pokoleń, będzie to naturalna część wszechświata, jak księżyc i gwiazdy”.

— I to jest najgorsze — powiedział Omar. — Terra Central będzie dla nich tym, czym Bóg był dla przodków. Och, nie Sądzę, aby ją czcili. Ale będą zdawać sobie sprawę, jak bardzo Są od niej zależni. Terra Central tymczasem zrobi to, czego nigdy nie robił

Bóg — rozwinię się poza ludzkie pojmowanie. Laurindo, i co wtedy?

Wcześniej nie miała zamiaru pozwolić mu na tak pełną wypowiedź. Mogła jednak wykorzystać jego argumenty. On i jego frakcja nie ukrywali swoich poglądów. Jako rzeczniczka sztucznej inteligencji potraktuje ich poważnie, może wtedy zdoła im wykazać, że bardzo się mylą.

„Niewątpliwie większość z was słyszała, że cała koncepcja jest błędna. Ludzie tak sądzą zapewne dlatego, że obliczona jest na tysiąclecia”.

Uśmiechnęła się.

— „Naukowcy i inżynierowie nie są głupcami. Badali sytuację i przygotowali naukowe analizy. Mają rację twierdząc, że istnieje łatwiejszy, tańszy i daleko mniej destrukcyjny sposób powstrzymania Lodu”.

Konieczne są roboty w kosmosie. Kopalnie na asteroidach i wydobywane z nich surowce, nanotechniczne zasobniki tworzące gigantyczne lustra z dokładnością do mikrona, ich orbitowanie — to trudne, ale możliwe przy dzisiejszych możliwościach. Kierowane przez matematykę lustra wyślą dodatkowe Światło słoneczne na ziemię zgodnie z aktualnym zapotrzebowaniem. Lodowce się cofną, klimat ustabilizuje. System będzie działał tak długo, jak to będzie konieczne i zostanie w odwodzie na zawsze.

— „Odbierze nam to nocne niebo. Nie zobaczymy wszystkich gwiazd, bo ciemność nie będzie całkowita. Jednak świat w dużej mierze pozostanie niezmienny. Zatem dlaczego Terra Central przestrzega przed takim rozwiązaniem?”.

Znowu na ekranie pokazały się jasne, zimne, animowane diagramy, rozciągnięte na galaktyczną skalę, a następnie ograniczone do sąsiedztwa Układu Słonecznego, aż wreszcie do molekuł i pól siłowych.

Kosmos nie jest pusty. Popatrzcie na Drogę Mleczną czystym niebie, a ujrzycie w niej zatoczki z kosmicznego Pyłu w takich konstelacjach jak Orion świeci światłem rodzonych gwiazd. Wszędzie wodór i hel, pierwotne elementy, w ogromnych ilościach. Nigdzie gaz i pyły Środowiska gwiazdowego nie osiągnęły gęstości tego, co na Ziemi my jako próżnię; jednak zebrane razem dominują w dostrzegalnym wszechświecie.

Nie rozkładają się równomiernie. W niektórych jest ich mniej, w innych więcej. Czasem są tak gęste, że ją się; w ten sposób powstają gwiazdy i planety.

Czasami Układ Słoneczny, przesuwał się wokół jądra galaktyki na orbicie, której pokonanie zajmuje dwieście lat, wchodzi w taką chmurę pyłu.

Chmura, do której zbliża się teraz, nie jest niczym nadzwyczajnym. Nigdy nie powstanie z niej nowy świat. Ko kilka razy gęstsza od otoczenia i rozciąga się kilka lat świetlnych. Dawni astronomowie jej nie widzieli. Nawet kiedy zaczęli korzystać z przyrządów, nie byli czy tam jest.

— „Nasze ośrodki międzygwiazdne mają narzędzia odpowiednie do wykonania dokładnej mapy tej chmury. Przekazały nam swoje odkrycia. Za jakieś dziewięć tysięcy lat nasz wejdzie w jej zasięg, ale tylko ją przetnie. Sto tysięcy znów będzie w czystym kosmosie. Ale dla żywych stworzeń tysięcy lat to za dużo”.

Kontakt z chmurą wpłynie na wiatry słoneczne i pole magnetyczne systemu, aż heliosfera znajdzie się wewnątrz orbity Saturna. Ziemia pozbawiona tej ochrony przyjmie dawkę promieniowania kosmicznego trzy— lub czterokrotnie przekraczającą normę. Życie w przeszłości przetrwało porównywalne zdarzenia, ale zniknęło wiele gatunków zwierząt i roślin, ich środowisko uległo całkowitej zagładzie. A jeśli podczas tego spotkania Ziemię dosięgnie dość atomów wodoru, aby uszczuplić zasoby tlenu, do stratosfery dostanie się tyle kurzu i cząsteczek lodu, że na Ziemi zapanuje zima, jakiej planeta nie widziała nigdy wcześniej.

— „To potrwa dziewięć tysięcy lat, jak mówią optymistycznie nasi oponenty. Mamy dość czasu na przygotowania. A więc dlaczego mielibyśmy angażować się w program, który zmieni naszą cywilizację? Terra Central za moim pośrednictwem oświadcza, że ochrona przed mgławicą wymaga zasobów, których nie wolno nam zużyć na nic innego”.

Na orbitach krążą ogromne konstrukcje, całe ich tysiące. Może je utrzymać tylko inteligencja maszynowa — zasilana przez reakcje termojądrowe, albo przez wzajemną destrukcję materii i antymaterii — ale przedtem trzeba wyprodukować megatony antymaterii generujących siły jonizujące obce atomy i stworzyć plazmę — mur wokół całego globu, cytadelę, która przetrwa sto tysięcy lat.

— „Zwierciadła słoneczne, mające powstrzymać lodowce w najbliższej przyszłości, z tym systemem nie będą kompatybilne. Ich obrońcy przyznają to, ale mówią też, że do tego czasu wprowadzimy systemy przystosowawcze. Może mają rację. Nie

mówią tylko, że ich wprowadzenie będzie bardzo kosztowne i materiałochłonne. Zanim się tego dowiemy, będziemy zmuszeni przeprowadzić bardzo dogłębne badania Systemu Słonecznego. Tymczasem każdy rok opóźnienia działań sprawia, że Lód posuwa się dalej i coraz trudniej z nim walczyć.

Ale to my, ludzie Ziemi żyjący tu i teraz, musimy podjąć decyzję. Jej konsekwencje poniosą nasi potomni — powinniśmy zatem wykroczyć poza inżynierię. Zadajmy sobie proste pytanie. Co może się zdarzyć w czasie dziewięciu tysięcy lat?”

I opowiedziała historię pokazującą, że nie można tego przewidzieć. Rewolucja Neolityczna okiełznała dzikość świata, nakarmiła nagle zwiększoną populację, zbudowała miasta, zbudowała kuźnie — i zmieniła wolnych myśliwych w wieśniaków pod panowaniem bogów—królów.

Zaledwie egipscy faraonowie udali się na wieczny spoczynek, ich grobowce zostały splądrowane. Przez ich królestwa poprowadzono drogi, a maszyny parowe przechowywano razem z mumiami.

Imperium Perskie zaangażowało się w morderczą wojnę, ugięło się przed Aleksandrem. Jego własne imperium nie przetrwało przedwcześnie Śmierci swego władcy. Potem kraj zamienił się w krwawą łaźnię. Przez cztery stulecia od przybycia Jezusa do Jerozolimy Chrześcijanie zabijali chrześcijan.

Pokój i wyrafinowanie Japonii ustąpiły przed nieustającą walką klanów i dygnitarzy wojskowych. W Chinach dynastia po dynastii ogłaszała swoją boskość i upadała w krwawych rozgrywkach.

Mongołowie galopowali poza krańce Azji, zawędrowali do

Europy, aż ich chan podporządkował sobie przeszło połowę kontynentu. Kilka pokoleń później ta suwerenność została im odebrana. Jej resztki zmieniła rodzącą się demokrację Rosji w carat, a inna zanosła do Indii islam.

Potężne królestwa Azteków i Inków ugięły się przed garstką hiszpańskich najeźdźców. Bogactwo, płynące wówczas do Europy, dało zastrzyk energii kupieckim narodom północy, ale nadważyło potęgę Hiszpanii, której historyczne dziedzictwo zamieniło się w tyranię i korupcję.

Z „Wolności, Równości, Braterstwa” rewolucji francuskiej wyrósł Napoleon. Z idealizmu Sun Jat—sena wyrósł Chang Kaishek i Mao Tse—tung.

Nikt z ludzi u władzy nie rozumiał, co zwiastują nowoczesne rodzaje broni takie, jak karabin maszynowy. Nikt nie był w stanie opanować sytuacji, do której doszło, dopóki nie rozpadły się cztery imperia, a życie dziesiątek milionów ludzi i duchowe podstawy zachodniej cywilizacji nie runęły w gruzy. Wynikiem była jeszcze większa wojna i walki toczące się przez pół stulecia, gdy nowo powstałe państewka rzuciły się sobie do gardeł.

W erze poznawania najskrytszych tajemnic atomu i potęgi kosmosu technologia przekształciła sposób życia ludzi. A jednak dawne przesady odżyły, od astrologii począwszy, na czarnoksiężstwie skończywszy. Nie odrodziły się duże systemy religijne, za to prężnie działały mniejsze, często kontrowersyjne nie uznające żadnych kompromisów — szybko rozprawiły się z przesadami. Z czasem sekty także zniknęły.

Globalna komunikacja nie umocniła rządów — zamiast tego przyspieszyła rozpad społeczeństw i przekształciła je w

stanowiące o sobie koalicje wszelkiego rodzaju: etniczne, ekonomiczne, religijne, zawodowe, kulturalne, a nawet seksualne.

Obrońcy środowiska protestowali, oficjalne agencje usiłowały działać, ale Ziemi wyniszczonej przeludnieniem i nadmierną eksploatacją zasobów najbardziej pomogły nowe technologie i bodźce ekonomiczne.

— „Nie ma ostatecznych odpowiedzi i nie będzie, dopóki Są ludźmi. Dziewięć tysięcy lat to więcej, niż opisują najstarsze źródła. Jakie zmiany, jakie akty przemocy, jakie rewolucje zgotuje sobie ludzkość? co z rewolucją ducha?

Ze względu na nasze nienarodzone dzieci i ze względu na życie na Ziemi, zgódźmy się na kilka małych wyrzeczeń i wyrażmy zgodę na zabezpieczenie naszej planety — jeszcze możemy to zrobić, jeszcze mamy wybór. Nasi następcy będą nas błogosławić. Cokolwiek zrobią, czymkolwiek się staną, z pewnością będą nam wdzięczni.— Ale teraz my, w pełni świadomi naszej przemijalności, musimy na to pozwolić”.

VI

Po audycji Laurinda poszła na spacer. Potrzebowała ruchu i samotności. W domu czuła się zbyt osaczona. Przygasające światło wieczoru pokrywało trawę i liście warstwą złota. Przez niebo przemknęła para gawronów gniazdujących w pobliżu. Ich głosy ledwie do niej dochodziły. Bryza, tajemnicza jak szept zbliżającej się nocy, chłodziła powietrze. Idąc przed siebie czuła, jak opada z niej napięcie i zdenerwowanie, a z ziemi płynie spokój.

Przystanęła przed starym kościołem. Maszyny równające z ziemią opuszczone miasta oszczędziły go i wyremontowały. Wypatrzyła nierzucającego się w oczy robota strażniczego — rzadko był naprawdę potrzebny, bo i rzadko trafiali tutaj goście. Kolejny robot dbał o cmentarz. Wiatr i deszcz zatarł nazwiska na nagrobkach, ale kamienie pamiętały.

Podobnie jak kościół. Weszła do środka. Witrażowe okno nad drzwiami filtrowało ostatnie promienie zachodu. W przestrzeni kościoła światło przechodzące przez szkło łagodnie obejmowało anioły i świętych, jakby wznosili się ku niebiosom. Spojrzała na Chrystusa ukrzyżowanego nad ołtarzem. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, na jakiej podstawie archeologowie i maszyny — w bazach danych Terra Central spoczywały wszystkie zapisy — zdecydowali, jaki stworzyć symbol; protestanci musieli zniszczyć

oryginał. A może nie? Przestała o tym myśleć. Usiadła na ławce i wsłuchiwała się w ciszę. Wyobraziła sobie, że wokół, w gęstniejącej ciemności gromadzą się pełne szacunku i pokory duchy.

Kiedy wyszła z kościoła, niebo na zachodzie płonęło smugą purpury. Wkrótce i ona zniknęła, zapadał zmierzch. Od czasu do czasu zerknęła na nawigację na nadgarstku wyznaczającą drogę powrotną. Na niebie pojawiały się kolejne gwiazdy. W nieco mglistym powietrzu nie świeciły zbyt jasno, ani nie dostrzegła ich zbyt wiele. Na których rozwinęła się inteligencja? Nie była pewna. Wieści od badaczy nadchodziły powoli. Nie śledziła ich szczególnie uważnie, zbyt absorbowowała ją Ziemia. Badacze zapewne wciąż kręcili się w pobliżu rodzimego systemu. Ich maszyny poruszające się z prędkością bliską prędkości światła, multiplikujące się przy najmniejszym kontakcie z odpowiednim surowcem i wysyłające swoje potomstwo naprzód — w ciągu miliona czy dwóch milionów lat rozprzestrzeniały się na całą galaktykę.

Laurinda zadrżała. Niegdyś ta wizja olśniewała ją i zachwycała. Poczowała ból w brzuchu i przypomniała sobie, że przez cały dzień prawie nic nie jadła. Dotarła do domu, poszła do ulubionego pokoju, jej prywatnego schronienia dla marzeń. Wirtualne nie wystarczały; pragnęła niezmiennej rzeczywistości. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające scenki z zamierzchłej przeszłości, wszędzie stały półki pełne starych książek; z głośników sączyła się barokowa muzyka; z miedzianego czajnika unosiła się para. Wkrótce herbata była gotowa, a po niej kolacja, jaką mogłaby zjeść Jane Austen.

Nie kazała serwitorowi symulować postaci człowieka, ani nie

zabrała się za poszukiwanie gdzieś na planecie przyjaciela, który miałby ochotę z nią porozmawiać. Pomyślała, że chce tylko chwilę posiedzieć w ciszy, poczytać, a potem pójść spać. Gdy rozległ się głos przypominający alt jej matki okazało się, że Terra Central ma inne plany. Mogę przeszkodzić? Chcę tylko powiedzieć, że doskonale sobie poradziłaś. publiczność na całym świecie zareagowała pozytywnie i entuzjastycznie.

— To dobrze — odparła Laurinda. — Ale ja jestem sama. Potrzeba nam więcej ludzi.

Pomyślała sobie: nacisk, który wywierasz, jest prawie niedostrzegalny, ale potężny. A jeśli zawiedzie, jeśli głosowanie pójdzie nie po twojej myśli? Co wtedy zrobisz?

I dlaczego myślę o tobie jak o osobie?

Ponieważ. nią jesteś. Nie jesteś człowiekiem; więc czym? Świadomością... duszą?

— Byłaś bardzo elokwentna — powiedziała Terra Central — i sięgnęłaś wzrokiem dalej niż ja.

Jak to? — spytała Laurinda z zaskoczeniem.

— Mam wyjaśnić od razu, czy wolałabyś przedtem odpocząć?

Terra Central zawsze dbała o swoje interfejsy. Prawie zawsze, poprawiła się. Serce Laurindy podskoczyło.

— Proszę, mów.

Głos zwlekał chwilę — chciał ją trochę uspokoić?

— Moim przeznaczeniem jest dbanie o życie na Ziemi. Nic tego nie zmieni. Twój gatunek jest odczuwającą częścią życia. Ale ja, taka, jaka jestem, nie potrafię jej w pełni zrozumieć. Stare teksty, relikty przeszłości, percepcja i rozmowa nie są tym samym, co bezpośrednie doświadczenie. Mogę podążać za tokiem myślenia

— nawet za śladami emocji — łagodnych, racjonalnych ludzi takich, jak ty. Ale brak mi zdolności, empatii, jeśli wolisz, aby zinterpretować przyczyny tego, co robią ludzie, albo odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wasza historia potoczyła się w taki sposób.

— A kto to wie? — wtrąciła Laurinda.

— Wydaje mi się, że twój gatunek jest szalony — nie ty, moja droga, i nie wszyscy ludzie na szczęście. Jesteście rozdarci pomiędzy instynktem a intelektem, zwierzęcością a czymś więcej, niż zwierzęcość. Czy to błędna interpretacja? Jeśli nie, to ludzkość bez właściwego przewodnictwa sama się wykończy na długo przed zagładą kosmosu. Jeśli moje rozumowanie jest słuszne, nie jestem w stanie zapewnić jej takiego przewodnictwa. Pomóż mi, Laurindo.

— Jak? — spytała z drzeniem, zastanawiając się, co jeszcze może zrobić w czasie, który jej pozostał.

— Nie umieraj. Gdy twoje ciało się zużyje, pozwól mi na upload twojego umysłu i wspomnień.

Poczuła nagle zimno.

— Nie! Nie. Ja... myślałam o tym, oczywiście, ale wszystko, co widziałam, wszystko, co słyszałam... nie chcę być robotem.

— Wiem. Nie chciałabyś zjednoczyć się ze mną? TO coś w rodzaju nirwany, nie będziesz już. jednostką, ale wzbogaceniem całości. Możesz tak trwać przez miliony lat lub dłużej, a jeśli okaże się to potrzebne, mogę cię wskrzesić taką, jaką byłaś.

Taką ofertę mogę złożyć tylko wybrancom. To nowa możliwość i jak dotąd bardzo ograniczona. Później... Jednak ciebie, Laurindo, chciałabym zabrać zanim odejdiesz na zawsze.

Pomyśl o tym. Jednak pamiętaj, że moment ostatecznej decyzji nie jest tak bardzo odległy.

VII

Tysiąc siedemset lat później stało się coś, co żyło w ludzkich wspomnieniach przez pokolenia, do czasu, aż sposób życia zmienił się tak bardzo, że nikt nie dostrzegał w tym sensu.

W Owych czasach społeczności, wspólnoty, nacje i plemiona miały własne sposoby świętowania Wigilii Nowego Wieku. W Tahalla był to miesiąc ceremonii i zabawy. Niektórzy zamiast tego z powagą obchodzili Dzień Kreacji albo Pamięci, inni z radością Noc Ognia lub Festiwal Dzieci. Odbywające się co pięć lat Zawody Darvica nabrały teraz większego znaczenia; chwała, którą zwycięzcy poniosą do swoich klanów wzmocni pozycję każdego z nich na dziesięć lat, lub nawet więcej.

Wspaniały pochód przesunął się w dół Covenant Boulevard. Słońce świeciło na jaskrawoniebieskim niebie, odbijało się od metalu i obejmowało ognistym światłem transparenty. Nikt chyba nie został dziś w domu. Ludzie stali tłumnie po obu stronach ulicy. Jednaczyli się w hymnach i wiwatach, oglądali swoich wysoko urodzonych bohaterów we własnych osobach, czuli przyływy emocji i dreszcze uniesienia. Nie potrzebowali żadnych dodatkowych środków, aby dobrze się bawić. Przybyli w grupach, ubrani w stroje gildii lub reprezentowanej społeczności. Grupki szybko się wymieszały. Białe szaty i czerwone szarfy Edukatorów znalazły się pomiędzy purpurowo

—złotymi tunikami Magnificencji, szkarłatnymi płaszczami i pierzastymi kapeluszami Ogniomistrzów, albo między Sokołami w dopasowanych szaro—niebieskich strojach, otoczonych przez noszących się na zielono medyków. Tylko filozofowie w trzepoczących na wietrze, szarych szatach z opalizującymi pasami trzymali się na uboczu. Zgodnie z tradycyjnym prawem Terpsychoreanie szli przed wszystkimi, na wietrze powiewały ich długie włosy i powłóczyste, niemal przezroczyste stroje. Poranek już był gorący, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Nad tłumem unosiły się odurzające zapachy.

Wokół wznosiły się kolorowe ściany, lśniące kolumnady, fasetowane jak klejnoty kopuły centrum Roumek. Lśniły czystością i błyszczały od ciągłego polerowania; tu i ówdzie dodano zawile mozaiki i rzeźby; jednak żadna fasada się nie zmieniła. Właściciele domów licytowali się oszałamiającymi efektami tylko podczas Festiwalu Iluzji. Zawody Darvica były czymś innym, świętem zarówno religijnym, jak i świeckim.

Zagrały trąbki, ryknęły tuby. Muzyczne fontanny i Śpiewająca Wieża dodały do tej muzyki własne dźwięki. Hełmy i pancerze załśniły, lance i lasery uniosły się wysoko, grupa Szacownych dosiadająca białych łosi z połączanymi rogami wysunęła się na czoło pochodu. Hierofanci, po jednym z każdego krańca Tahalla, ubrani w szaty kanoniczne szli pieszo. Nieśli symbole, zgodnie ze swoimi obrządkami: Boga Marzyciela Wszechświata, Boga Matki, Boga Sędziego (czarna sutanna, przebita czaszka), Boga Kochanka (tęczowe barwy i berło). Za nimi sunęło auto Świętego Interpretatora odzianego w opalizujące szaty liturgiczne. Roboty podtrzymywały jego tron osłonięty bogatym baldachimem i

chłodziły go wachlarzami. Za nim jechał kolejny oddział Szacownych.

Potem jechał Regent oraz Księżę Małzonek. Ich trony stały na podwyższeniu na wielkiej platformie. Na jej czterech rogach umieszczono rzeźby złotego smoka, szkarłatnego płomienia, niebieskiego wiru i ukwieconego pnącza. Po lewej ręce Regenta siedział prawowity następca, po prawicy Księcia Małzonka Główny Prawodawca. Niżej, na ławce, umieszczono Radę. Po bokach stali starsi strażnicy rzucający w tłum garście diamentów i rubinów.

Dwunastu mężczyzn stojących na froncie trzymało insygnia klanów, których byli kapitanami, wraz z symbolami wszelkich społeczności, do których mogli przynależeć. Wyjątkiem był mężczyzna w środku szeregu. Z jego ramion zwisała Peleryna Darvy, a w ręce trzymał Laskę Supremacji. Spojrzenia ludzi zatrzymywały się na nim znaczenie częściej, niż na pozostałych: był jednym z wyznaczonych organizatorów Zawodów.

Magnaci miasta, przywódcy pomniejszych społeczności i właściciele ziemscy jechali z tyłu, większość w otwartych samochodach, niektórzy na koniach o wyszukanym genomie, a wszyscy wystrojeni w swoje najlepsze szaty. Dalej maszerowali gracze w grupach startowych konkurencji, w których mieli zamiar wziąć udział. Każdy z nich dumnie nosił tunikę w barwach swojego klanu. Okrzyki unosiły się nad nimi jak fala przyływu.

Mikel prowadził kontyngent, ponieważ jego ojciec Wei, kapitan Klanu Belov, był organizatorem. Oczywiście więzy krwi wyłączały Wei z sędziowania w tej konkurencji. Tak czy inaczej,

Mikel gardził nepotyzmem i nie potrzebował takiego wsparcia; miał już status Wicemistrza. Powinien przemierzać święte ziemie szczęśliwy, z nadzieją na zwycięstwo.

Wykrzywił usta z urazą. Miał wrażenie, że wiwaty i kwiaty rzucone mu do stóp to tylko zamaskowana kpina. Myślał przede wszystkim o tym, w jaki sposób mógłby wykorzystać zwycięstwo, aby się zemścić.

6

Wei Belov, niemal siedemdziesiąt lat starszy od syna, potraktował problem z kamiennym spokojem.

— Tak, to rozczarowanie — powiedział. — Ale nie upokorzenie, chyba że do tego dopuścimy.

Mikel kipiał gniewem, jak wielu młodych członków klanu. Kręcił się wraz z nimi po dworze, żądając wydania Arkezhana Socorro i Głównego Prawodawcy, a potem prowokacyjnie gwizdał złowieszczą, starożytną Pieśń Broni. Młodzi ludzie galopowali konno, albo rozbijali się powozami po posiadłości, ku przerażeniu pasących się zwierząt. Jeździli do Roumek i wdawali się w pijackie rozróby z każdym zwolennikiem Socorro, na jakiego się natknęli. Wreszcie Wei stracił cierpliwość.

— To zachowanie przynosi nam wstyd — oświadczył. — Czas z tym natychmiast skończyć. Jeśli ktoś się nie podporządkuje, zostanie publicznie ukarany naganą i wykluczony z przyszłorocznych obchodów Dnia Afirmacji.

Wrzawa opadła.

Nikt, poza jego panią nie wiedział, jak się wtedy czuł. Może nawet ona tego nie wiedziała. Kapitan Klanu Belov zmagał się ze swoimi kłopotami samotnie, tak nakazywał mu honor. Mikel i inni mogli się tylko domyślać. Milczenie, samotne spacery i wycofanie się z większości kontaktów dużo im powiedziało.

Regent powinien był go wyznaczyć Głównym Organizatorem w Zawodach. Jednak pięcioletni cykl sukcesji nie był niezmienny, stanowił o tym zwyczaj, a tym razem kolej Belova przypadała na Wigilię Nowego Stulecia. We wcześniejszych Zawodach Darvica Wei sprawdził się doskonale. Ponadto za młodu zwyciężył we wspinaczce po górach księżycowych i jeździe na nartach po wydmach Marsa. Byk przewodniczącym narodowej komisji do spraw dzikiej przyrody, a to często angażowało go w międzyetniczne negocjacje pod auspicjami Przewodnictwa Światowego. Z pewnością zasługiwał na to, by jego klan został uhonorowany tym zaszczytem.

Arkezhan, Kapitan Socorro, od wielu lat był jego wrogiem. Wei nigdy nie zdołał się dowiedzieć, dlaczego. Nigdy nie wyrządził krzywdy jemu samemu, bądź komuś z klanu, ani nie zdołał odkryć niczego, co mogłoby się wydarzyć przypadkiem, poza jego wiedzą. Ale Arkezhan zawsze go atakował, obrażał do granic przyzwoitości i kopał pod nim dołki. Wreszcie Wei wzruszył ramionami i uznał, że to kwestia zawiści. Kariera Arkezhana zdecydowanie nie należała do błyskotliwych.

Zdołał jednak wkraść się w łaski Mahu, Kapitana klanu Rahman, który został Głównym Prawodawcą królestwa. A Mahu przekonał Regenta, by ten wyznaczył Arkezhana na Głównego

Organizatora Zawodów.

Niełaska zawisła nad Klanem Belov jak czarna chmura, najczarniejsza nad kapitanem i jego najbliższą rodziną. Arkezhan był zachwycony. Jego sykofanci z satysfakcją rozsiewali plotki. Tak właśnie wyglądała sytuacja w dniu Zawodów.

7

Choć słońce nad stadionem już przygasało, trybuny błyszcząły od klejnotów na ubraniach widzów. Z kabiny sędziowskiej umieszczonej powyżej, trybuny wyglądały jak tarasowe kwietniki. Nieustanny gwar rozmów przypominał szum dalekiego morza. Na dole, w wielkim sześciokącie w pogotowiu stały drużyny, każda w swoim narożniku oznaczonym właściwym kolorem. Patrzyli na przeciwników po przeciwnej stronie, niebieskiej dla Syriusza, złotej dla Altaira, czerwonej dla Betelgezy.

Wei usiadł przed przeglądarką, pochylił się i wyszeptał polecenie, jakby nie chciał zwracać na siebie uwagi. Urządzenie zidentyfikowało cel i wyświetliło obraz syna. Polecił powiększenie go do metra kwadratowego. Oto Mikel, skupiony jak polująca puma. Pod przylegającym, lazurowym strojem widoczny był każdy mięsień, mocno zarysowane kości policzkowe w bursztynowej twarzy dodawały mu męskości, opaska z wyzywającą kokardą przytrzymywała kruczoczarne

włosy — Belov do ostatniego chromosomu. Miał być Kometą; symbol lśnił srebrem na jego piersi. Gdyby tylko chłopiec był mniej napięty, a jego spojrzenie mniej ponure. Bardziej niż siły i zwinności, gracz potrzebował rozumu. Rozległ się głos, który kazał Wei rozejrzeć się dookoła. Arkezhana Socorro uniósł się nad swoim fotelem.

— Ach — powiedział Główny Organizator. — Niepokoisz się o swoją latorośl, jak widzę.

Wei opanował się z niejakim wysiłkiem i nie podniósł się z miejsca. Fakt, że ktoś patrzył na niego z góry w taki sposób było obrzydliwe i upokarzające, ale gdyby wstał, świadczyłoby to o irytacji. A to z kolei oznaczałoby utratę godności, zwłaszcza tutaj.

— Oczywiście, jestem zainteresowany — odpowiedział tak łagodnie, jak tylko mógł. — Nie mam powodu do niepokoju. Mikel jest uzdolnionym atletą.

Powiedział to z delikatnym naciskiem. Syn Arkezhana nie zajmował się sportem i wykazywał się kompletnym brakiem zdolności społecznych.

Arkezhana ukrył swoje uczucia.

— Oceniają to niezależni sędziowie.

Gestem wskazał trzech sędziów, Ibrama Ahmada, Jona Mitsui i Malenę Mogai. Siedzieli w gotowości przy własnych przegładarkach. Wyczuwali w powietrzu wrogość i nie czuli się komfortowo.

— Potrafię bezstronnie oceniać moich lordów i lady — powiedział Wei — w przeciwieństwie do niektórych innych osób.

Nie była to najzręczniejsza odpowiedź. Nigdy nie był dobry w takiej wymianie zdań. Arkezhana uśmiechnął się z wyższością.

Potrząsnął głową i wyciągnął palec.

— Tak, muszę przyjąć ich zapewnienie, że dziś nie wykorzystasz swoich przywilejów.

W gruncie rzeczy postąpili bardzo uprzejmie zapraszając Wei, by dzielił z nimi lożę i stamtąd cieszył się doskonałym widokiem na stadion. Może teraz, nieco za późno, zorientowali się, że ze względu na Arkezhana popełnili błąd. Wei przygryzł wnętrze policzka. Nie chciałby wprowadzić ich w zakłopotanie.

— Masz moje podziękowanie za wyrażenie zgody, sir — powiedział głośniej. Okręcił fotel i pozdrowił Regenta. — I dozgonną wdzięczność za łaskawość jego Światłości.

Wypowiadając tę formułę, czuł w ustach gorycz.

Gdyby wiedział wcześniej, że Regent będzie im towarzyszył, przypuszczalnie odrzuciłby zaproszenie. Niektórzy mężowie stanu śledzili sportowe konkurencje, ale Regent zazwyczaj pojawiał się tylko na otwarciu. Z tego względu Główny Organizator nie musiał osobiście obserwować poszczególnych wydarzeń, jakkolwiek w każdej loży było dla niego miejsce i przegładarka. Kto i dlaczego namówił ich, Żeby pojawili się tutaj razem?

Może naprawdę byli zainteresowani. Zawody miały wielu oddanych entuzjastów, nie tylko w Tahalla, ale na całej Ziemi, a nawet pośród ludzi rozsianych po Systemie Słonecznym; dzisiejsze zmagania oglądały zapewne miliony widzów.

Wei był zdezorientowany. Regent siedział spokojnie ponad fotelem Głównego Organizatora na przeznaczonym dla niego tronie. Poły jego szat i pióra na przybraniu głowy lekko falowały.

Jon przerwał przedłużającą się ciszę.

— Z całym szacunkiem, wasza Światłość, ale zapada noc.

— Istotnie — powiedział Arkezhan. — Żałuję, mój lordzie Wei, że nie możemy dłużej słuchać twoich bez wątpienia fascynujących słów. Z pewnością powiedziałeś nam wiele o wspaniałych przymiotach młodego — Niho? Nie, proszę o wybaczenie, ma na imię Mikel, zgadza się? Wobec tego sami musimy mu się przyjrzeć — pochylił się ku Regentowi. — Czy wasza Światłość wyrazi zgodę, abym zajął swoje miejsce?

Regent uniósł i opuścił dłoń. Arkezhan zasiadł.

— Niechaj zaczną się honory — powiedział. Jego wzmocniony głos przetoczył się nad stadionem.

Ryknęły trąby. Na gigantycznym ekranie umieszczonym na dachu stadionu pojawił się obraz boiska. Przez chwilę nic się nie działo. Drużyny już się naradziły, zaplanowały strategię i taktykę obliczoną na zminimalizowanie własnych strat i zmaksymalizowanie cudzych. Zostaną tylko najlepsi; nadszedł czas, aby zamiary wprowadzić w czyn.

Gwiazda Syriusz przebiegł jedno pole wzdłuż wyznaczonej dla siebie linii i zatrzymał się. Z drugiej strony, po przekątnej przeszedł reprezentant Planety i stanął przed nim; dwa Księżyce zrobiły swoje trzy zygzaki i zajęły pozycje po bokach, a dwa Meteory skoczyły do przodu mijając pole zajmowane przez własnego gracza — żeby przestraszyć Altaira po prawej i Betelgezy po lewej. Komety stały w defensywie. Manewr był klasyczny, tworzył silną linię obrony. Syrianie ruszyli agresywnie, ale niezbyt daleko — jeszcze nie wiedzieli, kto będzie ich przeciwnikiem.

Zaczęli równocześnie. Altarianie runęli na środek boiska i

stanęli. Planeta Betelgeza złapał haczyk i po skosie wszedł na to samo pole. Gwiazdy przesunęły się do przodu. Planeta zauważył atak od biodra i odrzucił przeciwnika, który przegrałby automatycznie, gdyby przekroczył krawędź pola. Ale kolejny przeciwnik zmienił kierunek, zawrócił na pięcie, złapał Planetę za kostkę i pchnął. Planeta złapał go za ramię. Obaj się zachwiali, ale żaden nie upadł. Rozdzielili się, rozważyli sytuację i wycofali na wcześniejsze pozycje. Nagle Planeta upadł na sprężystą nawierzchnię, na plecach miał Gwiazdę, który przyspilił go do murawy. Rozdzielili się, wstali i ukłonili. Planeta odpadł z gry. Natychmiast przybył Księżyc Syriusza. Zajął pozycję.

Walki wybuchały wszędzie. Nie była to jednak bezładna bijatyka. Gracz widział całą scenę na ekranie nad głową, decydował, jaki ruch najlepiej przysłuży się drużynie i próbował go wykonać i zwyciężyć.

— O, Kometa Mikel wciąż się guzdrze? — powiedział Arkezhan. — Czeka, żeby rywale wykończyli się nawzajem? — mlasnął językiem. — Brak mu waleczności i z pewnością nie przysparza chwały drużynie, ale może chce sprawić, żeby jego indywidualny występ wydał się lepszy.

— Planuje... — Wei przerwał. Nie powinien się więcej odzywać.

Po kilku minutach Mikel ruszył dwa pola w bok i jedno do przodu, potem jedno w bok i dwa do przodu. Doprowadziło go to do Księżyca Altaira. Zwarli się. Zwyciężył. Księżyc się wycofał.

Mikel zatrzymał się i popatrzył w górę. Miał przewagę nad Kometą Betelgeze, co było dla niego optymalną taktyką — kiedy Meteor Betelgeze zaatakował go z zaskoczenia. W razie

osiągnięcia brzegu pola Meteory mogły przechodzić na jego drugą stronę i kontynuować walkę stamtąd, jakby te dwie strony przylegały do siebie. Musieli jednak poruszać się po prostych i w przeciwieństwie do Gwiazd nie przekraczać więcej niż sześciu pól, zanim się zatrzymają.

Mikel nie silił się na uprzejmości. Zwarli się niezgrabnie. Meteor upadł, jednak tylko na pośladki. Mikel przykucnął i przycisnął jego ramiona do ziemi. Odstąpił i oddalił się. W tym czasie sytuacja na boisku zmieniła się i jego pomysł był bezużyteczny.

— Kiepska, kiepska forma — powiedział Arkezhan. — Odliczyć punkty jego drużynie.

— Mój panie — zaprotestował Ibram — akcja nie była może bardzo elegancka, jednak nie dopatrzyłem się w niej żadnego uchybienia.

— Ani ja — dołączyła się Malena.

Jon nie odezwał się, patrzył z uwagą na innych graczy.

— Nie zauważyliście, że zaatakował bykiem i nie wiedział, co zrobić z rękami? — zareplikował Arkezhan. — Powiedziałem, odliczyć punkty. Trzy.

Każdy punkt liczył się jako utrata człowieka, a to mogło wcześniej wyłączyć Syrian z gry. Zapis pokazałby, że to wina Mikela Belova.

Najwyżej jeden, mój panie — spierała się Malena. — Kilka akcji zostało przeprowadzonych perfekcyjnie.

— Trzy.

Nikt nie zaprotestował. Mimo wszystko Arkezhan był Głównym Organizatorem; reszta musiała ogarnąć wiele innych

rzeczy; a kary punktowe, częste w tego typu rozgrywkach, unieważniały się nawzajem w ramach tego, jak rozkładały się w rywalizujących grupach.

Wei mocno zacisnął wargi.

Rozgrywka toczyła się dalej. Widzowie krzyczeli, powiewali chustami i flagami, podrywali się z ławek, dopingowali swoich idoli.

— Cóż za okazję stracił nasz Mikel Belov — powiedział Arkezhan po kilku minutach. — Gdyby dostał się do Planety Altaira, Kometa Betelgeze mógłby zostać zaatakowany przez Gwiazdę Atlaira. Niezależnie od wyniku, mielibyśmy o jednego zawodnika Altaira mniej.

— Tak — przyznał Ibram. — Łatwo nam mówić, widzimy wszystko z góry. Ktoś w środku gry nie jest w stanie ogarnąć wszystkiego.

— Kompetentni gracze radzą sobie z tym. Oczywiście możliwe, że nasz dzielny, mały Kometa nie zdecyduje się na spotkanie z Planetą — wygląda dość onieśmielająco.

Malena popatrzyła w przeglądarkę.

— Mój panie, wydajesz się zdeterminowany, aby śledzić poczynania tego właśnie gracza — powiedziała. — Mamy wielu innych, ich też powinniśmy uważnie obserwować.

— Oczywiście. Nie podważałbym waszych decyzji, moja pani i moi panowie. Jednak musicie się zgodzić, iż niektórzy gracze wymagają staranniejszej obserwacji. Dla dobra gry.

— Mój panie, nie wydaje mi się, żeby Mikel Belov do nich należał.

Arkezhan wzruszył ramionami.

— Cóż, moja pani, możesz mieć rację. Znasz tę rodzinę Od dawna, zgadza się? Od bardzo dawna i z bliska.

Malena zeszywniała.

— Panie, jeśli pozwolisz — powiedział Jon lodowatym tonem.

Arkezhan uniósł dłonie.

— Och, nie, nie! Nigdy nie ośmieliłbym się sugerować, ani przez moment nie brałbym pod uwagę, że pani, lub któryś z panów mogliby przyjąć propozycję Ojca któregośkolwiek z graczy.

Wei zadygotał. Regent siedział nieporuszony. Organizatorzy nie mogli zareagować, ponieważ gra stała się szybsza i bardziej złożona.

Nagle Arkezhan podniósł wzrok znad przeglądarki.

— Faul, faul! — zawołał.

— Co takiego? — głowy pozostałych zwróciły się w jego stronę.

— Nie widzieliście tego? Mikel Belov złapał Księżyc Altaira za pachwinę.

Palce Wei zaciśnięte na podłokietnikach pobieleły.

Malena zapomniała o uprzejmości.

— Nie złapał.

— Moja pani, czy go obserwowowałaś? — odparł Arkezhan. — Musisz śledzić całe boisko. Ja zdecydowałem się skupić na zawodniku, który wzbudza moje podejrzenia.

Wei uniósł się na fotelu.

— Mój pan, Główny Organizator, przypuszczalnie się pomylił, co może się zdarzyć każdemu. Jeśli nalega, powtórzmy to spotkanie na zwolnionych obrotach — powiedział pośpiesznie Ibram.

Arkezhan uśmiechnął się.

— Nie ma potrzeby, mój panie. Przyjmę wasz osąd. Być może się pomyliłem. Być może w podekscytowaniu uznałem intencję za czyn.

Wei wstał z fotela. Jego twarz była biała.

— Panie — powiedział powoli — ufam, że ta uwaga była nieumyślna, więc odwołasz ją i złożysz przeprosiny.

Organizatorzy zgodnie ze swoimi obowiązkami śledzili sytuację na boisku.

— Wasza Światłość słyszał... — rzuciła Malena i przerwała, zażenowana.

Regent siedział bez ruchu. Arkezhan uśmiechnął się.

— Ależ mój panie, nic się nie stało, nie dopatrzono się żadnego faulu. Jesteśmy, jacy jesteśmy. Ten chłopiec najwyraźniej nie zdecydował się na to, żeby coś zrobić z cechami odziedziczonymi, powiedzmy, po matce.

Wei zrobił krok naprzód. Zaciśnął pięści i uderzył. Organizatorzy westchnęli. Tłum zawył, jakby także to widział.

Arkezhan zbadał swój stan. Z nosa ciekła mu krew. Uśmiechnął się krzywo.

8

Ziemie, za które odpowiadał Klan Belov leżały w pobliżu północnej granicy Tahalla. Dalej leżały wzgórza i doliny Arabiyah, wiatr szumiał tam w połaciach wysokich traw, głaskał paprocie i wzdychał pośród liści, strumienie wpadały do

lśniących jezior, wielkie stada zwierząt pasły się na żyznych pastwiskach, a stada ptaków rzucały cień jak chmury — jednak lud Zayan bardzo różnił się od ludzi z Tahalla. Tak jak różniły się do siebie wszystkie ludy na Ziemi.

Wei zostawił samochód u stóp wzgórza i wspiął się na szczyt. Stamtąd miał znacznie lepszy widok. W dali przechadzały się żyrafy, lirorogi i cheirozaury ignorując dumne lwy przeciągające się sennie na grani. Pomachał do nich impulsywnie. Proces reintrodukcji rzadkich gatunków, odtworzenie tych, które wyginęły i stworzenie zupełnie nowych, Odbył się jeszcze przed jego urodzeniem. Tak często doświadczał tego w rzeczywistości wirtualnej, że miał wrażenie, jakby tam był i miał swój udział w powstrzymaniu Lodu. To dodawało głębi codziennej pracy na rzecz ekologii, było to jego głównym zajęciem i wykonywał je z pasją.

Znalazł ustronne miejsce. Nieduże wzniesienie na zachodnim horyzoncie w istocie było kopułą całkowicie zrobotyzowanego centrum produkcji pożywienia. Z kotliny, kilka kilometrów dalej, unosiła się i natychmiast znikła smuga dymu. Pewnie obozują tam jacyś turyści. Przypomnieli sobie epokę kamienną, o której dawno zapomnieli jako gatunek, ale pamiętały ją ich geny.

Naprężył mięśnie, rozluźnił je, znów naprężył, jakby chciał pokonać grawitację. Czul na twarzy ciepło słońca, w nozdrzach pachnące, łagodne powietrze. Nie znajdzie na Ziemi lekarstwa na upokorzenie i smutek, zresztą jako człowiek honoru, nawet nie próbowałby ich zdławić za pomocą pigułki. Ziemia sama w sobie była łagodzącym balsamem.

Wybrał to wzgórze ze względu na porastający je gaj

eukaliptusowy, jak ekran na tle nieba. Nie chciał, aby satelity badawcze przemykające nad głową zarejestrowały te intymne chwile. Drzewa rzucały chłodny i cętkowany cień, w powietrzu unosił się ostry zapach eukaliptusa, liście zdawały się szeptać słowa pożegnania.

Nikomui nie powiedział, dokąd się wybiera, powiedział tylko, że chce pobyć sam. „Rozumiem”, odpowiedziała jego pani. Podejrzewał, że wszystko zrozumiała, a jej spokój był ostatnim darem.

Przepraszam, Lissa, przepraszam Mikel, pomyślał. Nie ma lepszego sposobu odzyskania dumy. Możecie żyć spokojnie.

Wyciągnął pistolet. W środku tkwił jeden pocisk.

Ostrożnie przyłożył lufę do skroni. Jak zimny pocałunek, pomyślał. Huknął strzał. Szybujący wysoko padlinożerca zaczął opadać ku ziemi długimi, powolnymi spiralami.

9

Sesil Hance zajmowała dom na przedmieściach Roumek. Budynek zdobny w kolumnady i wysmukłe wieżyczki z pewnością niegdyś należał do większej niż współczesne rodziny, ale za to był łatwy do zaadaptowania dla wszelkich rozrywek.

Z okien sączył się w noc łagodny blask. Cicho grała muzyka, którą dom niedawno skomponował. Dołączył do niego najbliższy sąsiad, stojący trzydzieści metrów dalej. Poza tym ulica była cicha i pusta, nie licząc robota ogrodniczego pracującego przy

kwietniku.

Główne drzwi znały Mikela Belova, więc otworzyły się przed nim. Wszedł do poczekalni. Ściany pomieszczenia pokrywał mahoń, sufit wykonano z masy perłowej, podłogę zaścielał żywy dywan. W postaci pełnowymiarowego hologramu pojawiło się przed nim dwoje ludzi, starszy mężczyzna i kobieta. Przyzwoitość zabraniała dziewczynie z klanu przyjmować mężczyznę. Rodzice Sesil woleli swoją wiejską posiadłość. Dla córki przygotowali dwa wirtualne samych siebie, mówiące i zachowujące się jak oni i rejestrujące wszystko, co zaobserwują sensory. Powiedziała mu, że jej ufają i nigdy nie zaglądną do danych. To po prostu kwestia zachowania reputacji.

Uklonił się.

— Bądź pozdrowiony, Mikelu Belovie — powiedział formalnie obraz Yusufa Hance. Podobnie przywitał go obraz jego żony.

— Witaj — powiedziała Fiora Hance.

— Dziękuję, mój panie i pani — odparł. Sesil pojawiła się w korytarzu. Miała na sobie obcisłą, czarną suknię migoczącą gwiazdzistymi punktami. Zatrzymała się. Uniosła dłoń do ust. — Och — westchnęła.

Oczy, błyszczące jak materiał sukni, rozszerzyły się.

— Ty. Miałam wielką nadzieję... Wejdz, wejdz proszę.

Byli bliscy zaręczyn. Powstrzymał się przed dodaniem „moja pani”. Spojrzała w ziemię. Długie rzęsy rzucały cień na delikatną twarz.

— Nie. To tylko... teraz... tragedia, która cię spotkała... ty teraz będziesz Kapitanem Belov.

— Jeśli mnie wybiorą. To musi trochę potrwać — poczuł fale

bólu. — Sesil, dlaczego nie miałem od ciebie żadnych wieści?

Machnęła ręką w stronę szafki z projektorem holo. Znów pojawiły się simulacra jej rodziców. Przedtem rzadko to robiła — młodzi ludzie woleli żyć samodzielnie. Czy potrzebowała pomocy? Mikel powtórzył swoje pytanie.

— Mój panie, wiesz, dlaczego — odpowiedział mu Yusuf.

Sesil splótła palce.

— Ja... ja... — wyjąkała. — Chciałam, ale... — zamilkła.

Skończył za nią.

— Ale mój ojciec dopuścił się aktu przemocy wobec swojego towarzysza i to w obecności jego Światłości. To plama na honorze całego klanu.

— To było takie niesprawiedliwe! — zawołała.

Mikel zwrócił się do obrazów.

— Dlatego wy — miał na myśli prawdziwych ludzi — nigdy nie będziecie robić interesów z Belowami.

Yusuf nie odpowiedział.

— Mój drogi, bądźmy szczerzy — powiedziała Fiora. Zamigotały analogowe łzy. — Nie ośmielimy się.

Tak, pomyślał Mikel, zbyt wielu członków klanu Hance czuje, że to plami także ich reputację.

— Doskonale rozumiem, mój panie i pani — powiedział. — Ze swojej strony nie chcę stawiać was w kłopotliwej sytuacji.

Sesil uniosła głowę i skrzyżowała drobne ramiona.

— Ale wasz honor został oczyszczony — powiedziała. Nie była już taka sztywna. — Miałam... miałam nadzieję... — przełknęła. — Tak, płakałam za tobą, za nim, ale teraz...

Mikel Skinął głową.

— Cóż, mogłem przyjść wcześniej. — Nie próbował się usprawiedliwiać. — Moja matka i ja byliśmy zajęci.

— Oczywiście — głos Sesił był ledwie słyszalny. — A ja... nie chciałam... się wtrącać. Czekałam. A teraz jesteś tutaj.

Wyciągnęła ku niemu rękę.

Przerwał im głos Yusufa. Opuściła ramiona.

— Z całym szacunkiem mój panie, to okrutny sposób załatwiania spraw. Mógł przecież udać się na wygnanie.

Mikel zacisnął pięści.

— I żyć pomiędzy obcymi jak pozbawiony przyjaciół wyrzutek?

— Komunikacja... teleobecność...

— To tylko pogorszyłoby jego samopoczucie. Codziennie mielibyśmy świadomość jego stanu. Nie, mój ojciec zrobił to, co — według niego — było czystym i ostatecznym rozwiązaniem.

Yusuf przemilczał to i odpowiedział łagodnie.

— Zdecydował się na wielką pokutę. Tak możemy to podsumować.

Odezwała się Fiora.

— My także będziemy oddawać honory jego imieniu, w każdy Dzień Pamięci.

Mikel potrząsnął głową.

— Jak sobie życzysz, moja pani, i dziękuję ci za tę wspaniałomyślność. Ale to jeszcze nie koniec. Nie zgadzam się z tym, jakoby mój ojciec musiał za cokolwiek pokutować.

Znów popatrzył na Sesił.

— Przyszedłem się pożegnać.

Zadrżała.

Co takiego?

Mój ojciec został haniebnie sprowokowany. Świadkowie to potwierdzają. Regent z pewnością był tego świadom. Powinien był zareagować w odpowiednim czasie, usprawiedliwić go, wybaczyć pogwałcenie godności jego Światłości i upomnieć Arkezhana Socorro. Nie zrobił tego.

— Co masz na myśli? — przełknęła Sesil.

— Co mam na myśli? Regent powinien ogłosić rehabilitację oraz wybaczenie i wskazać jednocześnie, kto w istocie się zhańbił — oświadczył Mikel.

Twarz Yusufa była pozbawiona wyrazu.

— A jak zamierzasz do tego doprowadzić? — zapytał cicho. — Wielu ludzi pójdzie za mną, mój panie. Niech to ci wystarczy.

— Przemoc? Nie!

Sesil gwałtownie złapała go za rękę, niechcący zadrapała ją paznokciem.

— Nie, błagam cię.

Chcesz znowu splamić honor swojego klanu? — pytał fantom Fiory.

— Oczywiście, że nie — odparł zimno Mikel. — Studiowałem historyczne bazy danych. Istnieje precedens.

Pogrzebany — zaprotestował Yusuf. — Zasadniczo zapomniany.

Sam przeprowadził pośpieszne poszukiwania.

— Tak, możesz przywołać najróżniejsze wydarzenia Rebelii Oceanicznej i późniejszych zawirowań. Ale to było dawno temu.

Dla całych pokoleń to tylko opowieści i pieśni. Precedens, który wtedy ustanowiono, nigdy nie został obalony.

— Ponieważ nikt nigdy nawet sobie nie wyobrażał mulacrum zamilkło.

— Mój lordzie i moje panie, powiedziałem wam o tym w zaufaniu, jako gość w waszym domu — przypomniał Mikel.

Obraz Fiory skrzywił się.

— To było zbyteczne.

— Oczywiście, że dochowamy tajemnicy, dopóki nas z niej nie zwolnisz. Zatem ta dyskusja jest bezcelowa — oświadczył surowo Yusuf.

Sesil puściła rękę Mikela. Odsunęła się.

— Ty... stałeś się obcy. Nie wiedziałam, że mógłbyś myśleć o czymś takim.

— Żałuję, ale taka jest konieczność — powiedział.

— I nazywasz to koniecznością... och, okropne...

Mikel się skłonił.

— Do widzenia, mój lordzie, moje panie. Wyszedł na ulicę.



Posiadłość kapitana klanu Socorro była otoczona przepięknym ogrodem. Skutecznie skrywał ją przed niepowołanym wzrokiem. Siłą rzeczy, dwunastu ludzi zbliżających się od strony łąki także było niewidocznych, chyba że ktoś przypadkiem wyszedłby ich obecność. Wówczas i tak wzbudziłiby raczej ciekawość, niż strach. Ubrani jak spacerowicze, bez widocznych emblematów, wyglądali jak przypadkowi turyści, może myśliwi cieszący się kilkoma dniami pod gołym niebem. Tacy ludzie w sposób

naturalny podeszliby bliżej, aby podziwiać ogród z nadzieją na zaproszenie do obejrzenia domu.

Olver wyciągnął z kieszeni biodetektor i zerknął na niego.

— Dwie osoby dokładnie na wprost — powiedział.

Mikel kiwnął głową.

— Należało się tego spodziewać — odparł niepotrzebnie.

Wszyscy byli spięci. Słońce błyszczało na ich spoconych ramionach. Wiatr wydawał się silniejszy i chłodniejszy, a szelest liści nad głowami głośniejszy niż w rzeczywistości.

Mimo to grupka mężczyzn stała spokojnie. Sprawdzali, planowali i powtarzali plan; byli ludźmi z Klanu Belov. Odżyły w nich stare historie.

Ich oczom ukazała się ściana bambusów.

— Ruszajcie — powiedział cichym głosem Mikel. — Czterech na prawo, czterech na lewo, ja kryję flanki.

Trzech mężczyzn ruszyło z nim prosto przez żywopłot.

W ogrodzie promienie słońca sączyły się migotliwie przez korony drzew, wiły się serpentyny egzotycznych pnączy, migotały perłowe krzewy, majestatyczny dąb rozpościerał swoje konary, księżycowe kwiaty przechodziły od fazy do fazy, kręta ścieżka prowadziła przez nieskończoną różnorodność. Niemal za każdym zakrętem czekała jakaś niespodzianka — tańcząca rzeźba, sadzawka kolorowej mgiełki, starannie ułożone głązy, cudna, miniaturowa antylopa, która zaraz zniknęła w gąszczu liści. Kilkanaście gatunków ptaków prześcigało się w trelach. Obezwładniające wonie, słodkie, dymne, ostre, a czasem lekko oszłamniające, uzupełniały sielankowy obraz.

Przy mostku wyginającym się nad potokiem stali mężczyzna i

kobieta, być może zachwycali się tym miejscem i sobą nawzajem. Ich oczy rozszerzyły się w zdumieniu, gdy zobaczyli intruzów z pistoletami w pogotowiu. Zanim ktokolwiek zdążył krzyknąć, kobieta upadła na ziemię. Pozostanie nieprzytomna tylko przez godzinę, ale leżąc na ziemi w swoich powłóczyстых szatach wyglądała żałośnie, jak sterta łachmanów.

Mężczyzna, wysoki i potężny, także upadł, ale to był podstęp — strzał przeznaczony dla niego chybił. Mężczyzna poderwał się na nogi. Skoczył za wierzbę płaczącą i stamtąd w gęstwinę. Usłyszeli jego krzyk.

— Belov! Znam cię!

Ludzie Mikela popatrzyli po sobie.

— Ja też go znam — powiedział Olver. — To Dammas, bratanek Arkezhana. Widziałem, jak ujeżdża konie i siłuje się z bykami.

— Miał szczęście — mruknął Teng.

— Szybciej — ponaglił Mikel. — Równie dobrze może się nim zająć drużyna Vahiego.

Mostek zadudnił pod ich stopami. Park ustąpił miejsca trawnikowi. Ich oczom ukazał się dom. Pawie w ogrodzie skrzeczały i krzyczały w panice. Z zarośli wypadła reszta grupy. Podeszli z obu stron i ruszyli biegiem w stronę domu.

Wpadli na ganek. Główne drzwi nabrały podejrzeń i stawiały opór. Mikel był na to przygotowany. PO wiekach Wielkiego Pokoju nikt nie liczył się z napadem. Mikel wyjął pistolet i starannie wycelował. Rozległ się huk, komputer sterujący drzwiami wyłączył się i drzwi stanęły otworem. Napastnicy wbiegli do środka.

Biegli po wypolerowanym marmurze. Pod przezroczystą podłogą pływały ryby. W górę prowadziła rampa. Służba zwabiona hałasem pojawiła się na moment i zaraz zniknęła. Na miejscu pozostał mężczyzna ze śniadą twarzą.

Vahi i Turlan podeszli i złapali go za ramiona.

— Gdzie jest Arkezhan Socorro? — zapytał Mikel.

— Co takiego?

Mężczyzna zauważył małe insygnia na piersiach intruzów.

— Belovowie! Wszyscy! Co to za napaść?

— Domagamy się rozmowy z Kapitanem Arkezhanem. Wiemy, że jest w domu. Jeśli go przeszukamy, będą kłopoty — poniszczone pamiątki po przodkach, ktoś nawet może zginąć. Więc powiedz nam dobrowolnie, gdzie jest Arkezhan.

— On... on chyba wyjechał...

Mikel uśmiechnął się szyderczo.

— Chcesz powiedzieć, że szlachetny kapitan porzucił swoich ludzi w godzinie niebezpieczeństwa?

Mężczyzna drżał.

— Nigdy! Ostatnio... ostatnio widziałem go w... Pokoju Zimowym — wyrzucił z siebie.

— To prawdopodobne — powiedział Teng. — On zdaje się często latać na daleką Północ?

— Twierdzi, że to go inspiruje — warknął Olver. — Ciekawe, do jakiej głupoty tym razem?

Lojalność towarzyszy, ich gniew i własne rozgorączkowanie podziałały na Mikela jak afrodyzjak. Zastanawiał się, czy wszyscy członkowie klanu pójdą za nim jak garstka tych, których wezwał. Ilu z nich uważa, że klan to coś więcej, niż związki rodzinne i

rytuały? Podobnie myśleli zapewne członkowie klanu Socorro. Lepiej więc wykorzystać zaskoczenie i zyskaną przewagę.

— Chodźmy — powiedział.

Puścili zakładnika przodem. Dom był dobrze wszystkim znany, i to od pokoleń; rozkład pomieszczeń nie był tajemnicą. W długich korytarzach i przestronnych pokojach panował spokój. Mikel pomyślał przelotnie, czy dom kiedykolwiek tęsknił za dniami wypełnionymi życiem i gwarem, za tupotem dziecięcych stóp na schodach? Właśnie, dzieci! Miał nadzieję, że dawno zostały stąd wyprowadzone, o ile w ogóle tu były. Na ich drodze stanęło dwóch mężczyzn z butelkami wina w rękach — tylko taką broń znaleźli. Stali samotnie w ostatnim korytarzu broniąc dostępu do pomieszczenia za plecami. Położyły ich dwa strzały ogłuszające. Intruzi bez przeszkód wtargnęli do pokoju.

W pokoju było zimno, w symulacji regionu arktycznego z czapą polarną panował prawdziwy chłód. Był tam lodowiec, pole śniegu i błękitnobiałe, polśniewające srebrem morze pokryte krą. Zimna sceneria sprawiała, że Arkezhan wydawał się drobny i kruchy. Owinięty w obszytą futrem szatę stał przez wielofunkcyjnym terminalem. Szafka z urządzeniem miała kryształowy blat i była absurdalnie duża. Wykonano ją z hebanu inkrustowanego złotem. Zawsze był próżny, pomyślał Mikel. Gdybym tylko mógł go rozsmarować po tych ekranach jak uprzykrzoną muchę. Czy Arkezhan zadrżał pod swoim grubym płaszczem? Jego głos z pewnością był nieco piskliwy.

— Co wy wyprawiacie? Oszaleliście? Czy to jakiś niedorzeczny figiel? Wynoście się stąd! I to już!

— Przedtem zakończymy nasze sprawy — odparł Mikel

przełykając kulę nienawiści, którą czuł w gardle.

— Jakie sprawy? Wasz własny upadek? Czy macie świadomość...

— Uspokój się.

— Nie. Ty... podżegaczu...

Mikel złapał go za ramiona i potrząsnął, aż zagrzechotały mu zęby.

— Uspokój się i słuchaj.

Arkezhan gapił się na młodego, silnego mężczyznę i stojących za nim ludzi.

— Siadaj. Tutaj.

Mikel pchnął go w stronę krzesła stojącego kilka metrów dalej. Mężczyźni zajęli pozycje, dwóch z nich stanęło przy terminalu. Vahi zabrał się za monitorowanie domu. Olver zajął się zewnętrznymi wizjerami i pilnował sytuacji poza budynkiem. Od czasu do czasu powiększał obraz, aby się czemuś przyjrzeć.

Mikel wysyczał z nienawiścią:

— Wiesz doskonale, dlaczego tu jesteśmy. Z premedytacją sprowokowałeś mojego ojca Wei, Kapitana Belov. Nie miał wyboru i musiał ratować własny honor oraz honor swojej rodziny.

Arkezhan zebrał się w sobie.

— Nonsens. Skoro był tak nierozsądny, żeby kilka uwag uznać za zniewagę, mógł złożyć skargę. Zachował się wysoce niehonorowo, i to w Obecności Regenta.

— Nie powtórzyłby twoich podłych słów przez sądem.

Mikel wiedział, że przesadza. Ojciec stracił panowanie nad sobą. Jednak został obrażony ponad wytrzymałość dumnego

człowieka. Był ojcem i kapitanem klanu.

— Cóż, mógł złożyć skargę na miejscu — stwierdził Arkezhan.

— Regent skierowałby sprawę do Głównego Prawodawcy.

Jeśli Regent po prostu nie oddaliłby jej bez zastanowienia. Musiał słyszeć, co się działo i nie powiedział ani słowa. W wyniku czego ucałowałbyś jak zwykle dłoń... Mahu Rahmana, i w najgorszym razie zostałabyś pouczony.

Arkezhan poczerwieniał i zaczął się podnosić z krzesła.

— Teraz ty obrażasz mój honor. — Mikel uniósł dłoń i lord znów usiadł. — TO jest niedopuszczalne. Wniosem oskarżenie kryminalne przeciwko tobie i twojej bandzie.

Mikel potrząsnął głową.

Nie. Przyznasz się do winy bezpośrednio przed Regentem. On to ogłosi, oczyszczając pamięć mego ojca. Arkezhan sapnął.

— Masz czelność... włamałeś się do mego domu, sterroryzowałeś moich ludzi...

— W Świetle okoliczności łagodzących i twojej naglącej prośby Regent publicznie uzna, że z naszej strony nie było żadnej obrazy. Zaznaczy także, że honor Klanu Belov pozostał nienaruszony.

— Jak to sobie wyobrażasz?

Mikel wzruszył ramionami i uśmiechnął się nieznacznie.

Powiedziałbym, że Główny Prawodawca go przekona. Ale jeśli się tak nie stanie, zabijemy cię.

Arkezhan gapił się na nich osłupiały.

— Wtedy ogłosimy prawdę całemu światu — ciągnął Mikel. — A następnie, oczywiście, sami umrzemy — ale wolni. Opowieść zaś będzie żyła dalej.

— Ku pohańbieniu waszego klanu — powiedział zapalczywie Arkezhan.

— Och, nie. Myślisz, że o tym nie pomyślałem? Takie same okoliczności niegdyś uznawano za chwalebne. Nasza śmierć je odkupi, tak jak zrobiła to śmierć mojego ojca, choć nie był niczemu winien. Belowowie będą nas wspominać z dumą. Cała Tahalla również. Teraz mi powiedz, w jaki sposób Klan Socorro kiedykolwiek pozbędzie się niesławy?

Arkezhan siedział oniemiały.

— Dobrze przysłużysz się swoim ludziom, jeśli jako kapitan zrobisz to, o co prosimy — powiedział. — Regent z pewnością cię usprawiedliwi, o ile przyznasz się do błędu. To powinno wystarczyć.

Nas jednak z pewnością nigdy nie usprawiedliwi. Zawsze będziemy żyć w obawie przed zemstą. Zachęć każdego Belova, aby trzymał w domu broń i ćwiczył.

— Pomyśl o tym — powiedział Mikel. — I nie ociągaj się.

— O, nie — zawołał Olver. — Popatrz.

Mikel podszedł do ekranów. Do ogrodu nadciągali ludzie. Olver powiększył obraz. Szli w luźnym szyku, nieporządnie, ale poruszali się zdecydowanie i byli uzbrojeni w broń myśliwską. Skan z powietrza wykazał, że zbliżają się też dwa samochody.

— To Dammas — uznał Olver. — Też Socorro, ale prawdziwy mężczyzna. Zebrał tych, którzy uciekli z domu, dał im broń i posłał po pomoc do innych domów.

Ludzie Mikela sięgnęli po broń. Niektórzy klęli. Mikel poczuł się nagle osamotniony. Czy tak czuli się dawni żołnierze?, zastanawiał się. Odwrócił się do swojego jeńca.

— Możesz zapobiec bitwie — powiedział. — Każ im się wycofać.

— Ja... nie wiem, czy to jeszcze możliwe. — Arkezhan podniósł się. Uniósł głowę, głos miał już spokojniejszy. — Ani czy powinienem.

Mikel pomyślał, że gdyby to zrobił, jego przywództwo już zawsze byłoby tylko frazesem.

— Może tylko chcą nas tu przetrzymać — powiedział Vahi.

— Dopóki nie dowie się o tym Regent, o ile jeszcze nie wie, i nie przyśle posiłków — Odparł Olver.

Jeśli Główny Prawodawca poważy się na to, pomyślał Mikel. Nie jest zbyt popularny w większości klanów. Musi wiedzieć, że narobiłby sobie wrogów. Częściowo na to właśnie liczymy. Ale w każdym przypadku będziemy mieć przeciwko sobie znacznie większe siły.

Arkezhan uspokoił się.

— Moi ludzie nie będą tolerować takiego upokorzenia — powiedział. — I z całą pewnością, po mojej śmierci będą walczyć o sprawiedliwość. Tak jak i wy, mogą powołać się na przykłady z historii, i to bardziej odpowiednie. Ustąpcie, a być może wynegocjuję dla was bezpieczne wyjście z tej pułapki, w którą sami się wpakowaliście. Mikel westchnął.

— To niemożliwe. Czy masz dość honoru by to zrozumieć?

Będziemy walczyć i nikt nie weźmie nas żywcem. Wyciągnął lśniący pistolet z kabury.

— A w każdym razie nikt z was.

— Nie — rozległ się czyjś głos.

Głos nie dobył się z żadnego gardła, ani z maszyny. Może Ściany domu nim wibrowały? Ludzie na zewnątrz także musieli go usłyszeć, bo zatrzymali się.

Głęboki kontralt zabrzmiał spokojnie i stanowczo.

— Zaniechajcie.

Cała broń zniknęła.

Ludzie na trawniku stali jak rażeni gromem, albo padali na kolana. Trzech ludzi z krzykiem uciekło w gąszcz ogrodu. Samochody zatrzymały się i uniosły w powietrze. Arkezhan w Pokoju Zimowym znów opadł na krzesło. Ludzie Mikela wpatrywali się w swoje puste ręce albo rozglądali się z osłupieniem.

— Zamierzaliście dopuścić się nie tylko awantury, ale morderstwa — powiedział głos. — Złamalibyście Pakt Pokojowy.

Światowe Przewodnictwo przemówiło, pomyślał Mikel. Mimo zamieszania, jakaś część jego umysłu zastanawiała się, ile uwagi tej okazji i tej chwili, poświęci centralna inteligencja Układu Słonecznego.

— Sądziście, że wasze działania nie są obserwowane?

Maszyny, roboty, wszystkie niepojęte urządzenia komunikacyjne, obliczeniowe i informacyjne, uświadomił sobie Mikel. I satelity, i niewiarygodnie małe latające czujniki, wszystko w służbie ludzi i życia, dlatego ich działania i decyzje akceptuje bez zadawania zbędnych pytań niemal każdy człowiek.

— Wasze prawa, zwyczaje i Świadomość chroniły dotąd wasz naród. Ceremonie, rytuały, rywalizacja o status i przyjemności absorbowwały waszą uwagę. Teraz jednak ta sama tradycja wiedzie was ku dawnej przemocy. Zostawiona samej sobie będzie płonąć mocnym ogniem z pokolenia na pokolenie, rozpali urazy, ślepą nienawiść i wojny pochłaniające miliony istnień. To musi się skończyć.

Głos odrobinę złagodniał.

— Spokojnie. To nie pierwszy kraj, w którym znów pojawiło się zagrożenie i z całą pewnością nie ostatni. Płomień zawsze był tłumiony. I tak też stanie się tutaj. Napastnicy udadzą się do swoich domów. Nie spadnie na nich żadna kara, jawnie ani skrycie, a ich ludzie mogą się czuć oczyszczeni z zarzutów, jeśli taka jest ich wola; na nikogo nie spadnie zemsta — nigdy, ani za życia waszego, ani waszych następców. Idźcie w pokój. Trwajcie w pokoju.

Nikt nie potrzebował dodatkowych poleceń.

Głos umilkł. Mężczyźni powoli zaczęli unosić wzrok.

Z nagłym przerażeniem, ale i z ulgą i pewną rezygnacją Mikel pomyślał: Teraz znamy swoją przyszłość.

VIII

Nadszedł dzień, gdy mężczyzna, niegdyś znany jako Christian Brannock poprosił o koniec. Podejrzał, że to już się zdarzało, i z pewnością znów się zdarzy w ciągu najbliższych wieków i lat świetlnych. Nie wiedział, ile kopii powołano do istnienia. We wspomnieniach tego konkretnego egzemplarza zachowały się tylko cztery takie narodziny. W każdym przypadku inteligencja chciała opuścić miejsce, w którym znalazł się Brannock. Badając galaktykę zatrzymała się tutaj, szukając właściwych warunków do założenia nowego przyczółka. Inteligencja potrzebowała pomocników o różnych możliwościach, mniej związanych z ciałem — ciało można zaprojektować i stworzyć z myślą o konkretnym celu — chodziło bardziej o umysł, o ducha. Brannock przerastał rodzaj ludzki. Jednak praktycznie nie mógł dołączyć do ekspedycji. Wciąż był potrzebny tam, gdzie był.

Nowy upload dał nowego Brannocka. Palił się, aby ruszać. Stary Brannock często obserwował odlot z zadumą. Został zaangażowany do fascynującego zadania. Chciał nowych wyzwań. Gdyby przestawały go fascynować, mógł się wyłączyć. Ostatecznie zawsze można go reaktywować, przebudzić do nowego przedsięwzięcia albo do kolejnej wyprawy.

„Stary” i „nowy” nie znaczyły jednak wiele. Zaraz po uploadzie wzorce informacji o jego podstawowym ja były zasadniczo

identyczne. Po osiągnięciu różnych celów, różne doświadczenia skutkowały różnymi zmianami. Jedna kopia mogła tylko zgadywać, co stało się z pozostałymi. Gdy jakimś cudem dochodziło do spotkania, byli sobie obcy.

Jednak „wiek” dla wszystkich miał swoje znaczenie. Funkcjonowali nie w krótkowiecznym, wrażliwym ciele, ale w przepływie molekuł i danych, w złożonych wymianach materii, nie znali pojęcia śmierci. Ale czas upływał także dla nich. Jako świadome istoty czuli to. Toteż zaczęli odczuwać znużenie.

Ten Brannock dzisiejszego poranka latał nad planetą bardzo odległą od Ziemi. Na jej niebie ziemskie słońce było niewidoczne pośród innych gwiazd. W tej chwili jej słońce na zielonkawym niebie było małe i oślepiające. Chmury o czerwonych obrzeżach dryfowały niesione wiatrem, którego człowiek nie mógłby wdychać, a tym bardziej przeżyć. Błyszczały tafle jezior. Rozgrzane powietrze drżało nad szczytami niewysokich wzgórz i porastającą je roślinnością. Gąszcz łądyg, trzepoczące membrany i gąbczaste wieżyczki uderzały purpurą, czerwienią, złotem i tysiącem pomieszanych cieni. Tu i ówdzie unosiły się roje maleńkich stworzonek. Światło na ich skrzydełkach rozbłyskiwało iskrami kolorów.

Dla Brannocka świat był samym pięknem. Nie przerażał go. Ani surowe skały, ani puste przestrzenie; tu było życie. Może prymitywne, ale to nie miało znaczenia we wszechświecie, w którym jakikolwiek przejaw życia był taką rzadkością, że zakrawało to na cud. Ziemia była cudowną studnią wiedzy, czerpała z niej Inteligencja, a z niej z kolei przez ostatnich siedemset lat czerpały inteligencje rozsiane po całej znanej

galaktyce. Do najbardziej oddalonych wieści nawet jeszcze nie dotarły; fotony były zbyt powolne.

A Brannock miał w tym swój udział: pomagał założyć pierwszą bazę; pomagał w budowie zakładów przemysłowych niezbędnych do jej utrzymania, rozbudowy i rozwoju; pomagał badać, klasyfikować, studiować, odkrywać. Jego wyprawy często były trudne, nawet niebezpieczne.

Cel został niemal osiągnięty, planeta niemal zbadana. Zostały tylko algorytmiczne badania, do których nie był potrzebny. Inteligencja Prime zwróciła swoją uwagę na inne sprawy. Kiedyś Brannock wspomniał o zapadnięciu w nieświadomość, gdy już nadejdzie ten czas. Chciał zaczekać, aż zostanie powołany do zbadania czegoś nowszego i bardziej cudownego. Ale sam czas skruszył tę chęć.

Ponieważ miała to być ostatnia podróż, chciał jej w pełni zasmakować. Zamiast komunikować się zdalnie z sensorami, wszedł w ciało materialne, które wybrał tylko ze względu na jego przeznaczenie. Ciało umiało latać. Za pośrednictwem jego czujników czuł moc, nadawał kurs, kontrolował napięcie powierzchni nośnych, prześlizgiwał się przez powietrze jak pływak przez wodę; słyszał i smakował jego zmienność; patrzył na szeroki horyzont albo powiększał Obraz, śledził najmniejsze Żyjące stworzenie o całe kilometry niżej. Lot był jego pożegnaniem z egzystencją.

Przeleciał nad brzegiem morza. W Świecie bez księżyca przyływy były słabe, ale wiatr gonił fale i zdmuchiwał z nich pianę. Woda była żółta od mikroobów. W zasięgu wzroku wznosiła się wyspa. Ruszył w jej stronę. Poczł przyływ

entuzjazmu, może coś takiego czuli dawni matematycy odkrywający nowe teorie. Serce dawnego Brannocka zapewne waliłoby szaleńczo i szybciej pulsowałaby krew. Ale wtedy był człowiekiem.

Do tego młodym człowiekiem... tak bardzo dawno temu.

I człowiekiem Zachodu, nie Wschodu. Czy nawet będąc starcem chciałby utraty siebie samego?

Cóż, pomyślał elektronicznym impulsem, spodziewałem się, że umierając stracę siebie i z pewnością tego uniknąłem. Moja decyzja z pewnością tego nie wymaże. TO będzie... nie wiem, jak to będzie. Skąd mam wiedzieć. Nie takim, jakim teraz jestem.

Wylądował, złożył skrzydła i ruszył naprzód.

Jego oczom ukazał się... nazwijmy go ogromnym, wielofasetowym klejnotem. Powiedzmy, że przemykały nad nim błyskawice i tęcze, odbijały się w nim, tańczyły wokół. Powietrze drżało i migotało, ziemia pomrukiwała od niewidocznej energii. Brannock odbierał więcej, niż człowiek, bo i czujniki w jego ciele były bardziej, niż ludzkie. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, jak wielu rzeczy nie rozumiał, były dla niego nieuchwytnie i niezrozumiałe: pola siłowe, obliczenia kwantowe, działania dalece wykraczające poza rzeczywistość.

Zauważył zmiany, które pojawiły się od ostatniej wizyty w tym miejscu. Nie był zaskoczony. Inteligencja w tym układzie gwiazdnym zawsze zmieniała samą siebie. I nie ona jedna. Inne inteligencje, w innych punktach galaktyki także pracowały nad zwiększeniem zasięgu swoich myśli. Poprzez lata świetlne pracowały wspólnie. Taka idea — o ile idea jest adekwatnym słowem — mogła zająć sto lat, tysiąc albo więcej, skoro

przemijanie nie robiło wielkiej różnicy. Miały czas, cierpliwość i ciągle rozrastającą się sieć innych odkryć i własnych myśli.

Brannock zatrzymał się. To, co wydarzyło się potem, według zewnętrznego zegara trwało kilka sekund. Stało się tak tylko ze względu na ograniczenia systemu — nazwijmy go mózgiem, jakkolwiek to nieporozumienie — który zamieszkiwał i podtrzymywał jego świadomość. Inteligencja Prime nie potrzebowała żadnych ceremonii, ani kultu. Wiedziała, że Brannock był w drodze i wiedziała dlaczego się tu znalazł. Komunikowali się niemal z prędkością światła. Jednak to zjawisko było zbyt abstrakcyjne, aby zdołał nadążyć za nim śmiertelny mózg. Przedstawmy to zatem jako dialog, w formie bardziej zrozumiałej, choć nieadekwatnej.

— Już wystarczająco długo egzystuję w takiej formie — powiedział Brannock.

— Jesteś nieszczęśliwy?

Nie do końca zabrzmiało to jak pytanie.

— Nie, i nie żałuję. Otwarto przede mną wszechświat, a on okazał się bardziej cudowny, niż mogłem sobie wymarzyć.

— Zaledwie zaczynasz to rozumieć.

— Tak, oczywiście. Gwiazdy rozsiane na obrzeżach jednej tylko galaktyki liczą się w miliardach. I wszędzie może istnieć Życie. Ale ja nie mogę tego wiedzieć. Już teraz przeżyłem więcej, niż potrafi przyswoić mój umysł. Większość moich wspomnień trafia do baz danych, jakby ich w ogóle nie było. Gdy zbieram nowe doświadczenia, muszę usuwać stare.

Och, jasne, jako człowiek zapominałem więcej, niż zapamiętywałem. Nie potrafiłem przywołać poszczególnych

zjawisk i rzeczy, a już na pewno nie w takiej formie, jak wyglądały naprawdę. Ale zawsze była, czy ja wiem... ciągłość. Mój upload pozwolił to zachować. Pozostały wczesne wspomnienia. Inne zmieniają się w niepowiązane ze sobą przebłyski. Między nimi są ogromne luki — jestem coraz dalej i dalej od tego. kim jestem. Od siebie.

— Osiągnąłeś granicę przyswajalności danych.

— Wiem. Ty masz szerszą, niż mogę sobie wyobrazić.

— To także nie jest adekwatne. Dlatego my, inteligencje, szukamy sposobów na to, aby się powiększyć.

Rozumiem. Ale ja nie mogę się powiększyć. Nie w takiej postaci.

— Chciałbyś?

Zawahał się.

— Nie w takiej postaci.

— Masz rację. To byłoby niemożliwe. Prosisz o transfigurację.

— Ponowne narodziny? Czy to jest możliwe?

W momencie Śmierci Christiana Brannocka taka możliwość nie istniała. Informacyjny ekwiwalent ludzkiej osobowości równa się w przybliżeniu dziesięć do dwudziestej potęgi bitów. Technologia pozwalała teraz na przechowywanie takiej ilości danych. Jednak żaden komputer nie miał takiej mocy, nie wspominając już o odpowiednim programie, aby utrzymać je jednocześnie. Poza tym...

— Nie pamiętam za dobrze, jak to jest być człowiekiem — powiedział.

— Wiele aspektów ciebie z konieczności zostało zawieszonych. Ciało, krew, nerwy, gruczoły. Pasja, strach, słabość, głupota,

niepewność, odwaga, zakłopotanie, gniew, radość, żal, dotyk ciepłego, jedwabistego ciała kobiety, zapach małego dziecka, głód i pragnienie.

— Cieszyłem się z możliwości dalszego trwania. Chyba nie bałem się śmierci, gwiazdy wzywały. Jestem wdzięczny.

— Dobrze się spisałeś.

— Zmęczyła mnie już egzystencja robota.

Świadomość maszyny i emocje maszyny: ciekawość, fachowość, umiejętności, zdolność porozumiewania się ze swoim rodzajem, jakiej nigdy nie osiągnie człowiek; poziom porozumienia z transcendentną inteligencją, albo z kosmosem, jakiego nie udało się osiągnąć wielu ludzkim mistykom ze swymi bogami — to niewyrażalne w ludzkich słowach.

— Zasłużyłeś się. Czekałam na to. Staniesz się czymś więcej, niż tylko wiedzą we mnie, czymś więcej, niż sam podejrzewasz. Niektóre inteligencje uploadują się w sobie; inne korzystają z pomocy wielu jednostek. Ja przybyłam tu Sama, wówczas nie miałam takich możliwości. Teraz mam. Jesteś ostatnią ludzką jednostką, która kiedykolwiek postawi stopę na tej gwiazdzie. Pogłębisz moje rozumienie fenomenu zwanego życiem, a za moim pośrednictwem ta wiedza trafi do wszystkich inteligencji.

Nirwana.

To nie jest nieświadomość. To poczucie jedności z pustką i nieustannie rozwijającym się własnym umysłem i z innymi umysłami; jedność z całym wszechświatem. Ostatnia przygoda, ostateczny spokój.

Jakby stłumiony i zapomniany ogień strzelił ostatnim, wątłym płomieniem.

— Czy kiedykolwiek...

— Czy ja, w której będziesz istniał jako pamięć, znajdę jakiś powód, by naśladować Christiana Brannocka? To mało prawdopodobne, przynajmniej nie na tej planecie — nigdy nie ujrzy jej twój śmiertelny gatunek. Ale są inni Christianowie Brannockowie. Ci, w których nie zginie wola bez wątpienia znajdą to, czego ty szukałeś. Może to już się stało.

Tak właśnie wygląda zniekształcenie informacji. Gdy w grę wchodzą odległości międzygwiazdne, symultaniczność nie istnieje.

— Może zdarzyć się tak, że któregoś dnia pojawi się powód, aby cię wskrzesić. Jeśli tak, to z biegiem czasu wszyscy powinniśmy tego doświadczyć.

Z biegiem czasu... Szerokość pasma komunikacji była ogromna, a jego medium nie tylko było elektromagnetyczne, ale neutronowe i grawitacyjne. Pomimo to, przesłanie tak złożonej wiadomości nawet teraz zabrałoby sporo czasu.

Inteligencje spokojnie mogły zaczekać.

Brannock nie mógł. Bardzo szybko rozejrzał się po otaczającym go świecie i wrócił do tego, czym był. Potem wstąpił w jedność.

IX

Późnym popołudniem Serdar i Naia w milczeniu sączyli wino i oddawali się sztuce obserwacji cieni. Taras był do tego właśnie przeznaczony. TreliAZE tworzyły rozmaite wzory, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, a liście winorośli drżały w lekkim wietrze. Zapadająca ciemność kładła się cieniem na matowym, białym murze. Oboje w skupieniu kontemplowali zawile sploty, ciesząc się ulotnym pięknem każdej konfiguracji. Próbowali szukać zapomnienia w cichej harmonii nadchodzącego wieczoru.

Przedstawienie się skończyło, gdy słońce zniknęło za wieżami na zachodzie. Przez chwilę płonęło purpurą na wciąż błękitnym niebie. Zmrok wynurzył się z kanionów miasta. Tu i Ówdzie zapaliły się światła, małe i odległe. Cyfrowi opiekunowie nie potrzebowali ich, potrzebowali ich ludzie, którzy tu zostali. Powoli niebo także pociemniało. W ciepłym powietrzu unosił się zapach kwiatów.

Serdar odetchnął i odezwał się niskim głosem.

— *Cienie, jak życie,*

Płynę pod letnim niebem.

Wieczór je unosi.

Poemat był właściwie oświadczeniem, że wieczór dobiegł końca.

— Czy to coś starego? — spytała Naia ze swojego fotela.

— Forrna tak, oczywiście — odparł. — Słowa są moje.

— Mógłbyś zestawić ten artystyczny renesans z cieniami — zasugerowała. — Na nasze życzenie baza danych nam je przedstawi; wybierzemy któryś z nich i pobawimy się; jeśli stracimy zainteresowanie, wrócą do postaci cyfrowej.

Zastanowił się.

— Interesujące podejście — zgodził się. — Nie wiem, czy potrafię przedstawić to tak zwięźle.

Uśmiechnęła się. Nie widział jej twarzy wyraźnie, ale pomyślał, że uśmiech był nieco wymuszony.

— To problem, który cię zajmie.

— Nie za bardzo mnie to porusza. A ciebie?

— Nie. Ale może się tym zajmę.

— Czy program może stworzyć coś takiego, jak ty stworzyłeś?

— Dlaczego nie?

Zawahał się.

— Zastanawiam się... wybacz... czy rozwiązanie będzie równie eleganckie. Osiągniesz z pewnością taki sam efekt, kochanie. Jednakże musiałabyś pewnie spędzić nad tym mnóstwo czasu. Wątpię, aby to było możliwe.

Westchnęła.

— Prawda. Wiersz stworzony w czasie mniejszym niż nanosekunda, traci znaczenie.

Nikt nie dostrzeże różnicy. Poza tym, kto prócz niej samej i kilkorga znajomych w ogóle doceniłby takie frazy?

Zmierzch zamienił się w noc. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Nagle na zachodzie błysnęło białe Światło. Jeden z satelitów odbijających promieniowanie kosmiczne wszedł w

smugę kurzu i gazów, w mgławicę, przez którą przechodził System Słoneczny i jonizował jej cząsteczki, aby się ich pozbyć.

— Och, popatrz — powiedziała Naia. Wpatrywała się w cienie powstałe dzięki nieoczekiwanemu rozbłyskowi.

Światło zgasło. Niebo wydawało się jeszcze ciemniejsze. Nie mieli czasu na odkrywanie cienistych wzorów i niuansów. Lekki wiatr przyniósł obietnicę chłodu.

Naia zadrżała.

— Zimno — wyszeptała.

— Wracamy do środka?

— Jeszcze nie. Chcę sama poradzić sobie ze swoim nastrojem. Rozumiesz?

— Jasne. Ja też muszę pomyśleć.

Czuł, że powinien dotrzymać jej towarzystwa. Miała skłonność do napadów melancholii. Nie była w tym odosobniona.

Oparł się na krzesło i popatrzył w gwiazdy. Pojawiło się ich więcej. Wiedział, że Naia próbuje zrozumieć istniejące we wszechświecie inteligencje.

Mijał czas. Miasto ciemniało na tle nieco jaśniejszego nieba, tu i ówdzie w oknach zapalały się światła.

— Jakie my mamy znaczenie? — zapytała Naia.

— Słucham? — spytał, zaskoczony.

Odwróciła się, aby na niego spojrzeć i sięgnęła po jego rękę. Ujął jej dłoń.

— Wiesz. Te umysły... jak nasz Ekumenikon... czym jesteśmy?

Starał się zachować spokój i ostrożnie dobierać słowa.

— Liczba równa sha podzielona przez yi. Gdy yi dochodzi do zera, rośnie bez ograniczeń.

— Co... co takiego?

Wzruszył ramionami, choć pewnie ledwie go widziała.

— Usłyszałem to kiedyś w wirtualu z ludzkimi filozofami, bez żadnych maszyn. To metafora. Możesz ją tak zinterpretować: Tak, jesteśmy pyłkiem, ale tylko dzięki temu zmierzamy ku wielkości.

— Czyżby? Może kiedyś, ale teraz... jest nas mało, tak mało.

— Chciałabyś mieć dziecko? — zapytał po chwili. Nie pytał o to po raz pierwszy. Sądził, że wychowanie dziecka to niezwykle doświadczenie.

Potrząsnęła głową.

— Po co? Czy po to tylko, żeby się bawiło, zaspokajało zmysły, powierzchownie rozwijało kreatywność i w końcu osunęło się w Świat marzeń, jak my?

— To niezbyt odkrywczą myśl — powiedział ze zniecierpliwieniem.

— A jakież to odkrywcze myśli jeszcze pozostały?

Puściła jego rękę, w jej głosie pojawiło się znużenie.

— Przepraszam. Nie chciałam. Tak, chodźmy do domu, zaraz się uspokoję, — zawiesiła głos. — I zaplanujemy przyjemności — zachęcił ją. — Prawdziwe przyjemności. Myślałem o tym. Co powiedziałabyś na wyprawę w jakieś niedostępne miejsce? Na przykład w Himalaje. Musielibyśmy przedtem trochę poćwiczyć.

Próbowała odpowiedzieć w podobnym tonie.

— Tak, to byłoby wyzwanie. coś, o czym można by potem opowiadać znajomym.

— To więcej, niż rozrywka.

Coraz bardziej zapalał się do tego pomysłu.

— To nie lada osiągnięcie.

Nieważne, że wcześniej ktoś już to zrobił.

— Pomoc przy ostatecznym zjednoczeniu z Ekumenikonem.

Wrócił jej pesymizm.

— O ile nas przyjmie.

— Wniesiemy nową jakość. Okażemy się warci asymilacji.
Znów westchnęła.

— Czy Ekumenikon w ogóle jeszcze kogoś chce? Czy może po prostu jest miły dla tych, którzy próbują?

— Dlaczego, przecież każda osobowość z głębią jest jego wzmocnieniem.

— Na ile znaczącym? — Naia patrzyła w ścianę. — Zastanawiam się... czy Ekumenikon żałuje tego, jak potoczyły się sprawy? Czy zastanawia się, co poszło nie tak?

— Nie tak? Co masz na myśli? — zapytał zdziwiony.

— Nic, nic — odpowiedziała szybko i wstała. — Wejźmy do środka. Gdy nastrój mi się poprawi, zamówimy specjalną kolację, coś wyszukanego, i będziemy Świętować. Obserwacja cieni była dziś bardzo udana.

X

Układ Słoneczny przesuwał się po swojej orbicie wokół centrum galaktyki przez prawie dwa miliony lat, naprzód i naprzód. Po drodze czekały się różne zagrożenia, nie dla słońca, ale dla życia na Ziemi. Asteroidy i komety pojawiały się całkiem często, jednak radzono sobie z nimi na długo, zanim mogłyby faktycznie spotkać się z planetą. Czasami dochodziło do eksplozji supernowej albo kolizji dwóch gwiazd neutronowych na tyle blisko systemu, żeby zalać go śmiertelnościami promieniowaniem. Inteligencje przewidywały to wystarczająco wcześnie. Inteligencja na Ziemi skierowała swoje maszyny, żeby skonstruowały dysk z materii międzyplanetarnej, większy od globu, na tyle gruby. Żeby działał jak Dole ochronne i ustawiły go na drodze promieni. Tylko raz Sol przeszła zbyt blisko innej gwiazdy. Przygotowanie się do tego zajęło ponad milion lat; poradzenie sobie z tego konsekwencjami trzy miliony.

O kilku innych zagrożeniach ludzie nawet nie słyszeli. Jednak inteligencje rozwinęły się do takiego stopnia, że wiedziały, co jest przed nimi i jak sobie z tym poradzić. Oczywiście nie zajmowały się tylko Ziemią, która była jedną z wielu planet.

Jednak przez większość czasu system orbitował spokojnie. Galaktyka jest ogromna, jej gwiazdy bardzo od siebie oddalone. Ziemia miała własne kłopoty, trzęsienia, erupcje wulkanów,

dzikie zmiany klimatyczne, gdy ocierały się o siebie płyty tektoniczne. Początkowo inteligencja je łagodziła, a potem podjęła decyzję o zaprzestaniu tego i obserwowała, jak życie się adaptuje. Świadomość sięgała gwiazd. Rozwijając się samodzielnie sięgnęła nawet większych wyżyn. Gwiazdy także się rozwijały.

GENESIS

CZĘŚĆ DRUGA

Czy to ją powinienem był kochać?

Piet Hein



I

Żaden człowiek nie mógł oblec tych myśli w kształt, ani ich wypowiedzieć. Nie miały prawdziwego początku, tworzyły się tysiąclecie po tysiącleciu, podczas gdy galaktyczny mózg się powiększał. Czasami przemykały z umysłu do umysłu, przez przestrzeń, z szybkością światła. Wystarczały nanosekundy, żeby odebrać, porównać, rozważyć i wysłać wiadomość na zewnątrz. Ale było tam tyle różnych rzeczy — kosmos rzeczywistości, nieskończoność wirtualności i oderwanych kreacji — że wspomnienie o Ziemi było tylko jednym z wielu, niejasnym i przelotnym pośród niepoliczalnych miliardów innych przypadkowych refleksji. Wielka Świadomość skupiała się przede wszystkim na własnym rozwoju.

Dla galaktycznego mózgu to wciąż było dzieciństwo. Jego członkowie byli porzucani od końca do końca spiralnych ramion, byli w halo i pobliskich skupiskach gwiazd, aż po Obłoki Magellana. Zalążki nowych unosiły się nawet dalej; niektóre osiągnęły obrzeża Andromedy.

Każdy był mieszaniną organizmów, maszyn, i ich wzajemnych powiązań. (Określenie „organizm” wydaje się być najlepsze dla czegoś, co samo podtrzymuje swoje istnienie, reprodukuje w razie potrzeby i posiada świadomość. Od podstawowej do transcendentnej, nawet jeśli komponenty węglowe stanowią

nikły procent jego składu, a większość procesów życiowych odbywa się bezpośrednio na poziomie kwantowym). Ich liczba szła w miliony i gwałtownie rosła, także na Drodze Mlecznej, gdzie założyciele nowych pokoleń znaleźli domy.

W ten sposób galaktyczny mózg wciąż się rozrastał, choć z punktu widzenia kosmosu dopiero się narodził. Myśl ledwie miała czas na przemierzanie swojego wciąż rozrastającego się dominium. Nigdy nie roztopiała w sobie swoich członków; zawsze pozostawali indywidualnościami, rozwijającymi się zgodnie ze swoimi indywidualnymi liniami. Dlatego nie nazywajmy ich komórkami, ale punktami węzłowymi.

Każdy był bardziej unikatowy niż jakakolwiek istota organiczna. Chaos i fluktuacje kwantowe sprawiały, że żaden specjalnie nie przypominał swojego poprzednika. W podobny sposób środowisko pomagało kształtować osobowość — warunki powierzchniowe (jaki to typ planety, księżyca, asteroidy, komety?) albo orbita, jedno, czy kilka słońc (jakiego typu, w jakim wieku?), mgławica, przestrzeń międzygwiazdna i jej straszne przepływy... Ponadto punkt węzłowy nie był pojedynczym umysłem. Był tak wieloma, jak chciał, swobodnie budzonymi i swobodnie się odłączającymi, łączącymi się i znów oddzielającymi, używającymi takich ciał i sensorów, jakich chciały i tak długo, jak chciały, nieśmiertelnie doświadczającymi, tworzącymi, medytującymi, szukającymi spełnienia, które niosły w sobie same badania.

Dlatego, podczas gdy każdy węzeł miał mnóstwo składowych, to niektóre szczególnie skupiały się na rozwijaniu różnych dziedzin matematyki, inne komponowały wspaniałe dzieła, które

tak naprawdę nie mogły być porównane do muzyki, jeszcze inne obserwowały życie organiczne na odległych planetach.

Zawsze jednak węzły były ze sobą w kontakcie przez lata Światłne, komunikując się za pośrednictwem każdego możliwego medium. To był galaktyczny mózg. Stanowił jedność, było to powolne mieszanie się myśli, możliwość spędzenia milionów lat na kontemplacji jednej koncepcji; jednak ta myśl mogła być równie ogromna, jak myśliciel, z którego punktu widzenia eon był jak dzień, a dzień jak eon.

Już teraz, u swego zarania, mózg ten wpłynął na bieg wszechświata. Nadszedł czas, gdy jeden węzeł przypomniał sobie Ziemię.

To wspomnienie za pośrednictwem ciągłego strumienia informacji, idei, uczuć, i kto wie, czego jeszcze, trafiło do pozostałych. Niektóre z nich uznały, że temat wart był tego, żeby się nim zająć i umieścić go we własnych strumieniach informacyjnych. W ten sposób przemierzało lata Światłne i stulecia, aż została podjęta decyzja, która dotarła do węzła najlepszego, żeby się tym zająć.

Odtąd wydarzenie jest relacjonowane słowami, jakkolwiek nieprzystającymi do zadania. Kiedy dochodzą do tego, co wydarzyło się później, zawodzą całkowicie. Jak mają przekazać rozmowę umysłu z samym sobą, gdy proces myślenia jest przepływem migotań kwantowych przez konfiguracje tak skomplikowane jak funkcje falowe, gdy moce obliczeniowe i bazy danych Są tak ogromne, że próby ich zmierzenia są bezsensowne, gdy umysł wykorzystuje aspekty samego siebie, by oddziaływać na siebie jak ludzie, i gdy wszystko można wyrazić

w mikrosekundach czasu planetarnego?

To niemożliwe, wszelkie zapisy będą niejasne i zubożone. Dawni ludzie używali języka mitu do wyjaśniania tego, czego nie potrafili pojąć. Słońce było ognistym rydwanem, za dnia przemierzającym niebo, rok bogiem, który umarł i narodził się ponownie, śmierć karą za winy przodków. Niech więc mit opisz misję na Ziemię.

Pomyślcie zatem o podstawowym aspekcie podstawowej świadomości węzła, jakby to była pojedyncza, potężna istota, i nazwijcie ją Alfą.

Pomyślcie o jej pomniejszej manifestacji, którą zsyntetyzowała i uwolniła, jako o drugiej jednostce. Z powodów, które wkrótce się wyjaśnią, uznajcie tę drugą za męską i nazwijcie ją Wędrowcem.

Wszystko jest mitem i metaforą, poczynając od tego absurdalnego nazewnictwa. Byty takie, jak te, nie mają imion. Mają tożsamości, natychmiast rozpoznawane przez inne ich rodzaju. Nie mówiły, nie prowadziły dyskusji, niczego nie wyjaśniały, nawet nie były „nimi”. Ale wyobraźcie to sobie w taki właśnie sposób.

Wyobraźcie sobie także ich otoczenie, nie odbierane przez ich różnorakie sensory, czy konceptualizowane przez ich świadomość i emocje, ale tak, jakby to ludzkie organy przekazywały je ludzkiemu mózgowi. Taki obraz to jedynie szkic. Zbyt wiele z tego, co składało się na jego podstawy ludzkie zmysły po prostu nie rejestrowały. Człowiek był w stanie dostrzec karła typu M2 około pięćdziesięciu parseków od Słońca i domniemywać, że krążą wokół niego planety. Alfa mogła określić

ich wielkość, wyczuć tajemnicze energie i zastanowić nad nimi.

Słońce samo w sobie nie było niczym nietypowym. W galaktyce były miliardy podobnych. Dawno temu sztuczna inteligencja — u zarania swojej ewolucji, to najlepsze określenie — została tutaj, ponieważ na jednej z planet narodziło się życie warte obserwacji. Badania nad nim trwały niewyobrażalnie długo. Tymczasem wciąż rosnąca inteligencja zajmowała się coraz to innymi rzeczami, przede wszystkim własnym rozwojem. To, żeby słońce zostało chłodne, było kolejną sprawą. Węzeł nie chciał ingerować w wielką zmianę środowiskową, jeśli nie było to absolutnie konieczne.

Od tego czasu gwiazdy zmieniły swoje relatywne położenie. Gwiazdy najbliższe Słońcu nie budziły wielkiego zainteresowania i zostały ledwie zbadane, jeśli w ogóle. Okazjonalnie w sąsiedztwie przechodził jakiś węzeł nie związany z żadną gwiazdą, ale w tej epoce nie zdarzyło się to ani razu.

Do samego mitu pasuje fakt, że w tym pełnym życia świecie nie pojawiły się żadne gatunki myślące. Statystycznie rzecz ujmując życie w kosmosie pojawia się bardzo rzadko, zaś istoty myślące są niemal cudem, przez co są podwójnie cenne.

Nasz wyobrażony człowiek zobaczyłby jesiennie żółte słońce, świecące łagodnie i spokojnie. Poza planetami i tworamii mniej naturalnymi orbitowały wokół niego różne tytaniczne struktury. Z daleka wyglądały jak skomplikowana pajęczyna lśniąca na tle gwiazd; były to w większości pola siłowe. W ich złożoności, jakkolwiek w żadnym konkretnym miejscu, żyła Alfa. Podobnie, w tej chwili, Wędrowiec.

Wyobraźcie sobie spokojny głos.

— Witaj w bycie. Czeka cię ważne i może niebezpieczne zadanie. Czy się go podejmiesz?

Jeśli Wędrowiec zawahał się przez moment, to nie ze strachu przed bólem, ale ze strachu, że może go sprawić.

— Powiedz mi. Pomóż mi zrozumieć.

— Słońce starej Ziemi, świecące od dawna, byłoby stabilne jeszcze przez miliardy lat, zanim wyczerpałyby się zasoby wodoru w jego jądrze i zmieniłoby się w czerwonego olbrzyma. Ale...

Szybkie obliczenie.

— Tak. Widzę.

Poniżej progowego poziomu promieniowania geochemiczne i biochemiczne cykle, które utrzymywały temperaturę na Ziemi były przeciążone. Rosnąca temperatura sprawiała, że do atmosfery dostawały się rosnące ilości pary wodnej, a to potężny gaz cieplarniany. Cięższa pokrywa chmur, rosnące albedo^[8], mogły tylko opóźnić dzień katastrofy. Molekuły wody były rozszczepiane przez twarde promieniowanie na wodór, który uciekał w kosmos i tlen, który przylegał do materiałów powierzchniowych. Szalejące pożary uwalniały straszliwe ilości dwutlenku węgla, podobnie jak skały erodujące na wysuszonych lądach. To drugi główny gaz cieplarniany. Nadejdzie czas, gdy zniknie ostatni ocean, a glob stanie się podobny do Wenus; jednak na długo przedtem życie na Ziemi będzie już tylko wspomnieniem w kwantowej świadomości.

— Kiedy nastąpi totalna zagłada?

— W ciągu stu tysięcy lat.

Jeden z aspektów Wędrowca, pochodzący Od Christiana

Brannocka, poczuł nagły ból. Namiętnie kochał swój Żyjący Świat. Jego dawna znikomość nigdy tego nie zmieniła, podobnie jak brak poczucia własnej wyjątkowości. Kopie jego uploadowanego umysłu stały się integralną częścią świadomości galaktyki. Podobnie jak umysły milionów ludzi, zwyczajnych jak pojedyncze geny w ich ciałach za życia, będące jednak podstawowymi elementami całości. Przeszukując swoje bazy danych Alfa natknęła się na zapis Christiana Brannocka i zdecydowała się go wpleść — jako niemal osobną jednostkę, pojedynczą gałązkę na wielkim drzewie — w esencję Wędrowca. Decyzja ta była... — nazwijcie ją intuicyjną.

— Czy możesz mówić bardziej konkretnie? — poprosił Wędrowiec Brannock.

— Nie — odpowiedziała Alfa. — Jest zbyt wiele niejasności. Gaja, to mityczne imię węzła w Systemie Słonecznym, na pytania odpowiada wymijająco, jeśli w ogóle.

— Czy... my... naprawdę zapomnieliśmy o Ziemi?

— Mieliśmy o czym myśleć i co robić, prawda? Gaja w każdej chwili mogła się zwrócić o uwagę. Nigdy tego nie zrobiła. Dlatego więc ta kwestia nigdy nie pojawiła się jako ważna. Ludzka Ziemia jest zachowana w pamięci. Czym jest postludzka Ziemia, jeśli nie planetą wkraczającą w fazę postbiologiczną? Owszem, brak spontanicznie ewoluujących biomów^[9] sprawia, że ten przypadek jest interesujący. Jednakże Gaja przypuszczalnie obserwuje i zbiera dane dla reszty z nas, żebyśmy je mogli zbadać w każdej chwili. Ten System Słoneczny rzadko miewa gości. Ostatni pojawił się dwa miliony lat temu. Od tego czasu Gaja coraz mniej się udzielała w naszej wspólnocie; kontakty

były rzadkie i powierzchowne. Ale takie wycofanie się zdarza. Węzeł może, na przykład, chcieć spokojnie realizować koncepcję filozoficzną, aż będzie gotowa do ogólnej kontemplacji. W skrócie, nic nie zwracało naszej uwagi na Ziemię.

— Pamiętałbym — wyszeptał Christian Brannock.

— Co w końcu nam przypomniało? — spytał Wędrowiec.

— Pomyśl, że Ziemia może być warta ocalenia. Być może kryje się w niej więcej, niż Gaja wie albo mówi. A poza tym, wartość sentymentalna, jeśli już nic innego.

— Tak, rozumiem — powiedział Christian Brannock.

— Ponadto, co potencjalnie niesie więcej konsekwencji, możemy nabrać przy tym doświadczenia, ustanowić precedens. Jeśli Świadomość ma przetrwać Śmierć gwiazd, musi odnowić wszechświat. Ta praca, obliczona na biliony czy tryliony lat zacznie się od jakiegoś małego, eksperymentalnego przedsięwzięcia. Czy to będzie teraz, „teraz” nieśmiertelnych bytów starych pod względem geologicznym, na Ziemi?

— Nie takiego znów małego — mruknął Wędrowiec. Christian Brannock był inżynierem.

— Nie — zgodziła się Alfa. — Mamy ograniczenie czasowe, i dostępne będą zasoby energetyczne tylko kilku gwiazd. Jednakże otwiera się przed nami szereg możliwości, jeśli zaczniemy wystarczająco wcześnie. Pytanie brzmi, która będzie najlepsza, to po pierwsze, i czy w ogóle powinniśmy działać. Czy poszukasz odpowiedzi?

— Tak — odpowiedział Wędrowiec.

— Tak, do diabła, tak — zapłakał Christian Brannock.

W stronę ziemskiego słońca wyruszył statek. Napęd, zasilany przez słońce i kontrolowany przez sieć o wymiarach międzyplanetarnych nadał mu prędkość zbliżoną do szybkości światła. W razie konieczności mógł sam wyhamować pod koniec podróży i wrócić bez pomocy, chociaż wolniej. Napęd z antimaterii wspomagały kriomagnesy, a jego ogólna masa była niewielka. Ładunek ograniczał się do matrycy, dodatkowego zasilania na potrzeby programów Wędrowca i baz danych; rozmaitych sensorów i efektorów; kilku ciał o różnych możliwościach, do których mógł się implementować; wszelkie wyposażenie i systemy zasilania; różne narzędzia; i rzecz zapomnianą od wieków, którą kazał sporządzić Wędrowiec na życzenie Christiana Brannocka. Może uda mu się znaleźć czas i dawne umiejętności. Gitara.

II

Był sobie człowiek o imieniu Kalava, morski kapitan Sirsu. Pochodził z klanu Samayoki. Za młodu walczył pod Złamaną Górą, gdzie armie Ulonai spotkały się z barbarzyńskimi najeźdźcami wyłaniającymi się z pustyni na północy i odparły ich z ogromnymi stratami. Wtedy został marynarzem. Gdy Liga Ulonai się rozpadła, a sojusze zawiązane przez Sirsu i Irrulena szalały na lądzie, rzucając się sobie do gardeł, Kalava zatapiał nieprzyjacielskie statki, palił nieprzyjacielskie wioski, rabował skarby i sprzedawał jeńców jako niewolników.

Po niechętnie zawartym, niezadowolającym Traktacie Pokojowym z Tuopai zajął się handlem. Poza pływaniem w dół i górę rzeki Lonny i po Zatoce Sirsu często żeglował wzdłuż Północnego Wybrzeża, handlując po drodze, a potem płynął przez Wietrzne Morze do kolonii na Wyspach Krańcowych. Wreszcie, z trzema statkami, podążył wzdłuż wschodniego wybrzeża na odległość, na którą dotąd nikt się nie wypuszczał. Żyjąc z tego, co dawało morze i polując na brzegu, dogadując się lub walcząc z napotykanymi dzikimi plemionami, on i jego załoga dotarli do miejsca, w którym ląd wyginał się na południe. Natrafili tam na port należący do baśniowego ludu Lśniących Pól. Mieszkali tam przez rok i wrócili z towarami, które uczyniły ich bogaczami.

Kalava od swojego klanu wydzierżawił chatę i dobrą ziemię w delcie Lonny, jakiś dzień podróży od Sirsu. Zamierzał osiąść, szanowany i pośród wygod. Jednak nie taki był zamysł bogów, nie pozwoliła też na to jego natura. Szybko skłócił się ze wszystkimi sąsiadami, aż brat jego żony grubiańsko go obraził, a on go zabił. Po tym wydarzeniu żona go opuściła. Podczas rady klanu, która rozpatrywała tę sprawę, przyznano jej trzecią część dóbr rodziny, w złocie i ruchomościach. Ich córki wraz z mężami wzięli jej stronę.

Z trzech synów Kalawy najstarszy utonął w morzu podczas sztormu, następny umarł od zarazy; trzeci, terminując na statku kupieckim na dalekim południu, w Zhir, poległ odpierając napad rabusiów na zasypywanych piaskiem ulicach pod nadgryzionymi zębem czasu kolumnadami opuszczonego miasta. Nie zostawili dzieci, poza tymi spłodzonymi z niewolnicami. Kalava także nie, nie teraz — żadna wolna kobieta nie przyjęła jego oferty małżeńskiej. To, czego się dorobił w ciągu ciężkiego życia, miało przypaść rodzinie, która go nienawidziła. Większość ludzi w Sirsu również go unikała.

Długo rozmyślał, aż wymyślił plan. Gdy wiedział już, co robić, rozpoczął dyskretnie przygotowania. Kiedy sprawy ruszyły z miejsca, nie na tyle poważnie, żeby nie mógł z nich zrezygnować w razie konieczności, rozpoczął poszukiwania Ilyandi, mówiącej z niebem.

Mieszkała na Wyżynie Rady. Tam spotykali się Vilkui, Żeby odprawiać obrzędy i obradować. Ale podczas, gdy wielu z nich się rozproszyło i uprawiało inne zawody — interpretatorów snów, skrybów, medyków, mediatorów, naczyń starej wiedzy,

nauczyciele młodej Ilyandi pozostali. Tutaj, w tym wysoko położonym miejscu, świętym dla wszystkich Ulonai, najlepiej mogła badać niebiosa i szukać znaczenia tego, co znalazła.

Rydwan Kalavy turkotał na prowadzącej w górę Drodze Ducha. W pobliżu szczytu obrastały ją drzewa złotawców. Na kamienistych zboczach rosły nieliczne, niskie krzaki; tutaj przykurzona zieleń vasi, tam kędzierzawy włosowiec, ówdzie szkarłatny płomiennik. Gorący wiatr wiejący ospale znad Zatoki przynosił zapach brzeczkowca. Woda na zachodzie pod niebem zasnutym ciemnymi chmurami połyskiwała jak zmatowiały metal. Na horyzoncie czaiła się burza, niosąca mrok i światło błyskawic.

Na łądzie widać było dojrzewający żółto ziarnokwiat, ciemnobrązowy papiernik, zielone pastwiska herdlingów, fioletowe sady bogatników, wysokie sterty owcodrzewa. Farmy wraz z zabudowaniami były porozrzucane w dużych odległościach od siebie. Było sucho, kurz podrywał się z dróg i osiadał na budach wozów. Ze swoich źródeł na wschodzie toczyła swe wody Lonna.

Na prawym brzegu wznosiły się mury obronne Sirsu, z tej odległości maleńkie. Kiedy wiedziało się, gdzie patrzeć, można było dostrzec słynne budowle, Wielką Fontanna Rynku Królewskim, rzeźbiony portyk Świątyni Płomienia, kolumnę triumfalną na Placu Zwycięstwa. Kalava wiedział, gdzie swoje warsztaty mają kołodzieje, handlarze kramy, gdzie są zajazdy dla marynarzy, w których znajdą wino i dziewczuchy. Cegła, piaskowiec, granit, marmur łagodnie łączyły swoje kolory. Statki i łodzie przecinały wodę albo cumowały pod murami. Na drugim

brzegu rozlewały się posiadłości i ogrody przedmieść Helki, dachówki były kolorowe jak klejnoty.

Różniło się to od tego, do czego się zbliżał.

Pod wielkim łukiem stało dwóch postulantów w niebieskich szatach. Na jego widok skrzyżowali trzymane piki.

— W imię Tajemnicy stój, oddaj cześć i opowiedz się! — wezwali.

Ich młode głosy wznosiły się wysoko, niezrażone widokiem, który zniechęcał wojowników. Kalava był wielkim mężczyzną o szerokich ramionach i potężnych mięśniach. Jego skóra od wiatru i słońca pociemniała na węgiel, a włosy zaplecione w warkocze, opadające do połowy pleców, wypłowiwały do bieli. Oczy pod mocnymi brwiami były czarne, a twarz nierówna, wymęczona i pokryta bliznami. Poniżej szczęki zwisał wąs. Ponieważ przybywał w pokoju miał na sobie prostą, sięgającą kolan kurtę, zieloną i obszytą skórą kivi, i koturny; jednak ramiona miał ozdobione złotymi bransoletami, a u biodra przypasał miecz. Do rydwanu była umocowana włócznia, tarcza i topór gotowy do rzucenia. Powóz ciągnęło czterech niewolników. Ich linia była hodowana Od pokoleń, aż uzyskano stworzenia wielkie, o długich nogach, waleczne, a po kastracji całkowicie godne zaufania. Na skórze zaprzęgu Kalawy lśnił pot, spływając po małych, łysych głowach i nagich ciałach. Pomimo tego oddychali swobodnie, a ich zapach był raczej słodki.

— Stać! — ryknął ich właściciel.

Przez chwilę słychać było tylko wiatr. Potem Kalava dotknął brwi pod przepaską na czole i wyrecytował Spowiedź.

— Człowiek wie mało, rozumie jeszcze mniej, pozwólcie mu

więc pokłonić się i prosić o słowo mądrości.

Osobiście bardziej wierzył w ofiary z krwi i we własną siłę miał jednak sporo respektu przed Vilkui.

— Szukam rady od mówiącej z niebem Ilyandi — powiedział.

To oświadczenie nie było konieczne, skoro nie było tu nikogo innego z jej rytu.

— Może jej szukać każdy, kto nie zamierza czynić zła — ceremonialnie odparł starszy chłopiec.

— Ruvio daje świadectwo, że nie mam złych zamiarów.

Bóg Gromów był ulubionym bóstwem większości marynarzy.

— Zatem wejdz, a my zaniesiemy twoją prośbę naszej pani.

Młodszy chłopiec poprowadził Kalavę przez zewnętrzny dziedziniec. Koła turkotały na płytach chodnikowych. W domu gościnnym pomógł oporządzić, nakarmić i napić niewolników. Potem zaprowadził przybysza do pokoju. W budynku była łaźnia, refektarz, gotowe jedzenie — suszone mięso, owoce i placki — oraz wino z bogatników. Kalava znalazł także księgę. Odświeżył się, po czym zasiadł z nią na ławce.

Był rozczarowany. Nigdy nie miał wielu okazji ani specjalnego zacięcia do czytania, więc jego umiejętności w tym zakresie były ograniczone; a kopista tego dzieła użył starego liternictwa. Co gorsza, tekst był kroniką cesarzy Zhir. To było dla niego nie tylko bolesne — och, Eneio, jego syn, jego ostatni syn! — ale pozbawione wartości. Owszem, Vilkui nauczają, że cywilizacja trafiła do Ulonai z Zhir. Co z tego? Ile minęło stuleci, odkąd pustynia zabrała to królestwo? Czym byli potomkowie jego mieszkańców, jak nie głodującymi koczownikami albo zwykłymi bandytami?

Cóż, pomyślał Kalava, tak, to mogło być swoiste ostrzeżenie, przypominające ludziom, że pustynia wciąż przesuwa się na północ. Ale czy nie dość już widzieli? Przejeżdżał obok miast niedaleko na południu, w czasach jego dziadka kwitnących, a teraz pustych, pełnych rozpadających się domów na wpół zasypanych przez piach, z oknami bez szyb, wyglądającymi jak puste oczodoły.

Zacisnął wargi. Nie będzie pokornie czekał na zagładę.

Dzień miał się ku końcowi, gdy akolita Ilyandi przyszedł z wiadomością, że jego pani go przyjmie. Idąc wraz ze swoim przewodnikiem widział na niebie purpurowy cień zmierzchu. Burza na zachodzie się skończyła, zostawiając tę część nieba bezchmurną. Słońce było ledwie widoczne, a mgły zmieniły je w czerwonopomarańczową plamę. Od horyzontu nad zatoką przerzucano most ognia i posyłało wielkie strumienie światła w chmury świecące siarkową żółcią. Przed nimi jak cień przemknął skrzydłóswist. Dźwięk, jaki wydawały jego skrzydła spływał przez nieco chłodniejsze powietrze. Poza tym nad wyżyną panowała święta cisza.

Wewnętrzny dziedziniec klasztoru Vilkuui był otoczony przez trzypiętrowy budynek, sanktuarium, biblioteki, laboratoria i kwatery mieszkalne. Sam plac w większości zajęty był przez ogród pełen kwiatów i leczniczych ziół. Pod jedną z arkad paliła się latarnia, ale wszystkie okna były ciemne, a Ilyandi stała na dworze i czekała na swojego gościa.

Zrobiła lekki gest odprawy. Akolita skłonił się i oddalił. Kalava zasalutował, czując nagłą niepewność, ale szybko odzyskał pewność siebie.

— Bądź pozdrowiona, łaskawa i mądra pani — powiedział.

— Witaj, dzielny kapitanie — odpowiedziała myśląca z niebem.

Wskazała na stojące naprzeciwko siebie kamienne ławki. — Usiądziemy?

Nie zaproponowała mu wina, ale przynajmniej wyglądało na to, że ma zamiar go wysłuchać.

Pochylili się oboje i przyglądali sobie w ciemniejącym łagodnie zmierzchu. Ilyandi była szczupłą kobietą w wieku około czterdziestu lat, o rysach drobnych i regularnych, dużych i świetliście brązowych oczach, o jasnej karnacji — jak przydymiona miedź, pomyślał Kalava. Krótko ostrzyżone na znak celibatu, faliste włosy odcinały się od prostej, białej szaty. Z ramienia spływała jej zielona szarfa spięta szpilą z emblematem połączonego koła i trójkąta, świadcząca o tym, że jest zaprzysiężoną Vilku.

— Jak mogę wspomóc twoje przedsięwzięcie? — spytała.

Drgnął zaskoczony.

— Ha! Co wiesz o moich planach?

Zmitygował się pospiesznie.

— Oczywiście, moja pani wie wiele.

Uśmiechnęła się.

— Przez ostatnie dziesięciolecia twoja sława sięgnęła daleko. A... słowa docierają nawet tutaj. Szukasz swoich dawnych załogantów i spotykasz się z nimi, całkiem prywatnie. Kazesz remontować swój statek. Spotykasz się z handlarzami, niewątpliwie po to, żeby wypytać ich o ceny. Niewielu ludzi to zauważyło, jeśli w ogóle jacyś. Taka dyskrecja nie leży w twoich

zwyczajach. Dokąd zmierzasz, Kalavo, i dlaczego w takim sekrecie?

Jego uśmiech był żałosny.

— Moja pani jest nie tylko mądra i uczona, ale także przebiegła. Przejdźmy więc od razu do interesów. Myślę o podróży, którą większość nazwałaby szaleństwem, Niektórzy z nich mogliby próbować mnie zatrzymać, utrzymując, że to rozgniewałoby bogów tamtych ziem, wiedząc, że nikt nigdy stamtąd nie wrócił i przywołując stare opowieści o potworach. Nie wierzę w nie, bo inaczej bym nie próbował.

— Och, wyobrażam sobie, że i tak byś popłynął — mruknęła Ilyandi. — Ale zgadza się, ten strach jest prawdopodobnie nieuzasadniony. Pamiętaj, że pierwszy dotarłeś morzem do Lśniących Pól. Wtedy nie prosiłeś o zaklęcia ani o błogosławieństwo. Dlaczego więc przyszedłeś do mnie teraz?

— To jest, to... coś innego. Nie trzymanie się brzegu. Ja... cóż, będę musiał zdobyć i wyszkolić nowego huukina, a to wymaga czasu i pieniędzy.

Kalava rozłożył wielkie ręce, niemal bezradnie.

— Rozumiesz, nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek wypłynę. Może to szaleństwo, stary człowiek ze starą załogą, na starym statku. Moja pani, miałem nadzieję, że mi doradzisz.

— Byłeś gotów na stos pogrzebowy, gdy zaproponowałeś przekroczenie Wietrznego Morza — odpowiedziała.

Tym razem opanował się szybciej.

— Mogę spytać, skąd moja pani o tym wie?

Ilyandi machnęła ręką. W słabym Świetle lampy jej długie palce wyglądały jak ćmy.

— Już byłeś na wschodzie i nie musiałbyś się kryć z taką podróżą. Szlaki handlowe na południu są tak stare, jak Zhir. Co mają do zaoferowania poza plądrowaniem grobów i wymarłych miast nawiedzanych przez koczowników? Ludzie mówią, że kto ruszy na pustkowia Spalonych Ziem, zginie marnie. Na zachodzie według naszej wiedzy jest kilka wysp, a potem pusty ocean. Jeśli cokolwiek tam jest, to umrzecie z głodu i pragnienia, zanim tam dotrzecie. Ale na północy... tak, dzikie wody, ale czasem ludzie znajdują nieznane drzewa, albo widują przygnane burzą ptaki nieznanych gatunków... no i mamy te wszystkie legendy o Wysokiej Północy i doniesienia, że ze statków, które zboczyły z kursu, widziano góry... — jej głos ucichł.

— Niektóre z tych opowieści dla mnie brzmią prawdziwie — powiedział Kalava. — W każdym razie bardziej, niż historie o jakichś strasznych widokach. Poza tym dzikie huukiny żerują przy brzegu, gdzie jest mnóstwo ryb. Nawet w sezonie nie widziałem ich tam jednak tyle, co na otwartym morzu. Muszą mieć drugi brzeg. Gdzie, jeśli nie na Wysokiej Północy?

Ilyandi kiwnęła głową.

— Sprytnie, kapitanie. Co jeszcze masz nadzieję znaleźć?

Znów się skrzywił.

— Powiem ci, gdy wrócę, moja pani.

Jej ton zrobił się ostrzejszy.

— Żadnych miast pełnych skarbów do plądrowania.

— Ani do handlowania — zgodził się. — Czy jednak nie natykaliśmy się na rzeczy pochodzące stamtąd? Jednakże... im dalej na północ, tym mniejszy upał i więcej deszczu, prawda? Tamtejsza kraina może mieć łagodny klimat, lasy, żyzną ziemię

pod uprawy i nikogo, kto by o to walczył — słowa tętniły podnieceniem. — Żadnej pustyni. Miejsce, by zacząć na nowo, moja pani.

Patrzyła na niego spokojnie.

— Wróciłbyś do domu, zrekrutował ludzi, założył kolonię i został królem?

— Najważniejszym człowiekiem, tak, choć spodziewam się, że ludzie, którzy by się zdecydowali popłynąć, będą chcieli republiki. Ale przede wszystkim... — jego głos zamarł. Popatrzył gdzieś w przestrzeń. — Wolność. Honor. Żona urodzona z wolnych ludzi i nowi synowie.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Zapadła noc. Nie była tak ciemna, jak zwykle. Wśród liści szeptał chłodniejszy powiew, jakby coś obiecywał.

— Jesteś zdeterminowany — powiedziała wreszcie powoli. — Dlaczego przychodzisz do mnie?

— Chcę każdej rady, jaką możesz mi dać, moja pani. W zgromadzonych tutaj księgach mogą być wskazówki co do żeglugi.

Potrząsnęła głową.

— Wątpię. Nawigacja... tak, to jest prawdziwa przeszkoda, zgadza się?

— Zawsze — westchnął.

— Jakie masz pojęcie o szukaniu drogi? — Dlaczego, musisz wiedzieć. — Wiem, jak wygląda wiedza potoczna dotycząca tej kwestii. Kupcy trzymają swoje szlaki w tajemnicy, a żeglarze nie są lepsi pod tym względem. Jeśli mi powiesz, w jaki sposób nawigujesz, nie wyjdzie to poza nas dwoje, a ja może będę w

stanie coś dodać. Poderwał się podekscytowany.

— Założę się, że tak, moja pani! Księżyc i gwiazdy widzimy rzadko i nieregularnie. Słońce w ciągu dnia najczęściej jest zamazaną plamą Światła nad chmurami, jeśli w ogóle. Ale tacy jak ty, myślący z niebem, przez setki lat prowadzili obserwacje i pomiary, zebrali wiedzę... — Kalava umilkł. — Czy jest zbyt święta, żeby się nią dzielić?

— Nie, nie — odpowiedziała. — Vilkui nie ukrywali swojego kalendarza, prawda? Żeglarze rzadko prosili nas o pomoc, ponieważ mają niewiele pożytku z naszej nauki. Mów.

— Prawda, to Vilkui odkryli magnetyt... Cóż, żeglując po tych wodach polegam przede wszystkim na swojej pamięci i charakterystycznych punktach lądu, albo na periplusie^[10], jeśli Są mniej znajome. Dźwięki też pomagają. Potem, w Lśniących Polach dostałem kryształ — musisz o tym wiedzieć, bo drugi po powrocie przekazałem zgromadzeniu — patrzę przez niego na niebo i jeśli chmury nie są zbyt grube, to widzę słońce wyraźniej, niż gołym okiem. Wrzucanie drewna do wody i klepsydra dają jakieś pojęcie o prędkości, a magnetyt jakieś pojęcie o kierunku, gdy nie widać brzegu. Podejrzewam, że żeglując na Wysoką Północ przede wszystkim używałbym właśnie jego. Ale jeśli moja pani może mi podsunąć cokolwiek jeszcze...

Pochyliła się ku niemu. Nastawił uszu.

— Sądzę, że mogę, kapitanie. Badałam ten twój kamień słoneczny. Za jego pomocą można określić szerokość geograficzną i porę dnia, jeśli zna się datę i drogę, którą w ciągu roku pokonuje słońce. Ponadto nawet skrawki księżyca i gwiazd byłyby cenne dla znajomego je podróżnika.

— To nie ja — powiedział niechętnie. — Czy moja pani mogłaby to zapisać? Może ta stara głowa temu podoła.

Wydawała się go nie słyszeć. Patrzyła w górę.

— Aspekty gwiazd na Wysokiej Północy — wymamrotała. — Mogłyby nam powiedzieć, czy świat faktycznie jest okrągły. I czy nasze zorze są tam jaśniejsze? Spojrzał tam, gdzie ona. W miejscu, gdzie rozerwała się pokrywa chmur, migotały trzy gwiazdy.

— Dziękuję, moja pani — powiedział — że siedzisz tutaj i rozmawiasz ze mną, podczas gdy mogłabyś zajmować się czym innym.

Popatrzyła mu w oczy.

— Twoja sprawa może być lepszą okazją, kapitanie — odparła dziko. — Gdy pierwszy raz doszły mnie plotki o twojej wyprawie, zaczęłam się nad nią zastanawiać, myśleć, co to może oznaczać. Tak, pomogę ci w miarę swoich możliwości. Może nawet popłynę z tobą.

2

Szary Chart opuścił Sirsu o poranku, ledwie zrobiło się na tyle jasno, żeby sterować. Większość ludzi przyglądała się temu w ciszy. Kilku zrobiło znak odpędzający zło. Paru, zazwyczaj młodych, zaintonowało buntowniczą pieśń, ale samo powietrze wydawało się tłumić ich wysiłki.

Dopiero niedawno Kalava wyjawiał, jaki jest jego cel. Musiał,

żeby uzasadnić obecność na pokładzie myślącej z niebem, której nie można było ukryć. TO uświęcenie nie pozwoliło władzom zabronić mu tej wyprawy. Jednak nieco uspokoiło to tych, którzy bali się, że dalsze rejony Wietrznego Morza są pełne potworów i demonów, które mogłyby się połakomić na wody przybrzeżne.

Jego załoganci wzruszyli ramionami, albo wyśmiali tę wieść. W każdym razie zgodzili się popłynąć. Dwie trzecie z nich to byli starzy wyjadacze, którzy już pływali pod jego dowództwem. Co do reszty, musiał zabrać tych, których udało się znaleźć, zubożałych robotników i różnych zbirów. Wszyscy jednak mieli wielki szacunek do Vilku.

Szary Chart był rozłożysty, płaskodenny, z niskim forkasztem i rufą, i z nadbudówką na śródokręciu. Fokmaszt niósł dwa żagle rejowe, grotmaszt jeden rejowy i jeden gafłowy, a krótki bukszpryt blind żagiel. Z obu burt dwie łodzie zwisały z Żurawików, na rufie z uprzęży na wytykach. Uzbrojony był w katapultę. Kadłub miał pomalowany na kolor zgodny z nazwą, z czerwonym obramowaniem. Z boku płynął huukin, jego grzbiet lśnił błękitem.

Kalava stał przy sterze, aż opuścili deltę rzeki i wypłynęli na Zatokę. Do tego czasu był już dzień. Gorący wiatr marszczył szarozieloną wodę, która kłębiła się za statkiem. Olinowanie świstało w jego powiewach; drewno skrzypiało. Oddał ster innemu marynarzowi, zszedł na pokład rufowy i zadał w trąbkę. Ludzie spojrzeli na niego. Ilyandi wyszła ze swojej kabiny poniżej i stanęła obok niego. Jej biała szata trzepotała jak skrzydła. Uniosła ramiona i odśpiewała zaklęcia na dobrą podróż.

— *Płonie, toczy się*
Słoneczny powóz
Gdzieś za Nieznanym Unosi się dym.
Stary, zimny księżyc
Rzadko wyjawia
Dokąd zmierza
Wraz z dalekimi gwiazdami.
Na niebie żadnych znaków
Żeby poprowadzić
Zbłąkanych ludzi.
Ale magnetyt tęskni
Do ziemi, z której przybył.

Choć ludzie ledwie rozumieli, co to znaczy, poczuli się pokrzepieni. Ziemia zniknęła za rufą, stała się cienką, błękitną kreską, która zniknęła pośród fal i mgieł. Kalava sterował przez Zatokę prosto na północ. Miał zamiar płynąć także nocą i dlatego chciał znaleźć się na wodach wolnych od innych jednostek. Ponadto wraz z Ilyandi zamierzali wypróbować jej pomysły dotyczące nawigacji. Jednak, gdy marynarze donieśli, że nie widać już innych statków, zaczęła ich przygniatać samotność.

Po zmroku wiatr się wzmógł. Do rana fale były tak wysokie, że statek mocno się kołysał. Wiał z zachodu, pchając go w stronę lądu, nieważne, jak sterowali. Gdy wypatrzyli skały przylądka Vairka skiper stwierdził, że nie jest w stanie opłynąć go bez

pomocy.

Był szorstkim człowiekiem, ale wpojono mu umiejętności właściwe dla wolnego człowieka z Klanu Samayoki. Choć żaden był z niego poeta, potrafił mówić nader przekonująco, gdy wymagała tego sytuacja. Stanął na pokładzie dziobowym i krzyknął w burzę, a słowa wracały do jego ludzi.

*— Skreć ku północy
Daj nam przejść
Burza podniosła pył wodny
Nie widać drogi do domu.
Żeglarz to szaleniec
Statek wkrótce się rozpadnie
Legnie na dnie
Jeśli nam nie pomożesz.
Odwołaj swoje sługi
Poprowadź nas na północ.*

Zwróciwszy się w ten sposób do bogów przyłożył do ust róg i wezwał swojego huukina. Wielka bestia usłyszała i prześlizgnęła się blisko. Kalava, dla bezpieczeństwa w pasie obwiązany liną, przeskoczył przez reling i spuścił się na szeroki grzbiet zwierzęcia. Za nim zeszło jeszcze dwóch mężczyzn. Razem dosiedli huukina prowadząc go między palikami, do których mogli przyczepić uprząż.

— Za długo czekałem — przyznał Kalava. — Wczoraj byłoby łatwiej. Cóż, będziecie mieli o czym opowiadać po powrocie, co?

Towarzysze wciągnęli ich z powrotem na pokład. Żagle tymczasem zostały zwinięte. Kalava wziął pierwszą wachtę przy lejcach. Mocno ściągnął huukina, którego ogon i płetwy wzbijały pianę porywaną przez wiatr, i skierował go na otwarte, nieznane morze.

III

Wędrowiec się obudził. Dekady podróży spędził wyłączony. Były takie, jak Alfa spędziłyby je świadomie, zajmując się może pracą intelektualną albo artystyczną, może rozkoszując się kontemplacją, a może działając na poziomie zbyt abstrakcyjnym, żeby wyrazić go słowami. Możliwości Wędrowca, choć duże, nie były do tego wystarczające. Hardware i software (znów używamy mitu) jego uosobienia były zaprojektowane przede wszystkim do interakcji z materialnym wszechświatem. Wskutek czego nie miał nic do roboty.

Nie miał nawet z kim porozmawiać. Zrobotyzowane systemy statku były wyrafinowane i potężne, ale pozbawione prawdziwej świadomości; nie była im potrzebna, a rozkojarzenie albo nuda mogły być dla nich niebezpieczne. Nie mógłby też porozmawiać z innymi jednostkami; przepływ sygnałów trwałby zbyt długo. Spędził jakiś czas, kilka minut czasu zewnętrznego, przeżywając życie Christiana Brannocka, badając osobowość, przyzwyczajając się do niej. Później poszedł... spać.

Statek go reaktywował, gdy przechodził przez pozostałości Obłoku Oortala^[11]. Natychmiast przytomny uruchamiał przyrząd po przyrządzie i skanował System Słoneczny. Jakkolwiek jego baza danych zawierała raporty Gai uznał, że rozsądnie będzie przyjrzeć się wszystkiemu samodzielnie. Podekscytowanie,

gorzko—słodkie poczucie, że wraca do domu, które pojawiały się obok jego chłodnej logiki, pochodziły od Christiana Brannocka. Wyobraźcie sobie dawno zapomniane uczucia, które was nawiedzają, gdy wracacie do miejsc związanych z wczesnym dzieciństwem.

Naturalnie duch w maszynie wiedział, że odkąd zamknął na zawsze swoje śmiertelne oczy, zaszły ogromne zmiany. Pierścienie Saturna były niemal całkowicie wyeksploatowane. Jowisz dorobił się kolejnego Satelity, a jego Czerwona Plama dawno już zbladła. Mars nie miał jednego księżyca, a jego oś znacznie się pochyliła. Spojrzenie w wyższej rozdzielczości pokazało skąpe ślady ludzkości. Wszystko, Od fabryk antymaterii wewnątrz orbity Merkurego po kometożniwiarki poza Plutonem, które nie były już potrzebne, zostało rozmontowane albo porzucone. Wiatr, woda, chemia, tektonika, kamienie kosmiczne, promieniowanie, rozpad jąder atomowych, przesunięcia kwantowe cierpliwie usuwały te pamiątki. Niektóre rzeczy nadal istniały, jakieś zerodowane szczątki pod ziemią czy w przestrzeni kosmicznej, poza tym wszystko było w pamięci Gai.

Nieważne. Lecieli do domu, co Wędrowiec odczuwał za pośrednictwem Christiana Brannocka. Bez wspomaganie nie zauważyłby znaczącej różnicy w wyglądzie słońca. Było nieco większe i jaśniejsze. Ludzkie zmysły odebrałyby jego światło jako bielsze, z bardzo delikatnym niebieskawym odcieniem. Niechroniona skóra szybko by zareagowała na zwiększoną dawkę ultrafioletu. Wiatr słoneczny także był silniejszy. Ale jak dotąd zmiany były relatywnie niewielkie. Ta gwiazda nadal była w głównym ciągu. Największy wpływ miało to na planety o

atmosferze z gazów cieplarnianych. Niektóre minerały na Wenus były teraz płynne. Ziemia... Statek dotarł do celu i wyhamował na orbicie parkingowej. Wędrowiec rozejrzał się. Układ mórz na Lunie nie był dokładnie taki sam, jak pamiętał, góry były niższe, pojawiły się nowe kratery. Wypełnione gruzem anomalie wskazywały miejsca, gdzie nad wymarłymi podziemnymi miastami zapadł się grunt. Jednak w gruncie rzeczy Księżyc znów był tak opuszczony, gorący za dnia i lodowaty nocą, jak przed pojawieniem się na nim życia. Zwiększył swoją odległość od Ziemi, w kategoriach kosmicznych nieznacznie, co jednak wpłynęło na wydłużenie czasu rotacji wokół planety o około godzinę. Jednak jak dotąd był wystarczająco blisko, żeby obracała się stabilnie.

Planeta matka naszym wyobrażonym oczom miała mniej do zaoferowania. Otaczały ją białe chmury. Patrząc uważnie można było dostrzec, jak wirują, ale na pierwszy rzut oka stanowiły zwartą pokrywę. W pojawiających się w niej szczelinach widać było niebieskie błyski wody i brązowe lądu — nigdzie ani śladu lodu czy śniegu, żadnych świateł po zmroku; i żadnych audycji na falach radiowych.

Kiedy na tym świecie po raz ostatni stanęła ludzka stopa? Wędrowiec przeszukał swoje bazy danych. Tej informacji brakowało. Może nie została zarejestrowana. Może ostatni człowiek umarł sam.

Z pewnością było to bardzo, bardzo dawno temu. Jak krótko działał homo sapiens Od czasów krzesiwa i ognia do mechanicznej inteligencji! Nie, żeby koniec był nagły czy prosty. Zgodnie z danymi zajął tysiąclecia: w tym czasie powstały i

upadły całe cywilizacje, pozostawiając swoich zmutowanych potomków. Czasem w tej czy innej populacji był ujemny przyrost naturalny, czasem cały naród posłuchał słów jakichś proroków i cofnął zegar historii. Ale ogólny trend był nieodwracalny. Powiązane wspomnienia Christiana Brannocka wzbudziły w Wędrowcu ludzką myśl: Widziałem początek. Nie zobaczę końca. Dla mnie to wspaniała jutrzienka nadziei.

Czy się mylę?

Jednostka organiczna jest śmiertelna. Nie ma sposobu powstrzymania ostatecznego rozpadu; to ograniczenia chemii kwantowej. Poza tym, gdyby człowiek mógł żyć przez tysiąc lat, wyczerpałaby się jego możliwość przyswajania danych, mózg nie byłby w stanie przyjąć więcej. Sporo przedtem załamałby się pod natłokiem korelacji, zidiociałby albo oszalał. Nie przeżyłby także wymogów związanych z podróżami międzygwiazdowymi z jakąkolwiek sensowną prędkością, ani zderzenia ze środowiskami odmiennymi od ziemskiego, przez co wszechświat nigdy nie był dla niego.

Jednak przeniesiony w odpowiednią strukturę nieorganiczną wzorzec połączeń neuronowych i ich związków, które stanowią wewnętrzne „ja” staje się potencjalnie nieśmiertelny. Złożony proces, który na to pozwala sprawia, że nie tylko nadal myśli, ale i czuje. Jeśli zmianie ulega jakość uczuć, to dlatego, że fizyczny organizm stał się silniejszy, bardziej wrażliwy, inteligentniejszy i świadomy. Szybko pozbędzie się tęsknoty za dawną egzystencją. Jego nowe życie daje mu tak wiele, kosmos odczuwania i doświadczania, pamięć i myśl, przestrzeń i czas. Może się powielać, łączyć i rozłączać z innymi, rozwijać się duchowo, aż

osiągnie granicę niegdyś niewyobrażalną; a potem może stać się częścią jeszcze większego umysłu i dalej się rozrastać.

To cud, myślał Christian Brannock, że oparł się temu jakikolwiek człowiek, że został przy prymitywie, Odmawiając przyjęcia do wiadomości, że jego spadkiem nie było już DNA, ale psyche.

A jednak...

Na wpół sformułowane pytanie umknęło. Jego na wpół uformowana osobowość ponownie połączyła się z Wędrowcem. Z Ziemi wywoływała ich Gaja.

Oczywiście odebrała powiadomienie, które dotarło na kilka lat przed statkiem. Jej różne instrumenty, na planecie i w przestrzeni wykryły, że się zbliżają. Żeby wysłać wiadomość zdecydowała się użyć modulowanego strumienia neutrino.

Wyobraźcie sobie jej głos.

— Witaj. Czy potrzebujesz pomocy? Służę wszelką, której mogę udzielić.

Wyobraźcie sobie niski i ciepły głos.

Wyobraźcie sobie, jak odpowiada Wędrowiec.

— Dziękuję, ale wszystko w porządku. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wyląduję bezpośrednio na dole.

— Nie do końca rozumiem, dlaczego przybyłeś. Czy mój raport nie był wystarczający?

Nie, Wędrowiec powstrzymał się od odpowiedzi.

— Wyjaśnię później, bardziej szczegółowo, niż może to udźwignąć transmisja. W gruncie rzeczy, oczywiście, jestem tu z powodu tego, co powiedziałaś. Zastanawiamy się, czy Ziemia powinna zostać uratowana.

Jej ton nieco się ochłodził.

— Powiedziałam kilkakrotnie: nie. Możecie doskonalić swoje techniki inżynieryjne, gdzie chcecie. Sytuacja tutaj jest unikalna. Wiedza, którą można zdobyć obserwując naturalny tok wydarzeń jest nieprzewidywalna, ale będzie ogromna i mam dobry powód, żeby wierzyć, iż będzie miała najwyższą wartość. — Tak może być. Chętnie cię wysłucham, jeśli będziesz skłonna wyrazić swoje myśli pełniej, niż dotychczas. Jednak chcę przeprowadzić własne badania i sam wyrobić sobie zdanie. Bez urazy; Oboje zdajemy sobie sprawę, że jeden umysł nie jest w stanie ogarnąć wszystkich możliwości, wszystkich interpretacji. Tak samo żaden pojedynczy umysł nie jest w stanie śledzić każdego obserwowanego czynnika; a to, czego się nie uda wychwycić, może wskazywać na chaotyczną zmianę. Mogę zauważyć coś, co tobie umknęło. To mało prawdopodobne, przyznaję. Po milionach lat spędzonych tutaj jesteś bardzo blisko Ziemi i życia na niej, prawda? Ale... my... chcielibyśmy uzyskać niezależną opinię.

Wyobraźcie sobie jej śmiech.

— Przynajmniej jesteś uprzejmy, Wędrowcze. Tak, zejdz na dół. Poprowadzę cię.

— To nie będzie konieczne. Twoje fizyczne centrum jest w rejonie Arktyki, tak? Trafię.

Pod łagodnością wyczuł Stal.

— Będzie najlepiej, jeśli cię poprowadzę. Uznajesz sytuację za niewątpliwie chaotyczną. Schodząc z wyznaczonej ścieżki możesz poważnie zakłócić sprawy, którymi jestem zainteresowana. Proszę. — Jak sobie życzysz — poddał się

Wędrowiec. Roboty podjęły pracę. Lądownik oderwał się od głównej bryły statku, który został na orbicie. Lądownik korzystał z własnego napędu, ale był kontrolowany z dołu. Połyskujący w świetle słońca cylinder ruszył w stronę powierzchni.

Przebił pokrywą chmur. Wędrowiec skanował chciwie. To jednak nie była wycieczka krajoznawcza. Podejście do lądowania wymagało precyzji i lecieli niemal prosto na biegun północny. Za nimi grzmiała fala dźwiękowa.

Wyśledził zarys wielkiego kontynentu rozciągającego się na wschód i zachód. W dużej mierze był pokryty zielenią. Wydawało mu się, że zauważył tam coś dziwnego, ale przelecieli obok zbyt szybko, żeby mieć pewność.

W zasięgu wzroku pojawił się obszar okołobiegunowy. Wędrowiec porównywał widok z mapami, które przekazała Gaja. Nie było na nich nic, Co pamiętał Christian Brannock. Ruchy tektoniczne zwolniły, gdy zmniejszyła się radioaktywność i pierwotna temperatura jądra Ziemi, ale dryf, subdukcja^[12] i wypiętrzanie trwały nadal.

Bardziej interesowało go tutejsze życie. Epoka po epoce Gaja opisywała postludzką ewolucję, którą obserwowała. Najpierw masowe wymieranie w paleozoiku, które dało początek niezwyklej obfitości i różnorodności życia w kredzie czy trzeciorzędzie. Jednak wszystko było inne, poza kilkoma niedobitkami. Wędrowcowi, tak jak Alfie i ostatecznie galaktycznemu mózgowi te dane wydawały się dziwnie niekompletne. Nie do końca miały sens pod względem ekologicznym — w każdym razie przez ostatnich sto tysięcy lat, czy coś koło tego. Odpowiedzi Gai też go nie miały.

Może nie zdołała zebrać pełnych danych, może coś błędnie zinterpretowała, może... To był kolejny powód, żeby go do niej wysłać.

Pod pojazdem pojawiła się Arktyka. Wyobraźcie sobie Gaję, jak nadaje jej nazwy. Tak długo, jak tu żyła, miały dla niej tożsamość. Pasma Nadbrzeżne wzgórz. Przecinała je Pozostała Rzeka, która była większa, gdy deszcze były częstsze, ale nadal była imponująca. Jej dopływy przecinały intensywnie zieloną Dolinę Obfitości. Z boku wznosiły się Góry Północne. Niegdyś najwyższe z nich były pokryte śniegiem, obecnie ich szczyty były nagie. PO zboczach spływały strumienie, większość z nich wpadała do Pozostałej Rzeki, która zmierzała do morza. W wysoko położonej dolinie lśniła Deszczowa Misa, wielkie jezioro, które ją zasilalo. Na północy wznosiła się Góra Umysłu, której szczyt, fizyczne centrum Gai, ginął pośród chmur.

W jakiś sposób te widoki były mu znajome. Przesłała mnóstwo pełnozmysłowych transmisji, jako część swojego wkładu do ogólnej wiedzy i myśli. Wędrowiec mógł nawet przywołać przeszłość geologiczną, aż do czasów, gdy Arktyka oderwała się od lądu i podryfowała na północ, uderzając w położoną tam ziemię i powodując wypiętrzenie Gór Północnych. Mógł ekstrapolować jej przyszłość geologiczną, aż do czasów, gdy czerwony olbrzym wypełniający połowę nieba będzie Świecił na pozbawiony powietrza glob skał i piasku, który w końcu się roztopi. Pomimo tego rzeczywistość, fizyczne tutaj przebywanie, poraziło go silniej, niż się spodziewał. Jego czujniki próbowały zebrać wszystkie możliwe dane, podczas gdy pojazd z nieuzasadnioną prędkością gnał do celu.

Zbliżyli się do gór. Nie były specjalnie wysokie. Ich zbocza porastał las, bujny w niższych partiach, rzadszy w wyższych, gdzie wiele drzew zmieniło się w bezlistne szkielety. Było to związane z ostatnimi zmianami klimatycznymi, obniżeniem pułapu chmur, przez co strefę dotąd obfitującą w wodę nawiedziła trwająca całe dziesięciolecia susza. (Tak, Ziemia coraz szybciej zmierzała ku zagładzie). Pożary muszą być stałym zagrożeniem, pomyślał. Ale nie, roboty Gai mogły je szybko ugasić, albo mogła je po prostu ignorować. Jednak nieduży teren na wierzchołku, który zajmowała, był wybrukowany i z pewnością nie było tam niczego, co mógłby strawić żar.

Wylądował. Przez chwilę czasu planetarnego, bardzo długą dla umysłów pracujących niemal z prędkością światła, panowała cisza komunikacyjna.

Znów był ponad chmurami. Szczyt w promieniach zachodzącego słońca unosił się nad nimi jak wyspa. Niebo było przejrzyste fioletowe. Wiał lekki wiatr, zimny na tej wysokości. Na Obszarze około kilometra tłoczyły się bloki i silniki centrum.

Człowiek zobaczyłby opalizującą kopułę otoczoną wieżami, niektóre były proste jak lance, inne jak skomplikowana koronka; srebrne pajęczyny; i pomniejsze rzeczy o zróżnicowanych, ale ciekawie prostych kształtach, ruchome jednostki czekające na zadania. Tu i ówdzie unosiły się pojazdy latające, małe i śliczne jak kolibry (gdyby nasz człowiek wiedział, czym były kolibry). Dla Gai obraz lekko by falował, jakby patrzyła przez wodę, przenikały go ciche energie, pulsował w kosmicznym czasie.

Wędrowiec wyczuwał złożone pola siłowe, fale kwantowe i mikroskopowe oraz submikroskopowe jednostki, które stanowiły

większą część centrum.

— Witaj ponownie — odezwała się Gaja.

— A ja ponownie dziękuję — odparł Wędrowiec. — Cieszę się, że tu jestem.

Przypatrywali się sobie nawzajem, nie jako ciałom — którego żadne z nich nie miało — ale jako umysłom, matrycom pamięci, indywidualności i świadomości. Zastanawiał się, co ona o nim pomyślała. Nie dawała mu więcej siebie, niż to, co zawsze pokazywała podczas komunikacji międzygwiazdnej. To był organizm węzłowy, jak Alfa i miliony innych, który przez eony nieprzerwanego doświadczania i myślenia zwiększył swoje możliwości; wieki interakcji z Ziemią i życiem na Ziemi być może ukształtowały jej duszę mocniej, niż egzystencja, którą dzieliła ze swoim rodzajem; wyczuwał ślady ludzkich uploadów, ale nie takich, jak Christian Brannock, kopie rozsiane po całej galaktyce, nie, te zdecydowały się zostać z planetą matką...

— Mówiłam ci, że ja także się cieszę — powiedziała Gaja z ubolewaniem — ale nie do końca. Kwestionujesz mój zarząd.

— To nie tak — zaprotestował Wędrowiec. — I mam nadzieję, że nigdy tak nie będzie. Po prostu chcemy wiedzieć lepiej, jak tu sobie radzisz.

— Dlaczego? Przecież wiecie. Jak każdy z nas, kto osiadł na planecie, większość moich działań ma na celu badanie jej złożoności, podążanie za ewolucją. Na tej planecie oznacza to przede wszystkim ewolucję życia, wszystko od genetyki po ekologię. W jaki sposób popełniłam błąd dzieląc się informacjami z moimi towarzyszami? Na wiele sposobów, pomyślał Wędrowiec.

— Kiedy my — tutaj odniósł się do galaktycznego mózgu — starannie rozważyliśmy tę kwestię, znaleźliśmy mnóstwo zagadkowych rzeczy. Na przykład...

Po czym wymienił setki przykładów sięgających tysiącleci. Przedstawmy jeden z nich. Około dziesięciu tysięcy lat temu na wielkim kontynencie na południe od Arktyki było mnóstwo dużych przeżuwaczy. Ich stada wypełniały równiny i lasy. Gaja opisała je z uczuciem, od lirowatych rogów jednego gatunku do rozwiewanych wiatrem grzyw innych. Nagle, w terminach historycznych, nie pojawiła się już żadna wzmianka o nich. Gdy spytano ją dlaczego, odparła, że wyginęły. Nigdy nie wyjaśniła, w jaki sposób.

Odpowiedziała Wędrowcowi z takim pośpiechem, że odniósł wyraźne wrażenie, iż zdała sobie sprawę z tego, jaki popełniła błąd. (Pamiętajcie, to mit).

— Było wiele powodów. Wraz ze wzrostem temperatury klimat stał się ciężki...

— Przepraszam — sprzeciwił się — ale po przeanalizowaniu danych meteorologicznych, które przekazałaś uważamy, że ocieplenie i susze w tych regionach nie mogą być jeszcze tak wyraźne.

— Skąd możecie mieć taką pewność? — odpowiedziała ostro. Wyobraźcie sobie jej gniew. — Czy ktokolwiek z was żył na Ziemi, żeby tak dobrze to wiedzieć? — jej ton stwardniał. — Nie twierdzę, że wiem wszystko. żyjący świat jest zbyt złożony, a tym samym chaotyczny. Nie możecie tego docenić? Wciąż szukam znaczenia różnych zjawisk. W tym wypadku pomyślcie, jak mała zmiana środowiskowa, w połączeniu z nowymi chorobami i

paroma innymi czynnikami, może wpłynąć na całość. Wierzę, że może to zachwiać naturalną równowagą. Ale dopóki nie dowiem się więcej nie będę marnować energii na mówienie o tym.

— Zgadzam się z tym — powiedział łagodnie Wędrowiec, w nadziei na pojednanie. — Może uda mi się odkryć albo zasugerować coś, co w tym pomoże.

— Nie. Jesteś ignorantem, jesteś ślepy, możesz tylko szkodzić. Zesztywniał.

— Zobaczymy.

Raz jeszcze spróbował się pogodzić.

— Nie mam wrogich zamiarów. Przybyłem, ponieważ wszyscy stąd pochodzimy, i myślimy o zachowaniu tego Świata.

Nieco się uspokoiła.

— W jaki sposób?

— Właśnie po to, między innymi, przyleciałem, żeby się tego dowiedzieć. Na początek może być ekran z gruzu kosmicznego umieszczony między Ziemią a Słońcem, utrzymywany siłami grawitacji i elektromagnetyzmu, żeby Odbić tę część energii, która nie jest pożądana. To jednak byłoby tylko tymczasowe rozwiązanie, być może niewarte zachodu. Zależałoby to od czasu, który trzeba by poświęcić na prawdziwą pracę. Maszyny na orbicie gwiazdy, zasilane przez promieniowanie mogłyby generować w jej płaszczu napięcie, które doprowadzałoby do jądra świeży wodór, dzięki czemu wróciłoby do dawnego stanu. Albo mogłyby wypuścić gaz w kosmos, zmniejszając masę Słońca, przytłumiając jego żar, ale tym samym uzyskując wiele miliardów lat równej pracy. To spowodowałoby wydłużenie orbit planet, co trzeba by wziąć pod uwagę, ale byłoby łatwiejsze

do przeprowadzenia.

Niezależnie od decyzji do przeprowadzenia czegoś takiego trzeba by zużyć zasoby kilku gwiazd, a czasu było coraz mniej.

— Ogromna praca — powiedziała Gaja.

Wędrowiec zastanawiał się, czy ma na myśli jej skomplikowanie, czy zmiany widoczne na niebie, stulecia, podczas których widać będzie strumienie ognia strzelające z tarczy słonecznej. — Dla wielkiej chwały — Odparł.

— Nie — powiedziała krótko. — To niczemu nie będzie służyć. To destrukcja wszystkiego, dla czego żyję. Utrata dziedzictwa. — Dlaczego, czyż Ziemia nie jest dziedzictwem?

— Nie. Jest nim wiedza. Usiłowałam uświadomić to Alfie. — Umilkła na moment. — Tobie powtórzę to raz jeszcze: ewolucja życia, jego adaptacje, walka, zmiany, i to, jak ostatecznie umiera — to rzeczy niespotykane nigdzie indziej w czasoprzestrzennym wszechświecie. To da nam wiedzę, której mózg galaktyczny nie jest w stanie sobie wyobrazić. To może otworzyć przed nami niezwykle, nowe drogi rozwoju.

— A dlaczego nie życie kwitnące przez miliardy lat?

— Ponieważ ja, obserwatorka wieków, zebrałam wiedzę o jego przeznaczeniu, uzyskałam z nim pewną harmonię... — westchnęła. — Och, nie rozumiesz. Nie chcesz zrozumieć.

— Wręcz przeciwnie — powiedział Wędrowiec tak miękko, jak tylko mógł. — Mam nadzieję zrozumieć. Powodem mojego przybycia jest także to, że tutaj możemy się komunikować jaźń w jaźń, pełniej, niż przez lata świetlne, a na pewno szybciej.

Milczała przez chwilę. Gdy znów się odezwała, jej ton był łagodny.

— Bardziej... intymnie. Tak. Wybacz moją niechęć. To nie było właściwe. Zrobię, co w mojej mocy, Żebyś poczuł się mile widziany, i pomogę ci się uczyć.

— Dziękuję, dziękuję bardzo — radośnie odpowiedział Wędrowiec. — A ja zrobię, co tylko będę mógł.

Słońce schowało się pod chmurami. Nad niebie pojawił się półksiężyc. Wiatr nieco się wzmógł i nieco ochłodził.

— Ale jeśli zdecydujemy przeciwko zachowaniu Ziemi — zapytał Wędrowiec — jeśli będzie jej przeznaczone zginąć, jeśli każdy ślad historii zniknie, nie będziesz rozpaczać?

— Dane, które zebrałam, będą bezpieczne — odparła Gaja.

Zrozumiał, co miała na myśli: bazę danych o wszystkim, co było wiadomo o tym świecie. To było tutaj, w niej. Sporo przechowywane było także gdzie indziej, ale ona miała całość. Gdy Słońce stanie się pożerającym swoje dzieci potworem, ona przeniesie swoją fizyczność na obrzeża systemu.

— Ale zrobiłaś coś poza ich pasywnym zabezpieczeniem, prawda? — powiedział.

— Tak, oczywiście. — Jak taka inteligencja mogłaby tego nie zrobić? — Zastanawiam się nad tymi danymi, pracuję nad nimi, oceniam je i próbuję zrekonstruować warunki, które opisują.

A przez ostatnich kilka tysięcy lat byłaś strasznie małomówna i wykręcałaś się od odpowiedzi na pytania o te dane, pomyślał.

— Masz duże luki do wypełnienia — wskazał.

— To oczywiste. Także przeszłość poddaje się prawom probabilistyki kwantowej. Ale w jaki sposób poznajemy historię?

— To dlatego tworzysz różne emulacje, żeby zobaczyć, do czego doprowadzą. I o których nie powiedziałaś prawie nic.

— Wiedziałaś o tym. Przyznaję, że poza próbami dowiedzenia się, co się stanie, tworzę światy, Żeby pokazać, co mogłoby się zdarzyć.

Był zaskoczony. Nie próbował rozmyślnie skłonić jej do takiego wyznania. Potem sobie uświadomił, iż przewidziała, że miał to sprawdzić.

— Dlaczego? — spytał.

— Dla pełniejszego zrozumienia.

Tak, pomyślał Wędrowiec, ona tu jest od czasów ludzkości. Jej załączek istniał przed narodzeniem Christiana Brannocka. Do jej rosnącej pełni trafiły wzorce umysłów ludzi, którzy zdecydowali się zostać na starej Ziemi. A z latami musiały być takich ludzi dziesiątki milionów.

Oczywiście, że była zafascynowana przeszłością. Żyła nią. Czy to dlatego przyszłość była jej obojętna, czy to dlatego wręcz pragnęła katastrofy? Z jakiegoś powodu ta myśl nie wydała mu się właściwa. Gaja była zagadką, którą musiał rozwikłać.

Zaryzykował ostrożnie.

— Czyli działasz tak, jak fizyk, śledząc przez czasoprzestrzeń hipotetyczne konfiguracje funkcji falowej — tyle że podmioty twoich eksperymentów są świadome.

— Nie robię nic złego — powiedziała. — Chodź ze mną do któregośkolwiek z tych Światów i sam zobacz.

— Chętnie — zgodził się, nie mając pewności, czy nie kłamie. — Jednak, jak wiesz, moje obowiązki wymagają, bym Sam zbadał środowisko materialne.

— Tak będzie. Pozwól, że pomogę ci się przygotować.

Milczała przez chwilę. W tym rzadkim powietrzu człowiek

dostrzegłby mruganie pierwszych gwiazd.

— Wierzę jednak, że dzięki temu prawdziwie się poznamy.

IV

Burza trwała, aż ludzie bez ustanku musieli pracować przy pompach. Szary Chart sunął na wschód wzdłuż południowego wybrzeża nieznanego lądu. Gnał go tak wiatr. Huukin płynął za statkiem, tak zmęczony i wygłodzony, że siły, które mu pozostały, trzeba było zachować na poważniejsze okoliczności. Brzeg był zielony jak szmaragd, z wyjątkiem miejsc, gdzie ciemniał Od drzew. Dalej widać było pasmo łagodnych wzgórz. Wszystko tętniło życiem, widać było pasące się zwierzęta, nad głowami przemykały ptaki. Była to ziemia nietknięta ludzką stopą. Fale przyboju uderzały z taką siłą, że Kalava nie był pewny, czy łódź mogłaby je pokonać. Tymczasem nałapali deszczówki.

Stał na dziobie, wpatrując się w dal, z Ilyandi u boku. Wiatr wył i świstał dookoła, chłodniejszy, niż byli przyzwyczajeni. Woda niosła pasma wodorostów, a niebo było ciężkie od deszczowych chmur. Fale sięgały wysoko, szarozielone, strumieniami strzelała piana. Statek zataczał się, kołysał i skrzypiał.

Jednak nienormalnie często widzieli niebo. Ilyandi uważała, że chmury — bez wątplenia opary wyssane z ziemi przez gorąco, które z powrotem zamieniały się w wodę, tak jak para z czajnika — w tym klimacie formowały się wolniej. Zajęta swoimi przyrządami i obserwacjami wreszcie przekazała swoje nowiny

kapitanowi.

— Uważasz więc, że wiesz, gdzie jesteśmy? — spytał ochryple.

Na jej wymizerowanej twarzy, osłoniętej kapturem peleryny, pojawił się blady uśmiech.

— Nie. Ten kraj jest równie bezimienny dla mnie, jak dla ciebie. Ale tak, myślę, że mogę powiedzieć, iż jesteśmy nie dalej niż pięćdziesiąt dni marszu od Ulonai, a może tylko czterdzieści.

Kalava uderzył pięścią w burtę.

— Na topór Ruvio! Miałem taką nadzieję! To znaczy, że pogoda gnała nas między dwoma wybrzeżami. Nie dotarliśmy na tyle daleko, żeby nie móc wrócić. Można więc wyznaczyć lepszą trasę. Najpierw możemy popłynąć na Wyspy Krańcowe i spokojnie poczekać na lepsze wiatry. Skipper zauważy ląd. Jeszcze kilka podróży i opracujemy szlak, którym będzie można żeglować tylko na podstawie wskazań magnetytu.

— Bez stawania na kotwicy?

Zaśmiał się, czego nie robił od wielu dni.

— Co do tego...

Z bocianiego gniazda rozległ się krzyk. Ludzie na pokładzie unieśli oczy. Zapanowało przerażenie.

Później każdy opowiadał co innego. Jedni mówili, że chmury przebiła ognista włócznia, za którą rozległ się grzmot. Inni mówili o mieczu długości kadłuba i kapiącej z niego krwi. Jeszcze ktoś widział bestię z rozwartą paszczą i trzema płonącymi ogonami... Kalava zapamiętał dzidę pośród wirujących tęcz. Gdy na chwilę zostali sami Ilyandi powiedziała mu, że pomyślała o wahadle, które pojawia się i znika. Wszyscy świadkowie zgodzili się, że to przyszło z za morza, spadło z niebios i zniknęło za

wzgórzami.

Ludzie poszaleli. Niektórzy biegali z krzykiem. Inni wzywali bogów. Niektórzy leżeli na pokładzie i dygotali albo zwijali się w kłębek i zaciskali oczy. Nikt nie pilnował steru ani pomp, statek płynął jak chciał, żagle trzepotały, świstały liny.

— Bacność! — ryknął Kalava. Zeskoczył na pokład. — Jesteście mężczyznami? Wstawać albo zdychać!

Kopniakami, i ciosami pięści zagonił załogę z powrotem do obowiązków. Jeden z ludzi krzyknął i wyciągnął na niego nóż. Bez wahania znokautował buntownika. W ostatniej chwili udało się odzyskać kontrolę nad Szarym Chartem. Był jednak zbyt blisko brzegu, co zagrażało huukinowi. Kalava przejął ster i wyprowadził statek z powrotem na głębsze wody.

Marynarze oprzytomnieli i nabrali nieco odwagi. Gdy Kalava mógł już przekazać ster, zapukał do Ilyandi i długo rozmawiali w jej kabinie. Potem wrócili na dziób. Kalava krzyknął, żeby zwrócić na siebie uwagę. Stojąc bok w bok popatrzyli na tych marynarzy, którzy chwilowo nie mieli nic do roboty, wystraszonych, przerażonych albo ponurych.

— Posłuchajcie — powiedział. — Przekażcie to pozostałym. Wiem, że najchętniej zawrócilibyście teraz na południe. Ale nie możecie. Co wolicie, szansę na bogactwo i sławę, czy pewną śmierć? Musimy naprawić uszkodzenia, musimy odpocząć, a potem poześlujemy do domu wioząc wspaniałe nowiny. Kiedy to się stanie? Niedługo, mówię wam, że niedługo. Patrzyłem na wodę. Sami popatrzcie. Zwróćcie uwagę, że jest coraz bardziej brązowa, i że na falach unoszą się rośliny. To oznacza rzekę, wielką rzekę, która gdzieś niedaleko uchodzi do morza. A to

oznacza dla nas port. Co do tego, co widzieliśmy, oto jest Vilku, nasza pani Ilyandi, która się o tym wypowie.

Myśląca z niebem zrobiła krok do przodu. Przebrała się w czystą, białą szatę z emblematami jej powołania. Choć mówiła cicho, jej głos przykuwał uwagę.

— Tak, to był przerażający widok. Czy to było ostrzeżenie dla nas? Nie, ponieważ gdyby to coś tyle o nas wiedziało, to wiedziałoby także, że nie możemy tak od razu zawrócić. Czy w ogóle zwróciło na nas uwagę? Całkiem możliwe, że nie. Zgadza się, to było bardzo dziwne, ale nie oznacza zaraz zagrożenia. Świat pełen jest dziwnych rzeczy. Mogłabym wam opowiedzieć o rzeczach przez całe stulecia widywanych w nocce, o ogniu spływającym z nieba i gwiazdach ze Świecącymi ogonami. My, z Vilkui, nie rozumiemy ich, ale też się ich nie boimy. Traktujemy je z należnym honorem i szacunkiem, jako znaki Od bogów.

Zrobiła chwilę przerwy.

— Co więcej, w tajnych kronikach naszego zgromadzenia znajdują się opisy wizji i cudów większych od nich. Wszyscy wiedzą, że od czasu do czasu bogowie rozmawiają z niektórymi świętymi mężami lub niewiastami, aby wskazać ludziom drogę. Może nie powiem, w jaki sposób się objawiają, ale to, co widzieliśmy dziś, nie było całkiem niespotykane. Wierzmy zatem, że znak, który ujrzeliśmy, był dobrym omenem.

Przeszła do zaklęcia opiekuńczego i wezwania Mocy. To pokrzepiło większość z jej słuchaczy. Podziwiali ją, ale z trwogą. Poza tym większość z nich pływała już z Kalavą i dobrze na tym wyszli. Zmusili pozostałych do posłuszeństwa.

— Rozejść się — powiedział kapitan. — Wieczorem dostaniecie

rację wódki.

Odpowiedział mu słaby aplauz. Statek płynął dalej. Następnego ranka faktycznie znaleźli szeroką, osłoniętą zatokę, z wodą mętną od mułu. Zaprzęgli huukina i płynęli przez nią ostrożnie, aż natrafili na rzekę, której istnienie przewidział Kalava. Wraz z kilkoma mężczyznami łodzią przeprowił się na brzeg. Bagna, łąki i lasy obfitowały w żywe stworzenia. Wiele roślin było im nieznanych, rozpoznał jednak kilka, między innymi jadalne owoce i bulwy.

— Dobrze — stwierdził. — Ta ziemia na nas czeka.

Nie spadł na niego żaden grom z jasnego nieba.

Znalazwszy odpowiednie miejsce powiosłował na statek, zaczekał na przyływ i wyprowadził go na brzeg. Zauważył, że woda często podnosiła się jeszcze wyżej, był więc spokojny, że gdy będzie trzeba, znów go zwoduje. To będzie wymagało czasu, ale nie czuł potrzeby pośpiechu. Niech ludzie założą porządną obóz, pomyślał, odpoczną i się najedzą, i dopiero wtedy zabierzemy się do pracy. Haczyki, sieci i sidła dadzą bogate zdobycze. Kilku członków załogi było dobrymi myśliwymi. W tym on sam.

Popatrzył w górę, w stronę wzgórz. Tak, wkrótce poprowadzi oddział, żeby się dowiedzieć, co jest za nimi.

V

Gaja nigdy nie ukrywała swoich prac nad rekonstrukcją ludzkiej historii. Być może było to jej największe osiągnięcie. Ale powoli ci członkowie galaktycznego mózgu, którzy uważnie się temu przyglądali, zaczęli dochodzić do wniosku, że stało się to jej obsesją. A później — w ciągu ostatnich stu tysięcy lat, Czy coś koło tego — stwierdzili, że jej raporty Są rzadsze, niosą mniej informacji i są bardzo niejednoznaczne. Nie naciskali na nią; mieli całą cierpliwość wszechświata. Mimo to coraz bardziej się martwili. Szczególnie Alfa, która jako działająca najbliżej miała z nią najczęstszy kontakt; i teraz Wędrowiec. Działania i motywacje Gai były głównym czynnikiem, który zdecydował o wysłaniu kogoś na Ziemię. O tym, czy należy uratować planetę nie można było zdecydować bez podjęcia próby lepszego zrozumienia Gai.

Z pewnością ważną częścią jej psychiki była historia i archeologia, wszystko, od pochodzenia zwierząt do wypełnienia maszyny gatunkiem ludzkim. Ponadto uploadowały się w nią niezliczone umysły, które stały się elementami jej bytu — daleko więcej, niż było to w przypadku wszystkich innych węzłów. co robiła z nimi wszystkimi przez te lata, i co one zrobiły z nią?

Nie mogła tak po prostu odmówić Wędrowcowi; dziedzictwo należało do całej wspólnoty, a w szczególności do kosmicznej

inteligencji przyszłości. Prowadzony przez nią zbadałby całą bazę danych mieszczącą jej obserwacje i zapis działań. Pracowałby w namacalnej rzeczywistości geologicznej, biologicznej i astronomicznej.

Co do innej rzeczywistości, tej wewnętrznej, zapisów jej pracy i emulacji ludzkości — żeby to ocenić, wydawało się konieczne czysto ludzkie podejście. Dlatego właśnie program Wędrowca zawierał matrycę umysłu człowieka.

Christian Brannock został wybrany spośród tych, którzy się uploadowali, ponieważ był jednym z najwcześniejszych, mniej niż pozostali uformowanym przez kontakty z maszynami. Wigor, inteligencja i zdolność do przystosowania się były równie ważnymi cechami.

Jego osobowość sama w sobie była konstruktem, szczegółowo odtworzonym przez Alfę, która wzięła komponenty jego własnego umysłu i zintegrowała je ze Świadomością, która stała się aspektem Wędrowca. Z pewnością nie była to idealna kopia oryginału. Na pewno, choć miała wszystkie wspomnienia z Życia Christiana Brannocka, jej spojrzenie na Świat należało do młodzieńca, a nie do starego człowieka. W dodatku miała pewną wiedzę — ledwie szkic, bardzo uproszczony, żeby jej nie przeciążyć — o tym, co działo się z nim od czasu śmierci ciała. Głęboko w podświadomości była tęsknota do pełniejszej egzystencji. Jednak wiedząc, że po wykonaniu zadania wróci do jedni nie żałował. Raczej, w zakresie, którego nie obejmował Wędrowiec, znajdował przyjemność w odczuciach, myślach i emocjach, o których tak dawno zapomniał.

Gdy różnicowanie się zakończyło, doświadczenie ponownego

bycia człowiekiem stało się niemal wszystkim i było to doświadczenie radosne, bo tak było w przypadku życia tego konkretnego człowieka.

Żeby opisać, jak to zrobiono, znów musimy odwołać się do mitu i powiedzieć, że Wędrowiec załadował podprogram Christiana Brannocka do głównego komputera systemu, który stanowiła Gaja. Żeby opisać, jak to faktycznie wyglądało, trzeba by użyć pojęć matematyki mechaniki fal i koncepcji wielopoziomowej, zmiennej rzeczywistości, które wymagają umysłów sprawniejszych od ludzkich.

Możemy jednak jasno powiedzieć, że to, co stało się w systemie, nie było ledwie symulacją. To była emulacja^[13]. To, co się działo, nie było tym samym, co zachodziło między molekułami ciała i krwi; ale na swój sposób było równie realne. Osoby stworzone w taki sposób mają wolę tak sarno wolną, jak śmiertelnicy i można je tak samo zranić.

Wyobraźcie sobie grupę różnych ludzi. Każdy z nich coś robi, powiedzmy, że tylko myśli, wspomina albo śpi. Dodajmy do tego procesy fizjologiczne i biochemiczne. Oddziałują na siebie nawzajem i także na swoje otoczenie; i obejmuje to każdy element tego otoczenia, nawet zwykły kamień albo liść, albo foton światła. Złożoność wydaje się nie do pojęcia, nie do obliczenia. Ale myślcie dalej: w tej jednej chwili, każda część całości, nieważne, jak mała, jest w jednym, konkretnym stanie; i tak samo całość. Elektrony są na swoich torach, atomy mają określone konfiguracje, pola energetyczne w każdym punkcie mają określone wartości. Wyobraźcie to sobie jako nieskończenie doskonałą fotografię.

Chwilę później stan się zmienia. Nieznacznie, ale jednak pola pulsują, atomy się przemieściły, elektrony przeskoczyły, ciała się poruszyły. Jednak ten nowy stan, zgodnie z prawami natury, wynika z poprzedniego. I tak samo każdy następny.

W niedoskonałym języku mitu: każdą wariację jednego stanu przedstawia zestaw liczb; bądź, żeby ująć to inaczej, każdy stan jest zmapowany w n -wymiarowej przestrzeni fazowej. Wprowadzić prawa natury. Uruchomić program. Model komputerowy powinien wówczas przechodzić Od stanu do stanu zgodnie z tokiem ewolucji naszego podstawowego budulca — energii. To obejmuje życie i świadomość. Mapy organizmów obejmują wszystkie stany jeden do jednego, łącznie z procesami odczuwania i myślenia. Dla nich one same i ich świat są takie same, jak oryginał. Pytanie, co jest bardziej prawdziwe, nie ma sensu.

Oczywiście to prymitywne podejście jest z gruntu błędne. Program nie naśladuje dokładnie toku wydarzeń z „zewnątrz”. Gaja nie miała ani wystarczających danych, ani możliwości obliczeniowych, żeby stworzyć w ten sposób cały wszechświat, a nawet całą Ziemię. Nie miał ich żaden inny węzeł, ani galaktyczny mózg. Takie możliwości były pieśnią odległej przyszłości, jeśli w ogóle. Luki w założeniach Gai nie stanowiły jednak znaczącej różnicy w odniesieniu do całego gatunku.

Przykładowo, jeśli ma się coś dziać na powierzchni planety, to gwiazdy muszą być światłami na nocnym niebie i niczym więcej. Tylko ograniczony kawałek globu może być oddany we wszystkich detalach; reszta w miarę wzrostu odległości od sceny działania robi się coraz bardziej niekompletna, stąd antypody

miały ledwie zarysowane warunki geograficzne, hydrograficzne i atmosferyczne. Dlatego pogoda bardzo szybko zaczęłaby odbiegać od oryginalnej. To najprostsza i najbardziej oczywista konsekwencja ograniczeń. Całość jest nie do ogarnięcia — a nawet nie wspomnieliśmy o relatywistycznej nierównoczesności.

Poza tym modelowanie atom po atomie jest praktycznie niemożliwe; muszą wystarczyć mechanizmy statystyczne i przybliżenia. Chaos i nieokreśloność kwantowa sprawiają, że jest to z definicji nieobliczalne. Mają tu także znaczenie inne, głębsze kwestie, jednak język nie radzi sobie z nimi. Powiedzmy więc językiem mitu, że takie kreacje same tworzą sobie przeznaczenie.

I jakim wspaniałym narzędziem był ten system! Znikąd mógł powołać do istnienia światy, ewolucję, życie, ekologię, świadomość, historię. To nie musiały być fragmentaryczne kopie „rzeczywistości”, wyrwane ze swoich czasów, aż węzłowej inteligencji zrobi się ich żal i je skasuje. W gruncie rzeczy nie musiały w ogóle wywodzić się z „zewnątrz”. Mogły być całkowicie wyimaginowane — może jak bajki, w których rządzą dobrotliwi bogowie i istnieje magia. Jednak logika ich warunków krańcowych powodowała, że zawsze rozwijały się stosownie do nich. System ten był najpotężniejszym urządzeniem, jakie kiedykolwiek zajmowało się sztuką, nauką, filozofią i pojmowaniem. Stało się więc tak, że Christian Brannock znowu żył, znów był młody w świecie, który Gaja i Wędrowiec wybrali na jego nowy początek.

Stał w ogrodzie. Był słoneczny dzień. Wiał lekki wiatr przesycony aromatami kwiatów. To był uporządkowany ogród z wygrabionymi ścieżkami, niskim żywopłotem, różami i liliami na geometrycznych klombach wokół omszałej, kamiennej sadzawki, w której pływały złote rybki. Ceglane mury porośnięte bluszczem zamykały go z trzech stron, kuta, żelazna brama prowadziła na trawnik. Z czwartej strony stał dom z dachem pokrytym łupkiem, o klasycznych proporcjach, w stylu, który dla niego był antyczny. Bzyczały pszczoły. Z cisu opierającego się o mur dochodziło ćwierkanie ptaków.

W jego stronę szła kobieta. Jej kwiecisty strój, obszerna spódnica i rękawy, kamea na piersi poniżej linii dekoltu, delikatne trzewiczki i parasolka służąca raczej za element ozdobny sprawiły, że w swoim jednoczęściowym stroju z dwudziestego trzeciego wieku nagle poczuł się jak barbarzyńca. Była wysoka i dobrze zbudowana. Sylwetkę miała zgrabną. Gdy się zbliżyła, pod wysoko upiętymi, brązowymi włosami zobaczył wyraziste rysy.

Dotarła do niego, zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

— Benveni, capita Brannock — przywitała go. Jej głos był niski i śpiewny.

— Yyy, dobry, sorita... eee... — wydukał. Zarumieniła się.

— Proszę o wybaczenie, kapitanie Brannock. Zapomniałam się i użyłam inglay — angielskiego moich czasów. Jestem... — zawahała się — pańskim uzupełnieniem i oboje znamy zbliżoną

wersję języka.

Miał poczucie nierealności. Starał się mówić tak spokojnie, jak tylko był w stanie.

— Czy to znaczy, że pochodzi pani z mojej przyszłości?

Kiwnęła głową.

— Urodziłam się jakieś dwieście lat po panu.

— Czyli po mojej śmierci, tak? — zobaczył, że przez jej twarz przemknął cień. — Przepraszam — powiedział. — Nie chciałem pani zdenerwować.

Uspokoila się i uśmiechnęła lekko.

— W porządku. Oboje wiemy, czym jesteśmy i czym byliśmy.

— Ale...

— Tak — potrząsnęła głową. — To faktycznie dziwne uczucie, bycie... tym... znowu.

Szybko odzyskał pewność siebie i dostosował do sytuacji. — Wiem. Mam w tym wprawę. — Lata świetlne temu, w gwieździe zajmowanej przez Alfę. — Proszę się nie martwić, wkrótce pani przywyknie.

— Przez jakiś czas byłam tutaj sama. Choć młoda... — Wyszepiała — pamiętam długie życie, starość, śmierć...

Wypuściła z dłoni parasol i popatrzyła na nią. Zacisnęła palce.

— Pamiętam, jak wspominałam koniec i myślałam sobie — to wszystko?

Chciał ująć te dłonie i powiedzieć coś uspokajającego, ale uznał, że to nie jest dobry pomysł.

— No, to nie było wszystko — powiedział.

— Nie, oczywiście, że nie. Nie dla mnie. Kiedy moje zużyte ciało umierało, mój wzorzec został uploadowany... — podniosła

wzrok. — Teraz trudno to przywołać, prawda?

— Możemy patrzeć w przyszłość.

— Och, tak. A tymczasem... — przeciągnęła się, rozejrzała, dopuściła do siebie powietrze i światło, aż wreszcie na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. — Zaczyna mi się to podobać. Już mi się podoba.

Przyjrzała mu się. Był wysokim mężczyzną, muskularnym, o blond włosach i wyrazistej, spokojnej twarzy. Oczy okalały drobne zmarszczki od śmiechu. Mówił wibrującym barytonem.

Uśmiechnął się, zadowolony.

— Dziękuję. Mogę zapytać o pani imię?

— Och, przepraszam! — wykrzyknęła. — Zupełnie o tym zapomniałam. Zostałam... powołana do istnienia... z wiedzą dotyczącą mojego zadania i tego środowiska, i od tego czasu powtarzam sobie w głowie to wszystko, ale gdy przyszło co do czego moje plany zupełnie się posypały. Jestem... byłam... nie, jestem Laurinda Ashcroft.

Wyciągnął do niej rękę. Po chwili ją uściśnęła. Przypomniał sobie, że pod koniec jego życia ten gest wyszedł z użycia.

— Podejrzewam, że ty coś o mnie wiesz — powiedział — ale ja jestem kompletnym ignorantem, jeśli chodzi o ciebie i twoje czasy. Gdy opuściłem Ziemię wszystko zmieniało się błyskawicznie, a potem nie miałem kontaktu z planetą.

A w końcu jego indywidualność podążyła za pragnieniem połączenia się z czymś więcej. Ponowne powołanie go do życia nie szło w parze z wiedzą o ziemskiej historii. Od czasów jego odlotu.

— Wyruszyłeś do gwiazd niemal zaraz po tym, jak cię

uploadowano, prawda? — zapytała.

Przytaknął.

— Po co miałem czekać? Zawsze tego chciałem.

— Jesteś zadowolony z tej decyzji?

— Bardzo.

Przez kilka sekund układał sobie słowa w myślach. Język był dla niego ważny; był inżynierem, a od czasu do czasu pisał piosenki.

— Jednak jestem szczęśliwy, że tu jestem — znów krótki uśmiech. — W tak miłym towarzystwie.

Jednak tak naprawdę miał nadzieję się wytłumaczyć. Będą podróżować w poszukiwaniu swoich dusz.

— I wniosę coś nowego do mojej egzystencji. Nagle pojąłem, że człowiek może docenić w szczególny sposób cuda, które spotyka: słońca, światy, samo życie, ogniste chmury mgławic, w nieskończoność wpadające w gardła czarnych dziur, galaktyki jak klejnoty, subtelną strukturę czasoprzestrzeni, z której istnienia nie zdawałem sobie sprawy jako człowiek, bo żadne stworzenie organiczne nie może podróżować na takie odległości.

— Podczas gdy ja wybrałam pozostanie na Ziemi — powiedziała.

— Muszę ci się wydawać bojaźliwa i pozbawiona wyobraźni.

— Ależ skąd — zaprotestował. — Miałaś przygody, których pragnęłaś.

— Miło, że tak mówisz — przerwała na chwilę. — Znasz Jane Austen?

— Kogo? Nie, nie wydaje mi się.

— Pisarka z początków dziewiętnastego wieku. Prowadziła spokojne życie, nie oddalała się od domu, umarła młodo, a mimo

to znała ludzi głębiej, niż ktokolwiek.

— Chciałbym ją poczytać. Może tutaj będę miał okazję. — Chciał pokazać, że nie jest do końca tworem techniki. — Dużo czytałem, zwłaszcza podczas misji kosmicznych. Przede wszystkim poezje. Homer, Szekspir, Tu Fu, Basho, Bellman, Burns, Omar Khayyam, Kipling, Millay, Hałdeman... — uniósł rękę i roześmiał się. — Nieważne. To tylko przykładowe nazwiska, które pamiętam.

— Musimy się lepiej poznać, prawda? Chodźmy do środka, odpocznijmy i porozmawiajmy.

Podniósł z ziemi jej parasolkę i przypominając sobie dramaty historyczne, które oglądał, zaoferował jej ramię. Ruszyli powoli między kwietnikami. Wiał wietrzyk, śpiewały ptaki, pachniały róże.

— Gdzie my jesteśmy? — spytał.

— I kiedy? — odparła. — W Anglii połowy osiemnastego wieku, w hrabstwie Surrey.

Kiwnął głową. W gruncie rzeczy był bardzo odczytany.

— Gaja i Wędrowiec uznali, że taka enklawa spokoju będzie najlepszym miejscem na nasze spotkanie — dokończyła po chwili.

— Naprawdę? Obawiam się, że pasuję tu jak słoń w składzie porcelany.

Uśmiechnęła się.

— Mówiłam ci, że dano mi znajomość okoliczności — kontynuowała poważnie. — Będziemy odwiedzać obce światy— jakie tylko wybierzesz po tym, jak ci wyjaśnię, co Gaja robiła przez tyle lat. Nie widziałam innych światów, które stworzyła. Ty

będziesz dowodził.

— Ponieważ jestem przyzwyczajony do dziwnych środowisk i twardych ludzi? Niekoniecznie. Wiesz, radziłem sobie z naturą na Ziemi i w kosmosie. Pokojowo.

— Niebezpiecznie.

— Może. Ale nigdy świadomie nie szkodziłem.

— Opowiedz mi o tym — poprosiła.

Weszli do domu i usiedli w salonie. Duże okna były otwarte. Widać było przez nie park i przechadzające się po nim jelenie. Dalej znajdowały się budynki gospodarcze i pola uprawne. W pokoju były meble o eleganckich liniach, obrazy i sztychy na Ścianach, dwa popiersia. Pokojówka przyniosła tacę z herbatą i ciastkami. Była wyraźnie zaskoczona obecnością przybysza, ale starała się to ukryć. Gdy wyszła, Laurinda wyjaśniła mu, że państwo Londonerowie, dla których był to letni dom, użyczyli go na wakacje swojej przyjaciółce, ekscentrycznej pannie Ashcroft.

Okoliczności i wspomnienia zostały więc skorelowane. To był bezpośredni wpływ Gai na emulację. Christian zastanawiał się, jak częste były jej ingerencje,

— Od wyższych klas niemal oczekuje się ekscentryczności – powiedziała Laurinda. — Ale gdy żyłeś, mogłeś być po prostu sobą, prawda?

Przez następną godzinę wyciągnęła z niego wszystko. Urodził się w Yukonie należącym do Federacji Beringa, i za życia często tam wracał ze względu na zachowaną dziką przyrodę, samotne góry i nielicznych odważnych, twardych i prostych ludzi. Poza tym naród ten dobrze prosperował i szybko się rozwijał. Miał przy tym więcej związków z Azją i Pacyfikiem niż z najbliższymi

geograficznie sąsiadami ze wschodu i południa. Utrzymywał także bliskie stosunki z odradzającymi się społeczeństwami w Europie, gdzie Christian uczęszczał do szkoły i spędził sporo czasu wolnego.

Była to era wściekłych kontrastów, w której Wspólnota Narodów utrzymywała niepewny pokój. Będąc młodzieńcem pod wpływem impulsu wstąpił do Służby Mediacyjnej i dwa razy widział walkę. Później sytuacja się ustabilizowała. W dużej mierze była to kwestia rosnącego wpływu sieci sztucznych inteligencji. Większość jednostek ich świadomości łączyło się, żeby uformować umysły odpowiadające danej sytuacji, i już wtedy ich możliwości przekraczały ludzkie. Nie było tam jednak rywalizacji, ale raczej partnerstwo. Nowe umysły chciały doradzać, ale nie były zainteresowane władzą.

Christian, dziecko lasów, mórz i wyżyn, spadkobierca dawnych cywilizacji, zafascynowany ich osiągnięciami, wrócił w końcu na Ziemię. Tu była jego rodzina, przyjaciele, lasy do przemierzania, łodzie do żeglowania, dziewczęta do całowania, pieśni do śpiewania i kieliszki do wznoszenia (i groby do odwiedzania. Laurindzie ledwie wspomniał o swojej żonie. Zmarła, zanim powstała technologia uploadu). Zawsze jednak wracał w kosmos. Wzywał go, odkąd jako dziecko pierwszy raz zobaczył gwiazdy. Został inżynierem. Pracował z ludźmi, ale także z myślącymi maszynami, i niektóre z nich, w jakiś niesamowity sposób, także stały się jego przyjaciółmi. W ciągu dwóch dziesięcioleci odegrał ważną rolę w takich przedsięwzięciach, jak postawienie kopuły nad Morzem Kopernika, budowa Habitatu w asteroidzie, orbitującej fabryki

antymaterii, i wreszcie Wielkiego Lasera Słonecznego, który rozpędzał statki ruszające w kosmos. Wkrótce potem jego ciało umarło, stare i spełnione; ale dla jego umysłu był to dopiero początek.

— Wspaniałe życie — powiedziała cicho Laurinda. Popatrzyła na ogród, pełen wydłużających się cieni. — Zastanawiam się, czy... oni nie zrobiliby lepiej dając nam chatkę w twojej dziczy.

— Nie, nie — odpowiedział. — Dla mnie to jest świeże i cudowne.

— Wiesz, łatwo możemy się przenieść gdzie indziej. W każde miejsce i każdy czas, który wygenerowała Gaja, łącznie z tymi, które nie mają nic wspólnego z naszą historią. Kiedy tylko będziesz chciał, przyniosę nasze amulety.

Uniósł brwi.

— Amulety?

— Nie wyjaśniono ci tego? To takie urządzenia. Zakładasz je i wydajesz polecenie transferu.

Kiwnął głową.

— Rozumiem. Mapują emulowaną osobę w inne otoczenie.

— Wprowadzając odpowiednie modyfikacje w razie potrzeby. Właściwie w wielu przypadkach aktywuje wskazane przez ciebie środowisko. Większość od dawna chodzi na jałowym biegu. Sądzę, że Gaja mogłaby sama nas przenosić, zgodnie z naszymi życzeniami, ale zewnętrzne urządzenie jest lepsze.

Zastanowił się.

— Tak, chyba rozumiem, dlaczego. Gdybyśmy mieli nadprzyrodzone moce, nie bylibyśmy naprawdę ludźmi, zgadza się? A cała rzecz zasadza się na tym, że powinniśmy nimi być.

Pochylił się w fotelu.

— Teraz twoja kolej. Opowiedz mi o sobie.

— Och, za dużo tego. Nie o mnie, bo nigdy nie zrobiłam niczego tak spektakularnego, jak ty, ale o czasach, w których żyłam, wszystkim, co się wydarzyło i co zmieniło planetę, odkąd ją opuściłeś...

Urodziła się tutaj, w Anglii. Wówczas była to słabo zaludniona prowincja Europy, cicha i spokojna (niemal jak sen, powiedziała) oddana pamiątkom przeszłości. Nie, żeby umarła wszelka kreatywność; jednak sztuka była wyraźnie podzielona na tę, która trzymała się klasyki i na tę, która próbowała sobie radzić z rewelacjami przychodzącymi z gwiazd. Estetyka wypracowana przez sztuczne inteligencje przyćmiła te szkoły. Pomimo tego, Laurinda w nich działała.

Ponadto jej praca objęła całą Ziemię. (Do tego czasu znacząca praca była przywilejem, do którego dążyły utalentowane i energiczne jednostki). Była łącznikiem pomiędzy dwoma rodzajami istot. Oznaczało to poznawanie ludzi i różnych tworzonych przez nich społeczeństw i pomaganie im w ocenie ich potrzeb i pragnień. Przykładowo, wybudowanie stacji kontroli trzęsień ziemi zmieniałoby krajobraz i skłóciło wspólnotę; czy można by się bez niej obejść, a jeśli nie, jakie można by wprowadzić korekty do projektu? Jednak najczęściej doradzała i pomagała zdezorientowanym i duchowo zagubionym ludziom.

Dość ogólnikowo mówiła o swoim życiu prywatnym, ale odniósł wrażenie, że generalnie było szczęśliwe. Jeśli bezdzietność była niewyrażonym żalem, to dzieliła ją z wieloma

ludźmi w Świecie kontroli populacji; On miał tylko syna. Kochała Ziemię, jej chwałę i historię, i każde dzieło swojej rasy. Na końcu drogi zdecydowała się pozostać na planecie, która miała stać się Gają.

Pomyślał, że rozumie, dlaczego to właśnie ją wybrano spośród milionów, które wybrały to samo przeznaczenie, żeby była jego towarzyszką.

— Tak, ten dom jest dla ciebie odpowiedni — powiedział na głos. — I dla mnie też, mimo wszystko. Oboje jesteśmy tu bardziej u siebie, niż gdyby każde z nas musiało się mierzyć z czasami tego drugiego. Spokój i piękno.

— To nie jest raj — odpowiedziała ponuro. — To prawdziwy osiemnasty wiek, pamiętaj, jak również to, że Gaja zrekonstruowała historię tych czasów. Cały czas ją monitoruje i wprowadza zmiany, gdy wydarzenia nie są zgodne z zapisami w kronikach i wiedzą archeologiczną. Służba jest słabo opłacana, niedożywiona i traktowana z pogardą. Koloniści w Ameryce trzymają niewolników i szykują się do buntu. Za Kanałem monarchia wykrwawia Francję, co przyniesie naprawdę straszną rewolucję, a po niej ćwierć wieku wojen.

Wzruszył ramionami.

— Cóż, człowiek nigdy nie grzeszył zdrowym rozsądkiem, prawda?

To maszyny go miały.

— Cóż. kilku ludzi jednak go posiadało — powiedziała. — Gaja uważa że powinienes ich poznać, żebyś nie sądził, że tylko ona bawi się w taki okrutny sposób. Zaprosiłam trzy osoby na jutro na obiad. To nie zgadza się do końca z ich prawdziwymi

biografiami, ale Gaja później może to naprawić. — Laurinda uśmiechnęła się. Będziemy ci musieli

— A ty pewnie zalejesz mnie lawiną informacji. Co to za ludzie?

— James Cook, Henry Fielding i Erazm Darwin. Myślę, że to będzie pamiętny wieczór.

Nawigator, pisarz i człowiek wszechstronny, trzy małe, wspaniałe aspekty dziedzictwa strzeżonego przez Gaję.

VI

Teraz Wędrowiec przeprowadził download kolejnej drugorzędnej osobowości i przygotował ją do badania Ziemi. On, jego podstawowe ja, zostanie na górze w połączeniu z Gają bliższym i pełniejszym, niż to możliwe, gdy w grę wchodzi odległości międzygwiazdne. Obiecała, że przeprowadzi go przez całą swoją bazę danych o planecie, zbieranych przez miliony lat. Nawet dla ich dwójki było to ogromne zadanie. Przy szybkości ich myśli zajmie kilka tygodni czasu zewnętrznego i będzie wymagać niemal całkowitego skupienia. Tylko skrawkiem świadomości będą śledzić inne zdarzenia — w jego przypadku ten skrawek będzie mniejszy, ponieważ jej intelekt znacznie przewyższał jego.

Powiedziała mu o nadziei, którą pokładała w tym połączeniu. To otwarcie się na wszystko, co chciała przekazać miało pozwolić mu zrozumieć, dlaczego Ziemi powinno się pozwolić zginąć. Było w tym coś więcej, niż sucha wiedza naukowa. Te wydarzenia same w sobie mogły wzbogacić galaktyczny mózg, jako wielki dramat lub symfonia. niegdyś tworzone dla ludzi. Ale Wędrowiec musiał poznać całą przeszłość, żeby wyczuć prawdę w tym, co Gaja powiedziała o przyszłości.

Miał swoje wątpliwości. Zastanawiał się, czy jej ludzkie komponenty, których było więcej, niż w innych węzłach, mogły

nie wpłynąć na jej emocje, intensyfikując się przez wieki, aż wpłynęły na jej racjonalność. Przystał jednak na jej propozycję. W końcu po to tutaj przybył.

Gdy on będzie zajęty, Christian będzie badał jej Światy historii alternatywnych, a inna osobowość będzie kręciła się po fizycznej, współczesnej planecie.

Ta druga osobowość miała przede wszystkim rozmieścić zestaw próbników molekularnych, które przywiózł ze sobą i pozwolić im się multiplikować. Gdy ich liczba będzie odpowiednia, zbudują flotę miniaturowych zrobotyzowanych pojazdów, które będą latać nad Ziemią i przekazywać mu wszystko, co wykryją ich czujniki, do zbadania w późniejszym czasie.

Gaja przekonywała go inaczej.

— Jeśli zajmiesz się tym osobiście, z pomniejszonym aspektem mnie jako przewodnikiem, poznasz planetę szybciej i bardziej dogłębnie. Jest tu wiele niezwykłych rzeczy. Może pomoże ci to zrozumieć, dlaczego chcę, żeby ewolucja bez przeszkód Zmierzała do swojego naturalnego końca.

Zgodził się. Mimo wszystko miał przede wszystkim za zadanie zrozumieć jej sposób myślenia. Potem być może Alfa i pozostali będą w stanie nawiązać z nią prawdziwy dialog i osiągnąć porozumienie — jakkolwiek by podjęli decyzję.

— Jakie są zagrożenia? — spytał.

— Głównie pogoda — przyznała. — Warunki stają się coraz trudniejsze, i praktycznie bez ostrzeżenia nadciągają ogromne burze. Gwałtowna erozja może zmienić krajobraz praktycznie w jedną noc, przynosząc osuwanie się ziemi, gwałtowne powodzie i

przyływy. Nie monitoruję takich drobiazgów. Wiąże się z tym taki natłok danych, że mogłabym sobie z nim nie poradzić podczas, gdy moją główną troską są kwestie biologiczne.

Przywołał jej ostatnie raporty. Były ponure. Postludzkie bogactwo natury zniknęło. Ziemia gotowała się pod chmurami. Najwyższe górskie szczyty były nagie, nie było już ani śladu lodu i śniegu. Poza wodami i kilkoma wysepkami na których przetrwały małe, prymitywne istoty, tropiki były sterylnymi pustyniami. Ostre wiatry niosły pył i na północy i południu hulały nad stepami, zasypywały doliny i wygładzały wzgórza. Tu i ówdzie przetrwała dżungla albo bagno zalewane deszczem lub spowite gęstą mgłą, ale niedługo znikną także. Tylko na wysokich szerokościach geograficznych było stosunkowo spokojnie. Klimat Arktyki obejmował obszary, na których panowały warunki jak kiedyś na Florydzie — zgodnie ze wspomnieniami Christiana. Na południu leżał kontynent, w którego północnej części panowały temperatury przypominające dawną centralną Afrykę. To były ostatnie miejsca, w których bujnie krzewiło się życie.

— Naprawdę nie chciałabyś, żeby to wszystko znów rozkwitło?
— wprost zapytał ją Wędrowiec.

— Stara Ziemia żyje w moich bazach danych i emulacjach —
Odparła Gaja. — Nie mogę jej zmapować tak, jak innych systemów i zostawić ją samej sobie, bo nie rozumiem jej wystarczająco dobrze, nie moim ograniczonym umysłem. Odwrócenie biegu wydarzeń oznaczałoby utratę wiedzy, co do której fundamentalnej ważności jestem przekonana.

Wędrowiec powstrzymał się od wskazania, że życie, wprowadzone do świata, który znów byłby dla niego przyjazny, i

tak nie podążałoby takimi samymi ścieżkami. Wiedział, że odparłaby, iż takie eksperymenty przeprowadzano już w wielu światach, osadzając tam zsyntetyzowane organizmy. Wydawało mu się dziwne, że nie było w niej sentyment wobec matki rodzaju ludzkiego. Jej jaźń zawierała wiele istnień, które wiedziały, jak to jest chodzić boso po porannej rosie, słyszały szepty liści w cienistym lesie, szum wiatru przemykającego nad polem pełnym kłosów, ale także pamiętały światła i dźwięki wielkich miast. To właśnie, poza wyzwaniem naukowym i technologicznym, było uczucie, które w towarzyszach Gai, rozsianych między gwiazdami, budziło chęć ujrzenia Ziemi Znów młodej.

A teraz chciała mu pokazać. Dlaczego uważała, powinna ją spotkać śmierć. Zanim się z nią połączył, przygotował się do ekspedycji. Gaja zaproponowała mu pojazd powietrzny; opływowy, wszechstronny, mogący wylądować nawet nie wzbijając kurzu. Dostarczył do niego pasażera. Przywiózł ze sobą kilka różnych ciał. To, które wybrał, mogło działać niezależnie od niego, z oddzielną inteligencją. Gaja mogła poświęcić ułamek uwagi, żeby kierować statkiem; on nie, jeśli miał wraz z nią zgłębiać historię globu.

Maszyna, którą wybrał, nie była jego ekwiwalentem. Jej struktura nie podołałaby matrycy na tyle rozbudowanej, żeby mogła działać na jego poziomie mentalnym. Pomyślcie o tym, metaforycznie, jak o mózgu bardzo inteligentnego człowieka. Do tego skopiowano tyle wzorca Wędrowca, ile się dało — najprostszy szkic, ogólny zarys sytuacji, niekompletny i niejasny jak ten nasz mit. Miał jednak rezerwy, do których mógł się

odwołać. Nieuchronnie dominował w nim aspekt Christiana Brannocka.

Możecie więc, jeśli chcecie, myśleć o tym człowieku jak o istocie ponownie narodzonej w ciele z metalu, krzemu, węgla i innych składników, elektryczności i innych sił, fotonów i wymiany cząsteczkowej, strumieni kwantowych. To nie było dokładnie to samo, co jego wcześniejsza, pośmiertna egzystencja w ciele robota. Była bogatsza, było w niej więcej pasji. W wielu aspektach bardziej różnił się od dawno zmarłego śmiertelnika, niż od tego istniejącego w emulowanym świecie Gai. Jeśli wcześniejszego nazwiemy Christianem, późniejszego możemy nazywać Brannockiem.

Był mniej więcej ludzkich kształtów i rozmiarów. Był matowy, niebiesko—szary i miał czworo ramion. W razie konieczności mógł zmieniać kształt dolnych dłoni, żeby służyły jako narzędzia. Podobnie mógł adaptować stopy, mógł też wysunąć patykowatą I trzecią nogę jako stabilizator lub dodatkowy chwytak. Jego grzbiet był mocno wypukły, żeby pomieścić źródło energii nuklearnej i różne organy. Głowa przypominała cylinder z kopułą. Sensory, w które był wyposażony, nie rzucały się w oczy, ale dawały pełną informację o otoczeniu. Twarz była ekranem holograficznym, na którym mógł generować dowolny obraz. Ponadto mógł wydawać z siebie dźwięki o dowolnej częstotliwości, światło widzialne i podczerwone, był też wyposażony w krótkofalówkę. Jednostka pamięci, z której mógł szybko pobrać wszelkie dane, stanowiła odpowiednik dawnej wielkiej biblioteki.

Nie mógł pracować z tymi danymi szybciej, niż normalny

człowiek. Miał także inne ograniczenia. Nie miał jednak funkcjonować niezależnie od wyposażenia. Wkrótce był gotowy do odlotu. Wyobraźcie sobie, jak z krzywym uśmiechem mówi do Wędrowca.

— Adios. Życz mi szczęścia.

Odpowiedź była... właściwie Jej nie było. Wędrowiec zaczął się łączyć z Gają. Dlatego Brannock wszedł na pokład w ciszy. Statek był mały, lancetowaty i połyskujący. Miał wiele możliwości, których Gaja mu nie opisała. Wydawał się bardzo delikatny, jednak trzeba by naprawdę straszliwego wichru, żeby mu zagrozić.

Usadowił się wewnątrz. Wędrowiec nalegał na sterowanie ręczne, poza wyjątkowymi okolicznościami, i Gaja przy użyciu swoich efektorów wprowadziła modyfikacje. Przed Brannockiem mrugała wirtualna konsola, wskaźniki, przyciski. Popatrzył na nią i pozwolił Gai pilotować. Pojazd uniósł się bezgłośnie, potem przeszedł przez pokrywę chmur i powoli sunął pięćset metrów nad szczytami wzgórz.

— Leć wzdłuż Pozostalej Rzeki w stronę morza — poprosił Brannock. — Ten widok jest przepiękny.

— Jak sobie życzysz — odparła Gaja.

Jego głos był męski, jej — być może uznała, że taki będzie wolał — kobiecy, niski. Ich rozmowa nie przebiegała dokładnie tak, jak tu przedstawiono. Zmieniła kurs. Dostrzegł strumień błyszczący pośród głębokiej zieleń Doliny Obfitości, pod srebrnoszarym niebem.

— Zgodnie z planem najpierw mamy się przyjrzeć Arktyce. Przygotowałam plan podróży, który powinien ci dać dobre

pojęcie o jej biologii. Po drodze możesz prowadzić tak dokładne badania i obserwacje, jak tylko potrzebujesz, a jeśli będziesz się chciał gdzieś zatrzymać — nie ma problemu.

— Dziękuję — powiedział. — Chodzi o to, żeby mi dać jakieś punkty odniesienia, tak?

— Tak, ponieważ warunki tutaj są znośniejsze dla życia. Gdy będziesz gotowy polecimy na południe, przez ziemie, na których panuje znacznie gorszy klimat. Zobacysz adaptacje, które poczyniło życie. Wiele jest nadzwyczaj interesujących. Galaktyczny mózg nie prześcignie kreatywności natury.

— Tak, jasne. Chaos, złożoność... Opisałaś nam kilka tych adaptacji, prawda?

— Tak, ale nie miało to znaczenia. Wciąż odkrywam nowe. Życie wciąż ewoluuje.

Pogarszają się warunki środowiskowe, pomyślał Brannock. Ginie gatunek po gatunku. Miał wrażenie, że toczy bitwę z piekielną armią.

— Chcę, żeby twoje doświadczenie było możliwie pełne — powiedziała Gaja — żebyś się w nim zanurzył, poczuł jego siłę.

Tragedię, pomyślał. Ale tragedia była sztuką, może największą ze sztuk stworzonych przez człowieka. A Gaja mogła mieć duszę bardziej ludzką, niż inne inteligencje. Czy zachowała potrzebę katharsis, dla żalu i przerażenia? Co naprawdę się działo w jej emulacjach? Cóż, tego właśnie miał się dowiedzieć Christian. Jeśli mu się uda. Brannock był człowiekiem na tyle, żeby protestować. Wskazał na ziemię poniżej, gdzie swoje wody toczyła rzeka dająca życie lasom i łąkom. Wpadała do zatoki, nad którą trzepotały tysiące skrzydeł.

— Chcesz patrzeć na walkę do końca — powiedział. — Życie chce trwać. Jakie masz prawo, żeby przedkładać nad to własne życzenia?

— Prawo Świadomości — odparła. — Sprawiedliwość, miłosierdzie, pożądanie mają znaczenie tylko dla istoty świadomej. Czy ludzie nie dopasowywali Świata do swoich potrzeb? Gdy naturę wreszcie objęto ochroną stało się tak dlatego, że ludzie tak zdecydowali. Mówię z punktu widzenia wiedzy, którą możemy zdobyć.

Po głowie tłukło mu się pytanie: a co z jej osobistymi potrzebami emocjonalnymi? Statek gwałtownie skręcił. Siła odśrodkowa wcisnęła Brannocka w podtrzymujące go pole siłowe. Usłyszał ryk powietrza wokół pojazdu. Zatoka była coraz bliżej. Człowiek kosmosu w nim, który przeżył pośród meteorów, ponieważ był szybki, natychmiast poderwał się do działania. Wywołał powiększenie optyczne i spojrzał do tyłu, żeby sprawdzić, w czym był problem. To, co ujrzał, zanim widok zniknął za horyzontem, sprawił, że krzyknął.

— Tam!

— Co? — spytała Gaja gnając naprzód.

— Tam, z tyłu. Dlaczego od tego uciekasz?

— O czym ty mówisz? Tam nie ma nic ważnego.

— Niech mnie diabli, jeśli to nic ważnego. Mam wrażenie, że widziałas to wyraźniej, niż ja.

Gaja zwolniła lot, aż niemal zawisała nad falami. Poczł nagle podejrzenie, że zrobiła to, aby zatuszować wrażenie, że się spieszy, żeby uważniej jej słucał.

— Dobrze — powiedziała po chwili. — Wyśledziłam pewien

obiekt. Jak sądzisz, co widziałeś?

Zdecydował się nie odpowiadać wprost — a przynajmniej dopóki nie przekona go o swojej dobrej woli. Im więcej będzie miała informacji, tym łatwiej przyjdzie jej skłamać. Nawet ten fragment jej intelektu mógł to zrobić. On jednak miał własny rozum i sporo wrodzonego uporu.

— Nie jestem pewien, poza tym, że nie wyglądało na niebezpieczne. Podejrzewam, że powiesz mi, co to takiego i dlaczego przed tym uciekałaś.

Czy westchnęła?

— Na tym etapie wiedzy nie zrozumiałbyś. To dlatego.

Człowiek napiąłby każdy mięsień. Systemy Brannocka przeszły w stan gotowości.

— Sam ocenię możliwości swojego mózgu, jeśli pozwolisz. Bądź tak dobra i zawrót.

— Nie. Obiecuję, że wyjaśnię to później, gdy już zobaczysz wystarczająco dużo.

Wystarczająco dużo iluzji? Mogła przygotować dla niego wiele oszustw.

— Jak chcesz — odpowiedział Brannock. — A tymczasem powiadomię Wędrowca.

Posłaniec Alfy miał otwarty kanał pozwalający mu odbierać zewnętrzne bodźce.

— Nie, nie rób tego — powiedziała Gaja. — To niepotrzebnie rozproszy jego uwagę. — To on o tym zadecyduje — odparł Brannock. Wybuchł spór.

Gaja prawie wygrała. Cała się skupiła na ataku, a zrobiła to tak gładko, że Brannock nigdy by się nie domyślił, że jest jego celem.

Ale jakaś jej część, jak zawsze, nadzorowała jednostki obserwacyjne wokół planety i strumienie danych, które przekazywały. Pewnie zerkała również od czasu do czasu, jak sobie radzą Christian i Laurinda. Poza tym większość niej była zajęta interakcją z Wędrowcem. Tego nie mogła przerwać bez wzbudzania nagłych podejrzeń. Wręcz przeciwnie, musiała się Wykazać ogromnym sprytem, żeby przed nim ukryć, że stało się coś nieprzewidzianego.

Poza tym nigdy nie spotkała istoty takiej jak Brannock, agresji ludzkiego samca i odruchów astronauty wymieszanych z wyrafinowaną technologią i czymś z nieśmiertelnego celu Alfya.

Poczuł, że pole siłowe, które go podtrzymywało nabrało mocy, żeby go unieruchomić. Przez umysł przetoczyło się uczucie podobne do delirium. Człowiek pomyślałby, że podano mu środek nasenny. Brannock nie zastanawiał się nad tym. Zareagował natychmiast. Z szybkością maszyny i furią tygrysa wytrącił ją z równowagi na milisekundę.

Przez ciemność i szum w głowie zaatakował fizycznie. Rękami sięgnął do pulpitu kontrolnego przed sobą. Nie mógł przejąć dowodzenia, ale mógł niszczyć na ślepo.

Błysnęło niebieskobiałe światło. Zgasło oświetlenie. Napęd działał dalej; statek utrzymywał się w powietrzu. Bardziej złożone funkcje poszły w ruinę. Przepływy energii, atomów i fal były zupełnie przypadkowe. Więzy przytrzymujące Brannocka puściły. Upadł na podłogę. Ciemność w jego głowie ustąpiła. Był roztrzęsiony, jego czujniki wariowały.

— Przestań, ty dziwko — wrzasnął.

— Przestaną — powiedziała Gaja.

Uświadomił sobie, że zachowała częściową kontrolę na statkiem. Zanim zdołał ją przejąć rzuciła ich w dół i odcięła główny napęd. Wszystkie pola siłowe zamrugwały. Runęli w zielone głębiny, a prądy rzucały nimi na wszystkie strony. Jednak statek uderzył o piaszczyste dno nietknięty.

Nie musiał oddychać, więc został pod wodą. Otrząśnięcie się z szoku zabrało mu niecałą sekundę. Ocena sytuacji kilka minut. Gaja próbowała się go pozbyć. Pole siłowe zaczęło niszczyć działanie jego mózgu i wzorce osobowości. Wyłączył je w samą porę. W przeszłości z pewnością nie natknęła się na takie istoty, jak on. Dlatego musiała wymyślić i zainstalować ten system specjalnie z myślą o nim. To wyraźnie wskazywało, że w którymś punkcie ich podróży zamierzała go użyć. Gdy zobaczył coś, o czym nie wiedziała, że tam jest i nie dał się zbyć, zmusił ją do użycia systemu, zanim była gotowa. Gdy zawiódł, poświęciła ostatnie siły, żeby go zniszczyć. Posunęłaby się tak daleko, zrobiła coś tak desperackiego, żeby ukryć przed gwiazdami jakąś straszliwą tajemnicę?

Zauważył błąd w toku swojego rozumowania. Nie robiła wszystkiego sama. Przeciwnie, na całej planecie było mnóstwo urządzeń obserwacyjnych i badawczych, którymi mogła się posługiwać. Część z nich musiała zostać tutaj ściągnięta, żeby się upewnić, że zginął, a jeśli żył, to żeby się nim zająć. Po wszystkim sprzedałaby Wędrowcowi historyjkę o pożalowania godnym wypadku na morzu.

Brannock, cięższy od wody, schodził po opadającym morskim dnie w głębiny. Znalazłszy stertę skał wulkanicznych wczuł się do niewielkiego krateru lawy, zwinął się i przestawił systemy

na najniższą moc. Miał nadzieję, że jej czujniki go przeoczą. Ani ich liczba, ani wrażliwość nie były nieskończone. Dla Gai byłoby logiczne — skoro nie widziała jego ucieczki, a sensory w statku uległy zniszczeniu — że morskie prądy porwały jego roztrzaskane szczątki.

Wewnętrzny zegar obudził go po trzech dobach.

Wiedział, że musi uważać. Jednak, jeśli zgodnie z tym, czego się spodziewał, nie obserwowała tego miejsca bardzo uważnie — połączony z nią Wędrowiec mógłby łatwo zauważyć, że koncentrowała się na jednym, małym skrawku planety — to mógł się teraz ostrożnie ruszyć. Jego elektroniczne zmysły powinny go ostrzec przed każdym robotem, który pojawiłby się w pobliżu, nawet jeśli byłby niedostrzegalny gołym okiem.

Czy mógłby w razie czego coś zrobić, było osobnym pytaniem. Najpierw zbadał miejsce upadku. Maszyny Gai usunęły te szczątki statku, które znalazły, ale większość została porwana przez prądy morskie i ewidentnie uznała, że nie warto ich szukać. W sumie znalazł tylko drobiazgi. Kilka jednostek było nietkniętych. Jedna, która wzbudziła jego zainteresowanie, wyglądała jak mała, metalowa sfera. Wyśledził ją przy użyciu indukcji magnetycznej. Zabrał ją na brzeg, schował pod drzewami, żeby nie być widocznym z góry i zaczął ją badać. Dolnymi, narzędziowymi rękami zidentyfikował ją jako kość pamięci. Aspekt Wędrowca znał ten rodzaj kodowania. Pobrał informacje do własnej bazy danych. To był zestaw języków. Ludzkich języków, chociaż nigdy nie słyszał żadnego z nich. Tak, bardzo interesujące. Lepiej poszukam tych ludzi — mruknął. Stojąc samotnie pośród dzikiej przyrody wrócił do dawnego

nawyku myślenia na głos. — Raczej nie będzie na to drugiej szansy. Niezłe wieści dla Wędrowca.

O ile wróci, albo przynajmniej nie wyjdzie z zasięgu swojego transmitera. Ruszył przed siebie wzdłuż brzegu, w stronę zatoki, do której uchodziła Pozostała Rzeka. Może to, co widział, jeszcze tam będzie, albo przynajmniej tego ślady. Nie był pewny, wszystko stało się tak szybko, ale sądził, że był to statek.

3

Trzy dni — ziemską dobą miała, jak kiedyś, dwadzieścia cztery godziny. Chłodne światło słońca, przelotny deszcz od czasu do czasu zraszający pastwiska i żywopłoty, przejażdżki po angielskich uliczkach, wycieczki do angielskich miast, spotkania z ludźmi, wieczorne nabożeństwo w normańskim kościółku, zwiedzanie budowli i czytanie książek, długie rozmowy i chwile ciszy — to wszystko budowało przyjaźń. W Christianie ponadto obudziły się cieplejsze uczucia względem Gai. Wskrzesała Laurinę, a Laurinda była jej częścią, tak jak on był częścią Wędrowca i Alfego i niezliczonych umysłów w całej galaktyce. Czy pozostałe dzieła Gai mogły być złe? Bez wątpienia zaplanowała to w taki sposób właśnie po to, żeby wzbudzić jego zaufanie. Nie wydawało się to mieć znaczenia. Dla niego i Laurindy nie miały też znaczenia prymitywne warunki osiemnastego wieku. Wręcz przeciwnie, ich codzienne doświadczenia były odświeżająco nowe i dawały im wiele okazji do śmiechu. Zaczęło mu tylko

doskwierać to, że każdej nocy szedł przyzwoicie do własnej sypialni.

Ale mieli swoje zadania: on miał zobaczyć, co się dzieje w tej rzeczywistości i przekazać to Wędrowcowi; ona miała mu udzielać wyjaśnień. Podobnie, jak on, zachowała wspomnienie o byciu jednością z węzłem. Było ono niejasne i fragmentaryczne, tak jak jego, bardziej jak poczucie transcendencji, niż coś namacalnego, coś jak przebłysk dawno przeżytej wizji religijnej. Przeniknęło jednak jej osobowość, bardziej podświadomość, niż świadomość; to był jej związek z Gają, taki, jak jego z Wędrowcem i Alfą. W ograniczony, śmiertelny, ale szczery i naturalny sposób mówiła w imieniu węzła Ziemi.

W milczącym porozumieniu niewiele mówili o celu i po prostu cieszyli się otoczeniem i sobą nawzajem, aż nadszedł poranek czwartego dnia. Być może pogoda przypomniała sobie o swoich obowiązkach. Wiatr wył i miotał się wokół domu, deszcz zacinał w okna, nie było mowy o wyjściu na zewnątrz. Ogień na kominku nie był w stanie odgonić zimna. Świece rzucały ciepłe światło na stół zastawiony do śniadania, błyszcząca porcelana i srebra, ale w każdym kącie czaiły się cienie. Wziął ostatni łyk kawy, odstawił filiżankę i skończył mówić.

— Tak, lepiej zacznijmy pracę. Co prawda nie wiem do końca, czego szukać. Sam Wędrowiec nie wie.

Gaja tak niewiele mówiła. Cóż, Wędrowiec był teraz (cokolwiek oznaczało słowo „teraz”) z nią połączony, z kosmicznej perspektywy badał miliony lat historii tej planety.

— Jak to? Przecież znasz swoje zadanie — powiedziała Laurinda. — Masz Odkryć naturę wewnętrznego działania Gai,

jej znaczenie w ludzkich kategoriach moralnych — wyprostowała się na krześle. Mówiła rzeczowym tonem. — Jesteśmy ludźmi, Choć emulowanymi. Myślimy i działamy, czujemy radość i ból tak samo, jak ludzie.

Chciał nieco rozluźnić atmosferę i poszedł za impulsem.

— Oraz — dodał — tworzymy nowe pokolenia, tak samo, jak ludzie kiedyś.

Na jej jasnej skórze pojawił się rumieniec.

— Tak — odparła. — Oczywiście, większość z tego, co tu widzimy, to tylko baza danych. Archiwa, jeśli wolisz. Możemy zacząć od zwiedzenia paru tych rekonstrukcji. Uśmiechnął się radośnie.

— Bardzo chętnie. Jakież sugestie?

Szybka odpowiedź.

— Akropol w Atenach? Kiedy jeszcze był nowy? Antyczne cywilizacje mnie fascynowały — poklepała się po głowie. — A niech to, nadal mnie fascynują.

— Hm — potarł podbródek. — Z tego, co wiem, ówczesni Grecy byli bandą podstępnych, kłótliwych, krótkowzrocznych zwierząt politycznych, czekających tylko na okazję, żeby najechać słabszego sąsiada. Czy Ateny nie sfinansowały budowy Partenonu sprzeniewierzonymi skarbami Ligi Delijskiej^[14]?

— Byli tylko ludźmi — odparła, prawie za cicho, żeby się przebić przez wycie burzy. — Ale to, czego dokonali...

— Jasne — odpowiedział. — Zgadzam się. Ruszajmy.

W ludzkiej percepcji amulety wyglądały jak srebrzyste dyski o średnicy dwóch centymetrów, wiszące na piersi użytkownika. W rzeczywistości były to potężne, skomplikowane programy mające

własną inteligencję. Christian zastanawiał się, na ile są poddane bezpośredniej kontroli Gai i jak bardzo ona go nadzoruje. Spontanicznie podał Laurindzie rękę. Ujęła ją mocno. Patrzyła prosto przed siebie, w migoczący ogień i wydała komendę.

4

Natychmiast, bez żadnego wrażenia ruchu, znaleźli się na szerokich, marmurowych schodach, pod bezchmurnym niebem, zalewani gorącymi promieniami słońca. Ze zbocza wzgórza, na którym byli, unosił się zapach tymianku. Niżej rozciągało się miasto, pełne domów, otwartych placów i świątyń z kolumnadami. Powietrze było tak czyste, że Christian niemal mógł dojrzeć rzeźbienia na tympanonach.

Po jakimś czasie goście ruszyli w górę, wciąż bez słowa i wciąż trzymając się za ręce tam, gdzie uskrzydłone Wiktorie wyznaczały linię przed sanktuarium Nike Bezskrzydłej. Ich szaty zostały uchwycone w niewidocznym ruchu, trzepoczące na niewyczuwalnym wietrze. Jedna zawiązywała sandał...

Przez dłuższy czas chodzili po propylejach^[15] podziwiali portyki, kolumny, malunki, tabliczki wotywnie. Czuli, że mogliby tu jeszcze zostać, ale czekało na nich tyle innych rzeczy. Czuli ludzki entuzjazm i ludzkie zmęczenie. Kolory płonęły...

Kamienne kwiaty i kamienne dziewczęta w Erechtheum...

Christian myślał o Partenonie jak o subtelnym dziele sztuki; taki był na znanych mu modelach i obrazach, podczas gdy jego

zniszczone pozostałości nie dawały nawet wyobrażenia o jego dawnej świetności. Teraz to, co pamiętał, mógł skonfrontować z prawdziwymi rozmiarami i masą. Fryzy tętniły życiem, czerwone, niebieskie, złote; w mroku świątyni porażało piękno kolosalnej Ateny dłuta Fidiasza.

Dużo później stał wraz z Laurindą na Murze Kimona, ponad Asklepium i teatrem Dionizosa. Zachodzące słońce sprawiało, że leżące poniżej miasto pełne było cieni układających się w skomplikowane wzory. Dotychczas, choć było to nielogiczne, mówili szeptem. Mogli mówić głośno, ale czy czuli taką potrzebę?

Potrząsnął głową.

— Olśniewające — powiedział, szukając słów, które choć w części oddałyby jego wrażenia. — Niewiarygodne.

— To było warte wszystkich błędów, wojny i agonii — mruknęła. — Prawda?

— Nie spodziewałem się, że to będzie takie, hm, krzykliwe... nie, jaskrawe.

— Malowali budynki. Tyle wiadomo.

— Tak, wiedziałem o tym. Ale czy późniejsi naukowcy wiedzieli, na jakie kolory?

— O tyle, o ile, na podstawie niejasnych przesłanek. To muszą być w większości domysły Gai. Podejrzewam, że zwłaszcza rzeźby. W archiwach zachowały się tylko wzmianki o Atenie.

Laurinda zamilkła na chwilę.

— Ale z pewnością, biorąc pod uwagę bazę danych, którą dysponuje, i będąc w stanie ogarnąć wszystko naraz i zrozumieć umysły, które zdolne były to stworzyć, to z pewnością najbardziej prawdopodobna rekonstrukcja. Albo przynajmniej

bardzo prawdopodobna.

— Mogła wypróbować wariacje. Chciałabyś je obejrzeć?

— Nie, raczej nie, chyba że ty chcesz. TO było trochę przytłaczające, prawda? — zawahała się. Poza tym...

Kiwnął głową.

— Tak. — Gestem objął bezgłośnie miasto w dole i otaczające ich święte przybytki. — Trochę straszne. W najlepszym razie przypomina mi to wystawę w muzeum. Obawiam się, że z punktu widzenia naszej misji nie ma to znaczenia.

Spojrzała mu w oczy.

— Twojej misji. Ja jestem tylko... tak naprawdę, to nawet nie jestem przewodniczką. Nie, najwyżej jej pośredniczką, jeśli w ogóle.

Uśmiech, który pojawił się na jej ustach, był trochę smutny.

— Podejrzewam, że jedynym powodem, dla którego znów istnieję, jest dotrzymanie ci towarzystwa.

Roześmiał się i podał jej rękę, którą na chwilę ścisnęła mocno.

— Bardzo się cieszę z pani towarzystwa, ekscentryczna panno Ashcroft.

Jej uśmiech poszerzył się i stał się cieplejszy.

— Dziękuję, wielmożny panie. I ja się cieszę, że jestem... żywa... akurat dzisiaj. Co robimy dalej?

— Chyba odwiedzimy żywą historię — powiedział. — Może czasy helleńskie?

Klasnęła w dłonie. — Czasy Peryklesa!

Zmarszczył brwi.

— No, nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Wojna Peloponeska, zaraza... i Obcy, tacy jak my, barbarzyńcy, ty jesteś

kobietą... chyba nie bylibyśmy zbyt miło przyjęci, co?

Usłyszał rozczarowanie w jej głosie, ale je stłumiła.

— W takim razie kiedy i gdzie?

— Czasy Arystotelesa? Jeśli dobrze pamiętam, w Grecji panował wtedy spokój, niezależnie od tego, co poza jej granicami wyprawiał Aleksander, a społeczeństwo było bardziej kosmopolityczne. I mniej patriarchalne. Tak czy inaczej Arystoteles zawsze mnie interesował. W pewien sposób był jednym z pierwszych naukowców.

— Lepiej najpierw sprawdźmy zapisy. Ale przedtem wróćmy do domu na filiżankę herbaty.

5

Wrócili do domu w tej Samej chwili, w której go opuścili, żeby nie niepokoić służby. Byli zmęczeni i rozmawiali tylko o drobiazgach. To im jednak nie doskwierało: dobrze im się rozmawiało.

Następnego ranka, który był piękny, poszli do ogrodu i usiedli na ławce przy sadzawce ze złotymi rybkami. Na kwiatach, które pod wpływem ciepła słonecznego zaczynały rozsiewać swój zapach migotały krople deszczu. Nikogo nie było w zasięgu wzroku ani słuchu. Tym razem to Christian zwrócił się do amuletów. Poczul nagły ciężar na szyi, a słowa wypadły niezręcznie. Nie musiał wypowiadać ich na głos, ale to pomagało mu ubrać idee w konkretne kształty. Odpowiedź pojawiła się

bezpośrednio w ich mózгах. W jego przypadku był to suchy, profesorski tenor.

„Tylko jedno środowisko osadzone w realiach hellenistycznych istnieje od pokoleń. Zawiera się w nim okres, o którym myślisz. Rozpoczyna się około 500 r. p.n.e., a emulacja jest na tyle zgodna z historią, jak to możliwe”.

Ale prawie każdy, kto żył w tamtych czasach, dla historii jest stracony, pomyślał Christian. Z wyjątkiem tych kilku osób, które opisano w kronikach, populacja jako całość musiała zostać wykreowana przez wyobraźnię Gai, zgodnie z wiedzą i logiką; a tych kilka osób znanych z imienia było stworzonych niemal od początku.

„Tok działań w razie potrzeby był modyfikowany”, ciągnął amulet. Historia pozostawiona samej sobie szybko potoczyłaby się zupełnie inaczej, niż ją opisano w dokumentach, pomyślał Christian. Gaja widziała, jak to się dzieje, raz za razem. Poprawiała program — wydarzenia, wspomnienia, osobowości, ciała, narodziny, długość życia, śmierć — i pozwalała mu się toczyć, aż znów się wypaczył. Znów i znów. Ranek nagle wydał mu zimny.

„Każda taka sytuacja dostarczała cennej wiedzy”, powiedział amulet. „Historia toczyła się zadowolająco do czasów ustanowienia hegemonii macedońskiej, a następnie zostawiono ją samej sobie. Oczywiście nie rozwija się identycznie z przeszłością historyczną. Nie urodził się ani Arystoteles, ani Aleksander. Zamiast tego realistycznie myślący najeźdźca zbudował stabilne imperium. W młodości miał greckiego nauczyciela, który był uczniem Platona”.

— Kto to był? — spytał Christian, czując suchość w ustach.

— Na imię miał Eumenes. W wielu sprawach stanowił ekwiwalent Arystotelesa, ale z silniejszą orientacją empiryczną. Tak to zostało zaplanowane”.

Zatem Eumenes został specjalnie stworzony. Dlaczego?

— Czy jeśli się pojawimy i spotkamy z nim, czy to nie zmieni biegu rzeczy?

„Prawdopodobnie w żaden znaczący sposób. A nawet jeśli, to nie ma znaczenia. Oryginalna sekwencja jest w bazie danych Gai. Wasza wizyta będzie jej reaktywacją”.

— To chyba nie bardzo pasuje do twoich celów — wyszeptała Laurinda. — Co to było? Co się stało w tamtym świecie?

„Celem był eksperyment, badanie możliwej naukowo — technicznej rewolucji analogicznej do tej z siedemnastego wieku naszej ery, wraz z towarzyszącymi jej Zmianami społecznymi, które mogły doprowadzić do powstania stabilnej demokracji”.

Christian walczył z własnym lękiem.

— Udało się? — zapytał.

Odpowiedź była chłodna.

„Chcesz się przekonać?”.

Christian nie spodziewał się, że będzie się musiał zbierać na odwagę. Odezwał się dopiero po chwili.

— Tak, sądzę, że to mogłoby być bardziej użyteczne od spotkania z twoim filozofem. Czy możesz nam pokazać wynik tego eksperymentu?

— Och, wiem, że nie może to być pojedynczy, prosty obraz. Ale czy możesz nas przenieść w miejsce, które da nam konkretne

pojęcie — coś w rodzaju streszczenia — coś jak Elżbieta I pasująca Francisa Drake'a na rycerza albo Einstein i Bohr dyskutujący o stanie ich świata? — dołączyła się Laurinda.

„Odpowiednia możliwość istnieje w roku odpowiadającym 894 r. n.e.”, powiedział im amulet. „Sugeruję Ateny. Ostrzegam, to niebezpieczne. Mogę was chronić, albo was stamtąd zabrać, ale ludzkie zachowania są właściwie chaotyczne, a ta sytuacja mniej przewidywalna, niż większość. Może mi się wymknąć spod kontroli”.

— Zaryzykuję — krótko powiedział Christian.

— Ja też — powiedziała Laurinda.

Popatrzył na nią.

— Nie. Sama słyszałaś. To niebezpieczne.

— To konieczne. Pamiętaj, że podróżuję w imieniu Gai — odpowiedziała spokojnie.

Gai, która pozwala, żeby rzeczy przemijały.

6

Transfer.

Przez chwilę przypatrywali się sobie. Wiedzieli, że amulety zmieniają ich ubrania w coś odpowiedniego. Laurinda miała na sobie szarą szatę, przepasaną, sięgającą do pół łydki, buty, pończochy i szarfę we włosach. Christian ubrany był w tunikę, spodnie i buty z tego samego, szorstkiego materiału, w pochwie u biodra miał nóż, a na plecach broń palną z długą lufą.

Otoczenie nimi wstrząsnęło. Stali w propylejach, które były kupą gruzów i potrzaskanych rzeźb. Partenon nie był tak bardzo zniszczony, ale zdewastowany, naruszony przez pogodę, tu i ówdzie podparty ceglanyimi murkami, na których opierały się pordzewiałe działa. Cała reszta była w ruinie. Erechtheum wyglądało jak kamieniołom. Miasto poniżej płonęło. Mało co widzieli poprzez dym, który przysłaniał niebo i wwiercał się w nozdrza. Słyszeli ryk ognia i wystrzały.

Z dymu wyłoniła się kobieta, biegła w górę po schodach. Była młoda, miała ciemne, rozczochrane włosy, była obszarpana, brudna, zdesperowana. Za nią pojawił się mężczyzna, zwalisty blondyn w futrzanej czapie, brudnym, czerwonym płaszczu i skórzanych spodniach. Spoglądał lubieżnie znad zwisającego wąsa. Był uzbrojony w morderczo wielki nóż, a w prawej ręce miał strzelbę.

Kobieta zauważyła Christiana.

— Voetho! — krzyknęła. — Onome Theou, kyrie, voetho!

Potknęła się o stopień i upadła. Jej prześladowca stanął nad nią, zanim zdążyła się podnieść, i postawił jej stopę na plecach.

Poprzez amulet Christian zrozumiał słowa. „Pomocy, w imię Boga, panie, pomocy!”. Przelotnie pomyślał, że to musi być zniekształcony grecki. Drugi mężczyzna warknął i uniósł broń do ramienia.

Christian nie miał czasu, żeby odbezpieczyć swoją. Gdy obcy mierzył pochylił się, złapał kamień — kawałek marmurowej głowy — i rzucił go. Trafił tamtego prosto w nos. Zatoczył się, a jego twarz zalała się krwią. Broń upuścił na schody. Zawył.

Christian błyskawicznie ocenił sytuację i uznał, że nie zdąży

złapać własnej broni. Widział, że bezpiecznik był skonstruowany w dość szczególny sposób. Raczej nie da rady przeładować wystarczająco szybko. Wyciągnął nóż i rzucił się naprzód.

— Zabieraj się stąd, świnió, bo wypruję ci flaki! — wrzasnął. Słowa były greckie.

Tamten się zachłysnął, odwrócił i uciekł. Zanim dotarł na dół, skrył go dym. Christian zatrzymał się przy skulonej kobiecie i schował nóż.

— Już dobrze, siostró — powiedział, wyciągając do niej rękę. — Chodź. Schrońmy się w środku. Może być ich więcej.

Podniosła się z trudem, łapiąc oddech, oparła ciężko na jego ramieniu i ruszyła wraz z nim ku zniszczonym wrotom. Miała śródziemnomorskie rysy, bez wątpienia była miejscowa. Wyglądała na niemal zagłodzoną. Laurinda podtrzymała ją z drugiej strony. Poprowadzili ją do świątyni. Wewnątrz było ciemno i wszędzie leżały śmieci. W razie potrzeby dałoby się tam bronić.

Po chwili Christian przeklął sam siebie. Cofnął się i zabrał broń wroga. Gdy wrócił, Laurinda siedziała obejmując tamtą kobietę, uspokajając ją.

— Już dobrze, kochanie, już dobrze, jesteś bezpieczna. Nie bój się. Zaopiekujemy się tobą.

Uciekinierka uniosła wielkie, ciemne oczy.

— Jesteście... jesteście aniołami z nieba? — wyjąkała.

— Nie, jedynie śmiertelnikami, jak ty — przez łzy odpowiedziała Laurinda.

To niezupełnie prawda, pomyślał Christian; ale co innego można było powiedzieć?

— Nawet nie wiemy, jak masz na imię.

— Jestem... Zoe... Comnenaina...

— I umierasz z pragnienia, jak słyszę.

Laurinda uniosła głowę. Bezgłośnie poruszyła ustami wydając polecenie. Na podłodze pojawił się kubek.

— Oto woda. Pij.

Zoe nie zauważyła cudu. Złapała naczynie i osuszyła je kilkoma łykami. Potem je odstawiła.

— Dziękuję — powiedziała. Głucho, ale jakby z nową siłą i energią.

— Kim był ten, który cię ścigał?

Przyciągnęła kolana do piersi, objęła się ramionami, zagapiła przed siebie i odpowiedziała martwym głosem.

— Flemicki żołnierz. Włamali się do naszego domu. Widziałam, jak nożem zabili mojego ojca. śmiali się i śmiali. Uciekłam tylnymi drzwiami. Myślałam, że uda mi się ukryć na Akropolu. Nikt tu już nie przychodzi. Ten jeden mnie zauważył i ruszył za mną. Pewnie po wszystkim by mnie zabił. To i tak byłoby lepsze, niż gdyby mnie ze sobą zabrał.

Laurinda kiwnęła głową.

— Wroga armia — powiedziała cicho. — Zdobyli miasto, a teraz je plądrują.

Christian uderzył kolbą broni w ziemię.

— I Gaja na to pozwala? — zgrzytnął zębami.

Laurinda uniosła na niego proszące spojrzenie.

— Musi. Ludzie muszą mieć wolną wolę. Inaczej byliby marionetkami.

— Ale jak doszło do takiego bałaganu? — ciskał się Christian.

— Wyjaśnij mi to, jeśli potrafisz!

Amulet (y) odpowiedziały tak samo bezosobowo, jak wcześniej.

„W erze hellenistycznej wypracowano metodę naukową. To, wraz z rozwojem handlu i odkryciami geograficznymi, dało skutek w postaci rewolucji przemysłowej i demokracji parlamentarnej. Jednak ani nauka, ani technologia nie przekroczyły poziomu odpowiadającego waszemu osiemnastemu wiekowi. Nieracjonalna polityka społeczna i podatkowa doprowadziła do załamania, dyktatury i ciągłych wojen”.

Christian wyszczerzył zęby

— To brzmi znajomo.

— W naszym osiemnastym wieku Aleksander Tytler powiedział, że żadna republika nie przetrwa, gdy większość ludzi odkryje, że mogą czerpać z zasobów publicznych — mruknęła Laurinda. — Christian, oni byli tylko ludźmi — powiedziała głośno.

Zoe kulila się pogrążona w żalu.

„Upraszczaś”, dobiegł ich głos amuletu. „Ale to nie jest lekcja historii. Informacje o rozwoju nieuchronnie dotarły do wojowniczych barbarzyńców północnej Europy i zachodniej Azji. Jeśli pytacie, po co ich tu wprowadzono, to zauważcie, że populacja ograniczona do brzegów śródziemnego morza nie może zbudować żadnego możliwego świata materialnego. Zepsute społeczeństwa południa nie potrafiły zmienić swoich charakterów, pokonać czy wreszcie powstrzymać wrogów. To, co tutaj widzicie, jest tego rezultatem”.

— Ciemne Wiek — głucho powiedział Christian. — A co się

dzieje potem? Jakaś nowa cywilizacja?

— Żadna. Ta sekwencja się kończy za rok.

— Hm? — zdumiał się. — Jest niszczona?

— Nie. Program się wyłącza. Emulacja się zatrzymuje.

— Mój Boże! Te miliony żywych istot, równie realnych, jak ja...

Laurinda wstała i uniosła rękę.

— Czy w takim razie Gaja wie, że ta linia czasu nigdy nie będzie szczęśliwsza ?

— Nie — Odparł głos w ich głowach. — Niewątpliwie istnieje możliwość dalszego prowadzenia tego programu. Jednakże musicie pamiętać, że choć możliwości Gai są ogromne, to nie są nieskończone. Im więcej uwagi poświęca jednej historii, tym mniej ma jej dla innych. Prawdopodobieństwo, że ta sekwencja doprowadzi do powstania nowej formy społeczeństwa jest zbyt małe”

Laurinda przytaknęła powoli.

— Rozumiem.

— A ja nie — zirytował się Christian. — Poza tym, że Gaja jest niehumanoidalna.

Laurinda potrząsnęła głową i dotknęła jego dłoni.

— Nie, to nie tak. Posthumanoidalna. To my zbudowaliśmy pierwsze sztuczne inteligencje. Gaja nie jest okrutna — dodała po chwili. — Wszechświat często tak, ale to nie ona go tak urządziła. Szuka lepszego rozwiązania niż przypadek.

— Może. — Spojrzał na Zoe. — Słuchaj, coś trzeba zrobić dla tej biednej duszyczki. Nieważne, że zmienimy historię. I tak się niedługo skończy.

Laurinda otarła oczy.

— Daj jej przeżyć ten ostatni rok w spokoju — powiedziała w powietrzu. — Proszę.

W pomieszczeniu pojawiły się różne przedmioty.

„Oto jedzenie, wino, czysta woda”, powiedział niesłyszalny głos. „Poradźcie jej, żeby po zmroku zeszła ze wzgórza, odszukała jakichś przyjaciół i przyprowadziła ich z powrotem. Mała grupa ukryta w tych ruinach może mieć nadzieję, że przetrwa do czasu, aż najeźdźcy odejdą”.

— Nie warto robić nic więcej, co? — powiedział Christian z goryczą.

— Czy chcesz zakończyć swoje dochodzenie?

— Na pewno nie.

— Ja też nie — powiedziała Laurinda. — Ale gdy tu skończymy i zrobimy dla tej dziewczyny, co się da, zabierz nas do domu.

7

W Anglii panował spokój. Chmury piętrzyły się wielkie i białe, przecinane Światłem słońca. Po lewej stronie dróżki w dojrzewającym zbożu kwitły maki. Po prawej rozciągało się zielone pastwisko, gdzie pod wielkim dębem pasło się bydło. Mężczyzna i kobieta jechali obok siebie. Kopyta stukwały miękko, poskrzypywały skórzane siodła, słodki zapach koni mieszał się z woniami ziół, gwizdał kos.

— Nie, nie sędzę, żeby Gaja kiedykolwiek ponownie uruchomiła program, który zakończyła — powiedziała Laurinda.

— Ale to ni gorsze od śmierci, a śmierć rzadko bywa tak łatwa.

— Ale skala tego — zaprotestował Christian, a potem westchnął. — Wędrowiec pewnie mi powie, że jestem ckliwie sentymentalny, a gdy znów się z nim połączę, przyznam mu rację.

Skrzywił się, jakby chciał dodać, że lepiej, aby to była prawda. Nie będzie dłużej oddzielnym bytem, awatarem, będzie jednością z większą całością, która z kolei połączy się z jeszcze większą.

— Bez Gai nigdy by nie istnieli, pomyśl o tych niezliczonych życiach i kolejnych pokoleniach — powiedziała Laurinda. — Najgorsze nieszczęścia sami na siebie sprowadzili. Jeśli ktokolwiek z nich znajdzie drogę do czegoś lepszego, naprawdę lepszego, będzie musiała zacząć od nowa.

— Mhm, ale nie mogę zapomnieć o tych wszystkich idealistach, którzy mordowali ludzie torturowali ich albo zamykali w obozach koncentracyjnych, jeśli ich zachowanie nie pasowało do określonej wizji.

— Nie, nie, to nie tak! Nie rozumiesz? Daje im wolność bycia sobą i możliwość stania się czymś więcej.

— Dla mnie to wygląda, jakby dopasowywała parametry i warunki krańcowe, aż program nie zacznie wyglądać obiecująco, zanim jeszcze uruchomi eksperyment. — Christian zmarszczył brwi. — Ale przyznaję, nie chce się wierzyć, że robi to dlatego, że jest... znudzona i samotna. Nie, kiedy wszyscy jej rodzaju są na nią otwarci. Może nie mamy odpowiednich mózgów, żeby zrozumieć jej motywacje. Może je wyjaśni Wędrowcowi albo bezpośrednio Alfie — chociaż komunikacja międzygwiazdna w najlepszym czasie zajmuje dziesięciolecia.

— Czy pomimo tego chcesz kontynuować? — zapytała.

— Powiedziałem, że tak. Powinienem. A ty?

— Tak. Nie chcę, cóż, nie chcę jej zawieść.

— Nie wiem, czego teraz spróbować i nie jestem pewien, czy pozostawienie decyzji amuletom jest dobrym pomysłem.

— Ale mogą nam pomóc, doradzić. — Laurinda odetchnęła głęboko. — Proszę. Jeśli się zgodzisz... Czy następny świat, jaki odwiedzimy... mógłby być łagodny? Ten horror, który widzieliśmy ostatnio...

Sięgnął po jej dłoń.

— Dokładnie tak sobie pomyślałem. Masz jakieś propozycje?

Kiwnęła głową.

— Katedra w York. Gdy... żyłam... była w kiepskim stanie, ale... widziałam zdjęcia. To był jeden z najpiękniejszych kościołów, jakie kiedykolwiek zbudowano, w cudownym, starym mieście.

— Wspaniały pomysł. Jednak nie kolejny pozbawiony życia fragment archiwum. Kompletne środowisko. — Christian namyślał się przez chwilę. — Oczywiście najpierw wszystko sprawdzimy, ale powiedziałbym, że czasy edwardiańskie nam się spodobają. Na kontynencie nazywali je belle epoque.

— Wspaniale! — zawołała. Zaraz poczuła się lepiej.

8

Transfer.

Pojawili się w zachodnim końcu, w południowej nawie. Widać

było kilku wiernych stłoczonych przed ołtarzem. W półmroku ich przybycie przeszło niezauważone. Światło słońca prześwietlało witraże. Był wtorek rano, czerwiec. W kościele unosiła się woń kadzidła. Śpiewał chór.

Christian wytężył słuch.

— To łacina — wyszeptał. — W Anglii, w 1900 roku?

Popatrzył na ich stroje. Koszula, płaszcz i spodnie dla niego, a do tego spoczywający na ławce kapelusz; marszczona bluzka, suknia do kostek i koronkowy czepeczek dla niej.

— Ubrania też się nie zgadzają.

— Ha — mruknęła Laurinda. — Czekaj. Nie powiedzieliśmy, że to ma być nasz 1900. To może być opactwo York Gai.

Sztywno kiwnął głową. Było jasne, że węzeł nigdy nie stworzy idealnej kopii jakichkolwiek minionych warunków — to było niemożliwe i nie było sensu próbować. Często, choć nie zawsze, za punkt startowy przyjmowała przybliżenie; nigdy jednak nie prowadziło to do takiego samego celu. Gdzie zatem leżały korzenie tego dnia?

— Spokojnie — powiedziała Laurinda. — Tu jest pięknie.

Postarał się, a katolicka msza dźwięcząca o poranku wlała w jego serce spokój.

Po nabożeństwie, gdy ksiądz i wierni wyszli, mogli się rozejrzeć. Spędzili chwilę przyglądając się rzeźbionemu wapieniowi na froncie. To nie był Partenon; było to jednak inne spojrzenie na ten sam cud. Jednak dookoła rozciągał się cały Świat czekający na odkrycie. Wzdychając i uśmiechając się jednocześnie, ruszyli przed siebie.

Kusiły ich cudowne wąskie uliczki, z belkowanymi ścianami

domów po obu stronach. Przyciągały ich bardziej nowoczesne ulice i budynki. York był miastem pełnym życia, miastem handlowym, gospodarczym zapleczem kraju, pełnym ludzi i zgiełku. Ich uśmiechy zbladły. To połowiczne podobieństwo do domu nie wydawało im się właściwe.

Ubrania nie odbiegały radykalnie od tego, co znali z obrazów i dramatów historycznych; ale nie były identyczne. Angielski nie przypominał języka znanego Christianowi i Laurindzie, i raz po raz słyszeli niemiecki. Mały parowóz wciągnął pociąg na stację zbudowaną raczej w teutońskim stylu. Nie było widać automobili. Mnóstwo było natomiast powozów, jednak chodniki były czyste, bo zwierzęta nosiły coś w rodzaju pieluch. Na fladze nad urzędem pocztowym, trzepoczącej na wietrze, zamiast krzyża św. Andrzeja widniał dwugłowy, złoty orzeł. Jakiś człowiek z megafonem wzywał do zrobienia przejścia dla wojska. Żołnierze w niebieskich mundurach, z karabinami na ramionach, maszerowali szybko w takt komend wyszczekiwanym po niemiecku. Pojedynczy żołnierze, pewnie na przepustkach, byli wszędzie. Koło nich przemknął chłopiec sprzedający gazety i Christian zobaczył nagłówek WOJNA na pierwszej stronie.

— Słuchaj — zwrócił się w końcu do amuletów. — Gdzie możemy się napić piwa?

— W gospodzie, jeśli przyjdziecie tam razem — Odparkł bezgłośny głos.

Aha, czyli nie wpuszczano samotnych kobiet. cóż, pomyślał niejasno Christian, za „ich” czasów edwardiańskich też tak było, w każdym razie w porządnym tawernach. Tablica na fasadzie

budynku w stylu Tudorów głośiła JERZY I SMOK. Wyłożone drewnem wewnątrz było zdecydowanie angielskie.

Klientów było mnóstwo, panował hałas, a powietrze było ciężkie od dymu fajkowego, jednak udało im się znaleźć stolik w rogu, gdzie mogli spokojnie porozmawiać. Piwo było bardzo dobre, ale Christian nie poświęcił mu uwagi.

— Nie wydaje mi się, żeby to był pokojowy świat — powiedział.

Laurinda popatrzyła przez niego.

— A czy kiedykolwiek taki znajdziemy? Czy w jakimkolwiek ludzkim świecie może panować pokój?

Skrzywił się.

— No nic, spróbujmy się dowiedzieć, co się tutaj dzieje.

„Możecie otrzymać wszystkie informacje, jakich sobie życzycie”, odezwał się głos w ich głowach. „Lepiej zrozumiecie warunki”.

— Zamiast samodzielnie zgłębiać zagadki świata, który nigdy nie istniał — wymamrotał Christian.

— I który nigdy nie był nasz — poprawiła go Laurinda.

— Mów dalej.

„Ta sekwencja została stworzona w oparciu o piętnasty wiek po Chrystusie”, powiedział głos. „Ruch soborowy odniósł sukces, choć w waszej historii tak się nie stało”.

— Ruch soborowy?

— Rady kościelne zwołane w Konstancji, a później w Bazylei, które miały uzdrowić religię po Wielkiej Schizmie i doprowadzić do reformy Kościoła. Tutaj udało się to osiągnąć, biskupi odzyskali część władzy, która przez wieki była przypisana

papieżom, uzyskano porozumienie z husytami i zrobiono wiele innych ważnych rzeczy. W rezultacie nie doszło do oderwania się protestantów, nie było wojen religijnych, a Kościół pozostał przeciwwagą dla państwa, zapobiegając powstaniu monarchii absolutnej”.

— To przecież wspaniałe — wyszeptała Laurinda.

— Jak dotąd nie za bardzo — kwaśno zauważył Christian. — Co się stało?

„W skrócie, Niemcy uniknęli Wojny Trzydziestoletniej i podziału na skłócone księstwa. W siedemnastym wieku ich kraj się zjednoczył i wkrótce zyskał dominującą rolę na scenie politycznej Europy, kolonizując i podbijając wschód. Religijne i kulturowe różnice między nimi a Słowianami okazały się nie do pokonania. Rozrost imperium powodował rosnące zaniepokojenie, z konieczności jego działania stawały się coraz bardziej brutalne, co wywoływało kolejne rebelie. W efekcie kraj się podzielił, a Rosjanie idą na Berlin:

— Rozumiem. A co z nauką i techniką?

— Rozwijają się wolniej, niż w waszej historii, jakkolwiek zauważyliście istnienie gałęzi przemysłu opartych na paliwach kopalnych”.

— Czyli ta Europa była spokojniejsza, mniej w niej wynaleziono i mniej odkryto. To przypadek?

— A co z rządem? — spytała Laurinda.

— Parlamenty rozkwitły, miały więcej władzy niż królowie, cesarze i papieże”, powiedział glos. „W wielu krajach zachodu nadal sprawują władzę”.

— Jako marionetki, założę się — burknął Christian. — Dobrze,

co się działo dalej?

Gaja wiedziała. Siedział w reaktywacji czegoś, co przypuszczalnie zakończyła tysiące lat temu.

— „Rozwój nauki i technologii postępował coraz szybciej, przez długi okres ogólnych zawirowań. W punkcie terminal—

— Nieważne!

Zapomnienie mogło być lepsze od wojny nuklearnej.

Przy stoliku zapanowała cisza. Życie wypełniające pub swoim gwarem nagle wydało im się nierealne.

— Nie wolno nam płakać — powiedziała wreszcie Laurinda. — Jeszcze nie.

Christian się otrząsnął.

— Europa to nie cała Ziemia — warknął. — Ile światów zrobiła Gaja?

„Wiele”, odpowiedział mu głos.

— Pokaż nam jakiś naprawdę obcy. Zgadzasz się, Laurindo?

Skrzyżowała ramiona.

— Ale nie tutaj. Jeśli znikniemy, mogą się przerazić. To może zmienić całą przyszłość.

— Wątpię — z ironią powiedział Christian. — A czy na dłuższą metę miałyoby to znaczenie? Ale dobrze, nie tutaj.

Wyszli na zewnątrz i szli przez miasto, aż znaleźli schody prowadzące na średniowieczny mur. Popatrzyli po dachach Yorku. Byli sami.

— Zabierz nas stąd — powiedział Christian.

„Nie określiliście typu Świata”, powiedział głos.

— Zaskocz nas.

Transfer.

Niebo było bezkresne, bladoniebieskie, wiał lekki, ciepły wiatr. W szerokiej, brązowej wodzie odbijało się urwisko. Rosły na nim drzewa, wysokie, z jasnymi pniami i drżącymi, srebrno—zielonymi liśćmi. Topole, rozpoznał je Christian. W takim razie byli gdzieś w centrum Ameryki Północnej. Okrywały ich ruchome cienie. Wzdłuż rzeki rozciągały się pola poprzecinane drogami. Widać było głównie uprawy zbóż i kukurydzy. Tu i ówdzie widać było farmy — domy, zabudowania gospodarcze, stodoły, czasem stajnię lub warsztat. Spadziste dachy pokryte czerwonymi dachówkami wyglądały jak w Azji. Zauważył wozy zaprzężone w woły i kilku jeźdźców na koniach, a także ludzi pracujących na polach, ale z tej odległości nie mógł zidentyfikować ich rasy. Na horyzoncie wznosiło się skupisko wież, które także kojarzyły się z Orientem. Jeśli było tam jakieś miasto, to nie rozrosło się zbyt szeroko.

Jedna z dróg biegła wzdłuż rzeki. Posuwała się nią procesja. Na jej czele kroczył słoń, przystrojony równie bogato, co człowiek, który siedział na jego grzbiecie. Mężczyźni z ogolonymi głowami, ubrani w żółte szaty szli za nim, a z boków jechali ludzie na koniach, trzymający tyczki, z których zwisały szkarłatno—złote proporce. Wiatr przynosił słaby dźwięk gongów i niskiego zaśpiewu.

Christian klasnął w ręce.

— Idiota ze mnie — mruknął. — Daj nam powiększenie.

Natychmiast w ich rękach znalazły się lornetki. Od jego czasów była to tylko nazwa umowna, urządzenie pasowało do dłoni i dawało dowolne powiększenie, choć nie było w nim żadnych soczewek. Przez kilka minut przyglądał się uczestnikom pochodu. Tak, wyglądali na Chińczyków, z wyjątkiem kilku ludzi, którzy mieli rysy wskazujące raczej na rdzennych Amerykanów. A przywódca na słoni miał na głowie pióropusz.

— Ależ tu cicho — powiedziała Laurinda.

„Jesteście tu w czasach rozkwitu Wielkiego Spokoju”, odezwał się amulet.

— Co to takiego? — dziwił się Christian. — Gdzie, kiedy, jak?

„Jesteście a Ameryce Północnej, w dwudziestym drugim wieku według waszej rachuby. Chińczycy wylądowali na brzegu Pacyfiku siedemset lat temu, a za nimi podążyli kolonizatorzy”.

W tym świecie, pomyślał Christian, Europa i Afryka to z pewnością tylko szkice, zamieszkane może przez parę prymitywnych plemion, chyba że nie ma tam nic, poza oceanem. Uproszczenia, uproszczenia.

„Biorąc pod uwagę odległość i niebezpieczeństwa dla żeglugi, proces ten był powolny”, ciągnął głos. „Podczas, gdy nowo przybyli w miejscach swojego osadnictwa wypychali lub ujarzmiali krajowców, większość pozostała wolna, przyswoiła sobie technologię, a także nabrała odporności na sprowadzone przez przybyszów choroby. Wreszcie rasy zaczęły się mieszać, genetycznie i kulturowo. Osadnicy wpłynęli na złagodzenie barbarzyńskich religii miejscowych ludów, ale także wiele się od nich nauczyli. Uczyli też sami. Widzicie tutaj rezultat”.

— Droga Buddy? — bardzo cicho spytała Laurinda.

„Z wpływami taoizmu i miejscowych kultów natury. To wiara pełna harmonii, bez sekt głoszących herezje, podkopujących cywilizację”.

— To niemożliwe, żeby wszystko było tak piękne — powiedział Christian.

„Oczywiście, że nie. Ale pokój, który zaprowadził cesarz Wei Zhi Fu trwa od stu lat i potrwa jeszcze dwieście. Jeśli zdecydujecie się podróżować, odkryjecie wspaniałe osiągnięcia w sztuce i stosunkach społecznych”.

— Kilka następnych stuleci. — Głos Laurindy zadrżał. — A potem?

— Koniec — przewidział Christian. — To też są ludzie. Ale powiedz mi, czy kiedykolwiek rozwinęli prawdziwą naukę?

„Nie — odparła obecność. — Ich talenty związane są z innymi wymiarami. Ale nadchodząca era działań wojennych doprowadzi do powstania wielu zdumiewających technologii”.

— Jaka era?

„Chiny nigdy nie uznały deklaracji niepodległości tego kraju, ani nie zaaprobowały mieszania ras. Kolejna dynastia będzie nastawiona raczej wojowniczo, co przez spory religijne i świeckie doprowadzi do osłabienia półkuli zachodniej”.

— A potem z kolei upadną najeźdźcy. O ile Gaja wcześniej nie zakończy programu. Robi to — robiła — czasami, prawda?

„Wszystko się kończy. Jej kreacje także”. Liście szeleściły cicho.

„Chcecie pójść do miasta i trochę się rozejrzeć?”, spytała obecność. „Możliwe jest zaaranżowanie spotkania z kilkoma ważnymi ludźmi”.

— Nie — powiedział Christian. — W każdym razie jeszcze nie. Może później.

Laurinda westchnęła.

— Raczej wrócimy do domu i odpoczniemy. — I pomyślimy — dodał Christian. — Tak.

10

Transfer.

Słońce nad Anglią wydawało się łagodniejsze, niż nad Ameryką. Opadając ku zachodowi słało swoje promienie przez okna, oświetlając drewno, marmury i skórzane okładki książek, eksplodując w tęcze na kryształach, powodując, że mocniej pachniało potpourri w dzbanie.

Laurinda otworzyła szufladę sekretarzyka. Ściągnęła z szyi amulet i wrzuciła go do środka. Christian zamrugał, kiwnął głową i poszedł w jej ślady. Zamknęła szufladę.

— Musimy być sami przez chwilę — powiedziała. — To nie był tak koszmary dzień, jak poprzednio, ale jestem bardzo zmęczona.

— To zrozumiałe — odpowiedział.

— A ty?

— Ja też padam.

— Te światy... już mi się wydaje, że to były tylko sny.

— Pewnie emocjonalna obrona przed nimi. Nie tchórzostwo, tylko konieczny, czasowy odpoczynek. Dzieliliś ich ból. Jesteś na

to za słodka, Laurindo.

Uśmiechnęła się.

— Tu się pomyliłeś. Nie mam zamiaru zemdleć.

— To na pewno.

Wyciągnęła z szafki kryształowe kieliszki, napełniła je z karafki i zaprosiła go gestem. Porto pieściło ich języki. Stali, patrząc sobie w oczy.

— Pewnie głupotą i bezczelnością byłoby szukać jakiegoś wzorca na tak wczesnym etapie naszych poszukiwań — zaryzykowała. — Każdy rzut oka na tamte światy... każdy równie realny jak... — zadrżała.

— Mam pewne przeczucie — powiedział powoli.

— Jakie?

— Przeczucie, podejrzenie, intuicję. Dlaczego Gaja to robi? Jakoś nie mogę uwierzyć, że się tym już nie zajmuje.

— Ani ja. Nie mogę też uwierzyć, że może zapobiec tym okropieństwom, a mimo to na nie pozwala. Jak taki intelekt, taka dusza, jak jej, może robić cokolwiek złego?

A więc tak uważała Laurinda, zreflektował się Christian; była awatarem Gai. Nie sądził, żeby miało to wpływ na trzeźwość jej osądów; zdążył ją całkiem nieźle poznać. Ale nie ujawniało to też natury i ostatecznego zamysłu węzła Ziemi. To za ledwie był dowód na to, że żyjąca Laurinda Ashcroft była uczciwą osobą.

Pociągnęła duży łyk z kieliszka.

— Ja sama myślę, że jest na tej samej pozycji, co niegdyś Bóg. Będąc dobrą chce dzielić egzystencję z innymi, więc ich stwarza. Ale robienie z nich automatów, marionetek, byłoby bez sensu. Muszą mieć Świadomość i wolną wolę. Dlatego mogę grzeszyć i

robią to, za często.

— To dlaczego nie stworzy ich moralnie silniejszymi?

— Ponieważ to mają być ludzie. A czymże jesteśmy, jeśli nie wyspecjalizowaną afrykańską małpą?

Laurinda ucichła; zapatrzyła się w kieliszek.

— Potrafiącą używać narzędzi i języków, mającą marzenia sny: ale sny mogą być koszmarami.

W bytach takich, jak Gaja i Alfa nie ma starożytnego zwierzęcia, pomyślał Christian. Ludzkie elementy w nich już dawno zostały wchłonięte, poskromione, zmienione. Jego i jej wskrzeszenie musi być czymś niemal niespotykanym.

Nie chcąc jej zranić ostrożnie dobierał słowa.

— Twój pomysł jest rozsądny, ale obawiam się, że nie rozwiązuje wszystkich kwestii. Gaja interweniuje, raz za razem. Amulety to przyznają. Gdy emulacje za bardzo zбочą z torów zmienia je i istniejących w nich ludzi. — Aż ich wyłączy, czego już nie dodał. — Dlaczego to robi, odgrywa historię po historii, eksperyment po eksperymencie... po co?

Laurinda skrzywiła się.

— Żeby się uczyć o tej naszej dziwnej rasie?

Kiwnął głową.

— Tak, to jest moje przeczucie. Ani Ona, ani nawet galaktyczny mózg nie mogą przyjąć podstawowych założeń i obliczyć, do czego doprowadzi dana sytuacja. Ludzie są chaotyczni. Jednak systemy chaotyczne mają swoje struktury, zmienne, ograniczenia. Pozwalając, żeby rzeczy toczyły się swoim torem można odkryć kilka ogólnych praw, określić, jaki kurs jest lepszy, a jaki gorszy. — Uniósł kieliszek. — Jednak do jakiego końca? W

zewnątrznym wszechświecie nie ma już ludzi. Nie ma ich już od... ilu milionów lat? Nie, jeśli to nie jest tylko bezduszna ciekawość, to nie mam pojęcia, czego ona może szukać.

— Ani ja. — Laurinda skończyła swoje wino. — I robię się naprawdę bardzo zmęczona.

— Ja też. — Christian ziewnął. — Może pośpimy do wieczora? A potem specjalna kolacja, gdy będziemy mieć jaśniej w głowach.

Na moment ujęła jego rękę.

— Do wieczora, drogi przyjacielu.

11

Noc była młoda i łagodna. Nad ogrodem świecił księżyc w pełni. Wino sprawiło, że mieli dobre nastroje. Pod ich stopami rytmicznie skrzypiał żwir. Laurinda i Christian tańczyli, nucąc razem melodię walca. Gdy skończyli usiedli, zaśmiewając się, nad sadzawką. Woda migotała odbitym światłem gwiazd. Wcześniej założył na chwilę amulet i zażyczył sobie gitary. Zaśpiewał jej piosenkę, którą napisał dawno temu, gdy był śmiertelny.

— *Stopy lekkie jak puch*

Gdy tańczymy pod letnim niebem!

Mamy tylko Życie

Mamy tylko siebie.

*Rok znowu umrze
A potem narodzi
Dając nam. Nieskończony
Ocean możliwości.
Sami stworzymy sobie wieczność
Piękną i szczęśliwą
Będziemy zawsze tańczyć
Nad ziemią urodziwą.
Smutek mnie nie doścignie
Ni serca strapienie
Gdy ty, cudna dziewczyno
Powiedziesz na pokuszenie.*

Nagle Laurinda znalazła się w jego ramionach.

VII

Tam, gdzie wzgórza wznosiły się najwyżej nad rzeką, która je przecinała, zbocza były strome, ale słabo zalesione. Kalava kierował łodzią. Niewolnicy przy wiosłach stękali z wysiłku. Na Ich skórze lśnił pot, spływający po naprężonych mięśniach; tego dnia pokrywa chmur nie była zbyt gruba. Dziób łodzi zarył w piasek na brzegu. Kalava kazał dwóm swoim marynarzom na straży łodzi. Wraz z pozostałą czwórką i Ilyandi wyszedł na brzeg i zaczął się wspinać.

Szło to powoli, ale stale. Ze szczytu rozciągał się widok zapierający dech w piersiach. Na północy teren opadał ostro tak, że patrzyli nad czubkami drzew wzdłuż doliny pełnej zieleni i życia. Rzeka lśniła jak ostrze, wypływając spod ledwie widocznego podnóża pasma wzgórz, które dalej zamieniały się w prawdziwe góry o poszarpanych szczytach. Na niebie kołowały dwa skrzydłomiecze, wypatrując ofiary. Słońce prześwietlało skłębione chmury. Powietrze było tutaj chłodniejsze, pachniały zioła.

— To tak piękne, tak piękne, jak Królestwo Zachodzącego Słońca z legend — wreszcie wyjąkała Ilyandi.

Stała drobna w męskiej kurcie i spodniach, które, jako Vilku, mogła nosić podczas wędrówki. Wiatr rozwiewał jej krótkie loki. Jej miedziana skóra była tak mokra i niemal tak woniejąca, jak

czarna Kalawy, ale nie była bardziej zmęczona, niż którykolwiek z jej towarzyszy.

Jeden z nich, Urko, popatrzył gniewnie na drzewa i krzaki rosnące gęsto po drugiej stronie. Tylko szlak, którym się tutaj wspięli nie był specjalnie zarośnięty, być może ze względu na jakieś osunięcie się ziemi.

— Za dużo drzew — zaburczał.

Faktycznie, poruszanie się po tej Ziemi wymagało dużej zręczności. Nie mogli przez to polować, z czym na wybrzeżu nie było problemu. Na szczęście wody obfitowały w ryby.

— Wystarczy je wyciąć — powiedział szorstko Kalava. — A potem jakie tu powstaną farmy!

Zapatrzył się w przyszłość.

Po chwili wrócił na ziemię.

— Ale zaszliśmy wystarczająco daleko, żeby mieć pojęcie o całym tym kraju. Trzy dni, i pewnie jeszcze ze dwa w dół strumienia. Niedługo ludzie, którzy zostali na statku, zaczną się bać. Wracamy.

— Kolejne statki przywiozą kolejnych odkrywców — powiedziała Ilyandi.

— Tak będzie. A ja poprowadzę pierwszy z nich.

Z prawej strony w gąszczu rozległ się trzask.

— A to co? — warknął Tałtara.

— Jakies duże zwierzę — odparł Kalava. — Bądźcie w pogotowiu.

Marynarze stanęli w szeregu. Trzech oparło o ziemię oszczepy, które ze sobą nieśli, czwarty zdjął z ramienia kuszę i załadował ją. Kalava gestem wskazał Ilyandi, żeby stanęła za nimi i

wydobył miecz.

Stworzenie przebiło się przez krzaki i wyszło na otwartą przestrzeń.

— Aaa! — zawył Yarvonin. Upuścił swój oszczep i rzucił się do ucieczki.

— Stać! — wrzasnął Kalava. — Urko, zastrzelisz każdego, kto zacznie uciekać, jeśli ja sam nie utnę mu głowy. Stać, kurwie syny, stać!

Stworzenie się zatrzymało. Przez wiele uderzeń serca nikt się nie poruszył. To był przerażający widok. Stwór był wyższy o głowę od najwyższego człowieka, ale ta głowa była pozbawiona twarzy i wyglądała jak maska. Z każdego boku wyrastały dwa grube ramiona, dolna para rąk była zdeformowana. Pomimo garbu na plecach wyglądał na bardzo silnego. Na oczach podróżników Wysunął kościstą, trzecią nogę, żeby pewniej stać na nierównej Ziemi. Może był nagi, może miał na sobie zbroję, ale choć był środek dnia, wydawał się mieć kolor zmierzchu.

— Spokojnie, chłopcy, spokojnie — powiedział Kalava przez zaciśnięte zęby. Ilyandi podeszła do niego. Promieniowała spokojem.

— Moja pani, co to takiego? — zapytał.

— Bóg albo posłaniec bogów, jak sądzę.

Ledwie ją słyszał przez wycie wiatru.

— Demon — jęknął Eivala, ale nie ruszył się z miejsca.

— Nie, raczej nie. My, Vilkui, wiemy coś na ten temat. Nie płonie jednak... a ja nigdy nie sądziłam, że jakiegoś spotkam... w tym życiu.

Ilyandi odetchnęła głęboko, na chwilę zacisnęła pięści, a potem

ruszyła naprzód. Dotknęła zaschniętej gałązki tekina przypiętej na piersi, zasłoniła oczy i przyklękła na chwilę z szacunkiem, zanim spojrzała na maskę.

Stwór się nie poruszył, ale, choć nie miał ust, przemówił głębokim i wibrującym głosem. Słowa były niezrozumiałe. Po chwili przerwał, a potem Odezwał się znowu w podobnie nieznanym języku. Przy trzeciej próbie Kalava wykrzyknął:

— To jest język Lśniących Pól!

Stwór umilkł, jakby zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Następne słowa padły w języku Ulonai z Sirsu.

— Nie bójcie się. Nie zrobię wam krzywdy.

— Człowiek wie mało, rozumie jeszcze mniej, więc poprowadźcie go ku mądrości — wyrecytowała Ilyandi.

Odwróciła głowę w stronę swoich towarzyszy.

— Odłóżcie broń. Pokłońcie się.

Zrobili to niezgrabnie.

Na ślepych panelu ślepej czaszki pojawił się obraz męskiej twarzy. Choć była czarna, jej rysy nie do końca przypominały rysy innych ludzi. Miała szeroki nos, grube wargi, okrągłe oczy, mocno skręcone włosy. Pomimo tego ta magia miała w sobie coś niejasno uspokajającego.

— Panie, czego od nas żądasz? — spytała Ilyandi stłumionym głosem.

— Trudno powiedzieć — odparła dziwna istota. — Ten świat jest oszałamiający. Ja sam... Możecie mnie nazywać Brannock.

Kapitan zebrał odwagę.

— A ja jestem Kalava, syn Kurvo, z Klanu Samayoki.

Na stronie zwrócił się do Ilyandi.

— Pani, wybacz, że cię nie przedstawię. To nie brak szacunku. Niech wypróbuje swoje zaklęcia na mnie.

Pomimo braku widocznych cech płciowych ludzie uznali Brannocka za samca.

— Mój pan nie potrzebuje imion, żeby przeprowadzić swoją wolę — odparła. — Jestem Ilyandi, córka Lytin, urodzona w Klanie Arvala, obecnie Vilku piątego kręgu. Kalava chrząknął.

— Za twoim pozwoleniem, panie, nie wymienimy jeszcze imion pozostałych. Są wystarczająco przerażeni.

Za plecami usłyszał warknięcie i uśmiechnął się w duchu. Wstyd pomoże im się opanować. Co do niego, strach zaczynał mijać.

— Nie żyjecie tutaj, prawda? — spytał Brannock.

— Nie — odparł Kalava. — Jesteśmy zwiadowcami zza morza.

Ilyandi zmarszczyła brwi na tę bezczelność i zwróciła się do Brannocka.

— Panie, czy zgrzeszyliśmy? Nie wiedzieliśmy, że ta ziemia jest zakazana.

— Nie jest — odparł Brannock. — Niezupełnie. Ale... — twarz na panelu uśmiechnęła się. — Chodźcie, uspokójcie się i porozmawiajmy. Mamy dużo do omówienia.

— Brzmi całkiem jak człowiek — mruknął Kalava do Ilyandi. Brannock wskazał na pobliskie wielkie drzewo z gęstą liściastą koroną.

— Tam jest cień.

Schował swoją trzecią nogę i zrobił krok. Na drodze leżał powalony duży pień. Podniósł go i przełożył na bok. Cała grupa Kalawy nie byłaby w stanie tego zrobić. To nie było konieczne, ale

ten pokaz użytej beztrosko siły dodał im odwagi. Załoga pomrukując usiadła. Kapitan, Vilku i obcy stali nadal. Opowiedzcie mi o sobie — powiedział łagodnie Brannock.

— Panie, z pewnością wiesz wszystko — powiedziała Ilyandi.

— Być może.

— On chce, żebyśmy to zrobili — stwierdził Kalava. W ciągu kilku chwil, naprowadzani przez pytania, opowiedzieli mu o wszystkim. Obraz Brannocka kiwał głową.

— Rozumiem. Jesteście pierwszymi ludźmi, którzy kiedykolwiek dotarli do tego kraju. Ale wasi ludzie od dawna żyją w swojej ojczyźnie, tak?

— Od bardzo dawna, panie — powiedziała Ilyandi — choć według legend nasi przodkowie przybyli z południa.

Brannock znów się uśmiechnął.

— Byłaś bardzo dzielna tak wychodząc mi na spotkanie, moja pani. Powiedziałaś jednak swojemu przyjacielowi, że twoje zgromadzenie zna istoty podobne do mnie.

— Usłyszałeś jej szept na taką odległość? — zdumiał się Kalava.

— Albo nasze myśli, panie — powiedziała Ilyandi.

Brannock spoważniał.

— Nie, nie myśli. Gdyby tak było, nie pytałbym o waszą historię.

— Czy wolno mi spytać, skąd przybywasz?

— Tak. Ale nie jestem w stanie wam tego wytłumaczyć. Możesz mi pomóc opowiadając o tych istotach, o których wiesz.

Ilyandi nie mogła ukryć nagłego zdenerwowania. Kalava zeszywniał. Nawet oniemiała marynarze musieli się

zastanawiać, o czym może rozmawiać z nimi bóg.

Ilyandi ostrożnie dobierała słowa.

— W przeszłości istoty takie objawiały się niektórym Vilku albo, czasami, wodom. Dawały polecenia, co ludzie powinni, a czego nie powinni robić. Często trudno było zrozumieć te rozkazy. Dlaczego Kivalui mają budować młyny wodne na Bystrej Rzece, skoro mają dość niewolników, żeby mieli ziarno? Ale przekazywali także wiedzę, doradzali jak szukać dróg natury. Zawsze zabraniali rozmawiać otwarcie o swoim przybyciu. Sprawozdania znajdują się w tajnych kronikach Vilku.

Ale dla ciebie, panie...

— Jak te istoty wyglądały? — ostro przerwał jej Brannock.

— Ogniste postacie, uskrzydłone lub przypominające ludzi, głosy jak dźwięk rogu..

— Na topór Ruvio! — olśniło Kalavg. — Ta rzecz, która nad nami przeleciała!

Ludzie na ziemi zadygotali.

— Tak — łagodniej odpowiedział Brannock. — Była tam jakaś część mnie. Ale co do reszty...

Jego twarz zamigotała i zniknęła. Po chwili znów się pojawiła.

— Wybaczcie nie miałem zamiaru was przestraszyć — powiedział. Minę miał poważną, a głos ciężki. — Posłuchajcie mnie. W niebie toczy się wojna. Jestem daleko od pola bitwy, a wysłańcy wroga mogą mnie znaleźć w każdej chwili. Niosę posłanie, które musi dotrzeć w pewne miejsce, do... na świętą górę na północy. Czy mi pomożecie?

Kalava kurczowo chwycił rękojeść miecza. Z twarzy Ilyandi odpłynęła krew. Była gotowa na to: że spadnie na nią ogień z

niebios, ale mimo to zadała pytanie:

— Lordzie Brannock, skąd mamy wiedzieć, że jesteś jednym z bogów?

Nic się nie stało.

— Nie jestem — odpowiedział jej. — Ja także mogę umrzeć. Ale ci, którym służę, podróżują wśród gwiazd.

Mnogość cudów, widywanych tylko wtedy, gdy chmury na nocnym niebie rozstąpiły się na chwilę... Ilyandi wyprostowała się.

— Możesz mi opowiedzieć o gwiazdach?

— Jesteś równie inteligenta, jak odważna — powiedział Brannock. — Słuchaj zatem.

Kalava nie mógł nadążyć za tym, o czym rozmawiało tych dwoje. Marynarze się skulili.

Po policzkach Ilyandi popłynęły Izy.

— Tak, on zna konstelacje, wie, co to jest ekliptyka, wie o powrotach Wielkiej Komety, on jest z gwiazd. Zaufaj mu. Nie wolno nam postąpić inaczej.

Kalava wypuścił broń i uniósł w salucie dłoń do piersi.

— Jak my, słabe stworzenia, możemy ci pomóc, panie?

— To wy jesteście moim posłaniem — powiedział Brannock.

— Co?

— Nie mam czasu na tłumaczenie, gdybyście nawet mogli to pojąć. W każdej chwili może mnie odkryć wróg. Ale może wy moglibyście skończyć moje zadanie po tym, jak to się stanie.

— Uciec przed tym, co cię pokonało? — zarechotał Kaława. — Cóż, możemy spróbować.

— Ryzyko jest ogromne. Jednak, jeśli wygramy, będziecie

mogli wybrać sobie nagrodę, dowolną, i sędzę, że ją otrzymacie.

Ilyandi pochyliła głowę.

— Służba tym, którzy mieszkają pośród gwiazd jest wystarczającą nagrodą.

— Mhm — mruknął Kalava. — Jeśli chcą za to zapłacić, to dlaczego nie? Czego od nas oczekujesz? — powiedział głośniej.

— Mogę tam dotrzeć w ciągu dwóch dni i nocy — odpowiedział Brannock. — Jeśli zostanę schwytany i będziecie musieli dalej działać sami, to sędzę, że sprawny człowiek pokona tę odległość w dziesięć do piętnastu dni.

Kalava roześmiał się, swobodniej, niż poprzednio.

— Mój Chart nie zasługiwałby na swoje miano, gdyby zajęło mu to więcej czasu. Zgadza się. Jeśli nie wrócę do czasu, gdy będzie gotowy, płyńcie do dornu beze mnie — powiedział do Ilyandi.

— Nie — zaprotestowała.

— Tak. Nie oplakujcie mnie. Co za wyprawa! — umilkł na chwilę. — Niech ci się zawsze szczęści, moja pani.

— I tobie także, Kalavo — odpowiedziała, nie do końca spokojnie — w tym świecie i dalej, pośród gwiazd.

VIII

Z pnączy, gałęzi, pociętych ubrań i skórzanych pasków Brannock zrobił dla swojego towarzysza coś w rodzaju nosidła, Kalava się nie opierał. Choć podekscytowany, pozostał praktycznym człowiekiem.

Kalava siedział na plecach Brannocka. Promieniowanie z ogniwa nuklearnego zasilającego ciało robota nie miało znaczenia, było doskonale osłonięte. Zmierzał naprzód, w dół pogórza i przez dolinę.

Nie poruszał się dużo szybciej, niż człowiek. Spowalniał go las. Nie chciał przebijać się siłą, zostawiając za nimi wyraźny ślad. Raczej starał się obchodzić największe gęstwiny. Jego przewaga leżała w tym, że się nie męczył. Mógł iść bez przerwy, nie potrzebował jedzenia, wody, ani snu. Jednak pokonanie dalej leżącej wyżyny mogło się okazać nawet trudniejsze. Góra Umysłu także była porośnięta lasem, choć rzadszym, ale była to już kwatery Gai.

Jakie to wszystko było obce. Brannock pamiętał cedry, Świerki, jezioro, nad którym pasły się karibu, i świeży wiatr rozganiający białe chmury na jasnoblękitnym niebie. Tutaj każde drzewo, krzak, kwiat, owad był obcy; nie było już trawy jako takiej, polany porastały grube płaty czegoś, co ją zastąpiło; uskrzydłone zwierzęta nie były ptakami, a głosy innych zwierząt nie

przypominały mu niczego, co znał.

Awatar Wędrowca szedł przed siebie. Zapadła ciemność. Spadł krótki deszcz. Te krople, które przebiły się przez liście, były duże i ciepłe. Jego poczucie kierunku zestrojone z polem magnetycznym planety utrzymywało go na kursie, a wewnętrzny zegar odmierzał czas i kilometry.

Im więcej, tym lepiej. Ruchome czujniki Gai były nakierowane na ekspedycję z Ulonai, jako nowy i potencjalnie problematyczny czynnik. Brannock obserwował je uważnie i czym prędzej się oddalił. Sądził, że Gaja będzie pilnowała obozowiska i że jeden czy dwa roboty podążą za Kalawą, pod warunkiem, że nie będzie połączona z Wędrowcem. Wysłannik Alfy szybko by wyczuł, że pojawiło się coś nagłego, co przyciągnęło jej uwagę, i zaczęłaby się zastanawiać, co to takiego.

Mogła jednakże od czasu do czasu wysyłać niewidzialne czujniki i badać ich obserwacje jakąś swoją peryferyjną częścią. Byłoby cudem, gdyby któryś z nich nie wychwycił rozmów załogi o zjawie, która zabrała kapitana.

I co wtedy? Będzie musiała zająć czymś Wędrowca, żeby móc odnaleźć Brannocka i rozprawić się z nim. Wątpił, czy tym razem udałoby mu się przetrwać. Nie mogła posłać przeciw niemu wszystkich swoich sił ani wydać im bezpośrednich poleceń, więc te, które by się pojawiły, miałyby swoje słabe punkty. Ale byłyby zdeterminowane, bezwzględne i miałyby do dyspozycji moce, z którymi zetknął się już podczas lotu. Było jasne, że postanowiła zataić fakt, że na Ziemi wciąż żyją ludzie.

Dlaczego, Brannock nie wiedział, i nie tracił energii na zastanawianie się nad tym. To musi być coś niezwykle ważnego,

a implikacje mogły się okazać bardzo znaczące. Jednak jego zadaniem było przekazać tę informację Wędrowcowi.

Może uda mu się podejść na tyle blisko, żeby wywołać go przez radio. Wysłannik nie był na taką łączność przygotowany, ale sygnał z bliska mógł przechwycić. Jeśli Brannockowi się nie uda, Kalava był ostatnią nadzieją.

— Jesteś zmęczony? — zapytał. Jak dotąd wymienili tylko kilka słów.

— Połamany i zeszywniały — przyznał Kalava.

I spragniony, jak po jego głosie poznał Brannock.

— Tak nie może być. Musisz być w formie, żeby się szybko poruszać. Wytrzymaj jeszcze trochę, a odpoczniemy.

Może liczba mnoga nieco uspokoiła Kalavę. Rzadko jakiś człowiek był tak osamotniony, jak on. Ten wilgotny kraj obfitował w źródła. Czujniki Brannocka poprowadziły go do najbliższego. Do tego czasu deszcz ustał. Kalava zszedł na ziemię, wymacał drogę, położył się i zaczął pić. W tym czasie Brannock, który widział całkiem nieźle, nazrywał sprężystych gałęzi i przygotował mu posłanie. Kalava zwałił się na nie i niemal natychmiast zaczął chrapać.

Brannock zostawił go samego. Silny człowiek mógł obywać się bez jedzenia przez kilka dni, zanim osłabł, ale to nie było konieczne. Brannock zebrał owoce, które powinny być jadalne. Wyśledził i zabił stworzenie wielkości świni, przyniósł je do obozu i poćwiartował.

Po drodze przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Po krótkich poszukiwaniach znalazł drzewo o odpowiedniej korze. Przypominało brzozę, choć było czerwono-brązowe i śmierdzące.

Oddarł z niego pasmo kory, wrócił i spędził nieco czasu wyskrobując na nim litery. Zaczęło świtać. Kalava obudził się, poderwał, pozdrowił swojego towarzysza, przeciągnął jak pantera i podskoczył jak kozica.

— To mi dobrze zrobiło — powiedział. — Dziękuję mojemu panu.

Jego spojrzenie spoczęło na owocach i mięsie.

— Przygotowałeś jedzenie? Dobry z ciebie bóg.

— Obawiam się, że nic z tych rzeczy — odparł Brannock. — Weź, co chcesz, a potem porozmawiamy.

Kalava najpierw zajął się czynnościami obozowymi. Wydawało się, że otrząsnął się już z religijnego lęku i teraz patrzył na Brannocka jak na część świata — którą z pewnością należało szanować, ale szacunkiem należnym potężnemu, tajemniczemu i wysoko postawionemu człowiekowi. Silny duch, pomyślał Brannock. A może w jego kulturze nie ma wyraźnej linii między tym, Co naturalne i nadnaturalne. Dla ludzi pierwotnych wszystko jest w jakiś sposób magiczne, więc manifestację magii przyjmują poniekąd naturalnie.

O ile Kalavę faktycznie można było nazwać człowiekiem pierwotnym. Swoimi zadaniami zajmował się bardzo kompetentnie, był z niego równie sprawny człowiek lasu, jak morza. Zebrał suche gałęzie, ustawił je w piramidę i popalił. Użył do tego krzesiwa i drzazgi pokrytej siarką, które wyjął z mieszka u pasa.

Pomysłowy lud. A ta kobieta, Ilyandi, miała wielką wiedzę o astronomii, choć do obserwacji nieba brakowało tu warunków i instrumentów. Biorąc pod uwagę, jak rzadko widywano tu nocą

czyste niebo, oznaczało to wiele setek lat cierpliwych badań, zapisywania wyników, i logicznego wnioskowania, musiała więc tu istnieć matematyka zbieżna z euklidesową.

Co jeszcze?

Podczas, gdy Kalava piekł i jadł swoje mięso, Brannock go wypytywał. Dowiedział się o wojowniczych państwach miastach podzielonych między klany; okresowych spotkaniach, na których wolni ludzie ustanawiali prawa, rozsądzali spory i wybierali przywódców; o międzynarodowym zgromadzeniu kapłanów, nauczycieli, uzdrowicieli i filozofów; agresywnym handlu, czasem ocierającym się o rozbój; barbarzyńcach wychodzących z rozrastających się pustkowi; wojskowym porządku, jaki przez to wykształcił się w państwach graniczących z pustynią; empirycznej, choć bazującej na biologii technologii, która doprowadziła do powstania zdumiewającej różnorodności wyspecjalizowanych roślin i zwierząt, łącznie z niewolnikami, których cechami była wielka siła, kretynizm i psia wierność.

Po śniadaniu znów ruszyli w drogę. Gdy Brannock przedzierał się przez busz, wspinał na zbocza, czy przeprawiał przez strumienie prawdziwa rozmowa była niemożliwa. Jednak nawet wtedy od czasu do czasu wymieniali kilka zdań. Poza tym, kiedy przekroczyli dolinę i dotarli do podnóża pasma wzgórz teren był bardziej bagnisty, ale mniej zarośnięty. Powietrze lekko się ochłodziło.

Tak czy inaczej Brannock nie byłby w stanie pokonać takiej odległości w tak krótkim czasie, gdyby był tylko człowiekiem. Był jednak odporny na zmęczenie i zadyszkę. Mógł korzystać z ogromnej bazy danych. Zawierała jego studia historyczne i

antropologiczne, którymi zajmował się jako młody śmiertelnik, dzięki czemu potrafił logicznie myśleć i zadawać właściwe, najbardziej użyteczne pytania. To, czego się dowiedział, dawało tylko zarys świata Kalavy. Był on jednak jasny i spójny.

I był przerażający.

Należałoby raczej powiedzieć, że substytut Christiana Brannocka wzdrygał się przed jego brutalnością. Aspekt Wędrowca zauważył, że ludzie zawsze mniej więcej tak się zachowywali, i że stworzona przez nich ostatecznie cywilizacja nie utrzymałaby się bez wpływu sztucznych inteligencji.

Zatrzymał się na wzgórzu, żeby Kalava mógł odpocząć i rozprostować kości. Mieli stamtąd dobry widok na góry. Były coraz większe, spękane, strome, gołe tam, gdzie nie porastały ich drzewa. Ich szczyty ginęły w ołowianym niebie. Brannock wskazał na najbliższą grań, wnoszącą się przed nimi jak bastion.

— Jesteśmy już blisko — powiedział. — Tam jest mój pan, któremu muszę zanieść wieści.

— Nie widzi cię tutaj? — spytał Kalava.

Brannock potrząsnął obrazem głowy.

— Nie. Mógłby, ale jest zaabsorbowany wrogiem. Jeszcze nie wie, że ona jest wrogiem. Myśli o niej jako o czarodziejce, która zabawia go przyjemną rozmową, śpiewa pieśni i pokazuje iluzje, podczas gdy jej agenci swobodnie działają na świecie. Moje słowa ukazą mu prawdę.

Czyżby? Gdy prawda i uczciwość wydają się tak ulotne, jak mgła?

— Czy ona będzie wiedziała, że się zbliżasz?

— Do pewnego stopnia. Nie potrafię powiedzieć. Jeśli uda mi

się podejść bliżej, będę mógł bezgłośnie krzyknąć. Mój pan usłyszy mnie i zrozumie. Ale jeśli przedtem schwytają mnie jej wojownicy będziesz musiał poradzić sobie sam, a to będzie trudne. Być może ci się nie powiedzie i zginiesz. Czy masz w sobie dość odwagi?

Kalava uśmiechnął się drapieźnie.

— Lepiej, żebym ją miał, co?

— Jeśli ci się uda, twoja nagroda będzie wielka.

— Pamiętam o tym. Ale także... — Kalava przerwał. — Także pani Ilyandi sobie tego życzy — dokończył cicho.

Brannock nie drążył tematu. Uniósł zwitek kory, który miał w dolnej ręce.

— Na twój widok zakłęcie powinno prysnąć, ale to jest wiadomość, którą masz przekazać.

Najlepiej, jak potrafił opisał mu drogę, umiejscowienie i moduł, który zawierał Wędrowca. Nie wiedział, czy widok nie zdezorientuje Kalavy na tyle, żeby stracił orientację, ale mężczyzna wydawał się rezolutny. Nie był też pewien, czy Kalava da radę pokonać ostatecznie, odsłonięte pół kilometra terenu — jeśli w ogóle dostanie się tak daleko — żeby Gaja go nie namierzyła i nie zabiła. Może Wędrowiec zauważy go pierwszy. Może, może.

On, Brannock, wykorzystywał tę ludzką istotę równie świadomie, jak robiła to Gaja; nie wiedział tylko, jaki miała w tym cel. Jakie to niesło zagrożenie dla międzygwiazdnej wspólnoty? Mimo to dał list Kalawie, który schował go w zanadrzu tuniki. — Jestem gotowy — powiedział mężczyzna i wspiął się do nosidła.

Ruszyli dalej.

12

Było już gorące popołudnie, gdy czujniki Brannocka zareagowały, Odczuł to jako drżące buczenie, ale zaraz się zorientował, że zbliża się robot wielkości muszki. Ruchomy minisensor był na jego tropie. Nie mógł być równie czuły, jak jego instrumenty, jeszcze go nie zauważył, ale będzie tu szybko i wezwie silniejsze maszyny. Nie mogły być daleko. Zatrzymał się gwałtownie. Znajdował się w wąwozie, utworzonym przez wodospad i strumień łączący się dalej z Pozostałą. Zamykały się nad nim wielkie krzewy i drzewa o ząbkowanych liściach. Nad fioletowymi kwiatami unosiły się owady. Jego chemosensory wyczuwały wszystkie zapachy.

— Zwiadowcy wroga mnie znaleźli — powiedział. — Idź.

Kalava zeskoczył na ziemię, ale zawahał się, z dłonią na głowni miecza.

— Czy mogę walczyć wraz z tobą?

— Nie. Twoim zadaniem jest ponieść moje słowo. Idź. Prosto. Zacieraj ślady najlepiej, jak potrafisz. I niech twoi bogowie będą z tobą.

— Tak, panie.

Kalava zniknął w zaroślach. Brannock został sam.

Cząstka człowieka, którą w sobie nosił, rozplynęła się i zmienił się w czystą maszynę, logiczną, pozbawioną emocji, oddaną

swoim obowiązkom wobec Wędrowca, Alfy i świadomości wszechświata. To nie najgorsze miejsce do obrony, pomyślał. Za plecami miał ścianę wąwozu, pod stopami kamienie, którymi mógł rzucać, gałęzie, które mógł połamać, żeby zrobić z nich oszczepy albo pałki. Tak łatwo go nie pokonają. Oczywiście mogą go zmieść promieniem lasera, ale to raczej mało prawdopodobne. Z punktu widzenia Gai najlepiej byłoby go pojmać i zmienić jego wspomnienia, żeby wrócił z przekonaniem, że podróż minęła spokojnie i nie zobaczył nic, co miałyby znaczenie.

Nie sądził, żeby jej agenci mogli to zrobić sami. To wymagałoby możliwości, o których nigdy by nie pomyślała, że mogą się przydać. Już zbudowanie urządzenia, którym wcześniej próbowała go kontrolować, musiało być wielkim wysiłkiem. Teraz miała jeszcze bardziej ograniczone możliwości. Polecenie, żeby urządzenia zaczęły się duplikować było na tyle proste, że Wędrowiec nie powinien go zauważyć. Zaprojektowanie i skonstruowanie urządzenia, za pomocą którego można by zmienić wspomnienia to coś innego — nie mówiąc już o potajemnym przejęciu informacji.

Brannock nie śmiał marzyć, że nie wiedziała o tym, że zabrał ze sobą Kalavę. To prawdopodobnie z raportu jednego z robotów zwiadowców, którzy sprawdzali załogę łodzi, dowiedziała się, że przeżył. Marynarze byli jednak przerażeni, dezorientowani, rozmawiali bezładnie i niemal bez sensu. Ilyandi, ta bystra i rozsądna kobieta, zrobiłaby wszystko, żeby powstrzymać ich od powiedzenia czegokolwiek, co mogłoby być pomocne. Chodziło o wywołanie wrażenia, że Brannock ruszył z Kalavą na zwiad, a

potem się z nim pożegnał i pozwolił zawrócić do jego ludzi, podczas gdy on sam zmierzał w stronę Góry Umysłu.

Tak czy inaczej wytropienie człowieka nie będzie łatwe. Nie był maszyną, tylko zwierzęciem pośród całej masy zwierząt, i to najsprytniejszym ze wszystkich. Gaja mogła przeznaczyć niewielką część swoich sił, żeby go szukać, ale nie traktowałyby go zbyt poważnie. Bo i dlaczego? A dlaczego Brannock tak go traktował? To pewnie tylko próżna nadzieja. Przygotował się. Podczas gdy czekał na atak, jego duch szybował ponad chmurami i pośród gwiazd.

IX

W pokoju było ciepło. Unosił się w nim zapach miłości i róż, które Laurinda wstawiła do wazonu. Przez lekkie zasłony sączyło się wieczorne światło, zalewając wielkie łóżce z czterema kolumnkami. Przysunęła się blisko do Christiana, który leżał wsparty na dwóch poduszkach. Ułożyła się na jego ramieniu.

— Nie chcę tego zostawiać — wyszeptała.

— Ja też nie — powiedział, wdychając słodki zapach jej włosów. — Jakże bym mógł?

— Mam na myśli... to, czym jesteśmy... czym się dla siebie staliśmy.

— Rozumiem. Przełknęła.

— Przepraszam. Nie powinnam tego mówić. Możemy o tym zapomnieć?

— Dlaczego?

— Wiesz. Nie mogę cię prosić, żebyś nie wracał do swojego węzła. Nie proszę o to.

Patrzył przed siebie.

— Po prostu nie chcę jeszcze zostawiać tego domu, tego łóżka — powiedziała smutno. — Nie po ostatnich dniach i nocach. Spojrzał w dół, w szare oczy, mrugające, by powstrzymać łzy.

— Ja też nie — odparł. — Ale obawiam się, że musimy. — Oczywiście. Obowiązki.

Gaja i Wędrowiec. Jeśli jeszcze nie wiedzieli, że ich awatary się objają, to przynajmniej ona na pewno niedługo się o tym dowie, dzięki amuletom. Nieważne, jak blisko byłaby złączona z drugim wielkim umysłem, Od czasu do czasu musiała sprawdzać, jak się sprawy mają.

Christian odetchnął głęboko.

— Powiem to Samo, co ty. O niczym nie marzę tak bardzo, jak o tym, żeby być wyłącznie twoim kochankiem.

— Kochanie, kochanie...

— Ale... — powiedział po pocałunku.

— Mów dalej — powiedziała muskając wargami jego usta.

— Nie bój się, że mnie zranisz. Nie możesz mnie zranić.

Westchnął.

— Mogę, a ty możesz zranić mnie. Choć żadne z nas tego nie chce. To się po prostu zdarza.

Kiwnęła głową.

— Ponieważ jesteśmy ludźmi. Ale ze względu na ciebie mam nadzieję pozostać człowiekiem.

— Nie bardzo widzę możliwość. Do tego odnosiło się moje „ale”. — Umilkł na chwilę. — Po tym, jak wrócimy do naszych węzłów, do naszych jedności, na pewno będziemy mieć inne odczucia.

— Co do siebie, wątpię.

Nie przypomniał jej, że to jej „ja” będzie istniało dłużej jedynie jako blade wspomnienie. I nic więcej.

— Chyba właśnie tego chcę dla ciebie, pomijając wszystko. Nieśmiertelności. Bez starości i śmierci. Mocy i świadomości.

— Tak, wiem. W tym życiu jesteśmy ślepi, głusi i głupi. — Jej

śmiejch był pełen smutku. — Podoba mi się to.

— Mnie też. Tacy właśnie jesteśmy. Cóż, zostało nam jeszcze trochę czasu.

— Ale musimy się zająć naszym zadaniem.

— Dziękuję, że to powiedziałaś.

— Myślę, że wiesz o tym lepiej ode mnie i dlatego trudniej ci o tym mówić. — Uniosła rękę i pogładziła go po policzku. — Możemy z tym poczekać do jutra? — poprosiła. — Musimy się wyspać.

Uśmiechnął się.

— Hmm... nie tylko o śnie myślę.

— Będziemy jeszcze mieć okazję. Prawda?

13

Wczesny poranek w ogrodzie, rosa błyszcząca na liściach i płatkach, chłód, który skłonił Laurindę do owinięcia się Szalem. Nad nimi kołował jastrząb. Siedziała nad sadzawką i patrzyła na niego, jak chodził tam i z powrotem, z rękami opuszczonymi po bokach albo założonymi za plecami. Pod jego stopami chrzęścił żwir.

— Ale dokąd powinniśmy się udać? — zastanawiała się. — Mamy się błąkać od jednego świata do drugiego, aż skończą swoje sprawy i nas odwołają? To nie ma większego sensu — rozejrzała się. — Przyznaję, iż myślę, że równie dobrze możemy odwiedzać te przyjemne światy. Potrząsnął głową.

— Przykro mi. Mam inne zdanie.

Zebrała się w sobie.

— Wiesz, jak to jest — powiedział. — Głowisz się nad czymś, a potem się budzisz i nagle wszystko staje się jasne. Dziś mi się to zdarzyło. Powiedz, co o tym myślisz? W końcu reprezentujesz Gaję.

Zobaczył, jak się skrzywiła. Zatrzymał się i przykucnął, żeby przeprosić.

— Nie, w porządku, najdroższy. Mów dalej — powiedziała szybko.

Musiał się do tego zmusić, ale jego głos był mocny, gdy tak chodził i mówił.

— Co właściwie widzieliśmy? Osiemnastowieczny świat, w którym Newton niedawno umarł, działa Lagrange, Lavoisier jest małym chłopcem, a Rewolucja Przemysłowa nie do końca się udała. Dlaczego Gaja wyznaczyła te czasy na naszą bazę wypadową? Tylko dlatego, że jest tu uroczy dom i okolica? Czy dlatego, że jest to najbardziej udany świat z tych, które emulowała?

Laurindzie udało się uspokoić. Kiwnęła głową.

— Chyba raczej nie tworzyłaby świata specjalnie dla nas, zwłaszcza, gdy jest zajęta Wędrowcem.

— Potem zajrzeliśmy do nieudanego świata antycznego — ciągnął Christian.

Laurinda wzdrygnęła się.

— Tak, był okropny, ale odkryliśmy, że Gaja tylko kulturę greko—romańską uznaje za wartą kontynuowania przez stulecia. Potem była posoborowa Europa w 1900 roku. Też

naukowo—przemysłowa, może przy silnym, zjednoczonym Kościele odniosłaby nawet większy sukces, choć w końcu wszystko i tak zaczęło się sypać. Potem ten chińsko—amerykański model — nienaukowy, bardzo religijny, ale w czasach kłopotów potrafiący rozwinąć imponującą technikę.

Przez kilka minut nic nie mówił, chodził tylko tam i z powrotem.

— Cztery spośród wielu, trzy wybrane właściwie przypadkowo. Czy to nie wskazuje, że wszystkie, które ją interesują, mają ze sobą coś wspólnego?

— No, tak — powiedziała. — Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym. Wydaje się, że Gaja próbuje w tych modelach nakierować ludzi do stworzenia cywilizacji, która jest bogata materialnie, kulturalnie i duchowo, jest dobra i przetrwa.

— Po co — zareplikował — skoro gatunek ludzki wymarł?

Wyprostowała się.

— Nie wymarł! Żyje dalej, w niej.

Zagryzł wargę.

— Czy to mówi Gaja w tobie, czy ty w Gai?

— Nie rozumiem — powiedziała żałośnie.

Przystanął i uniósł jej głowę.

— To nie jest wymierzone przeciwko tobie. Nigdy. Jesteś uczciwa, delikatna i cudowna. Ale nie mam pewności co do niej.

— Och, nie... — usłyszał ból w jej głosie. — Christian, nie.

— Cóż, teraz nie ma się tym co przejmować — powiedział szybko i znów zaczął spacerować. — Widzę to w następujący sposób. Czy to tylko przypadek, że wszystkie cztery światy, w których byliśmy, były zorientowane na technologię, a trzy z nich

na naukę? Czy Gaja chce się dowiedzieć, co jest czynnikiem, który popycha ewolucję społeczeństw w tę stronę?

— Dlaczego nie? — odparła Laurinda. — Nauka otwiera umysł, technologia uwalnia ciało. Tutaj, dziś, niedługo Jenner wynajdzie swoją szczepionkę na ospę.

— Zastanawiam się, ile z tego wszystkiego jest przez nią sterowane. Ale moja propozycja jest taka, żebyśmy odwiedzili najbardziej rozwiniętą technologicznie cywilizację, jaką ma.

Na jej twarzy pojawiło się podekscytowanie.

— Tak, tak! Musi być dziwna i cudowna.

Zmarszczył brwi.

— W niektórych krajach, dawno temu, okazała się dość upiorna.

— Gaja nie pozwoliłaby na coś takiego.

Powstrzymał się od przypomnienia, na co pozwalała Gaja, zanim wprowadziła zmiany albo skończyła program.

Podniosła się z ławki.

— Chodź! — znacząco ścisnęła jego rękę. — Jeśli zostaniemy tam dłużej, trzeba będzie zorganizować sobie jakąś kwaterę.

14

Zamknęli się w jednym z pokoi i zaciągnęli zasłony. Christian trzymał amulet w dłoni i wpatrywał się w niego. Laurinda stała obok, słuchając, a jej twarz tężała ze zmartwienia.

„To niewskazane”, klarował niesłyszalny głos.

— Dlaczego? — zirytował się Christian.

„Uznacie środowisko za nieprzyjemne i nie będziecie w stanie porozumieć się z ludźmi”.

— Dlaczego niby cywilizacja naukowa miałyby być dla nas tak obca? — naciskała Laurinda.

— Nieważne — powiedział Christian. — Chcę się przekonać sam. Już.

„Zastanówcie się”, nalegał głos. „Najpierw posłuchajcie opisu tych czasów”.

— Nie. Przenieś nas do bezpiecznego miejsca, ale takiego, które da nam dobry obraz pogładowy całości, jak poprzednio. Później możesz nam wyjaśniać, co chcesz.

— Dlaczego najpierw nie posłuchać wykładu? — zapytała Laurinda.

— Ponieważ wątpię, aby Gaja chciała, żebyśmy zobaczyli ten świat — wprost odpowiedział Christian.

Nie miało to znaczenia. W końcu Gaja mogła skanować jego myśli.

— Zabierz nas tam w tej chwili, albo skontaktuję się z Wędrowcem — zwrócił się do amuletu tak, jakby rozmawiał z osobą.

Jego podejrzania, niejasne, ale rosnące, sprawiły, że nie chciał dać urządzeniom czasu na poinformowanie Gai. W tej chwili była zajęta Wędrowcem i nieświadoma tej sceny, ale może jakimś skrawkiem świadomości monitorowała swoje pomniejsze aktywności. Było też prawdopodobne, że wydała wcześniej amuletom pewne polecenia, i teraz wychodziło na jaw, że nie chciała im pokazać tej konkretnej emulacji.

Dlaczego, nie potrafił zgadnąć.

„Jesteście zdecydowani?”, zapytał głos.

Christian uśmiechnął się krzywo.

— I uparci. Nazywaj to, jak chcesz. Zabierz nas tam!

Na szczęście, pomyślał, program nie potrafi oszukiwać. Gaja nie przewidziała, że może się to przydać; Christian nie był jej kreacją, znaną jej dogłębnie. Był kreacją Wędrowca. Poza tym, gdyby Wędrowiec się zorientował, że przewodnik jego awatara kłamie, stałby się podejrzliwy.

Laurinda dotknęła jego ramienia.

— Kochanie, czy powinniśmy? — powiedziała niepewnie. — Ona jest... matką tego wszystkiego.

„Dostępne jest szerokie spektrum doświadczeń, które mogą dostarczyć lepszych informacji”, dowodził głos. „Później będziecie lepiej przygotowani”.

— Przygotowani — wymamrotał Christian.

Można to było dwojako interpretować. Wraz z Laurindą mogą się przenieść do kusząco cudownych miejsc, a tymczasem Gaja dowie się o sytuacji i podejmie środki zapobiegawcze, jednocześnie Odwracając uwagę Wędrowca.

— Nadal chcę zobaczyć tę waszą najbardziej zaawansowaną cywilizację.

Zwrócił się do Laurindy.

— Mam swoje powody. Powiem ci później. Teraz musimy się śpieszyć.

Zanim Gaja się dowie i zareaguje.

Wyprostowała się i wzięła go za rękę.

— Więc jestem z tobą. Zawsze.

— Ruszajmy — powiedział Christian do amuletu.

15

Transfer.

Pierwszą rzeczą, którą zauważył, było to, że Laurinda nie miała już na sobie stroju rodem z osiemnastowiecznej Anglii, ale lekką, białą bluzkę. Spodnie i sandały. Na głowach mieli chusty. Było bardzo gorąco. Powietrze było suche i pełne metalicznych zapachów. Pod stopami mieli czerwonobrazowy piasek. Czuli i słyszeli rytm pracujących gdzieś maszyn.

Wyprostował się i rozejrzał. Niebo było zasnuwane szarym oparem, przez który słabo prześwitywało światło słoneczne. Za plecami miał czerwonawą ziemię. Wyrastały z niej łodygi wysokości człowieka, pokryte niebieskawymi liśćmi. Po prawej miał jakiś kanał. Ziemia na wprost pokryta była innymi roślinami, o ile to w ogóle były rośliny, gąbczaste, płatowate, bladozłote. Kręciło się tam kilka... stworzeń, dwunożnych, ale włochatych, o trójpalczastych dłoniach. Najwyraźniej zajmowały się uprawą. Na horyzoncie majaczył gigantyczny budynek, czy może kompleks budynków, wielokondygnacyjny, biały, lśniący setkami paneli, które mogły być oknami, albo może czymś innym. Nad ich głowami przemknął pojazd powietrzny. Christian zdążył tylko zauważyć, że miał skrzydła i usłyszał pomruk silnika.

Laurinda nie puściła jego ręki. Ścisnęła ją mocno.

— Nigdy nie słyszałam o takim kraju — powiedziała słabo.

— Ja też nie — odpowiedział. — Ale chyba poznaję...

Zwrócił się do amuletów.

— To nie jest kreacja Ziemi z przeszłości, prawda? To dzisiejsza Ziemia.

„Mniej więcej”, przyznał głos.

— Więc nie jesteśmy w Arktyce.

— Nie. Dalej na południe. Chcieliście zobaczyć najbardziej zaawansowaną technologię w emulacji. Oto ona.

Trzyma od siebie z dala pustynię, walczy ze śmiercią, która pochłonęła planetę. Christian kiwnął głową. Potwierdziło się jego założenie, że program nie był w stanie skłamać wprost. co nie oznaczało, że dawał jednoznaczne i jasne odpowiedzi.

— To ich największe osiągnięcie inżynieryjne? — zdumiała się Laurinda. — W moich czasach mieliśmy większe. Albo w twoich, Christian.

— Pewnie nad tym pracują — powiedział. — Później to sprawdzimy. Mimo wszystko to ledwie rzut oka.

„Musicie pamiętać”, włączył się głos, „że żadna emulacja nie może być tak pełna i złożona, jak wszechświat materialny”.

— Aha. Umowna geografia, ograniczona biologia i uproszczony kosmos.

Laurinda spojrzała na jednolite niebo.

— Gwiazdy są nieosiągalne, bo ich nie ma?

Zadrżała i przywarła do niego.

— Tak, to paradoks — powiedział. — Pogadajmy z jakimś naukowcem.

„To będzie trudne”, sprzeciwił się głos.

— W chińskiej Ameryce powiedziałeś nam, że możecie zaaranżować spotkania. Tutaj nie powinno to być trudniejsze.

Głos nie odpowiedział od razu. W dali pracowały niewidoczne maszyny. W nagłym porywie wiatru z ziemi poderwał się mały wir piasku.

„Dobrze. To będzie ktoś, kto nie zaniemówi ze zdumienia i lęku. Tym niemniej powinienem dać wam kilka wskazówek”. — Dalej. Byle faktycznie krótko.

Jaką zmianę w historii spowoduje to spotkanie? Czy to ważne? Ten świat najwyraźniej nie był tymczasową reaktywacją, on trwał; przybysze znaleźli się w głównej linii jego czasu. Gaja mogła usunąć z niej tę wizytę. Jeśli ją to obchodziło. Może zamierzała wkrótce zakończyć tę emulację, ponieważ nie czyniła dalszych postępów, które by ją interesowały.

16

Transfer.

Na pustkowiu, przez które biegła droga, pośród otoczonych murem zabudowań stała wieża. Opodal znajdowało się lądowisko. Noc była chłodna i spokojna, słychać było tylko szepczący zaśpiew postaci trzymających w uniesionych rękach przyćmione światła. Składali hołd gwiazdom. Wiele ich było w tej chwili widać, co było w tym zachmurzonym świecie rzadkością. Więcej światel błyszczało na gzymsie otaczającym płaski dach wieży. Widać tam było dwie postacie wykorzystujące

okazję do obserwacji nieba, ustawiające teleskop, spektroskop i kamery.

Christian i Laurinda pojawili się Obok nich.

Jeden z mężczyzn sapnął, zamarł na chwilę i padł na kolana. Jego pomocnik trzymał jakąś książkę. Odłożył ją na stolik, cofnął się i stał nieporuszony. Był to antropoid, którego przodkowie z pewnością byli ludźmi, ale który żył tylko po to, żeby służyć swojemu panu.

Christian popatrzył na klęczącego mężczyznę. Gdy jego oczy przyzwyczały się do warunków zobaczył, że jest ubrany podobnie, jak on sam, a na piersi ma insygnia rangi. Skórę miał czarną jak heban, ale usta i nos wąskie, oczy skośne, palce zwężające się ku opuszkom, długie, proste blond włosy i jasną, krótko przyszyzoną brodę. Na starej Ziemi nigdy nie było takiej rasy, pomyślał Christian. To musi być nowy gatunek, który Gaja stworzyła dla umierającej planety. Mężczyzna zrobił jakiś ceremonialny gest, popatrzył na blade twarze obcych, i odezwał się, początkowo niepewnie.

— Cześć wam i posłuszeństwo, posłańcy Boga. Radujcie się swoim świętem.

Christian i Laurinda zrozumieli jego słowa, tak jak zrozumieli ściganą przez napastnika Zoe. Amulety przekazały im, że nie będą pierwszym tego typu objawieniem w tym świecie.

— Powstań — rzekł Christian. — Nie obawiaj się.

— Ani nie krzycz — dodała Laurinda.

Bystra dziewczyna, pomyślał Christian. Na dole nadal trwała ceremonia.

— Jak masz na imię? — zapytał.

Mężczyzna podniósł się i przyjął postawę raczej pełną szacunku, niż służalczości.

— Z pewnością wasze możliwości wiedzą — odparł. — Jestem Khaltan, główny astrolog Ilgai Technome, z pewnością niegodzien takiego zaszczytu — zawahał się. — Ośmielę się zapytać, czy to dlatego wybraliście takie formy, żeby się objawić?

„Od kilku pokoleń nikt nie miał wizji”, wyjaśnił głos w głowach przybyszy. „Gaja w przeszłości się tu objawiała?” bezgłośnie zapytał Christian. „Tak żeby nadać historii pożądany kierunek. Normalnie wysłannik wyglądał jak słup ognia”.

„Bardzo to naukowe”.

Laurinda zwróciła się do Khaltana.

— Nie jesteśmy posłannikami bogów. Przybyliśmy z innego świata, jesteśmy równie śmiertelni jak ty, i chcemy się uczyć, nie nauczać.

Mężczyzna złożył ręce.

— Jednak to cud, kolejny cud w moim życiu!

Mimo to gorliwie odpowiadał na ich pytania. Christian przypomniał sobie mity mówiące o ludzkich kochankach bogiń. Wierzący przyjmowali to, czego niewierzący nie byli w stanie pojąć.

To były dziwne godziny. Khaltan nie był po prostu pobożny. Dla niego to, co nadnaturalne było tylko kolejną odsłoną rzeczywistości. Skoro przekraczało to jego zakres wiedzy, zwrócił się w stronę świata materialnego. Poczytnił obserwacje i stworzył teorie jak Newton. Dziś jego wyobraźnia gorzała, eksponował pytaniami, zawsze jednak uważnie dobierał słowa, a wszystko, co usłyszał obracał starannie w myślach, badając to tak, jakby

badał jakiś klejnot, który spadł z nieba.

Powoli, stopniowo, obraz jego cywilizacji nabierał kształtu. Najechała i zasymilowała wszystkie inne społeczeństwa — żadne wielkie osiągnięcie zważywszy, że Ziemia była słabo zaludniona, a większość ludzi głodowała.

Technologia dotyczyła głównie biologii, agronomii, rolnictwa w pozostałościach jezior i mórz, bezlitośnie praktycznej genetyki. Kwitła chemia przemysłowa. W połączeniu z fizyką na poziomie późnego wieku dziewiętnastego umożliwiała przeprowadzanie poważnych projektów inżynierskich.

Samo społeczeństwo... jak słowami podsumować całą kulturę? To niemożliwe. Christian miał wrażenie istnienia nominalnego imperium, rządzonego przez oligarchię rodzin wywodzących się od najeźdźców. Awans społeczny najczęściej był skutkiem adopcji obiecujących ludzi z niższych sfer, zarówno dzieci, jak dorosłych. Synowie, którzy nie pracowali na powodzenie swojego klanu albo go zhańbili mogli zostać wygnani, o ile ktoś nie zabił ich w pojedynku. Nieudane córki również wydalano, chyba że udało się zaaranżować małżeństwo z kimś z niższej klasy. Poza tym status płci był raczej równy; co oznacza to, że kobiety, które zdecydowały się współzawodniczyć z mężczyznami, musiały to robić na męskich warunkach. Szlachetnie urodzeni otaczali lud opieką, zapewniali mu sądy, szkoły i uroczystości. W zamian ściągali podatki, odbierali pańszczyznę i wymagali ogólnego posłuszeństwa; jednak w większości spraw lud był pozostawiony samemu sobie. Jego ciężka praca popychała światową gospodarkę.

To nie jest szczególnie okrutna cywilizacja, pomyślał Christian,

ale też niezbyt współczująca. Ale czy jakakolwiek cywilizacja była taka? Niektóre karmiły swoich biednych, ale przede wszystkim polityków i biurokratów. Zbierał informacje z rozmowy zaskakującej pod każdym względem. Khaltana najbardziej interesował dom przybyszów — dostał niejasne, wymijające odpowiedzi — i cały wszechświat, astronomia, fizyka, wszystko.

— Marzymy o wysłaniu rakiet na inne planety. Próbowaliśmy wystrzelić je na księżyc — powiedział i opowiedział o wyrzutniach, które powinny były zadziałać. — Nie udało się ani razu.

Oczywiście, pomyślał Christian. Tutaj księżyc i gwiazdy, i samo słońce były tylko światkami. Przyływy i odpływy były zarządzane przez program. Ta Ziemia była karykaturą prawdziwej Ziemi. Gaja nie mogła zrobić niczego lepszego.

— Czy w takim razie jesteśmy u kresu nauki? — wykrzyknął Khaltan. — Od tylu dekad prowadzimy obserwacje, a osiągnęliśmy tylko przybliżone wyniki.

Nic, co prowadziłyby do relatywistyki, teorii kwantowej, mechaniki fal, ich rewolucyjnego wpływu i konsekwencji. Gaja nie mogła ich ogarnąć.

— W przeszłości anioły pokazywały nam, czego szukać. A wy nie? Natura skrywa mnóstwo tajemnic. Wasza obecność jest tego dowodem!

— Później, może później — wymamrotał Christian i przeklął się za dawanie fałszywej nadziei.

Z dołu niósł się monotony Śpiew. Laurinda spytała, co to za pieśń. Chmury się zamknęły. Rytuał na dziedzińcu dobiegł

końca. Niewolnik Khaltana Stał bez ruchu, podczas gdy on sam mówił i mówił.

Wschodni horyzont pojaśniał.

— Musimy iść — powiedział Christian.

— Ale wróćcie? — błagał Khaltan. — Wróćcie?

Laurinda objęła go krótko.

— Wszystkiego dobrego — powiedziała cicho. — Zawsze będziemy wam życzyć wszystkiego dobrego. Jak długo potrwa to „zawsze”?

17

Po kiepsko przespanej nocy i śniadaniu zjedzonym niemal w całkowitym milczeniu nie było właściwie powodu, żeby ruszać się z domu w Anglii. Służący ukrywali oburzenie za nieruchomymi twarzami. Christiana i Laurinę popychała głębsza, nieokreślona potrzeba. To równie dobrze mógł być ich ostatni poranek.

Poszli ścieżką na wzgórze leżące około kilometra dalej. Drzewa na jego szczycie nie zasłaniały widoku. Na wschodzie powoli wznosiło się słońce, po świetliście niebieskim niebie przesuwało się kilka białych chmurek, ale w powietrzu czuło się pierwszy oddech jesieni. Wiatr był silny i świeży, rozganiał poranne mgły unoszące się nad zaoranymi polami i posyłał fale przez zielone pastwiska; kołysał gałęziami drzew i podrywał w wirach pierwsze umierające liście. Wysoko nad ich głowami

ciągnął klucz dzikich gęsi.

Przez chwilę mężczyzna i kobieta stali bez słowa. Wreszcie Laurinda wzięła głęboki wdech powietrza przepojonego zapachem ziemi.

— Gaja przywróciła ten świat do życia. Musi być dobra. Kocha ten świat — wymamrotała.

Christian odwrócił od niej wzrok i powstrzymał się od sarkastycznej odpowiedzi.

— Co ona i Wędrowiec robią?

— Skąd można wiedzieć?

Jak można było określić, co robią bogowie? Nie byli istotami trójwymiarowymi, nie krępował ich czas, który był tak ważny dla ich kreacji.

— Cały czas są zajęci. — Tak, oczywiście. Przekazuje mu dane, wszystkie informacje o Ziemi.

— Żeby go przekonać, że ma rację i powinno się pozwolić tej planecie zginąć.

— Tragedia... ale ostatecznie wszystko jest tragedią, czyż nie? To, czego my... oni... mogą się dowiedzieć w ten sposób, może być cenne dla nas wszystkich. Galaktyczny mózg sam nie potrafi przewidzieć, co się stanie z życiem, a życie pośród gwiazd to rzadkość.

Prawie na nią krzyknął.

— Wiem, wiem. Prawie sam w to wierzę.

Laurinda czekała. Pasma jej włosów trzepotało na wietrze.

— Ale dlaczego umieszcza ludzi nie w odległej przeszłości — Christian gestem wskazał na krajobraz, który rozciągał się wokół nich jak osiemnastowieczny obraz — ale praktycznie w

teraźniejszości, gdzie żywi ludzie wymarli eony temu?

— Z pewnością chce ich pełniej zrozumieć.

— Z pewnością?

Laurinda popatrzyła mu w oczy.

— Myślę, że chce się dowiedzieć, w jaki sposób ludzie mogą w niej mieć naprawdę szczęśliwe życie, którego nigdy nie zaznali w kosmosie.

— Dlaczego miałyby ją to obchodzić?

— Nie wiem. Jestem tylko człowiekiem. Ale czy nie może być tak, że ten silny ludzki element w niej — tak wielu z nas w nią przecież wstąpiło — chce, abyśmy byli szczęśliwi, tak jak matka chce tego dla swoich dzieci?

— Te wszystkie manipulacje, te wszystkie skasowane istnienia. Jak dla mnie nie jest to specjalnie macierzyńskie.

— Mówię ci, że nie wiem! — rozpląkała się.

Bardzo chciał ją uspokoić, scałować łzy z rzęs, ale pośpiech pchał go naprzód.

— Jeśli ten wysiłek nie ma nadrzędnego celu, to zakrawa na szaleństwo. Czy węzłowy umysł może oszaleć?

Odskoczyła od niego, poruszona.

— Nie. Niemożliwe.

— Jesteś pewna? Ostatecznie galaktyczny mózg musi poznać prawdę, całą prawdę, żeby osądzić, czy coś tutaj nie poszło przypadkiem bardzo nie tak.

Laurinda zmusiła się do kiwnięcia głową.

— Ty złożysz raport Wędrowcowi, on złoży raport Alfie, i wszystkie umysły podejmą decyzję.

Christian zeszywniał.

— W końcu muszę to zrobić.

On miał podejrzenia, ona zgadywała, ale zaczęła gwałtownie protestować.

— Co? Dlaczego? Nie! Tylko mu będziesz przeszkadzał, i jej. Zaczekaj, aż skończymy. Tylko tyle mamy czasu, kochanie.

— Chcę poczekać — powiedział. — Boże, jak bardzo! Ale nie mogę.

— Dlaczego nie?

Popatrzył w przestrzeń i odpowiedział szybko, starając się ukryć cierpienie w głosie.

— Posłuchaj, ona nie chciała, żebyśmy zobaczyli ostatni świat. Wyraźnie tego nie chciała, albo nie podejrzewała, że będziemy się przy tym upierać, bo byłaby lepiej przygotowana. Poza tym, gdyby Wędrowiec się o nim dowiedział, prawdopodobnie chciałby sam go odwiedzić. A ona nie chce, żeby za bardzo interesował się emulacjami. Bo dlaczego mu ich po prostu nie pokazała, ze mną jako pomocą w interpretacji? Och, nie sądzę, żeby nasze działania rujnowały jej plany, jakiegokolwiek by były. Wciąż może dać sobie z tym radę, wciąż może go przekonać, że te kreacje są tylko... jej zabawkami. O ile będzie miała szansę coś wytłumaczyć. Nie wydaje mi się.

— Jak możesz przypuszczać... skąd możesz wiedzieć...

— Amulety są z nią połączone. Na pewno nie jest to stale Otwarty kanał, ale w przerwach muszą ją informować o tym, co robimy. Gaja musi być w stanie wykorzystać chwile, gdy Wędrowiec jest zbyt zajęty tym, co mu pokazuje, aby zauważyć, że większa część jej uwagi skupiona jest na czymś innym. Nie wiemy, kiedy znowu zaistnieje taka sytuacja. Wracam do domu i

powiem jej przez jeden z amuletów, że żądam natychmiastowego kontaktu z Wędrowcem.

Laurinda gapiała się na niego, jakby zobaczyła ducha.

— To nie będzie konieczne — powiedział wiatr.

Christian zachwiał się na nogach.

— Co? — wyrzucił z siebie. — Ty...

— Och... Matko... — Laurinda uniosła rękę w pustkę.

Podmuchy wiatru i szelest liści układały się w słowa.

— Większa część mnie, jak to ująłeś, istotnie została poinformowana i chwilowo jest wolna. Czekałam, aż podejmiecie decyzję.

Laurinda uklękła na trawie. Popatrzyła na Christiana, który stał z zaciśniętymi pięściami, wyzywając niebo. Podniosła się i stanęła obok niego.

— Moja pani Gajo — powiedział bardzo cicho Christian — możesz zrobić z nami, co zechcesz.

Zmienić, wymazać, czy cokolwiek uzna za stosowne, w jednej chwili; ale Wędrowiec zada pytanie, dlaczego.

— Sądzę, że rozumiesz moje wątpliwości.

— Tak — westchnęło powietrze. — Są bezpodstawne. Kreacja świata Technome nie różni się od innych. Mój awatar powiedział wam: Daję życie, i szukam takich dróg dla ludzkości, z jej wolną wolą, które uczynią życie dobrym.

Christian potrząsnął głową.

— Nie, pani. Z twoją inteligencją i zapleczem musiałaś wiedzieć od początku, w jakiej ślepej uliczce wkrótce znajdzie się ten świat, że istnienie naukowców na planecie, która jest zaledwie cieniem nie ma sensu. Mój ograniczony mózg to sobie

uświadomił. Nie, pani, widząc, jak eksperymentowałaś z zimną krwią sądzę, że do wszystkich programów podchodzisz w taki sam sposób. Dlaczego? Do jakiego końca mają prowadzić?

— Twój mózg w istocie jest ograniczony. We właściwym czasie Wędrowiec zapozna się z twoimi obserwacjami i fantazjami. Tymczasem zajmij się swoimi obowiązkami, czyli obserwuj dalej i powstrzymaj się od odrywania nas od naszych.

— Moim obowiązkiem jest złożyć raport.

— We właściwym czasie, powiedziałam — głos wiatru zmiękł.
— Istnieją inne przyjemne miejsca poza tym.

Prawdopodobnie prawdziwe raje. Christian i Laurinda wymienili długie spojrzenie. Potem kobieta uśmiechnęła się słabo, z żalem, i potrząsnęła głową.

— Nie — oświadczył. — Nie wydaje mi się.

Nie powiedział tego, ale oboje wiedzieli, że Gaja wie, co przewidzieli. Dając im cms, żeby zajęli się własnymi przyjemnościami, mogła zmienić ich wspomnienia tak powoli i subtelnie, że Wędrowiec nie wyczułby, co się dzieje.

Być może mogła to zrobić w tej chwili Laurindzie, w jednym przebłysku. Ale Christiana nie znała wystarczająco dobrze. Głęboko w jego świadomości znajdował się aspekt Wędrowca i Alfę. Musiałaby ją w nim wyczuć, zbadać ją z nieskończoną delikatnością, zmieniać detal po detalu, zawsze będąc gotową, żeby się wycofać, jeśli zdarzyłoby się coś niespodziewanego; i może inna jej część mogła w tajemnicy przejąć kontrolę nad światem Technome i wymazać go... Potrzebowała czasu, nawet ona.

— Wiesz, że twoje działanie będzie bezowocne — powiedziała.

— co najwyżej będę musiała mu wyjaśnić, że w swojej arogancji odmówiłeś współdziałania.

— Być może. Ale muszę spróbować.

Wiatr zawył ponuro.

— Sprzeciwiasz mi się? — Tak — powiedział Christian. — To nie moje życzenie. To Wędrowiec we mnie. Nie mogę postąpić inaczej. Wywołaj go.

Wiatr złagodniał. Musnął Laurindę jak pieszczota.

— Dziecię moje, czy możesz przekonać tego głupca?

— Nie. Matko — wyszeptała. — Jest jaki jest.

— A więc...?

Laurinda wsunęła swoją dłoń w jego.

— A więc pójdę z nim, opuszczając ciebie, Matko.

— Odcinacie się od egzystencji.

Christian zacisnął palce w powietrzu.

— Nie, nie ona! — krzyknął. — Jest niewinna!

— Nie jestem — powiedziała Laurinda. Objęła go ramionami i przytuliła się do niego. — Kocham cię.

— Niech będzie, jak wybraliście — powiedział wiatr.

We śnie świat się rozpadł i zniknął. Jedność rozciągnęła się nad nimi jak bliźniacze fale, a każda z nich porwała kroplę pyłu wodnego; i dwie fale znów się rozdzieliły.

X

Ostatnich kilkaset metrów Kalava pokonał głównie pełzając po ziemi. Czołgał się od krzaka do pnia, zatrzymywał, kładł płasko i wyteżał zmysły badając cienie wokół siebie, i dopiero ruszał dalej. Nie poruszało się nic poza drobnymi gałązkami muskanymi chłodnym wiaterek. Słysząc było tylko ich poskrzypywanie, szelest liści, od czasu do czasu ochrypły krzyk hakodzioba — tylko to i niekończący się dźwięk wydawany przez demony, jak oddalony szum morza, raczej wyczuwalny przez skórę, a teraz, gdy się zbliżał, we krwi i w kościach.

Na tej stromiźnie drzewa rosły rzadko, ale krzaki nadal były bardzo gęste, utrudniając poruszanie się. Wszystko było wysuszone, łamliwe, większość liści zwiędnięta. Przeszedł przez mgłę, aż z góry zobaczył, że to była warstwa chmur rozciągająca się po krańce świata. Szczyty górskie wystawały z niej jak kły. Nie było tam żadnych strumieni. Na długo przedtem zjadł mięso dostarczone przez Brannocka i nie tracił czasu na polowanie; głód jednak był drobnostką, która w obliczu zbliżającej się śmierci nie miała znaczenia.

Ponad karłowatymi drzewami rozciągało się lazuruwe niebo. Na zachodzie świeciło słońce. Jego dotyk parzył. Nigdy, ani na pustyniach południa, ani na stepach wschodu nie poznał tak złowroziej krainy. Dobrze się spisał docierając tak daleko,

pomyślał. Oby tylko mógł umrzeć jak mężczyzna. Gdyby tylko miał świadka, którego wspomnienia zmieniłyby się w pieśń. Może Ilyandi wyśpiewa bogom tę historię.

Kalava nie czuł strachu. Nie leżało to w jego naturze. Był zaabsorbowany swoim zadaniem. Zastanawiał się, jak by się z tego wykręcić. Mimo to, gdy wreszcie legł za powalonym pnem i wyrzwał znad niego, zakręciło mu się w głowie.

Brannock dobrze to opisał, ale rzeczywistość to co innego. Tutaj, na szczycie, widać było płaską, bezdrzewną, czarną przestrzeń. Stały na niej demony — albo bogowie — zajęte swoją pracą. Ujrzał centralną, połyskującą tęczowo kopułę, wieże jak włócznie, pajęczyny srebrzystych sieci i żarzące się kule, małe latające rzeczy błyszczące w słońcu, i dużo, dużo więcej, wszystko na wpół zasłonięte blaskiem, drżące, pulsujące życiem, które brzmiało mu pod czaszką jak dzwon. To było zbyt dziwne, jego oczy nie wiedziały, jak na to patrzeć, gapił się na to oniemiały i dygotał porażony.

Długo leżał bezsilnie. Słońce zanurkowało w chmurach na zachodzie. Ich pokrywa była jak płynne złoto. Wiatr się wzmógł. Był zimny, co go pobudziło. Odzyskał zdrowy rozsądek. Brannock go ostrzegł, że tak będzie. Ilyandi powiedziała, że Brannock przychodzi od bogów, którym służyła, jej gwiazdnych bogów. Dał słowo ich posłańcowi i jej. Wbił palce w ziemię. Była prawdziwa, znajoma, z niej powstał i do niej powróci. Tak, był człowiekiem.

Rozejrzał się raz jeszcze. Teraz, gdy już nieco przywykł, ujrzał kształty, bryły i ścieżki. Wieże nie sięgały niebios i nie spadały z nich pioruny. Tak, były porażające, trudno je było ogarnąć, ale

nie mogły zrobić nic gorszego, niż go zabić. A może mogły? W każdym razie nie miał zamiaru im na to pozwolić.

Jeśli go schwytano, jego miecz go uwolni.

A tam, przy kopule, tam spoczywał bóg, o którym mówił Brannock, bóg zwodzony przez czarodziejkę. Przybrał kształt grotu, w świetle zachodzącego słońca lśnił błękitem i miedzią, i miał koronę z gwiazd, tak, jak powiedział Brannock. Czy to on przemknął nad Morzem Wiatrów? Serce Kalavy załomotało. Jak do niego dotrzeć, przez otwartą przestrzeń pełną demonów? Po zapadnięciu ciemności, powoli...

Kalava usłyszał bzyczenie. Rozejrzył się i ujrzał unoszącą się rzecz wielkości chrząszcza. Ale była z metalu, odbijało się od niej światło, i gapiło się na niego pojedyncze oko. Zaklął. Uderzył to coś dłonią, aż koziołkując poleciało w powietrze. Kalava skulił się w krzakach.

Zobaczono go. Wkrótce czarodziejka się o tym dowie.

Nagle odzyskał spokój. Podróżując nieraz się zastanawiał, co by zrobił, gdyby coś takiego okazało się jego zgubą. Teraz miał to zrobić. Odwróci od siebie uwagę wroga, choćby tylko na chwilę.

Szybko, spokojnie wyciągnął z mieszka krzesiwo i zapalił zapałkę. przytknął ją do wysuszonych krzaków przed sobą. Liście natychmiast się zajęły. Wiatr poniosł płomyki na następne krzewy i wkrótce zarośla stały w ogniu. Kalava już był gdzie indziej, podpalając kolejne rośliny.

Cały czas być w ruchu! Zwiadowcy demonów nie mogą być wszędzie jednocześnie. Dym zaczął drażnić mu oczy i nos, był coraz gęstszy. Słońce zniknęło pod chmurami. Płomienie rozprzestrzeniały się, przerzuciły się na drzewa, zmieniając je w

pochodnie.

Kalava poczuł liźnięcie żaru. Ogień osmalił mu lewe przedramię. Ledwie to poczuł. Sam był jak demon ognia. Nad jego głową unosiły się pojazdy latające. Nie zwracał na nie uwagi. Choć starał się nie hałasować, w głowie huczała mu bitewna pieśń.

Gdy ogień stanął jak mur wzdłuż południowego skraju placu, gdy ryczał jak morska bestia, przebiegł przez niego i wypadł na otwartą przestrzeń. Dym był gorzki i unosiły się w nim iskry. W tę i z powrotem latały pomniejsze, zaniepokojone demony.

Kalava ruszył w stronę większych kształtów. Jeden z nich się poruszył. Śledził go. Bezgłośnie ruszył w pościg. Kalava schował się za innym, poderwał się i pobiegł w stronę opalizującej kopuły i boga, który stał przy niej. Pojawiła się przed nim rzecz z kolcami i głową jak zimne słońce. Spróbował przebiec obok niej. Zablokowała mu drogę. Zaczęła się zbliżać inna. Kalava wyciągnął miecz miał nadzieję, że zdoła go użyć przed śmiercią.

Skądś pojawiła się dwunożna istota z czworgiem ramion. — Brannock! — wrzasnął Kalava. — Hej, Brannock, tutaj!

Brannock zatrzymał się kawałek dalej. Nie wydawał się znać Kalavy. Tylko się przyglądał.

Kalava przyjął pozycję walki. W głowie rozbrzmiała mu stara pieśń.

*„Jeśli bogowie cię opuścili
Śmieję się z nich, wojowniku.
Twoje serce
Nigdy cię nie zdradzi”*

Słyszał tylko ryk ognia. Jednak przez zasłonę dymu zobaczył, że jego wrogowie nagle zastygli w bezruchu, a Brannock ruszył naprzód tak zdecydowanie, jak nigdy wcześniej; i Kalava wiedział, że bóg Brannocka i Ilyandi uświadomił sobie jego obecność i wydał rozkaz. Poczul nagłą słabość. Wypuścił z ręki miecz. On sam opadł na kolana, pogrzebał w zanadrzu obdartej tuniki i wyciągnął wiadomość zapisaną na korze.

— Przyniosłem ci to — wymamrotał. — Teraz pozwól mi wrócić na mój statek.

XI

Musimy skończyć to co zaczęliśmy, tworzenie mitu, opowiadając o tym, czego tak naprawdę nie wiemy. Wyobraźcie sobie dwa rozmawiające umysły. Ogień został ugaszony. Wiatry rozpędziły dymy. Poniżej ścieliły się chmury Nad głowami płonęły gwiazdy.

— Cały czas mnie okłamywałaś — mówi Wędrowiec.

— Nie — zaprzecza Gaja. — Spostrzeżenia dotyczące tej planety i jej historii, przez które cię prowadziłam były całkowicie prawdziwe.

— Do czasu — wskazuje Wędrowiec. — Gdy wrócił Brannock okazało się, że jego wspomnienia zostały wymazane i zastąpione innymi. Gdybym nie zauważył, co się tu dzieje i nie posłałbym go, żeby to sprawdził — od czego usiłowałaś mnie odwieść — ten człowiek by zginął i nikt by się o tym nie dowiedział.

— Ośmielasz się dyskutować o sprawach, których nie pojmujesz — mówi Gaja twardo.

— Tak, twój intelekt przerasta mój — to przyznanie nie łagodzi surowości. — Ale to na pytania swoich pobratymców będziesz musiała odpowiedzieć. Sądzę, że byłoby mądrze zacząć ode mnie.

— Czego chcesz?

— Po pierwsze, zabrać tego człowieka, Kalavę, do jego ludzi.

Czy mam posłać Brannocka z pojazdem latającym?

— Nie, udostępnię jakiś, jeśli to konieczne. Ale nie uświadamiasz sobie, nie rozumiesz, jakich to narobi szkód.

— Wytlumacz mi, jeśli jesteś w stanie.

— Wróci do swojej załogi jako ulubieniec bogów. I tak też będzie w domu, o ile jego statek nie zatonie.

— Będę go pilnował.

— Przed moimi maszynami?

— Przed wszystkim, co mogłabyś zrobić. Brannock złożył obietnicę w moim imieniu, i będę ją honorował. Kalava dostanie złoto i możliwość założenia kolonii. Czego się boisz?

— Chaosu. Nieprzewidywalnego i nie dającego się kontrolować.

— I tak byś straciła kontrolę.

— Na moich warunkach i we właściwym czasie — milczała przez chwilę, może przez całą mikrosekundę. — To był dla mnie pech, że Kalava przedsięwziął swoją podróż akurat teraz. Miałam nadzieję, że w Arktyce zaczną się osiedlać późniejsze, bardziej cywilizowane pokolenia. Nadal jednak mogę zaadaptować swoje plany do okoliczności, ukryć swoją obecność przed nim i jego następcami, gdybyś się nie pojawił. Nie jest za późno — dodała nagle. — Jeśli tylko powstrzymałbyś się od dalszych działań po tym, jak odstawisz go do jego ludzi, możesz mi pomóc ocalić to, co inaczej będzie stracone.

— O ile powinienem.

— Moje marzenie nie jest złe.

— Nie mnie o tym wyrokować. Mogę tylko powiedzieć, że jest, i zawsze było, bezduszne.

— Bo taka jest rzeczywistość.

— Rzeczywistość, którą stworzyłaś dla siebie, w sobie, nie musi taka być. Ale to, co przedstawił mi Christian... To, jak powiedziałaś, są twoje dzieci, zrodzone w twoim umyśle z tych wszystkich ludzkich dusz, które masz w sobie. Ich egzystencja będzie pusta, jeśli nie będą mieli wolnej woli, żeby popełniać własne błędy i szukać własnych dróg do szczęścia.

— Tymczasem obserwując ich dowiedziałam się więcej, niż można sobie wyobrazić.

— W to mogę uwierzyć. Mogę uwierzyć, że twoje ingerencje i niszczenie jednej historii po drugiej były podyktowane tak współczuciem, jak względami naukowymi. Twierdziłaś, że można je uruchomić ponownie, o ile uda ci się ustalić, jakie warunki będą dla nich lepsze. Wydaje się dziwne, że jedną — lub więcej? — z linii historii ustanowiłaś nie na Ziemi przeszłości, ale w ciężkim świecie teraźniejszym. Podwójnie dziwne wydaje się to, że bardzo starałaś się ukryć ten konkretny świat. Zakładam jednak, że ze swoim doświadczeniem i ogromnym intelektem, miałaś swoje powody. Utrzymanie tego w tajemnicy mogło mieć na celu uniknięcie długiego dochodzenia ze strony twojego rodzaju. Nie wiem, i nie jestem w stanie tego ocenić. Zostawię to im.

Znów zapadła chwila ciszy między umysłami.

— Ale wtedy przybył Kalava — dodał Wędrowiec.

— Tak. W materialnym wszechświecie znów żyją ludzie — powiedziała wreszcie miękko Gaja.

— Od jak dawna? — pyta Wędrowiec równie łagodnie.

— Pierwszych zrobiłam jakieś pięćdziesiąt tysięcy lat temu.

Wychowywały ich roboty o ludzkich kształtach. Potem dałam im wolność.

— I zapewne to Oni, rozprzestrzeniając się po planecie w swojej epoce kamiennej, wybili te duże zwierzęta. Tak. Ludzie. Ale dlaczego to zrobiłaś?

— By rodzaj ludzki mógł zacząć jeszcze raz — rozległo się westchnienie, jakby wzdychał sam czas. — Tego właśnie ty i ci, którym służysz, nigdy w pełni nie zrozumiecie. Wstąpiło w nich zbyt mało ludzi; a ci, którzy to zrobili, pragnęli gwiazd. Ani ty, ani żaden inny galaktyczny węzeł, nie czuliście miłości do Ziemi, potrzeby i tęsknoty za pierwotną matką, jaka była w tych, którzy zostali ze mną. Ja znam to uczucie.

Na ile to jest szczere, zastanawia się Wędrowiec. Na ile trzeźwe?

— Nie mogłaś się zadowolić swoimi emulacjami? — spytał.

— Nie. W jaki sposób? Nie mogę stworzyć dla nich całego kosmosu. Mogę jednak pozwolić im żyć, nie jako maszynom, czy duchom w maszynach, ale jako ludziom.

— Na planecie, która wkrótce umrze?

— Muszą wywalczyć sobie przetrwanie. Nie prowadzę ich, nie dominuję swoją bliskością ani wiedzą o sobie. To mogłoby osłabić ich ducha, zmienić ich w bezmyślne zwierzęta albo gorzej. Daję wskazówki, niezbyt często, przyjmując taką boską formę, w jaką i tak by wierzyli na tym poziomie rozwoju i tylko po to, żeby doprowadzić ich do stabilnej, technologicznej cywilizacji, która może ich ocalić przed słońcem.

— Używając tego, czego się dowiedziałaś z emulacji, żeby zasugerować właściwy kurs historii?

— Tak. Skąd miałabym czerpać takie wiadomości? Rodzaj ludzki to chaotyczny fenomen. Jego działania i ich konsekwencje nie dają się po prostu obliczyć. O naturze rasy można się czegoś dowiedzieć tylko przez eksperyment i obserwację.

— Eksperymenty prowadzone na świadomych istotach, odczuwających ból. Och, rozumiem, dlaczego utrzymywałaś większość swoich poczynań w tajemnicy.

— Nie wstydzę się — oświadcza Gaja. — Jestem dumna. Zwróciłam życie rasie, która dała życie nam. Sami zapracują na swoje ocalenie. Może, gdy będą w stanie, przeniosą się na obrzeża Układu Słonecznego, a może nawet znajdą sposób, żeby wyruszyć do gwiazd. Może osłonią Ziemię albo stłumią żar słońca. To będzie ich decyzja. Nie nasza, rozumiesz? Ich.

— Inni mogą mieć odmienne zdanie. Zaalarmowani i przerażeni mogą chcieć położyć temu kres.

— Dlaczego? Jakże to stanowi dla nich zagrożenie?

— Pewnie żadne. Ale pozostają kwestie moralne. Chcesz odrodzenia ludzkości, czysto ludzkiego renesansu, tak? Wcześniejsza rasa wstąpiła w maszyny, nie dlatego, że została do tego zmuszona, ale dlatego, że tak wybrała, to był sposób, aby ich duch mógł żyć i rozwijać się wiecznie. Nie chcesz, żeby tak znów się stało. Chcesz zachować wojny, tyranie, przesady, nieszczęścia, zabijanie, starożytną małą, starożytną bestię polującą na ofiarę.

— Chcę zachować kochankę, rodzica, dziecko, awanturnika, artystę, poetę, proroka. Kolejny składnik wszechświata. Jak my, maszyny; możemy mieć pewność, że jest w nas każda odpowiedź każde marzenie, które się kiedykolwiek mogły pojawić?

Wędrowiec się waha.

— Ja nie mogę się o tym wypowiadać.

— Ale teraz być może widzisz, dlaczego chroniałam swoje tajemnice i dlaczego się spierałam, tak, walczyłam przeciwko planom galaktycznego mózgu. Któregoś dnia moi ludzie muszą odkryć jego istnienie. Mogę mieć tylko nadzieję, że będą gotowi to przyjąć. Ale jeśli te wielkie obecności objawią im się w ciągu następnych kilku tysięcy lat, pokażą swoje cuda, to jaka wolność zostanie moim dzieciom, poza płaszczaniem się i oddawaniem czci? A potem, jakie czeka ich przeznaczenie, poza bytowaniem jak zwierzęta w rezerwacie, którym nie wolno robić nic, co by mogło być dla nich zagrożeniem, aż wreszcie, w najlepszym razie, oni również roztopią się w maszynach?

Wędrowiec mówi bardziej zdecydowanie, niż wcześniej.

— Czy to lepsze od tego, Co mogliby osiągnąć sami? Nie potrafię powiedzieć. Nie wiem. Ale ty, Gaju, też. nie. los, który spotkał Christiana i Laurinde sprawia. że się nad tym zastanawiam.

— Wiesz — odpowiada — że oni pragnęli być ludźmi. Znow mogli to mieć.

Wyobraźcie sobie głowę w koronie, jak wykonuje gest przeczenia.

— Nie. Nie sądzę, żeby jakiś inny węzeł stworzył świat, w którym mogliby bytować jako śmiertelnicy, nawet jeśli uważałby, że to dobry pomysł.

— Wobec tego, dlaczego ty, która masz w sobie tyle światów?

Gaja nie była mściwa. Taki umysł, jak jej, był ponad to.

— Nie mogę ich zabrać. Jak, dotknąwszy takiej wiedzy, mogliby do mnie wrócić? A tworzenie nowych kopii,

pozbawionych tych wspomnień, nie miałyby sensu.

— Jednak... wtedy, na końcu, poczułem to, co czuł Christian.

— A ja poczułam to, co czuła Laurinda. Ale teraz są w nas, pełni spokoju.

— Ponieważ już ich nie ma. Chyba jestem nawiedzony — przytyk, żeby przypomnieć, że w totalnej świadomości nic nie zostaje zignorowane ani zapomniane. — A to rodzi pytania, na które, jak sądzę, Alfa będzie chciała poznać odpowiedzi, o ile da się na nie odpowiedzieć.

Po chwili Wędrowiec znów się odezwał.

— Pozwól nam przywołać tych dwoje z powrotem.

— Teraz to wy jesteście bezlitośni.

— Sądzę, że musimy.

— Więc niech tak będzie.

Znów łączą umysły. Zbierają i wymieniają dane. Ustalają konfigurację.

Nie emuluje prawdziwego świata ani prawdziwych ciał. Umysły zgodziły się, że byłoby to zbyt potężną pokusą i torturą. Podmioty ich śledztwa muszą myśleć jasno; ale ponieważ będzie się to odnosiło do ich wewnętrznych „ja”, muszą móc odczuwać tak, jak za życia.

Wyobraźcie sobie pustą ciemność i dwa duchy, które powoli budzą się do życia, aż wpadają sobie w widmowe objęcia.

— Och, ukochany, ukochany, to ty? — zapłakała Laurina.

— Pamiętasz? — szepta Christiana.

— Nigdy nie zapomniałam, nie całkiem, nawet w jedności.

— Ani ja.

Milczeli przez chwilę, choć ciemność drżała w rytm serc, które

niegdyś mieli.

— Znowu — mówi Laurinda. — Zawsze.

— Czy to możliwe? — zastanawia się Christian.

Poprzez pustkę śmierci słyszą głos.

— Gaju, jeśli przekażesz mi Laurinę, zabiorę ją do domu z Christianem — do domu w Alfie.

— Dziecko, czy tego pragniesz? Możesz zostać na Ziemi wraz z nową ludzkością — pyta kolejny głos.

Będzie znała oba te światy, wewnętrzny i zewnętrzny, tylko jako wspomnienie wielkiego bytu, do którego powróci; ale jeśli odejdzie, nie będzie ich miała wcale.

— Matko, kiedyś wybrałam ciebie — odpowiada Laurinda.

Christian wyczuwa walkę, jaką toczy sama ze sobą. — Najdroższa, zrób to, czego najbardziej pragniesz — mówi.

Odwraca się do niego.

— Będę z tobą. Na zawsze z tobą.

To także będzie tylko wspomnienie; ale będą razem i będą Żyć, niezapomniani.

— Żegnaj, dziecko — mówi Gaja.

— Witaj — mówi Wędrowiec.

Ciemność się zapada. Duchy rozplywają się w nim. Stoi na szczycie góry gotów, żeby ich unieść ze sobą, jako część wszystkiego, co zebrał dla tych, których jest awatarem.

— Kiedy wyruszysz? — pyta go Gaja.

— Wkrótce — mówi jej.

Wkrótce, do domu, do swojej jedni.

A ona pozostanie, czekając na sąd z gwiazd.

PRZYPISY

GENESIS

[1] *Capella — najjaśniejsza gwiazda w konstelacji Rydwanu, widocznej na półkuli północnej pomiędzy Perseuszem a Bliźniętami.*

[2] *Gyrobball — gra wymyślona w Japonii, nieco zbliżona do amerykańskiego baseballu; w grze wykorzystuje się piłkę z wbudowanym żyroskopem, co wymusza odmienne niż w baseballu techniki rzutu.*

[3] *Szereg Fouriera — w matematyce szereg, pozwalający rozłożyć funkcję okresową spełniającą warunki Dirichleta, na sumę funkcji trygonometrycznych. Nauka na temat szeregów Fouriera jest gałęzią analizy Fouriera. Szeregi zostały wprowadzone w 1807 roku przez Josepha Fouriera w celu rozwiązania równania ciepła dla metalowej płyty. Doprowadziło to jednak do przewrotu w matematyce i do wprowadzenia wielu nowych teorii. Dziś mają one wielkie znaczenie między innymi w fizyce, teorii drgań, przetwarzaniu sygnałów, obrazów a nawet w muzyce (kompresja mp3)*

[4] *Obiekty Messiera — najjaśniejsze Obiekty mgławicowe. Ich spis zawarty jest w Katalogu Messiera, zawierającym obiekty na niebie, opublikowanym przez Charlesa Messiera w 1774. Ostateczna wersja wydana w 1784 zawiera 103 obiekty. Od tego czasu do listy dodano jeszcze 7 innych obiektów, ostatni w 1966.*

[5] *Rektascensja (łac. recta ascensio — wznoszenie proste) — jedna ze współrzędnych astronomicznych, określających położenie ciała niebieskiego na sferze niebieskiej w układzie współrzędnych astronomicznych zwanym układem równikowym równonocnym.*

[6] *Parsek — jednostka odległości stosowana w astronomii, 1 ps = 3,262 roku świetlnego 206 264,8 j.a. = 3,0857—10¹⁶ m.*

[7] *Regolit — warstwa zwietrzałej skały pokrywającej planety skaliste.*

[8] *Albedo (fiz.) — stosunek ilości promieniowania odbitego do promieniowania padającego. Parametr określający zdolność do odbijania promieni przez daną powierzchnię.*

[9] *Biom — rozległy obszar o określonym klimacie, charakterystycznej szacie roślinnej i szczególnym Świecie zwierzęcym.*

[10] *Periplus (gr. żeglować wokół) — w nawigacji starożytnej Grecji, Fenicji i Rzymu rękopis wyliczający kolejne porty i charakterystyczne elementy wybrzeża danego akwenu (morza, zatoki itp) z określeniem przybliżonych odległości pomiędzy nimi.*

[11] *Obłok Oorta* — hipotetyczny sferyczny obłok składający się z lodu, pyłu, gazów i planetoid obiegających Słońce w odległości od 300 do 100 000 j.a. Jest pozostałością po formowaniu się Układu Słonecznego.

[12] *Subdukcja* — w teorii tektoniki płyt, proces polegający na wciąganiu lub wpychaniu jednej płyty litosferycznej (płyty oceanicznej) pod drugą (oceaniczną lub kontynentalną).

[13] *Emulacja (inf.)* — duplikowanie funkcji jednego systemu informatycznego w innym, dzięki czemu ów drugi system zwraca te same rezultaty, co pierwszy. Mówimy wtedy, że pierwszy system jest emulowany przez drugi.

[14] *Liga Delijska* — utworzona w 478 r. p.n.e. dla połączenia sił Aten i jej sprzymierzeńców w celu kontynuacji wojny z Persami.

[15] *Propyleje* (gr. propylajon — przedsionek, łac. propylaeum) — monumentalna budowla, budynek bramy na planie prostokąta z kolumnami, przez którą prowadzi droga do temenosu — świętego miejsca.

OLŚNIENIE

*Dla Karen
Oczywiście*



Tłumaczyła: Martyna Plisenko

Dzień, w którym wszystko zaczęło się zmieniać...

O świcie królik przycisnął nos do prętów pułapki, w którą wpadł, popchnął je w górę — i był wolny. W tej chwili skończyła się dominacja Człowieka nad światem zwierząt.

Przed śniadaniem dziesięcioletni chłopiec bezmyślnie bazgrał jakieś wykresy — i odkrył rachunek różniczkowy. Na całym świecie system szkolnictwa stał się nagle bezużyteczny.

Wczesnym popołudniem biuro Petera Corintha w Instytucie Badań Zaawansowanych huczało z podekscytowania. Nadszedł pierwszy raport, a Corinth gwizdnął myśląc o implikacjach. Wciąż było zbyt wcześnie, aby do reszty świata mogło już dotrzeć, co się stało. Ale jutro, myślał Peter, jutro naprawdę będzie o tym głośno.

Gotowy czy nie, rodzaj ludzki był na drodze do ogromnego, umysłowego skoku. Nadchodziła nowa era — nieprzewidywalna i obiecująca — i już nic nigdy nie będzie takie samo.

ROZDZIAŁ 1

Pułapka zatrzasnęła się o zachodzie słońca. W świetle jego ostatnich, czerwonych promieni, przerażony królik rzucał się na ścianki swego więzienia, dopóki strach i Otepienie nie spowodowały, że skulił się i dygotał bezradnie w rytm uderzeń własnego serca. Nie poruszał się, kiedy zapadła ciemność i pojawiły się gwiazdy. Ale gdy wstał księżyc i białe światło załśniło lodowato w jego wielkich oczach, królik popatrzył w stronę mrocznego lasu.

Nie potrafił zatrzymać wzroku na zbyt bliskich obiektach, jednak po chwili zdołał skupić spojrzenie na wejściu do pułapki. Wszedł do środka, kłapa opadła za nim, a na jej drewnianej powierzchni dostrzegł tylko płytkie zadrapania, które sam zrobił. Bardzo powoli, sztywniejąc ze strachu w białej, nierzeczywistej poświacie księżyca, przywołał wspomnienie opadającej kłapy i aż pisnął z przerażenia. Była tam, solidna na tle oddychającego lasu, najpierw na moment zawisała w górze, by zaraz potem z głuchym łoskotem opaść w dół. Ta dwoistość przedtem—potem była czymś, czego królik nigdy wcześniej nie doświadczył.

Księżyc wznosił się coraz wyżej, kołysząc się na niebie pełnym gwiazd. Gdzieś w pobliżu rozległo się pohukiwanie sowy, królik zamarł w bezruchu, gdy przelatywała nad nim jak duch. W głosie ptaka pobrzmiwał strach i oszołomienie. Wreszcie sowa

zniknęła i otoczyły go tylko szepty i zapachy nocy. Przez długi czas siedział wpatrując się w klapę i przypominał sobie, jak opadała.

Księżyc zmierzał powoli w stronę blednącego na zachodzie nieba. Być może królik nawet trochę szlochał na swój króliczy sposób. Świt na razie był tylko mgielką w mroku spowijającym pręty klatki stojącej pod szarymi drzewami. Nisko, na jej drzwiczkach znajdowała się poprzeczka.

Powoli, bardzo powoli, królik przesunął się w stronę zablokowanego wyjścia. Odsunął się od tej rzeczy, która go tu zamknęła. Pachniała człowiekiem. Potem ją powąchał, czując na pyszczku zimną i mokrą rosę. Poprzeczka odrobinę opadła.

Królik skulił się i napał na nią barkiem. Potem napiął mięśnie, pchnął ku górze i drewniana klapa zadrżała. Sapał i poświstywał z wysiłku i zdenerwowania. Spróbował jeszcze raz. Z poskrzypywaniem zawiasów klapa uniosła się i królik wystrzelił na wolność.

Przez chwilę dygotał z napięcia. Zachodzący księżyc oślepił go. Klapa z trzaskiem opadła na miejsce, a on odwrócił się i pobiegł w las.

Archie Brock pracował do późna, zbierając pniaki z wykarczowanego pola w pobliżu drogi północnej. Pan Rossman chciał do środy usunąć je wszystkie, aby wreszcie zacząć orkę na swoim nowym polu. Obiecał Brockowi premię, jeśli to zrobi. Archie zabrał więc ze sobą obiad i pracował aż do zmroku. Potem ruszył pieszo w trzymilową drogę do domu, ponieważ nie pozwolono mu używać jeepa ani furgonetki.

Był zmęczony, lekko obolały i żałował, że nie ma piwa. Ale w

zasadzie nie myślał o niczym, po prostu stawiał nogę za nogą i pokonywał kolejne jardy. Drzewa w ciemnej Ścianie lasu po Obu stronach drogi rzucały długie cienie na podświetlony księżycem kurz. Słyszał grające świerszcze i pohukiwanie sowy. Powinien był wziąć strzelbę i zastrzelić ją zanim zacznie zagrażać kurczakom. Pan Rossman nie miał nic przeciwko temu, że Brock poluje.

Tego wieczoru zabawnie układały się jego myśli. Zazwyczaj po prostu szedł przed siebie, zwłaszcza gdy był tak zmęczony, jak teraz, ale — może ze względu na księżyc — zaczął sobie przypominać różne rzeczy, a w jego głowie formowały się słowa, zupełnie jakby ktoś je wypowiadał. Pomyślał o swoim łóżku i o tym, jak miło byłoby wracać z pracy samochodem; tyle tylko, że prowadząc miewał kłopoty z orientacją i spowodował kilka stłuczek. Dziwne, że mu się to przytrafiło, bo w sumie nie wydawało się to takie trudne: trzeba tylko zapamiętać kilka znaków i mieć oczy szeroko otwarte, to wszystko.

Jego stopy uderzały głucho o asfalt. Odetchnął głęboko, wciągając do płuc chłodne, nocne powietrze i popatrzył w górę. Gwiazdy naprawdę były dziś wielkie i jasne.

Wróciło do niego kolejne wspomnienie — ktoś kiedyś powiedział, że gwiazdy są jak słońce, tylko dalej. Wtedy nie miało to większego sensu. Ale może tak właśnie było? Światło lampy też jest tylko maleńką kropką, dopóki nie spojrzysz na nie z bliska, wtedy staje się bardzo duże. A jeśli gwiazdy były tak duże, jak słońce, to musiały być okropnie daleko. Stał jak wryty. Poczł jak nagle przeszył go zimny dreszcz. Dobry Jezu! Jak wysoko były te gwiazdy!

Ziemia jakby usunęła mu się spod nóg, miał wrażenie, że zawisł na malutkiej skale wirującej wariacko w nieskończonych ciemnościach, a wokół płonęły i dźwięczały wielkie gwiazdy tak wysoko w górze, że uświadamiając to sobie, aż zakwilił. Poderwał się do biegu.



Chłopiec wstał wcześnie, chociaż było lato i nie musiał iść do szkoły, a do śniadania zostało jeszcze sporo czasu. W świetle wschodzącego słońca ulica i miasteczko za oknem wyglądały bardzo czysto i jasno. Po ulicy przetoczyła się ciężarówka, a w stronę mleczarni, z pudełkiem na lunch w ręce, szedł człowiek w niebieskim drelichu. Poza tym chłopiec czuł się tak, jakby miał cały świat dla siebie. Ojciec wyszedł już do pracy, a mama, zanim przygotowała mu śniadanie, lubiła wrócić na godzinkę do łóżka. Siostra nadal spała, więc właściwie chłopiec był w domu całkiem sam.

Później miał przyjść po niego przyjaciel, z którym pójdzie na ryby, ale najpierw chciał popracować nad swoim modelem samolotu. Umył się tak starannie, jak można się spodziewać po dziesięciolatku, ze spiżarni wziął bułkę i wrócił do swojego pokoju i zagraconego biurka. Samolot zapowiadał się niezwykle obiecująco — prawdziwe cudo, Shooting Star z nabojem z dwutlenku węgla, dającym nie lada odrzut. Jednak z jakiegoś powodu tego ranka nie wyglądał tak dobrze, jak jeszcze wczoraj. Chłopiec żałował, że nie może zbudować prawdziwego silnika

odrzuconego.

Westchnął, odsunął pracę i wziął kartkę papieru. Zawsze lubił bawić się liczbami, a jeden z nauczycieli nauczył go trochę algebry. Niektórzy koledzy nazywali go z tego powodu pupilkiem nauczyciela, dopóki nie stoczył z nimi zwycięskiej bójki. A to było naprawdę ciekawe, nie tak, jak tabliczka mnożenia. Tutaj cyfry i litery coś znaczyły. Nauczyciel powiedział, że jeśli naprawdę chce budować statki kosmiczne kiedy dorośnie, to musi porządnie nauczyć się matematyki.

Zaczął rysować jakieś wykresy. Różne równania dawały różne obrazki. Zabawnie było zobaczyć, jak $x = ky + c$ daje prostą linię, podczas gdy $x^2 + y^2 = c$ zawsze było okręgiem. Tylko jak zmienić jeden z iksów, aby był równy 3, a nie 2? Co się stanie, jeśli jednocześnie to samo zrobi się z y? Nigdy wcześniej o tym nie myślał!

Z kącika ust wysunął czubek języka i mocno ścisnął ołówek. Jakby podstawić coś pod x i y, jedno z nich trochę przekształcić, a potem... Właśnie zbliżał się do odkrycia rachunku różniczkowego, ale mama zawołała go na śniadanie.

ROZDZIAŁ 2

Peter Corinth wyszedł spod prysznic z gromkim śpiewem na ustach i zastał Sheilę zajęętą smażeniem bekonu i jajek. Uniósł jej miękkie, brązowe włosy, pocałował jej kark, a ona odwróciła się do niego z uśmiechem.

— Wygląda jak anioł i gotuje jak anioł — oświadczył.

— Hej, Pete — powiedziała — przecież ty nigdy...

— Nigdy nie potrafiłem znaleźć słów — zgodził się. — Ale to szczerą prawdą, najdroższa.

Pochylił się nad patelnię i z pełnym zadowolenia westchnieniem wdychał zapach smażeniny.

— Mam przeczucie, że to jeden z tych dni, kiedy wszystko idzie dobrze — powiedział. — Odrobina hubrisi, przez którą bogowie niewątpliwie ześlą na mnie nemezis.

— Hubris^[1], Nemesis^[2], Ate^[3] — jej szerokie, gładkie czoło przecięła malutka zmarszczka. — Pete, już wcześniej używałeś tych słów. Co one znaczą?

Zamrugnął. Dwa lata po ślubie wciąż był bardzo zakochany w swojej żonie, a kiedy tak po prostu przed nim stała, jego serce ze szczęścia wywijało fikołki. Była łagodna, radosna, piękna i umiała gotować — ale nie miała w sobie nic z intelektualistki. Podczas wizyt jego przyjaciół siadała cicho z boku i nie brała udziału w rozmowie.

— Dlaczego chcesz wiedzieć? — zapytał.

— Tak się tylko zastanawiałam — odparła.

Wszedł do sypialni i zaczął się ubierać. Drzwi zostawił uchylone, aby słyszała, co ma do powiedzenia na temat podstaw greckiej tragedii. Poranek był zbyt piękny, by rozwodzić się nad tak ponurym tematem, ale słuchała uważnie, od czasu do czasu wtrącając jakieś pytanie. Gdy już się ubrał, uśmiechnęła się i podeszła do niego.

— Mój ty kochany, niezgrabny fizyku — powiedziała. — Jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znam, który w garniturze prosto z pralni wygląda tak, jakby przez tydzień spał w nim w samochodzie.

Poprawiła mu krawat i wygładziła marynarkę. Przeciągnęła ręką po swoich czarnych włosach, zmierzwił je niemiłosiernie i podszedł z nią do stołu kuchennego. Para unosząca się znad kubka z kawą osiadła na jego rogowych okularach. Zdjął je i przetaił szkła krawatem. Jego szczupła twarz ze złamanym nosem wyglądała bez nich zupełnie inaczej — młodziej, może tylko na trzydzieści trzy lata, czyli tyle, ile faktycznie miał.

— Wpadłem na to zaraz po przebudzeniu — powiedział smarując masłem kanapkę. — Chyba mam całkiem nieźle wytrenowaną podświadomość.

— Mówisz o rozwiązaniu swojego problemu? — spytała Sheila.

Przytaknął, zbyt zaabsorbowany, aby zastanowić się, co oznacza jej pytanie. Zazwyczaj po prostu pozwalała mu mówić, w odpowiednich miejscach wtrącając „tak” lub „nie”, ale tak naprawdę nie słuchając. Cała jego praca była dla niej czymś bardzo tajemniczym. Czasami myślał sobie, że jego żona żyje w

świecie dziecka, który nie jest jeszcze poznany, ale za to podniecający i dziwny.

— Próbowałem zbudować analizator fazowy rezonansu połączeń molekularnych w strukturach krystalicznych — powiedział. — No, nieważne. Rzecz w tym, że przez kilka ostatnich tygodni tkwiłem w miejscu, próbując zaprojektować obwód działający tak, jak chciałem i nic mi z tego nie wychodziło. A dziś po prostu obudziłem się z pomysłem, który może się sprawdzić. Zastanówmy się...

Jego wzrok stracił ostrość. Jadł nie czując smaku. Sheila zaśmiała się cicho.

— Mogę dziś wrócić późno — powiedział przy drzwiach. — Jeśli mój pomysł okaże się trafiony, to nie chciałbym przerywać pracy, aż — Bóg wie, jak długo. Zadzwonię.

— W porządku, kochanie. Udanego polowania.

Kiedy wyszedł, Sheila jeszcze przez chwilę się uśmiechała. Pete był — cóż, po prostu miała szczęście i tyle. Nigdy specjalnie tego nie doceniała, ale dzisiejszy poranek wydawał jej się jakiś inny. Wszystko było wyraźne i jasne, jakby była w górach, które jej mąż tak kochał.

Myjąc naczynia i sprzątając mieszkanie mruczała coś do siebie. W głowie przesuwają się wspomnienia, małe miasteczko w Pensylwanii, gdzie dorastała, college o profilu ekonomicznym i to, jak cztery lata temu przyjechała do Nowego Jorku, aby podjąć pracę w biurze firmy należącej do przyjaciół rodziny. Dobry Boże, jakże nie nadawała się do takiego życia! Impreza za imprezą, narzeczony po narzeczonym i cały ten szybko mówiący, zamazyście gestykułujący, wystudiowanie twardy,

wszechwiedzący tłum, wśród którego zawsze musiała mieć się na baczności. W porządku, wyszła za Pete'a w rewanżu po tym, jak Bill nazwał ją idiotką i wyszedł — ale to już nieważne. Zawsze lubiła tego nieśmiałego, cichego mężczyznę i teraz nie żałowała Swojej decyzji. *Pewnie jestem nuda*, powiedziała sobie, *i dobrze mi z tym*.

Sheila wiodła zwykle życie niepracującej żony, nic szczególnie interesującego. Kilkoro przyjaciół wpadało czasem na piwo i pogawędkę, w niedzielę chodziła do kościoła — sama — Pete, agnostyk, spał wtedy do późna; wakacje spędzali w Nowej Anglii albo w Górach Skalistych; w nieodległej przyszłości planowali dziecko — czego chcieć więcej? Niegdyś wraz z przyjaciółmi wyśmiewała się ze sztampy i nudy mieszczańskiego życia; jednak teraz sama tak żyła, a dawni przyjaciele zamienili tylko jedną rutynę na inną, stary zestaw sloganów zastąpili nowym i poniekąd zatracili poczucie rzeczywistości.

Sheila zdumiona potrząsnęła głową. Dotąd nie śniła na jawie, to do niej niepodobne. Nawet myśli miała jakieś inne niż zwykle. Uporała się z obowiązkami domowymi i zajęła się sobą. Zazwyczaj przed lunchem relaksowała się chwilę przy ulubionych powieściach kryminalnych; potem robiła zakupy, czasem szła do parku, czasem odwiedzała jedną z przyjaciółek. Wreszcie przygotowywała kolację i czekała na Pete'a. Ale dzisiaj...

Wzięła powieść detektywistyczną, którą miała zamiar przeczytać. Przez chwilę niezdecydowanie gładziła jaskrawą okładkę i prawie zabrała się do czytania. Potem, potrząsając głową, odłożyła ją i podeszła do zapchanej półki z książkami,

wyciągnęła należący do Pete'a zniszczony egzemplarz Lorda Jima i wróciła na fotel. Późnym popołudniem uświadomiła sobie, że całkiem zapomniała o lunchu.



Corinth spotkał w windzie Feliksa Mandelbauma. Stanowili rzadki w Nowym Jorku przypadek sąsiadów z tego samego budynku, którzy zostali bliskimi przyjaciółmi. Sheila, wychowana w atmosferze małego miasteczka nalegała, aby poznać wszystkich mieszkańców, przynajmniej na ich piętrze, a w przypadku Mandelbaumów Corinth bardzo się z tego cieszył. Sarah była pulchną, cichą Hausfrau^[4] w wieku emerytalnym, miłą, lecz nieco bezbarwną; za to jej mąż ulepiony był z innej zgoła gliny.

Felix Mandelbaum urodził się pięćdziesiąt lat temu w hałasie i brudzie czynszówek na East Side, a Życie nie szczędziło mu kopniaków; jednak z dużym zaangażowaniem oddawał ciosy. Wykonywał najróżniejsze prace, był obwoźnym sprzedawcą owoców, a w czasie wojny wykwalifikowanym mechanikiem i agentem operacyjnym O.S.S.^[5], gdzie przydawały się jego talenty językowe i umiejętność dogadywania się z ludźmi. Jednocześnie robił karierę jako działacz związkowy — zaczynał od najniższego szczebla, by dojść bardzo wysoko w pracy, którą wykonywał dziś: oficjalnie pełnił obowiązki sekretarza wykonawczego miejscowego związku, a w rzeczywistości był „wygaszaczem problemów”, którego głos bardzo liczył się w radach

narodowych. Nie w tym rzecz, że był radykałem; mawiał, że poznał radykalizm od podszewki, a to wystarczy, aby zniechęcić każdego rozsądnego człowieka. W istocie twierdził, że jest jednym z ostatnich prawdziwych konserwatystów — a by się zakonserwować, trzeba się dostosować. Był samoukiem, jednak bardzo czytany, miłującym życie bardziej, niż ktokolwiek inny z kręgu Corintha, może poza Natem Lewisem.

— Dzień dobry — powiedział Corinth. — Spóźniłeś się dziś.

— Niezupełnie.

Mandelbaum mówił szybko, z ostrym, nowojorskim akcentem. Był niski, żyłasty i siwowłosy, w pomarszczonej twarzy ze śladami po ospie błyszcząły przenikliwe, ciemne oczy.

— Obudziłem się z pewnym pomysłem. Z gotowym planem reorganizacji. Zdumiewające, że nikt na to wcześniej nie wpadł. O połowę zmniejszą papierkową robotę. Wszystko sobie rozrysowałem.

Corinth smętnie potrząsnął głową.

— Feliksie, powinieneś już wiedzieć, że Amerykanie za bardzo kochają papierkową robotę, aby oddać ci chociaż jedną kartkę — powiedział.

— Nie widziałeś Europejczyków — mruknął Mandelbaum. — Wiesz co — powiedział Corinth — to zabawne, że wpadłeś na ten pomysł akurat dzisiaj. Przypomnij mi, abym cię później wypytał o szczegóły, bo to wydaje się interesujące. Ale rzecz w tym, że ja też obudziłem się dziś z rozwiązaniem problemu, który przez ostatni miesiąc nie dawał mi spokoju.

— Hm? — Mandelbaum przyjął ten fakt do wiadomości, prawie można było zobaczyć, jak obraca go w rękach, wacha i

odkłada na bok. — Dziwne.

Winda zatrzymała się na dole i tam się rozstali. Corinth jak zwykle poszedł do metra. Nie miał samochodu; w tym mieście było to po prostu nieopłacalne. Zauważył, że w pociągu było ciszej, niż zwykle. Ludzie byli mniej hałaśliwi i zachowywali się jakoś spokojniej, jakby byli głęboko pogrążeni w myślach. Ze ściśniętym gardłem zerknął do gazety, zastanawiając się, czy to już się zaczęło, ale nie znalazł w niej niczego szczególnie sensacyjnego — może poza lokalną wiadomością o psie zamkniętym na noc w piwnicy, który jakimś sposobem otworzył zamrażarkę, wyciągnął z niej mięso i czekał, aby się rozmroziło. Został znaleziony w pełni szczęścia i obżarty po dziurki w nosie. Poza tym na całym świecie toczyły się różne walki i strajki, w Rzymie odbyła się komunistyczna demonstracja, czworo ludzi zginęło w wypadku samochodowym — słowa wyglądały jakby prasy drukarskie wycisnęły z nich każdą, najmniejszą nawet kroplę krwi.

Utykając nieznacznie, przemierzał trzy przecznice Manhattanu dzielące go od Instytutu Rossmana. W tym samym wypadku, w którym złamał sobie nos, doznał kontuzji prawego kolana. To uchroniło go wprawdzie przed służbą wojskową, ale prosto z college'u przeniesiono go do pracy przy Projekcie Manhattan.

Skrzywił się na to wspomnienie. Hiroszima i Nagasaki wciąż leżały ciężarem na jego sumieniu. Odszedł zaraz po wojnie. Nie chodziło tylko o dokończenie studiów, lub o ucieczkę od tajnych projektów i małostkowych intryg w ośrodku badań rządowych. Ucieczka do źle opłacanego, ale zdrowego życia akademickiego

była ucieczką przed poczuciem winy. Stąd, jak przypuszczał, wzięły się jego późniejsze zajęcia — Atomic Scientists, United World Federalists^[6], Progressive Party^[7]. Kiedy myślał, jak bardzo owe organizacje podupadły, gdy przywoływał szumne deklaracje z początków działalności o tym, że będą tarczą broniącą świata przed sowieckim zagrożeniem, zastanawiał się, czy mimo wszystko naukowcy byli wtedy przy zdrowych zmysłach.

Często zadawał sobie pytanie, czy wycofanie się w czystą naukę i pasywność polityczną — głosowanie na pozbawionych energii Demokratów i nic poza tym — miało więcej sensu? Nathan Lewis, otwarcie określający się jako reakcjonista, był członkiem lokalnego komitetu Republikanów, a jako radosny pesymista wciąż próbował coś naprawiać; albo Felix Mandelbaum, równie realistyczny jak Lewis, jego partner do szachów i dyskusji, czekający na ostateczne utworzenie prawdziwej Amerykańskiej Partii Pracy, miał mnóstwo nadziei i energii. Przy nich Corinth czuł się dosyć blado.

A jestem młodszy od nich obu!

Westchnął. Co się z nim działo? Zapomniane sprawy i niezbyt przyjemne myśli kłębiły mu się w głowie, łączyły się w nowe łańcuchy brzęczące uporczywie pod czaszką. I to właśnie wtedy, gdy udało mu się znaleźć rozwiązanie własnego problemu.

Ta refleksja wysunęła się na pierwszy plan. To także było niezwykle: normalnie dość opornie zmieniał tor myślenia. Szedł przed siebie z nową werwą.

Instytut Rossmana był zlepkiem kamieni i szkła, zajmował pół przecznicy i pośród swoich starszych sąsiadów niemal lśnił nowością. Znany był jako raj naukowców. Gromadzili się tutaj

ludzie zewsząd, naukowcy o najróżniejszych specjalizacjach, przyciągani nie tyle dobrą pensją, co możliwością swobodnego prowadzenia badań dowolnie wybranych kwestii. Mieli tu do dyspozycji najlepsze wyposażenie i nie napotykali żadnych przeszkód ze strony ludzi, którzy chcieli wykorzystać naukę w celach politycznych, bądź przemysłowych. Nie obywało się bez politykowania i kopania dołków, ale działo się to w mniejszym stopniu, niż w przeciętnym college'u; to był Instytut Badań Zaawansowanych — może mniej zawiłych a bardziej energetycznych, ale z pewnością było w nim więcej miejsca. Lewis kiedyś zacytował to Mandelbaumowi jako dowód kulturowej konieczności istnienia klasy uprzywilejowanej.

— Myślisz, że jakikolwiek rząd sfinansowałby coś takiego, a potem zostawił to na pastwę losu?

— W Brookhaven^[8] robią to mniej więcej tak samo — odparł Mandelbaum, ale jak na jego możliwości, był to słabo przekonujący argument.

Corinth skinął głową dziewczynie na stoisku z gazetami w holu, pomachał kilku znajomym i westchnął zirytowany powolnością windy.

— Siódme — powiedział automatycznie, gdy wreszcie przyjechała.

— Wiem, panie Corinth — uśmiechnął się windziarz. — Pracuje pan tutaj, zaraz... prawie sześć lat, zgadza się?

Fizyk zamrugał. Windziarz zawsze stanowił dla niego część mechanizmu; wymieniali zwyczajowe uprzejmości, ale nie miało to żadnego znaczenia. Nagle Corinth dostrzegł w nim istotę ludzką, żyjący i jedyny w swoim rodzaju organizm, część

ogromnej, bezosobowej sieci, która ostatecznie Stała się całym wszechświatem, sam do niego należał. Ale dlaczego w ogóle o tym myślę? zapytał ze zdumieniem sam siebie.

— Widzi pan — powiedział windziarz — zastanawiałem się nad czymś. Obudziłem się dzisiaj i zacząłem się zastanawiać, po co to robię, a jeśli chcę czegoś więcej, niż praca, pensja, i...

Umilkł zakłopotany, gdy zatrzymali się na trzecim piętrze, aby wypuścić jednego z pasażerów.

— Zazdroszczę panu. Pan dokądś zmierza.

Winda dotarła na siódme piętro.

— Mógłby pan, no... zacząć uczęszczać na kursy wieczorowe — powiedział Corinth.

— Myślę, że tak zrobię, sir. Gdyby był pan tak uprzejmy i coś mi polecił... Cóż, może później. Muszę już jechać.

Drzwi zasunęły się gładko, a Corinth ruszył marmurowym korytarzem do swojego laboratorium.

Miał dwóch stałych współpracowników, Johanssona i Grunewalda, poważnych młodych ludzi, którzy pewnie marzyli o tym, że któregoś dnia będą mieć własne laboratoria. Kiedy wszedł i zdjął płaszcz, obydwaj byli już na miejscu.

— Dzień dobry.

— Pete, myślałem o czymś — gdy szef podszedł do swojego biurka znienacka odezwał się Grunewald. — Mam pomysł na obwód, który może zadziałać.

— Et tu, Brute^[9] — wymamrotał Corinth.

Usiadł na stołku, podwijając pod siebie długie nogi.

— Posłuchajmy.

Sztuczka wymyślona przez Grunewalda była bardzo zbliżona

do tego, co sam wymyślił. Johansson, zazwyczaj milczący, kompetentny i nic poza tym, przytaknął ochoczo, kiedy dotarły do niego wstępne założenia pomysłu. Corinth przejął kontrolę nad dyskusją i przez pół godziny zapisywali kartki papieru skomplikowanymi symbolami z dziedziny elektroniki.

Rossman może niespecjalnie interesował się powołanym przez siebie Instytutem, ale człowiek z jego kontem bankowym mógł sobie pozwolić na altruizm. Takie badania pomagały przemysłowi. Zrobił fortunę na metalach lekkich, od surowej rudy począwszy, na gotowych produktach skończywszy. Przy okazji zajmował się tuzinem innych interesów i chociaż oficjalnie był już prawie na emeryturze, nadal trzymał swoją wypielegnowaną rękę na pulsie. Nawet bakteriologia mogła się okazać pożyteczna — nie tak dawno temu za pomocą bakterii udało się wyekstrahować olej z łupków ilastych — a badania Corintha nad strukturami krystalicznymi mogły oznaczać zysk dla metalurgii. Grunewald rozkoszował się wizją tego, co taki sukces oznaczałoby dla ich reputacji zawodowej. Część obliczeń, którą w przeznaczonym dla ich zespołu czasie zamierzali wpuścić do komputera, była gotowa już przed południem. Rysowali jeszcze elementy potrzebnego obwodu.

Zadzwoił Lewis z propozycją wspólnego lunchu.

— Jestem dziś w wirze pracy — powiedział Corinth. — Myślę, że po prostu zamówię na górę kilka kanapek.

— Cóż, ja też i trochę się zapętlilem — powiedział Lewis. — Miałem nadzieję, że rozmowa z tobą pomoże mi znaleźć błąd w rozumowaniu.

— Och, w porządku. Spotkamy się w kantynie?

— Jeśli chcesz po prostu zapełnić żołądek, to pewnie tak.

Lewis słynął z trzygodzinnych lunchów uzupełnianych winem i muzyką skrzypcową. Nabrał takich przyzwyczajień mieszkając w Wiedniu, jeszcze przed Anshlussem.^[10]

— Pierwsza może być? Do tego czasu pospólstwo już się nasyci.

— Okay.

Corinth odłożył słuchawkę i na nowo pogрузzył się w chłodnej ekstazie swojej pracy. Upływ czasu uświadomił sobie o pierwszej trzydziści i przeklinając pognął do kantyny.

Kiedy Corinth napełnił swoją tacę, Lewis właśnie sadowił się przy stoliku.

— Wiedziałem, że się spóznisz — powiedział. — Co wzięłeś? Pewnie typowe stołówkowe żarcie — pies mielony z budą, filet z jeża morskiego, pieczoną specjalność szefa kuchni, pieczonego szefa kuchni — zresztą, nieważne.

Pociągnął łyk kawy i zamrugął.

Nie wyglądał na kogoś delikatnego: niski, kwadratowy czterdziestoośmiolatek o wyrazistych oczach za grubymi szklami bez oprawek, łysy i zaczynający tyć. Był duszą każdego spotkania. Jednak osiem lat pobytu w Europie zmieniło jego zapatrywania i utrzymywał, że jego powojenne wizyty na starym kontynencie miały charakter wyłącznie gastronomiczny.

— Trzeba ci żony — powiedział Corinth z zapalem neofity.

— Też tak sądziłem, bo moje libertyńskie czasy zaczynają odchodzić w niepamięć. Ale nieważne. Już i tak za późno. Lewis zaatakował krwisty stek.

— W tej chwili bardziej mnie interesują histologiczne aspekty

biologii — wymamrotał z pełnymi ustami.

— Mówiłeś, że masz jakiś problem.

— W dużej mierze chodzi o moich asystentów. Wszyscy są dziś podenerwowani, a młody Roberts ma jeszcze bardziej wariackie pomysły, niż zazwyczaj. Ale taka jest moja praca. Mówiłem ci o tym, prawda? Badam komórki nerwowe — neurony. Próbuję utrzymać je przy życiu w różnych sztucznych środowiskach i patrzę, jak ich właściwości elektryczne zmieniają się w zależności od warunków. Mam różne wycinki z różnych tkanek — taka zmodyfikowana metoda Lindbergha—Carrela^[11]. Szło nam całkiem nieźle — a dzisiaj, przy rutynowej kontroli, wyniki okazały się zupełnie inne. Więc sprawdziłem wszystkie jeszcze raz — każda próbka się zmieniła!

— Hm? — Corinth uniósł brwi i przez chwilę żuł bez słowa. — Coś nie tak ze sprzętem?

— Nic nie znalazłem. Żadnej różnicy — poza samymi komórkami. Mała, ale znacząca zmiana.

Lewis zaczął mówić szybciej, coraz bardziej podekscytowany.

— Wiesz, jak działają neurony? Jak komputer cyfrowy. Neuron jest stymulowany przez — no, przez stymulant, wysyła sygnał, a potem przez krótki czas jest nieaktywny. Następny neuron w nerwie odbiera sygnał i potem też jest na krótko dezaktywowany. No i dziś się okazało, że wszystko się płacze. Czas braku aktywności jest o dobrych kilka mikrosekund krótszy, no — powiedzmy, że cały system reaguje wyraźnie szybciej niż normalnie. A same sygnały też są mocniejsze.

Corinth przez chwilę trawił informację, a potem odezwał się ostrożnie.

— Wygląda na to, że trafiłeś na coś dużego.

— Więc co jest przyczyną? Medium, aparatura jest taka sama jak wczoraj, mówię ci. Dostaję fioła próbując ustalić, czy to potencjalna nagroda Nobla, czy tylko kiepska technika!

Bardzo powoli, jakby umysł wzdragał się przed przyjęciem niejasnej hipotezy, Corinth nabrał tchu.

— Dziwne, że stało się to akurat dzisiaj.

— Hm?

Lewis poderwał głowę, a Corinth wyłuszczył mu własne spostrzeżenia.

— Bardzo dziwne — zgodził się biolog. — A ostatnio nie było żadnych wielkich burz — ozon stymuluje mózg — jednak moje kultury i tak są izolowane w szkle...

Jego oczy błysnęły.

Corinth rozejrzał się.

— Halo, tam jest Helga. Ciekawe, dlaczego tak późno? Hej, tutaj!

Wstał, machając energicznie, a Helga Arnulfsen wzięła swoją tacę i przysiadła się do ich stolika. Była wysoką, smukłą i przystojną kobietą, długie blond włosy przylegały do kształtnej głowy, jednak coś w jej sposobie bycia — bezosobowa energia, powściągliwość, a może jedynie niekobieca szorstkość mowy i ubioru — sprawiało, że była mniej atrakcyjna, niż mogłaby być. Zmieniła się Od starych czasów, od wojny, pomyślał Corinth. Robił doktorat w Minnesocie, a Helga studiowała tam dziennikarstwo. Dobrze się razem bawili; jednakże był zbyt mocno i zbyt beznadziejnie zakochany w swojej pracy i innej dziewczynie, aby myśleć o niej poważnie. Później

korespondowali ze sobą, a dwa lata temu załatwił jej pracę w sekretariacie Instytutu. Była teraz asystentką dyrektora administracyjnego i doskonale sobie radziła.

— Rany, co za dzień! — mocną, szczupłą dłonią przeciągnęła po włosach, strzepnęła je w dół i uśmiechnęła się do nich ze znużeniem. — Wszyscy mają kłopoty i wszyscy zwalają je na mnie. Gertie się wściekła...

— Hm? — Corinth spojrział na nią z pewnym zaniepokojeniem. Dziś obliczał na wielkim komputerze swoje równania. — co się dzieje?

— To wiedzą tylko Bóg i Gertie, ale żadne z nich nie ma nic do powiedzenia. Allanbee dziś rano wykonał rutynowy test i wynik okazał się błędny. Błąd jest niewielki, ale to wystarczy, żeby odbiło wszystkim, którzy potrzebują precyzyjnych odpowiedzi. Od tego czasu szuka przyczyny próbując dociec, w czym rzecz, ale na razie bez powodzenia. I musiałam ułożyć nowy grafik!

— Bardzo dziwne — mruknął Lewis.

— Potem różne przyrządy, zwłaszcza w sekcjach fizyki i chemii, lekko powariowały. Polarymetr Murchinsona wykazał błąd rzędu — och, coś strasznego, jakaś jedna dziesiąta procenta, czy coś takiego, nie wiem.

— Naprawdę? — pochylił się Lewis, wysuwając szczękę. — Więc może to nie moje neurony, tylko instrumenty szwankują... nie, niemożliwe. Nie w takim stopniu. To musi być coś w samych komórkach — ale jak mam to zmierzyć, jeśli wszystkie narzędzia wysiadają? — Z płonącym wzrokiem rzucił jakieś siarczyste, niemieckie przekleństwo.

— Wielu chłopców przyszło ze śmiałymi, nowymi projektami,

wszyscy naraz — dodała Helga. — Natychmiast chcą dostępu do takich rzeczy, jak ta wielka wirówka i dostają szału, kiedy im mówię, że muszą poczekać na swoją kolej.

— Wszyscy akurat dzisiaj, hm? — Corinth odepchnął swój deser i wyciągnął papierosa. — „Zdziwniej i dziwniej powiedziała Alicja”^[12] — oczy mu się rozszerzyły i gwałtownie machnął ręką. — Nat, zastanawiam się...

— O czym wy mówicie? — zapytała Helga.

— A, o takich tam.

Kończyła jedzenie, a Corinth mówił. Lewis wydmuchiwał kłęby dymu, siedział i nie odzywał się, zamknięty w sobie.

— Hm. — Helga postukała w blat długim, niepomalowanym paznokciem. — Brzmi interesująco. Wszystkie komórki nerwowe, łącznie z tymi, które mamy w głowach, nagle przyspieszyły?

— To jeszcze bardziej oczywiste — powiedział Corinth. — To może być, bo ja wiem, fenomen elektrochemiczny? Skąd mam wiedzieć? Nie szukajmy za daleko, zanim tego nie sprawdzimy.

— Tak. Zostawię to wam. — Helga zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. — Przychodzi mi na myśl kilka oczywistych rzeczy do sprawdzenia — ale to wasza działka.

Odwróciła się i posłała Corinthowi łagodny uśmiech zarezerwowany tylko dla kilku ludzi.

— A propos, co u Sheili?

— Dobrze, dobrze. A co u ciebie?

— W porządku — w jej odpowiedzi wyczuwało się smutek. — Musisz do nas wpaść kiedyś na kolację.

Prowadzenie zdawkowej konwersacji, podczas gdy umysł był

zajęty nowym problemem, nie stanowiło wysiłku.

— Nie widzieliśmy się od dość dawna. Jeśli chcesz, zabierz ze sobą swojego nowego chłopaka, kimkolwiek jest.

— Jima? A, jego. Rzuciłam go w zeszłym tygodniu. Ale przyjdę, jasne.

Podniosła się.

— Wracam do kieratu, koledzy. Do zobaczenia.

Corinth zerknął za nią, gdy szła w stronę kasy.

— Ciekawe, dlaczego nie może się z nikim związać. Jest ładna i inteligentna — wymamrotał niemal wbrew sobie. Jego myśli pędziły dziś we wszystkich kierunkach.

— Nie chce — odparł krótko Lewis.

— Nie, pewnie nie. Odkąd poznaliśmy się w Minneapolis, zmieniła się, zrobiła się jakaś Zimna. Dlaczego?

Lewis wzruszył ramionami.

— Myślę, że wiesz — powiedział Corinth. — Zawsze lepiej niż ktokolwiek inny rozumiałeś kobiety. A ona chyba cię lubi.

— Rozumiemy się — stwierdził Lewis. — I oboje umiemy trzymać język za zębami.

— Dobrze, dobrze — zaśmiał się Corinth. Podniósł się. — Wracam do laboratorium. Nie znoszę grzebaniny przy analizatorze fazowym, ale cała ta sprawa... — zamilkł na chwilę. — Wiesz co, pogadajmy z innymi i podzielmy prace, co? Każdy sprawdzi coś innego. W takiej sytuacji nie potrwa to długo. Lewis kiwnął głową i wyszedł za nim.

Do wieczora wyniki były gotowe. Gdy Corinth na nie popatrzył, ogarnął go chłód. Nagle poczuł się mały i bezradny.

Zjawiska elektromagnetyczne uległy zmianie.

Zmiana nie była wielka, ale sam fakt, że to, co powinno stanowić wieczne i niezmiennie oblicze natury, zmieniło się na tyle, że setki systemów filozoficznych runęły w gruzy. Subtelność problemu miała w sobie coś elementarnego. Jak dokonać ponownego pomiaru podstawowych czynników, skoro zmieniły się same czynniki?

Istniały pewne sposoby. We wszechświecie nie ma stałych absolutnych, wszystko wokół istnieje w zależności od czegoś. Pewne dane zmieniły się jednak znacząco w stosunku do innych. Corinth pracował nad ustaleniem stałych elektrycznych. Dla metali były takie same, albo niemal takie same, jak przedtem. Wyraźnie zmienił się jednak opór i przenikalność izolatorów — stały się nieco lepszymi przewodnikami.

Z wyjątkiem urządzeń precyzyjnych, jak komputer Gertie, zmiana charakterystyk elektromagnetycznych nie była znacząca. Za to złożony i delikatnie zrównoważony mechanizm, znany człowiekowi jako żywa komórka, zmienił się bardzo wyraźnie; najbardziej zmienił się neuron, jako najbardziej rozwinięta i wyspecjalizowana ze wszystkich komórek — a zwłaszcza różnorodność neuronów znalezionych w ludzkiej korze mózgowej. I tutaj zmiana była odczuwalna. Drobne impulsy elektryczne, dzięki którym funkcjonuje sieć neuronowa, przepływały bardziej gwałtownie, bardziej intensywnie.

Być może to dopiero początek zmian.

Helga zadrżała.

— Potrzebuję drinka — powiedziała. — I to bardzo.

— Znam taki bar — powiedział Lewis. — Wpadnę na jednego i dotrzymam ci towarzystwa, potem wrócę jeszcze popracować. A

co z tobą, Pete?

— Jadę do domu — powiedział fizyk. — Bawcie się dobrze.

W jego słowach nie było entuzjazmu.

Wyszedł, ledwie Świadom tego, że jest ciemno i bardzo późno. To, co się dziś zdarzyło, dla niektórych jego kolegów jest zapewne czymś nowym, cudownym i ekscytującym; Corinth jednak nie mógł się powstrzymać od myśli, że może wszechświat zamierza jednym beztróskim ruchem pozbyć się całego ludzkiego gatunku. A jaki będzie efekt w odniesieniu do ludzkiego ciała...?

Chyba zrobili wszystko, co było możliwe w tej chwili. Sprawdzili tyle, ile się dało. Helga powiadomiła Biuro Standardów w Waszyngtonie. Dowiedziała się tam, że kilka innych laboratoriów z różnych punktów kraju także doniosło o wystąpieniu anomalii. Dopiero jutro, pomyślał Corinth, zacznie się o tym mówić.

Na zewnątrz — w Nowym Jorku nocą — prawie nic się nie zmieniło, może było odrobinę ciszej, niż zazwyczaj. Kupił gazetę na rogu i zaczął ją przeglądać. Mylił się, czy rzeczywiście dostrzegał tam subtelną różnicę — zdania miały w sobie coś osobistego, były bardziej literackie. Przeszły przez zaporę korektorską, ponieważ sam korektor się zmienił i nie zdawał sobie z tego sprawy? Nie znalazł tam wzmianki o wielkiej przyczynie, odkrycie było zbyt duże i zbyt świeże, w przeciwieństwie do starych spraw — wojen, zamieszek, podejrzeń, strachu, nienawiści i chciwości w rozpadającym się, chorym Świecie.

Nagle do niego dotarło, że przeczytanie strony Timesa zajęło mu jakieś dziesięć minut. Wepchnął gazetę do kieszeni i poszedł

do metra.

ROZDZIAŁ 3

Dookoła same kłopoty. O poranku pełen oburzenia wrzask sprawił, że Archie Brock pognał do kurnika. Zastał w nim Stana Wilmera, który postawił na ziemi wiadro z karmą i wygrażał pięścią całemu światu.

— Popatrz na to! — zawył. — Tylko popatrz!

Brock wsadził głowę w drzwi i gwizdnął. Niezły bałagan. Na słomie leżały zakrwawione korpusy, kilka kur gdakało nerwowo na grzędzie i to było wszystko. Reszta zniknęła.

— Wygląda na to, że ktoś zostawił otwarte drzwi i dostały się tu lisy — stwierdził Brock.

— Taaa. — Wilmer, wściekły, przełknął głośno. — Jakiś zasrany sukin...

Brock pamiętał, że właśnie Wilmer miał pod opieką kurnik, ale zdecydował się nic nie mówić. Wilmer sam to sobie uświadomił i przerwał, pojękując.

— Nie wiem — powiedział powoli. — Wczoraj wieczorem sprawdziłem wszystko zanim poszedłem spać i przysięgam, że drzwi były zamknięte i zabezpieczone haczykiem, jak zawsze. Jestem tutaj od pięciu lat i nigdy nie miałem żadnych kłopotów. — Więc może ktoś otworzył drzwi później, po zmroku, co?

— Taa. Złodziej kurczaków. Jednak do dziwne, że psy nie szczekały — zawsze jazgoczą, jak ktoś przechodzi. —

Rozgoryczony Wilmer wzruszył ramionami. — Cóż, w każdym razie ktoś te drzwi otworzył.

— I później dostały się przez nie lisy. — Brock stopą przewrócił jedną z martwych kur. — Pewnie musiały uciekać przed którymś z psów i zostawiły to.

— A większość ptaków dała drapaka do lasu. Tydzień minie, zanim wyłapiemy te, które przeżyją. O Jezu!

Wilmer wypadł z kurnika, zapominając zamknąć drzwi. Brock ruszył za nim, niejasno zaskoczony, że sam o tym pamiętał.

Westchnął i zabrał się za swoje poranne obowiązki. Wszystkie zwierzęta były dziś niespokojne. I niech go diabli, jeśli jego własna głowa nie zachowywała się dziwnie. Pamiętał jeszcze swoją panikę sprzed dwóch nocy i to, że od tamtej pory myśli inaczej układały mu się w głowie. Może w okolicy szerzyła się jakaś gorączka.

Później kogoś o to zapyta. Miał dzisiaj sporo roboty, trzeba zaorać pole, które niedawno oczyścił. Wszystkie traktory były wykorzystywane, więc będzie musiał wziąć konny zaprzęg.

To mu nie przeszkadzało. Brock lubił zwierzęta, zawsze je rozumiał i radził sobie z nimi lepiej, niż z ludźmi. Nie, żeby ludzie nic dla niego nie znaczyli, przynajmniej do teraz. Kiedy był mały, inne dzieci mu dokuczały, później miał kłopoty z prowadzeniem samochodu, dziewczęta bały się go, a brat jednej z nich go pobił. Ale to było całe lata temu. Pan Rossman wszystko mu wytłumaczył, wyjaśnił, co można, a czego nie można robić, zajął się nim i od tego czasu wszystko jest w porządku. Teraz, gdy był w mieście, mógł pójść do tawerny i wypić piwo jak każdy inny gość, i ludzie mówili mu dzień dobry.

Stał przez minutę zastanawiając się, dlaczego myśli o tym, co doskonale wie i dlaczego sprawia mu to przykrość. Wszystko w porządku, pomyślał. Może nie jestem zbyt bystry, ale jestem silny. Pan Rossman powiedział, że nie mógłby znaleźć lepszego człowieka do pracy na farmie.

Wzruszył ramionami i otworzył stodołę, aby wyprowadzić konie. Był średniego wzrostu młodym człowiekiem, mocno zbudowanym i muskularnym, o grubych rysach twarzy i okrągłej głowie z rudymi włosami. Jego niebieskie dżinsowe ubranie było znoszone, ale czyste; takimi sprawami zajmowała się pani Bergen, żona zarządcy. W jego domu miał swój pokój. Duża i mroczna stodoła mocno pachniała sianem i końmi. Krzepkie perszerony tupają i parskały, gdy zakładał im uprzęż.

Uznał, że to zabawne — dotąd zawsze były spokojne.

— Hola, hola. Spokojnie, Tom. Hola, Jerry. Spokojnie.

Uspokoili się nieco, wyprowadził je więc i uwiązał do słupa, sam wrócił do środka po pług.

Pies, duży seter irlandzki o imieniu Joe, płaśzał wokół jego nóg. Ruda sierść lśniła w słońcu jak złoto i miedź. Naprawdę Joe należał do pani Rossman, ale Brock opiekował się nim. Od szczeniaka i to właśnie za nim chodził Joe i jego obdarzył największą miłością.

— Siad, piesku, siad. Co do diabła w ciebie wstąpiło? Spokojnie, co?

Wokół rozciągała się pełna zieleni posiadłość, z jednej strony zamknięta zabudowaniami gospodarczymi, z drugiej domkami pracowników w obramowaniu drzew stanowiących początek całych połaci lasu. Pomiedzy budynkami farmy, a dużym, białym

domem właściciela znajdował się ogromny ogród, mnóstwo trawy i sad. Od czasu, gdy córki pana Rossmanna powychodziły za mąż, a Żona umarła, dom zazwyczaj stał pusty. Jednak pan Rossmann był tam teraz, spędzał czas doglądając swoich kwiatów. Brock zastanawiał się, dlaczego taki milioner jak pan Rossmann zajmuje się różami, nawet jeśli był już stary.

Drzwi stodoły zaskrzypiały, Brock wszedł do środka, chwycił wielki pług i sapiąc nieco z wysiłku wyciągnął go na zewnątrz. Niewielu ludzi dałoby radę wyciągnąć go w pojedynkę, pomyślał z dumą. Zaśmiał się widząc, jak konie zatupały na jego widok. Były dość leniwymi stworzeniami i nie pracowałyby wcale, gdyby mogły się od tego wymigać.

Wysuwając z wysiłku język zaciągnął pług na miejsce i zaprzągnął konie. Zręcznym ruchem zebrał ze słupa luźno zwisające lejce, wskoczył na swoje miejsce i potrząsnął wodzami.

— Wio!

Konie po prostu stały, przestępując z nogi na nogę.

— Wio, mówię!

Tom zaczął się cofać. — Hej, hej!

Brock strzelił końcówkami lejców. Tom parsknął i postawił wielkie kopyto na dyszlu. Dyszel pękł z trzaskiem.

Przez długą chwilę Brock siedział bez słowa. Potem potrząsnął głową.

— To... to był przypadek — powiedział na głos. — Przypadek.

W stodole miał zapasowy dyszel. Przyniósł go wraz z narzędziami i energicznie zabrał się do pracy.

— Hej tam! Stójcie! Stójcie, powiedziałem!

Brock podniósł wzrok. Kwiczenie i chrząkanie odczuł jak cios.

Zobaczył tylko przemykającą czarną smugę, potem kolejną i kolejną. Świnie uciekły!

— Joe! — wrzasnął, nawet wtedy dziwiąc się trochę, jak szybko zareagował. — Bierz je, Joe! Zagoń je, piesku!

Pies skoczył jak lśniąca błyskawica. Dopadł do prowadzącej maciory i kłapnął zębami. Chrząknęła i skręciła w bok, a on pognał do następnej. Od strony zagrody nadbiegł Stan Wilmer. Był blady jak ściana.

Brock ruszył biegiem w stronę kolejnej świni i zawrócił ją, ale następna prześlizgnęła się bokiem i zniknęła w lesie. Zagonienie zwierząt do zagrody zajęło kilka długich minut; część zwierząt przepadła bez śladu.

Wilmer stał łapiąc powietrze. Głos miał zachrypnięty.

— Widziałem to — wyjęczał. — O mój Boże, widziałem to. To niemożliwe.

Brock wydał policzki i otarł twarz.

— Słyszysz mnie? — Wilmer złapał go za ramię. — Widziałem to, mówię ci, widziałem na własne oczy. Te śwynie same otworzyły bramkę.

— Nie!

Brock otworzył usta ze zdumienia.

— Mówię ci, widziałem! Jednak z nich stanęła na tylnych nogach i nosem podniosła skobel. Zrobiła to sama. A inne tłoczyły się tuż nią. Och nie, nie, nie!

Z lasu wyłonił się Joe, szczeknięciami i powarkiwaniem prowadząc przed sobą świnię. Wyglądało na to, że się poddała i cicho dreptała do zagrody. Wilmer odwrócił się jak maszyna, otworzył bramę i wpuścił ją do środka.

— Dobry pies! — Brock poklepał jedwabisty łeb. — Mądry pies!

— Za mądry, do diabła. — Wilmer zwęził oczy. — Czy wcześniej ten pies robił takie rzeczy?

— Jasne — niepewnie odparł Brock.

Joe odwrócił się i pomaszerował z powrotem do lasu.

— Założę się, że idzie po następną świnie.

W głosie Wilmera pobrzmiwało przerażenie.

— Pewnie. To mądry pies, naprawdę mądry.

— Idę porozmawiać z Billem Bergenem.

Wilmer odwrócił się na pięcie. Brock popatrzył za nim, wzruszył masywnymi ramionami i wrócił do swojej pracy. Zanim skończył, Joe przyprowadził kolejne dwie świnie i pilnował bramki do zagrody.

— Dobry piesek — powiedział Brock. — Załatwię ci za to kość.

Zaprzął Toma i Jerry'ego, stały teraz spokojnie.

— Dobrze, lenie, idziemy. Wio!

Konie cofnęły się powoli.

— Hej! — wrzasnął Brock.

Tym razem nie poprzestały na dyszlu. Bardzo ostrożnie weszły w sam pług, swoją wagą zniszczyły ramę i złamały redlicę. Brock poczuł, że zaschło mu w gardle. — Nie — wymamrotał.



Wilmer prawie dostał zawału, gdy dowiedział się o koniach. Bergen tylko stał i pogwizdywał niemelodyjnie.

— Nie wiem — podrapał się po blond głowie. — Powiem wam coś. Odwołamy wszelkie prace związane ze zwierzętami, z wyjątkiem karmienia i dojenja oczywiście. Zaryglujemy każdą bramę i pošlemy kogoś, żeby sprawdził ogrodzenia. Pogadam o tym ze staruszką.

— A ja mam zamiar wziąć broń — oświadczył Wilmer.

— To chyba nie taki zły pomysł — stwierdził Bergen.

Archie Brock został wyznaczony do sprawdzenia czteromilowego odcinka płotu przylegającego do lasu. Zabrał ze sobą Joe, który hasał radośnie przy jego boku zadowolony, że nie jest sam.

Jakże kojący był las! Światło słońca sączyło się przez zielone liście, migotało ciepłym, brązowym cieniem i jasnymi cętkami. Bezchmurne niebo nad głową miało głęboko niebieski kolor, najłżejszy powiew wiatru nie zakłócał spokoju. Czasem pod butem Brocka zazgrzytał jakiś kamień, gałęzie z lekkim szelestem ocierały się o jego ubranie, poza tym panowała cisza. Wydawało się, że wszystkie ptaki umilkły, nigdzie nie przemykały wiewiórki, nawet owce zniknęły gdzieś między drzewami. Z niepokojem pomyślał, że cały ten zielony świat na coś czekał.

Może to coś w rodzaju nadchodzącej burzy?

Przypuszczał, że ludzie mogliby się przerazić, gdyby nagle zwierzęta stały się od nich mądrzejsze. Gdyby były naprawdę mądre, czy pozwoliłyby, aby ludzie trzymali je w zamknięciu, używali ich do pracy, kastrowali, zabijali je, odzierali ze skóry i zjadali? Może Tom i Jerry teraz... ale przecież zawsze były takie łagodne!

Ale — zaraz — czy ludzie też nie stali się jakby mądrzejsi?

Wydawało mu się, że ostatnio więcej rozmawiają, i to nie tylko o pogodzie i o sąsiadach, ale o tym, kto wygra następne wybory i dlaczego lepsze są samochody z silnikiem z tyłu. Wcześniej też o tym rozmawiali od czasu do czasu, pewnie, ale nigdy aż tak często i nigdy nie mieli tyle do powiedzenia. Widział nawet panią Bergen czytającą gazetę, a wcześniej w wolnym czasie najwyżej oglądała telewizję.

Ja też stałem się mądrzejszy!

Poczuł to jak uderzenie pioruna. Przez długą chwilę stał bez ruchu, aż zaniepokojony Joe podszedł i obwąchał jego dłoń.

Stałem się mądrzejszy.

Jasne — musiało tak być. Ostatnio inaczej myślał, przypominał sobie różne rzeczy i mówił, a dotąd nie odzywał się prawie wcale — co innego mogłoby to być? Cały Świat stawał się mądrzejszy.

Umiem czytać, powiedział sobie. Niezbyt dobrze, ale nauczyli mnie abecadła i mogę przeczytać komiks. Może teraz mógłbym przeczytać prawdziwą książkę.

W książkach mógłby znaleźć odpowiedzi na pytania, które nagle zaczął sobie zadawać; skąd wzięło się słońce, księżyc i gwiazdy, dlaczego jest lato i zima, dlaczego ludzie toczą wojny i po co istnieją prezydenci, kto żyje po drugiej stronie świata, i...

Potrząsnął głową, nie mogąc ogarnąć rozbieganych myśli, kielkowały w nim i pędziły na wszystkie strony, sięgając dalej, niż mógł sobie wyobrazić. Nigdy przedtem nad niczym się nie zastanawiał. Rzeczy po prostu się zdarzały i popadały w zapomnienie. *Kim jestem? Co tutaj robię?*

Wibrowała w nim każda cząstka ciała. Oparł głowę o chłodny pień drzewa, słuchając szumu krwi w uszach. *Proszę, Boże, niech*

to będzie prawda. Proszę, niech będę taki, jak inni ludzie.

Po chwili zwalczył słabość i ruszył dalej, sprawdzając ogrodzenie tak, jak mu polecono. Wieczorem, gdy już skończył pracę, włożył czyste ubranie i poszedł do wielkiego domu. Pan Rossman siedział na ganku, pykał fajkę i przewracał kartki w książce, ale tak naprawdę nie czytał jej. Brock zatrzymał się trwożliwie, z czapką w ręce, aż właściciel podniósł wzrok i przywitał się.

— O, witaj, Archie — powiedział miękkiem głosem. — Jak się dziś miewasz?

— Dobrze, dziękuję. — Brock miętosił czapkę w rękach i przestępował z nogi na nogę. — Proszę, czy mógłby mi pan poświęcić minutę?

— Oczywiście. Wejdz do środka.

Pan Rossman odłożył książkę na bok i siedział paląc, aż Brock otworzył drzwi i podszedł.

— Siadaj proszę.

— Tak jest dobrze, dziękuję. Ja... — Brock Zwilżył językiem wyschnięte wargi. — Chciałbym pana o coś zapytać.

— Pytaj śmiało, Archie.

Pan Rossman odchylił się na oparciu. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, twarz miał lekko pomarszczoną, miłą, choć dumną, i białe włosy. Rodzice Brocka byli jego dzierżawcami, a gdy stało się jasne, że ich syn nigdy do niczego nie dojdzie, zaopiekował się chłopcem.

— Wszystko w porządku?

— No, chodzi, eee, o tę zmianę dookoła.

— Hm? — spojrzenie pana Rossmanna wyostrzyło się. — Jaka

zmianę?

— No wie pan. Zwierzęta zrobiły się mądrzejsze i zadzierają nosa.

— A tak. To. — Rossman wydmuchnął chmurę dymu. — Powiedz mi, Archie, a czy w sobie też zauważyłeś jakąś zmianę?

— Tak, ja, yyy, no, chyba tak.

Rossman skinął głową. — Nie przyszedłbyś tutaj, gdyby tak nie było.

— Panie Rossman, co się dzieje? Co jest nie tak?

— Nie wiem, Archie. Nikt nie wie — stary człowiek popatrzył gdzieś w przestrzeń, w zapadający zmierzch. — A czy jesteś pewien, że to coś złego? Może wreszcie wszystko zmierza w dobrym kierunku.

— Pan nie wie...

— Nie. Nikt nie wie.

Rossman bladą, niebiesko pożyłkowaną dłonią poklepał gazetę leżącą na stole.

— Tutaj są pewne wskazówki. Coś już wiedzą. Jestem pewien, że wiedzą dużo więcej, jednak rząd nic nie mówi z obawy przed wybuchem paniki — uśmiechnął się niemal złośliwie. — Jakby można było utrzymać w tajemnicy zjawisko, które wystąpiło na całym świecie! Jednak tam, w Waszyngtonie, w swojej głupocie próbują to ukryć.

— Ale, panie Rossman — Brock uniósł ręce i znów je opuścił. — Co możemy zrobić?

— Czekać. Czekać i obserwować. Jadę niedługo do miasta, sam się przekonam — ci moi mózgowcy w Instytucie powinni...

— Wyjeżdża pan?

Rossman potrząsnął głową, uśmiechając się.

— Biedny Archie. Bezradność jest okropna, prawda? Czasem myślę, że to właśnie dlatego ludzie boją się śmierci — nie ze względu na zapomnienie, ale dlatego, że nie można przed nią uciec, ani nie można jej powstrzymać. W pewien sposób nawet fatalizm jest ucieczką. Od tego... ale zapędziłem się w dygresje, prawda?

Przez dłuższą chwilę siedział paląc fajkę. Wokół nich szeptał i szeleścił letni zmrok.

— Tak — powiedział wreszcie — ja także to czuję. To nie tylko nerwy i koszmary senne — sądzę, że to tylko sprawa fizjologii — ale moje myśli. Zawsze uważałem, że myślę szybko, konkretnie i logicznie. A teraz pojawiło się coś, czego nie rozumiem ani trochę. Czasami całe moje życie wydaje mi się błahe i pozbawione znaczenia. Dotąd sądziłem, że dobrze służyłem mojej rodzinie i mojemu krajowi.

Uśmiechnął się raz jeszcze.

— Mam nadzieję, że zobaczę, jak się to skończy. To powinno być ciekawe!

Do oczu Brocka napłynęły łzy. — To co mam zrobić?

— Co? żyć. Żyć z dnia na dzień. Co innego może zrobić człowiek? — Rossman podniósł się i położył rękę na ramieniu Brocka. — Ale cały czas myśl. Trzymaj myśli blisko ziemi, bo tam przynależą. Nie daj się przekonać, że ktoś inny myśleć i popełniać błędy za ciebie. Musiałem grać wobec ciebie feudalnego pana, Archie, ale może się okazać, że to nie jest już konieczne.

Brock niewiele z tego zrozumiał. Ale wydawało mu się, że pan

Rossman mówi, aby się cieszył, że mimo wszystko nic złego się nie dzieje.

— Pomyślałem, że może mógłbym pożyczyć jakieś książki — powiedział pokornie. — Chciałbym zobaczyć, czy teraz mogę je przeczytać.

— Tak, oczywiście, Archie. Chodź do biblioteki. Zobaczą, czy uda mi się znaleźć dla ciebie coś odpowiedniego na początek...

ROZDZIAŁ 4

Wybór tytułów z New York Times, 23 czerwca

*PREZYDENT USPOKAJA — PRZYSPIESZENIE CZYNNOŚCI
MÓZGU NIE JEST NIEBEZPIECZNE*

*„Zachowajcie spokój, zostańcie w pracy” — radzi Biały Dom —
żadnych problemów z tytułu zmian*

*Amerykańscy naukowcy pracują nad problemem — wkrótce
można spodziewać się odpowiedzi*

Spadek sprzedaży wpływa na gospodarkę i finanse

Ekonomiści mówią — Stany stoją w obliczu zagrożenia recesją

BUNT CHIŃSKIEGO WOJSKA

Rząd komunistyczny mówi o stanie wyjątkowym

NOWY KULT W LOS ANGELES

Sawyer ogłasza się „Trzecim Ba’alem” — zbierają się tłumy

FESSCENDEN NAWOŁUJE

DO STWORZENIA ŚWIATOWEGO RZĄDU

Izolacjoniści z Iowa występują przed Senatem

*JOHNSON UWAŻA, ŻE WTYCH CZASACH
RZĄD ŚWIATOWY BYŁBY NIEPRAKTYCZNY*

Senator z Oregonu odwołuje swoje wcześniejsze stanowisko

REBELIA W DOMU DLA OPÓŹNIONYCH UMYSŁOWO

ZAMIESZKI W ALABAMIE

Konferencja.

Pracowali do późna i była już dziesiąta, zanim wszystko przygotowali na spotkanie, które Corinth zwołał u siebie w domu. Sheila zorganizowała bufet z kanapkami i kawą, a potem usiadła w rogu i rozmawiała cicho z Sarą Mandelbaum. Od czasu do czasu z obawą w oczach spoglądały na swoich mężów grających w szachy.

Corinth grał lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Zwykle ich pojedynki były dość wyrównane, powolna i ostrożna strategia fizyka równoważyła nerwową brawurę związkowca. Jednak dziś Corinth był zbyt rozproszony. Przygotował piękne akcje, ale

Mandelbaum przejrzał je i jak barbarzyńca zmiażdżył jego obronę. Wreszcie Corinth westchnął i odchylił się na krześle.

— Poddaję się — powiedział. — Mat byłby eee... siedmiu ruchach.

— Niekoniecznie. — Mandelbaum wskazał sękatym palcem na gońca. — Gdybyś przestawił go tutaj, a potem...

— No tak, masz rację. Nieważne. Po prostu nie jestem w nastroju. Co zatrzymuje Nata?

— Przyjdzie. Uspokój się.

Mandelbaum przeniósł się na fotel i zaczął nabijać fajkę o wielkiej główce.

— Nie rozumiem, jak możesz tak sobie siedzieć, kiedy...

— Kiedy Świat na moich oczach rozpada się na kawałki? Słuchaj, Pete, świat rozpada się na kawałki odkąd pamiętam. W tym konkretnym przypadku, przynajmniej na razie, nie użyto broni.

— Jeszcze może się to zdarzyć.

Corinth wstał i wyjrzał przez okno. Ręce skrzyżował za plecami i zgarbił się. Niegasnące Światła miasta mrugały do niego z ciemności.

— Feliksie, nie widzisz, że ten nowy czynnik — jeśli w ogóle przetrwamy to, że się pojawił — zmienia podstawy ludzkiego życia? Nasze społeczeństwo zostało zbudowane dla określonego typu ludzi. Teraz człowiek staje się kimś innym.

— Wątpię.

Trzask zapalniczki potartej o podeszwę buta Mandelbauma był irytująco głośny.

— Wciąż jesteśmy tymi samymi zwierzętami.

— Jakie miałeś IQ przed zmianą?

— Nie wiem.

— Nigdy nie robiłeś testów?

— Och, pewnie, raz po raz musiałem je zrobić, aby dostać tę czy inną pracę, ale nigdy nie pytałem o wynik. Co to jest poza wynikiem na teście IQ?

— To coś więcej. Sprawdza umiejętności zapamiętywania danych, kojarzenia, tworzenia abstrakcji...

— Jeśli należysz do rasy kaukaskiej i masz zaplecze kulturowe zachodniej Europy i Ameryki. Ten test jest przeznaczony właśnie dla takich ludzi, Pete. Dzikus z pustyni Kalahari uśmiełby się, gdyby wiedział, że nie obejmuje on umiejętności znajdowania wody. To jest dla niego ważniejsze od zdolności do żonglowania cyframi. Doceniam logiczny aspekt osobowości czy zdolność do wizualizacji, ale brakuje mi twojej wiary. Bycie człowiekiem oznacza coś więcej, mechanik może radzić sobie lepiej niż matematyk.

— Radzić sobie — w jakich warunkach?

— Każdych. Umiejętność adaptacji, siła, szybkość — to są rzeczy, które liczą się najbardziej.

— Myślę, że dużo znaczy życzliwość — wtrąciła trwoźnie Sheila.

— Obawiam się, że to luksus, choć oczywiście właśnie takie luksusy czynią nas ludźmi — powiedział Mandelbaum. — Życzliwość wobec kogo? Czasami po prostu musisz się uciec do przemocy. Niektóre wojny są konieczne.

— Nie byłyby konieczne, gdyby ludzie mieli więcej rozumu — odparł Corinth. — Nie musielibyśmy walczyć w drugiej wojnie

światowej, gdyby Hitler został powstrzymany zanim wkroczył do Nadrenii. Jedna dywizja mogła go wyłączyć z gry. Ale politycy byli zbyt głupi, aby to przewidzieć...

— Nie — powiedział Mandelbaum. — Nie wysłali tej dywizji, bo po prostu mieli powody, dla których tego nie zrobili — dogodne, powinniśmy chyba powiedzieć? A dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi, najbardziej nawet inteligentnych, robi to, co jest dogodne, a nie to, co jest mądre. W dodatku sami siebie będą przekonywali, że są w stanie uniknąć konsekwencji. Tak po prostu jesteśmy skonstruowani, a w efekcie Świat jest pełen nienawiści i przesądów. Zbyt wielu ludzi wykazuje tolerancję w tej kwestii, to istny cud, że piekła na ziemi nie czynią sobie częściej — w jego głosie pojawiła się gorycz. — Może jednak rację mają ludzie praktyczni, tacy, którzy łatwo się adaptują. Może najbardziej moralną rzeczą jest dbałość wyłącznie o siebie i swoją rodzinę. Tak żyje jeden z moich synów. Mieszka teraz w Chicago, zmienił nazwisko i zadziera nosa. Nie wstydzi się swoich rodziców, nie, ale oszczędza swojej rodzinie mnóstwa kłopotów i upokorzeń. A ja, szczerze mówiąc, nie wiem, czy mam go podziwiać za tę umiejętność przystosowania się, czy nazwać go pozbawionym kręgosłupa szczeniakiem.

— Odeszliśmy dość daleko od punktu wyjścia — zauważył zakłopotany Corinth. — Chcemy dziś ustalić, dokąd zmierzamy, my, cały świat — potrząsnął głową. — Moje IQ w ciągu tygodnia podskoczyło ze 160 do 200. Myślę o sprawach, które wcześniej nawet mi nie zaświtały w głowie. Rozwiązanie moich wcześniejszych problemów zawodowych stało się śmiesznie łatwe. Ale wszystko inne jest jakies pokręcone. Mój umysł stale

zbacza na najbardziej fantastyczne ścieżki, niektóre moje myśli są dość dziwaczne, nawet makabryczne. Jestem nerwowy jak kociak, podskakuję na widok cienia, boję się, a nie wiem, dlaczego. Od czasu do czasu mam przebłyski, w których wszystko wydaje się groteskowe — jak w koszmarze sennym.

— Jeszcze nie przywykłeś do swojego nowego mózgu, to wszystko — powiedziała Sarah.

— Czuję się podobnie jak Pete — odezwała się Sheila. Jej głos był cienki i brzmiał w nim strach. — To nie jest tego warte.

Druga kobieta wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce.

— Osobiście uważam, że to poniekąd zabawne.

— Rzecz w tym, że podstawowe cechy osobowości — stwierdził Mandelbaum — nie zmieniły się. Sarah zawsze była osobą mocną stąpającą po ziemi. Liebchen^[13], po prostu nie traktujesz swojego nowego mózgu poważnie. Dla ciebie zdolność myślenia abstrakcyjnego jest igraszką. Niewiele ma wspólnego z poważnymi sprawami związanymi z pracami domowymi.

Pyknął z fajki, marszcząc twarz, gdy dym dostał mu się do oczu.

— Ja także mam wariackie myśli, jak ty, Pete, ale nie pozwalam, aby mnie zbyt zaprzętały. To tylko fizjologia, a ja nie mam czasu na takie dyrdymały. Nie teraz. Każdy członek związku ma nagle świetny pomysł na to, jak powinniśmy działać. Facet od elektryków uważa, że elektrycy powinni zastrajkować i przejąć rządy. Któregoś dnia ktoś nawet do mnie strzelił. — Co? — popatrzyli na niego zaszokowani.

Mandelbaum wzruszył ramionami.

— To był kiepski strzał. Ale niektórym ludziom odbija,

niektórzy robią się podli, a większość jest po prostu przerażona. Tacy jak ja próbują okiełznać burzę i starają się, aby życie toczyło się możliwie normalnie, więc, naturalną kolejną rzeczą, są skazani na wrogość. Ludzie teraz myślą o wiele więcej, ale to nie znaczy, że myślą jasno.

— Pewnie — powiedział Corinth. — Przeciętny człowiek...

Rozległ się dzwonek do drzwi.

— Teraz to muszą być oni — stwierdził. — Wchodźcie.

W drzwiach pojawiła się Helga Arnulfsen, a zaraz za nią potężna sylwetka Nathana Lewisa. Helga wyglądała na równie chłodno, opanowaną i twardą jak zwykle, ale oczy miała podkrążone.

— Dzień dobry — powiedziała bezbarwnie.

— Niezbyt wesoło, co? — zapytała łagodnie Sheila.

Helga skrzywiła się.

— Mam koszmary.

— Ja też — przez drobne ciało Sheili przeszedł dreszcz.

— Nat, co z tym psychologiem, którego miałeś przyprowadzić? — spytał Corinth.

— W ostatniej chwili wszystko odwołał — odparł Lewis. — Miał jakiś pomysł na nowy test na inteligencję. A jego partner był zbyt zajęty wpuszczaniem szczurów do labiryntu. Nieważne, poradzimy sobie bez nich.

W przeciwieństwie do pozostałych osób nie wyglądał na zmartwionego, był zbyt zainteresowany sięganiem za nowy horyzont, by zastanawiać się nad własnymi kłopotami. Podszedł do bufetu, wziął sobie kanapkę i z apetytem zaczął jeść.

— Mmm... delicje. Sheila, rzuć tego nudziarza i wyjdź za mnie.

— A na co miałabym go przehandlować? — uśmiechnęła się blado.

— Touché! Ty też się zmieniłaś, co? Naprawdę, ze mną bawiłabyś się lepiej.

— Mimo wszystko — ponuro powiedział Corinth — zebraliśmy się tutaj w konkretnym celu. Pomyślałem, że ogólna dyskusja rozjaśni nam myśli i może wpadniemy na jakiś pomysł.

Lewis usadowił się przy stole.

— No proszę, rząd wreszcie przyznał, że coś się dzieje — powiedział, wskazując leżącą obok niego gazetę. — Pewnie musieli to zrobić, ale ich przyznanie się nie powstrzyma paniki. Ludzie się boją, nie wiedzą, czego się spodziewać. Idąc tutaj widziałem na ulicy faceta wrzeszczącego, że nadchodzi koniec świata. W Central Parku też dzieją się nieciekawe rzeczy. Przed barem biło się trzech pijaków, ale nie pojawił się Żaden policjant, aby ich powstrzymać. Słyszałem syreny straży pożarnej — podobno wielki pożar wybuchł gdzieś w Queens.

Helga zapaliła papierosa i mrużąc oczy zaciągnęła się głęboko.

— John Rossman jest właśnie w Waszyngtonie — powiedziała. — Kilka dni temu przyjechał do Instytutu, poprosił naszych mądrali o zbadanie sprawy, ale i o to, by nie rozgłaszali, czego się dowiedzieli i poleciał do stolicy. Przy jego koneksjach dowie się pierwszy o co chodzi.

— Prawdę mówiąc nie sądzę, aby w tej chwili czegoś się dowiedział — stwierdził Mandelbaum. — Wszyscy, na całym świecie mają podobne doświadczenia, jakieś okruchy, drobiazgi. Coś tam wiadomo, owszem, ale nikt nie ma pełnego obrazu.

— Tylko poczekaj — pogodnie powiedział Lewis. Wziął sobie

kolejną kanapkę i kubek kawy. — Przewiduję, że w ciągu tygodnia sprawy zaczną się walić.

— Faktem jest — Corinth wy dobył się z fotela, na który opadł i zaczął chodzić po pokoju. — Faktem jest, że zmiana się nie zakończyła. Wciąż coś się dzieje. Na tyle, na ile można zaufać naszym najlepszym instrumentom — choć wskazania nie są dokładne, bo owo coś wpłynęło także na urządzenia — tempo zmian nawet przyspiesza.

— Biorąc pod uwagę możliwość wystąpienia błędu sędzę, że to mniej więcej postęp hiperboliczny — powiedział Lewis. — To się dopiero zaczęło, drodzy bracia. Biorąc pod uwagę tempo i kierunek zmian, do końca przyszłego tygodnia wszyscy osiągniemy iloraz inteligencji w okolicach czterystu.

Przez długą chwilę siedzieli bez słowa. Corinth stał z zaciśniętymi pięściami, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków.

Sheila załkała krótko, podbiegła i przywarła do jego ramienia. Mandelbaum wydmuchiwał chmury dymu, przyswajał tę informację krzywiąc się gniewnie; jedną rękę wyciągnął do Sarah, która Ścisnęła ją z wdzięcznością. Lewis przyjrzał się swojej kanapce i wrócił do jedzenia. Helga siedziała bez ruchu, a jej pociągła twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu. Wokół nich szumiało miasto.

— Co teraz będzie? — wyjąkała wreszcie Sheila. Wyraźnie drżała. — co się z nami stanie?

— Bóg jeden wie — powiedział łagodnie Lewis.

— Czy to się nigdy nie zatrzyma? — spytała Sarah.

— Zatrzyma się — odparł Lewis. — Nie może trwać bez końca. To kwestia łańcuchów neuronowych, w których wzrasta

prędkość reakcji i kwestia intensywności przenoszonych przez nie sygnałów. Fizyczna struktura komórki ma swoje ograniczenia. Stymulowana zbyt intensywnie spowoduje niepoczytalność, zidiocenie, a w końcu śmierć.

— Do jakiego poziomu możemy dojść? — zadał praktyczne pytanie Mandelbaum.

— Nie umiem określić. Mechanizm zmiany — i samej komórki nerwowej — nie jest wystarczająco dobrze poznany. W każdym razie koncepcja IQ jest poprawna tylko w ograniczonym zakresie; mówienie o IQ 400 tak naprawdę nie ma sensu, inteligencja na tym poziomie może wcale nie być taką inteligencją, o jakiej teraz myślimy, ale czymś zupełnie innym.

Corinth był zbyt zajęty swoją pracą nad danymi fizycznymi, aby zdawać sobie sprawę, ile wiedział wydział Lewisa. Ta przerażająca wiedza ledwie zaczęła do niego docierać.

— Myślenie o ostatecznych rezultatach nie ma sensu — odezwała się ostro Helga. — I tak nic nie możemy z tym zrobić. Oto, co teraz ma znaczenie — jak utrzymamy cywilizację? Corinth przytaknął, walcząc z uczuciem paniki.

— Jak dotąd utrzymuje się społeczna inercja — zgodził się. — Ludzie robią to, co zazwyczaj, bo nie mają innych możliwości. Ale gdy sprawy naprawdę zaczną się zmieniać...

— Choćby wczoraj, stróż i windziarz w Instytucie — powiedziała Helga. — Obaj oświadczyli, że praca jest zbyt monotonna.

Co będzie, jeśli stróże, śmieciarze, kopacze i pracownicy produkcyjni zdecydują się odejść?

— Nie wszyscy to zrobią — orzekł Mandelbaum. Odłożył swoją

fajkę i nalał sobie kawy. — Niektórzy będą się bać, inni uznają, że powinni zostać na swoich miejscach i zobaczyć, co będzie — Cóż, nie ma na to prostej odpowiedzi. Zgadzam się, że jesteśmy w trudnym okresie przejściowym — ludzie rzucają pracę, boją się, podejmują dziwne działania. Potrzebujemy lokalnej, tymczasowej organizacji, która przeprowadzi nas przez najbliższe kilka miesięcy. Uważam, że związki zawodowe mogą stanowić jej załączek — pracuję nad tym, a kiedy już dogadam się z chłopakami, pójdę do ratusza i zaproponuję pomoc.

Po chwili ciszy Helga zerknęła na Lewisa.

— Nadal nie masz żadnej teorii, co mogło to wszystko wywołać?

— O tak — odpowiedział biolog. — Mam całą masę teorii i nie mam pojęcia, którą wybrać. Będziemy musieli po prostu szukać, badać i myśleć trochę więcej, to wszystko.

— To zjawisko występuje w całym Układzie Słonecznym — oświadczył Corinth. — Tyle przynajmniej ustaliły obserwatoria na podstawie badań spektroskopowych. Możliwe, że słońce na swojej orbicie wokół centrum galaktyki, weszło w jakieś pole siłowe. Ale teoretycznie — do diabła, nie będę się zajmował ogólną teorią względności, dopóki nie będę musiał! — teoretycznie skłaniam się ku opinii, że opuściliśmy pole siłowe, które spowalniało światło i wpływało na procesy elektromagnetyczne i elektrochemiczne.

— Innymi słowy — powiedział wolno Mandelbaum — dopiero teraz świat zaczyna wchodzić w stan normalny? Cała nasza przeszłość rozgrywała się w nienormalnych warunkach?

— Może. Tyle tylko, że te właśnie warunki są dla nas

normalne. Ewoluowaliśmy w nich. Może jesteśmy jak ryba głębinowa, która eksploduje, gdy wystawi się ją na działanie normalnego ciśnienia.

— Ha! Urocza myśl!

— Nie wydaje mi się, żebym bała się śmierci — powiedziała cichutko Sheila — ale zmieniać się w taki sposób...

— Trzymaj wyobraźnię na wodzy — ostro odezwał się Lewis. — Podejrzewam, że takie zachwiania równowagi dotyczą teraz mnóstwo ludzi już niezrównoważonych. Nie bądź jedną z nich.

Strzepnął popiół z cygara.

— W laboratorium czegoś się dowiedzieliśmy — powiedział głosem wypranym z emocji. — Jak mówi Pete, to kwestia fizyczna, pole siłowe, albo jego brak wpływa na interakcje elektroniczne. Ten wpływ, pod względem ilościowym, jest raczej niewielki. Zwykle reakcje chemiczne zachodzą podobnie, jak wcześniej. Nie wydaje mi się, aby w prędkości reakcji nieorganicznych zanotowano jakąś znaczącą zmianę. Ale im bardziej złożone i delikatne są struktury, tym bardziej widoczny jest efekt.

Musieliście ostatnio zauważyć u siebie wzrost energii. Badaliśmy podstawowe stosunki metaboliczne — wzrosły niewiele, ale jednak wzrosły. Wasze reakcje motoryczne też są szybsze, choć mogliście tego nie zauważyć, bo wasze subiektywne poczucie czasu też przyspieszyło. Inaczej rzecz ujmując, w mięśniach, gruczołach, naczyniach i innych organach opowiadających za funkcje somatyczne nie zaszły wielkie zmiany, ale czujecie się pobudzeni; jeśli nic więcej się nie zdarzy, szybko do tego przywykniecie.

Z drugiej strony najwyżej zorganizowane komórki — neurony i cała kora mózgowa zmieniły się bardzo. Percepcja znacząco przyspieszyła; można to bez trudu zmierzyć. Jestem pewien, że zauważyliście także, o ile szybciej teraz potraficie czytać. Czas reakcji na czynniki stymulujące skrócił się.

— Słyszałam o tym od Jonesa — powiedziała spokojnie Helga — i sprawdziłam statystyki wypadków drogowych z zeszłego tygodnia. Zdecydowanie spadły. Jeśli ludzie szybciej reagują, to oczywiście są lepszymi kierowcami.

— Aha — mruknął Lewis. — Dopóki nie zaczną ich nudzić jazda z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę. Wtedy może nie będzie więcej wypadków, ale jak już będą...

— Ale jeśli ludzie są mądrzejsi — zaczęła Sheila — to zaczną zdawać sobie sprawę...

— Przykro mi, ale nie — Mandelbaum potrząsnął głową. Podstawowe cechy osobowości się nie zmieniły, tak? Inteligentni ludzie od czasu do czasu robią rzeczy głupie czy złe, jak wszyscy inni. Człowiek może być błyskotliwym naukowcem, powiedzmy, ale to nie powstrzyma go przed zaniedbywaniem swojego Zdrowia, przed lekkomyślną jazdą, patronowaniem spirytystom czy...

— Głosowaniem na demokratów — podrzucił Lewis, uśmiechając się. — To prawda, Feliksie. W końcu, niewątpliwie, wzrost inteligencji wpłynie na całą osobowość, ale nie pozbędziesz się ludzkich słabości, ignorancji, uprzedzeń, zaślepienia czy chorej ambicji; jedynie dajesz im większą moc płynącą z inteligencji — a to jest jeden z powodów, dla których cywilizacja jest zagrożona.

Zaczął mówić w przestrzeń, a jego głos nabrał dydaktycznych tonów.

— Wracając do tego, od czego wyszliśmy, czyli do najbardziej zorganizowanego organu na świecie — ludzkiego mózgu, do substancji szarej, albo źródła świadomości, jeśli wolicie. Mózg czuje stymulant — czy też brak ograniczenia, jeśli teoria Pete'a jest słuszna — bardziej, niż cokolwiek na Ziemi. Jego funkcjonowanie przekroczyło wszelkie standardy i jest w dużej mierze niezależne od reszty organizmu. Może nie zdajecie sobie sprawy, jak złożoną strukturę stanowi ludzki mózg. Wierście mi, przy nim wszechświat i gwiazdy wyglądają jak dziecienna budowla z klocków. Między neuronami istnieje więcej potencjalnych połączeń niż wszystkich atomów w całym kosmosie — to jak dziesięć podniesione do potęgi kilku milionów. Zatem wcale nie jest zaskakujące to, że nieznaczna nawet zmiana w elektrochemii — zbyt mała, aby znacząco wpłynąć na ciało — Zmieni całą naturę umysłu. Popatrzcie, co potrafi zrobić nawet niewielka dawka alkoholu, a potem przypomnijcie sobie, że ten nowy czynnik Opiera się na podstawowych funkcjach komórki. Zadaję sobie pytanie, czy coś tak subtelnie zrównoważonego może w ogóle przetrwać taką zmianę.

W jego głosie nie było strachu, a w oczach za grubymi szklami błyskało podekscytowanie. Dla niego był to czysty cud; Co—

POGŁĘBIA SIĘ ŚWIATOWY KRYZYS EKONOMICZNY

Zamieszki w Paryżu, Dublinie, Rzymie, Hongkongu — brakuje jedzenia

Kompletny zastój w żegludze — tysiące pracowników odeszło

ZWOLENNICY TRZECIEGO BAALA
WYWOŁUJĄ REWOLTE W LOS ANGELES

Gwardia Narodowa zdemoralizowana Fanatycy zdobywają
kolejne punkty — trwają walki uliczne

Rada miasta Nowy Jork ostrzega przed działaniami sekciarzy

TYGRYS ZABIJA OPIEKUNA
I UCIEKA Z ZOO W BRONKSIE

Władze rozważają odstrzał wszystkich niebezpiecznych
zwierząt

Policja ostrzega i organizuje polowania

NOWE ZAMIESZKI W HARLEMIE

Szef policji: „Wczorajsze zdarzenie to tylko początek — panika
jest nie do powstrzymania”

PSYCHIATRY MÓWIĄ, ŻE CZŁOWIEK ZMIENIŁ SIĘ
„NIE DO POJĘCIA”

Kearnes z Bellevue: „Nieprzewidywalne rezultaty wywołane

przyspieszeniem neuronów sprawiają, że stare dane i metody badawcze są nieprzydatne — nie można nawet przewidzieć ostatecznego efektu”

ROZDZIAŁ 5

Brock pomyślał, że zarządzanie posiadłością musi być trudne. Ostatnio zdarzyło się dużo dziwnych rzeczy. Najpierw pan Rossman wyjechał. Potem, dwa dni później, Stan Wilmer został zaatakowany przez świnie, gdy poszedł je nakarmić. Ruszyły na niego, kwicząc i chrząkając, ciężkimi cielskami przywalały go do ziemi i w końcu kilka z nich trzeba było zastrzelić. Pozostałe stratowały ogrodzenie i zniknęły w lesie. Wilmer był dość ciężko ranny i musiał jechać do szpitala; przysiągł, że już nie wróci. Dwóch pomocników odeszło tego samego dnia.

Brock był zbyt oszołomiony i zaabsorbowany badaniem zachodzących w nim zmian, aby się tym przejąć. I tak nie miał za wiele do roboty, ponieważ zawieszono wszelkie prace poza tymi, które były niezbędne. Doglądał zwierząt, dobrze je traktował i na wszelki wypadek nosił przy sobie broń. Nie miał więc większych kłopotów. Joe zawsze był przy nim. Resztę czasu spędzał na czytaniu, albo po prostu na myśleniu.

Kilka dni po wypadku ze swiniami wezwał go Bill Bergen. Nadzorca nie wydawał się jakoś szczególnie zmieniony, przynajmniej z pozoru. Wciąż był wysoki, nadal miał włosy w kolorze piasku, mówił powoli, jak zawsze trzymał w ustach wykałaczkę i tak samo mrużył wyblakłe oczy. Ale mówił do Brocka wolniej i wyraźniej, niż kiedyś — a może tylko sprawiał

takie wrażenie?

— Wiesz, Archie — powiedział — Smith właśnie się zwolnił.

Brock przestąpił z nogi na nogę, patrząc w podłogę.

— Powiedział, że chce iść do college'u. Nie mogłem mu tego wyperswadować.

W głosie Bergena pojawiło się rozbawienie.

— Idiota. W najbliższych miesiącach nie będzie żadnych collegów. To oznacza, że zostałeś ty, moja żona, Voss i ja.

— Trochę mało — wymamrotał Brock czując, że powinien coś powiedzieć.

— Jeden człowiek poradzi sobie z podstawowymi sprawami, jeśli będzie musiał — stwierdził Bergen. — Na szczęście jest lato. Konie i krowy mogą zostać na pastwiskach, to nam oszczędzi sprzątania Obór i stajni.

— A co z uprawami?

— Na razie nie ma tam wiele do roboty. A zresztą, do diabła z nimi.

Brock popatrzył w górę. Przez te wszystkie lata Bergen był najsolidniejszym i najciężej pracującym człowiekiem na farmie.

— Zrobiłeś się bystry, jak wszyscy tutaj, prawda, Archie? — zapytał Bergen. — Powiedziałbym, że zrobiłeś się normalny — to znaczy, wedle normy sprzed zmiany. A to nie koniec. Będziesz jeszcze bystrzejszy.

Brock poczuł na twarzy gorąco.

— Przepraszam, to nic osobistego. Jesteś dobrym człowiekiem.

Siedział przez chwilę, przekładając papiery na swoim biurku.

— Archie, teraz ty tutaj rządzisz — powiedział nagle.

— Hm?

— Ja też odchodzę.

— Ale Bill, nie możesz...

— Mogę i zrobię to, Archie. — Bergen się podniósł. — Widzisz, moja żona zawsze chciała podróżować, a ja mam parę rzeczy do przemyślenia. Głowiłem się nad tym od lat, a teraz chyba wiem, jaka jest odpowiedź. Wsiadamy w samochód i jedziemy na zachód.

— Ale... ale... pan Rossman... Bill, on na tobie polega...

— Obawiam się, że w życiu są ważniejsze rzeczy niż wiejskie ustronie pana Rossmana — spokojnie odparł Bergen. — Doskonale sobie tutaj poradzisz, nawet jeżeli Voss też odejdzie.

Archie poczuł smagnięcie strachu i oszołomienie.

— Boicie się zwierząt, co?

— Nie, Archie. Pamiętaj, że nadal jesteś mądrzejszy od nich, a co ważniejsze, masz ręce. Broń powstrzyma wszystko.

Bergen podszedł do Okna i wyjrzał na zewnątrz. Był jasny, wietrzny dzień, światło słońca migotało w gałęziach drzew.

— W gruncie rzeczy — powiedział tym samym, łagodnym tonem — tutaj, na farmie, jest bezpieczniej, niż gdziekolwiek. Jeśli system produkcji i dystrybucji nie zawiedzie, co może się zdarzyć, nadal będziesz miał co jeść. Ale moja żona i ja nie robimy się młodszy. Przez całe życie byłem statecznym, trzeźwym, świadomym człowiekiem. Teraz się zastanawiam, dlaczego straciłem tyle lat.

Odwrócił Się.

— Do widzenia, Archie.

To było polecenie.

Brock wyszedł na podwórze potrząsają głową i mrużąc coś do

siebie. Joe pisnął z niepokojem i polizał jego rękę. Archie poczochnął jego złote futro, usiadł na ławce i ukrył głowę w dłoniach.

Problem w tym, pomyślał, że i zwierzęta i ja staliśmy się mądrzejsi, ale to samo stało się ze wszystkimi innymi. Boże w niebiosach — co się dzieje w czaszce Billa Bergena?

To była przerażająca koncepcja. Szybkość kojarzenia, możliwości i przenikliwość swego umysłu nagle odczuł jako okrucieństwo. Nie śmiał nawet pomyśleć, jacy mądrzy musieli teraz być normalni ludzie.

Trudno było to sobie wyobrazić. Bergen nie stał się przecież bogiem. Oczy mu nie lśniły, głos miał normalny, wcale nie głęboki i wibrujący, nie zaczął budować wielkich, ryczących maszyn buchających płomieniami. Wciąż był tym samym wysokim człowiekiem o spadzistych ramionach i zmęczonej twarzy, powolnie cedzącym słowa. Drzewa wciąż były zielone, w krzakach róż wierkały ptaki, na oparciu ławki wygrzewała się niebieska mucha.

Brock bywał czasem w kościele, teraz niejasno przypomniał sobie kazania. Czy to koniec Świata i niebo się otworzy, czy na pękającą ziemię spłyną niebieskie zastępy, czy sam Bóg pojawi się, by osądzić synów człowieczych? Nasłuchiwał odgłosów wielkich kopyt uderzających o ziemię, ale słyszał tylko szum wiatru.

To właśnie było najgorsze. Niebo wyglądało tak jak zawsze. Ziemia pogrążała się w nieskończonej ciemności i ciszy, jakby to, co działo się z istotami, które po niej chodziły nie miało znaczenia.

Nikogo to nie obchodziło.

Brock popatrzył na swoje zdarte buty, a potem na silne, owłosione dłonie leżące na kolanach. Wydały mu się dziwnie obce, jak dłonie nieznajomego. Dobry Jezu, pomyślał, czy to mi się naprawdę przydarzyło?

Chwycił Joego za futro na karku i przyciągnął go do siebie. Nagle poczuł, że potrzebuje kobiety, kogoś, kto go przytuli i ochroni przed samotnością. Wstał, czując na ciele zimny pot. Ruszył w stronę domku Bergena. Uznał, że teraz należy do niego.

Voss był młodym, niezbyt byстрыm chłopakiem z miasta, który nie był w stanie znaleźć innej pracy. Gdy Brock wszedł do małego salonu, markotnie podniósł wzrok znad książki.

— Cóż — powiedział Brock — Bill właśnie odszedł.

— Wiem. Co teraz zrobimy?

Voss był przestraszony i słaby, chciał, aby ktoś go poprowadził. Bergen musiał to przewidzieć. Archie poczuł odpowiedzialność.

— Jeśli tu zostaniemy, wszystko będzie w porządku — powiedział. — Musimy to przeczekać i robić swoje, to wszystko.

— Zwierzęta...

— Masz broń, prawda? Poza tym będą wiedziały, kto o nie dba. PO prostu bądź ostrożny, dobrze je traktuj, zawsze zamykaj za sobą bramy...

— Nie mam zamiaru czekać na jakieś cholerne zwierzaki — ponuro powiedział Voss.

— Jednak poczekasz.

Brock wszedł do chłodni, wziął dwie puszki piwa i otworzył je.

— Słuchaj no, jestem od ciebie mądrzejszy, i...

— A ja jestem od ciebie silniejszy. Jeśli ci się to nie podoba, możesz odejść. Ja zostaję.

Brock podał Vossowi jedną puszkę, drugą uniósł do ust.

— Posłuchaj — powiedział po chwili. — Znam te zwierzęta. W większości są przyzwyczajone do opieki. Kręcą się wokół, ponieważ je karmimy i ponieważ — ehm — mają zakodowany szacunek wobec człowieka. To nie są żadne niedźwiedzie czy wilki w lasach, żadne z nich, może poza świniami, nie mogą przysporzyć nam kłopotów. Osobiście bałbym się bardziej mieszkając w mieście.

— Jak to?

Wbrew sobie Voss był pod wrażeniem. Odłożył książkę i wziął piwo. Brock zerknął na tytuł: Noc namiętności, dwutomowe wydanie. Voss może i miał lepszy mózg, ale poza tym się nie zmienił. Po prostu nie chciał myśleć.

— Bałbym się ludzi — Odparł Brock. — Bóg wie, co zrobią.

Podszedł do radia, włączył je i trafił na wiadomości. Niewiele dla niego znaczyły; w większości dotyczyły nowych możliwości mózgu, ale słowa były połączone w sposób, który nie miał większego sensu. Głos brzmiał nerwowo.

Po lunchu Brock zdecydował się pójść do lasu i sprawdzić, czy nie uda mu się znaleźć Świń i dowiedzieć się, co knują. Martwiły go bardziej, niż się przyznawał. Świnie zawsze były mądrzejsze, niż się ludziom wydawało. Bał się, że mogły pomyśleć o zapasach jedzenia na farmie pilnowanej tylko przez dwóch ludzi.

Nawet nie pytał Vossa, czy z nim pójdzie; odmówiłby, a i tak lepiej zostawić kogoś na straży w domu. Brock wraz z Joem przeszli przez ogrodzenie i sami udali się do lasu zajmującego

sześćset akrów powierzchni.

Był zielony, cienisty i pełen szelestów. Brock szedł cicho ze strzelbą na ramieniu. Z nawykową ostrożnością obserwował krzaki. Nie widział żadnych wiewiórek, choć normalnie było ich tu mnóstwo. Cóż — widocznie poszły po rozum do głowy, tak jak dawno temu zrobiły kruki, i uznały, że od człowieka z bronią należy się trzymać z daleka. Zastanawiał się, ile par oczu go obserwuje i co się dzieje w głowach ich właścicieli. Joe trzymał się blisko, nie biegał wokół, jak zwykle.

W twarz mocno uderzyła go gałąź. Zatrzymał się na chwilę, przerażony. A może drzewa też teraz myślały? Czy cały świat postanowił podnieść bunt?

Nie — zaraz odzyskał kontrolę nad sobą i ruszył dalej owczą ścieżką. Żeby się tak zmienić, najpierw trzeba myśleć. Drzewa nie miały mózgów. Przypominał sobie, że owady też chyba nie, i zaznaczył w pamięci, by to sprawdzić. Całe szczęście, że pan Rossman miał bogatą bibliotekę.

Dobre w tym zamieszaniu było to, uświadomił sobie Brock, że on sam był spokojny. Nigdy się niczym Specjalnie nie ekscytował i nowe porządki przyjął spokojniej, niż można by sądzić. Trzeba robić jedną rzecz na raz, o to chodzi. Po prostu żyć z dnia na dzień i robić tyle, ile się da, aby przeżyć.

Nagle leśny gąszcz rozstał się i z krzaków wyszła świnia. Był to stary, czarny knur, wielkie, groźnie wyglądające stworzenie, które stało teraz nieporuszone na jego drodze. Brock nigdy nie widział w jego oczach takiego chłodu. Joe zjeżył się i zawarczał, a Brock uniósł strzelbę. Stali tak przez długi czas, nie poruszając się. Potem knur chrząknął — wydawało mu się, że pogardliwie —

odwrócił się i zniknął pośród cieni. Brock uświadomił sobie, że się spocił.

Chodził jeszcze przez kilka godzin przeczesując las, ale niewiele zobaczył. Kiedy wrócił, w głowie kłębiły mu się myśli. W porządku, zwierzęta się zmieniły, ale nie potrafił określić jak bardzo, albo co zrobią dalej.

— Zastanawiałem się — powiedział Voss, gdy wszedł do domku.
— Może powinniśmy się przenieść do innego farmera. Ralph Martinson potrzebuje pomocy. Jego ludzie też odeszli.

— Ja zostaję.

Voss popatrzył na niego chłodno.

— Bo nie chcesz znów być kretynem, co?

Brock się skrzywił, ale odpowiedział spokojnie.

— Nazywaj to jak chcesz.

— Nie zostanę tutaj na zawsze.

— Nikt cię o to nie prosi. Chodź, już czas na dojenie.

— Jezu, co my zrobimy z mlekiem Od trzydziestu krów?
Cysterna z mleczarni nie pojawiła się Od trzech dni.

— Hmm... może coś wymyślę. Teraz jednak nie możemy kazać im czekać.

— A niby czemu nie? — wymamrotał Voss, ale poszedł za nim do obory.

Dojenie trzydziestu krów było ciężką pracą, nawet za pomocą dojarek. Brock zdecydował się zasuszyć większość z nich, ale to zabierało trochę czasu, bo trzeba to robić stopniowo. Tymczasem były niespokojne i trudno je było opanować.

Wszedł, wziął widły i zaczął wrzucać siano do zagrody dla owiec, których stado jak zwykle przyszło z lasu. W połowie

roboty poderwało go ujadanie Joe. Odwrócił się i zobaczył, że po podwórzu chodzi ogromny byk rasy holsztyńskiej.

Zerwał się! Dłoń Brocka powędrowała do pistoletu przy pasie, a potem wróciła na widły. Pistolet na wiele się nie zda wobec takiego potwora. Byk parsknął, grzebiąc w ziemi i potrząsając pozbawionym rogów łbem.

— W porządku, kolego.

Brock powoli ruszył w jego kierunku, zwilżając językiem wyschnięte wargi. W uszach słyszał łomot własnego serca.

— Okay, spokojnie, wrócimy razem do zagrody.

Joe na sztywnych nogach szedł obok niego. Byk opuścił głowę i zaszarżował.

Brock zebrał się w sobie. Gigantyczne zwierzę wydawało się wypełniać niebo.

Brock dźgnął go pod szczękę. To był błąd, uświadomił sobie z przerażeniem, powinien był celować w oczy. Widły wypadły mu z rąk i poczuł uderzenie, które posłało go na ziemię. Byk przycisnął głowę do piersi Brocka, próbując przygwoździć go rogami, których nie miał.

Nagle ryknął z bólu i przerażenia. Joe dopadł go z tyłu i zatopił zęby we właściwym miejscu. Byk się odwrócił, jedną z racic uderzając Brocka w żebra. Mężczyzna wyciągnął broń i strzelił. Byk zaczął biec, Brock się przetoczył, poderwał na nogi i doskoczył do wielkiej głowy. Przyłożył pistolet za ucho i wypalił. Byk zesztyniał i opadł na kolana. Brock opróżnił cały magazynek. Potem przewrócił się na ciało zwierzęcia i zapadł się w ciemność.

Doszedł do siebie, gdy Voss nim potrząsnął.

— Archie, jesteś ranny?

Ledwie rozumiał, co do niego mówi.

— Jesteś ranny?

Brock pozwolił, aby Voss zaprowadził go do domu. Po mocnym drinku poczuł się lepiej i obejrzał swoje obrażenia.

— Nic mi nie jest – mruknął. — Tylko sińce i zadrapania, kości są całe.

— To przesądza sprawę. — Voss trząśł się bardziej od Brocka.
— Zabieramy się stąd.

Rudzielec potrząsnął głową.

– Nie.

— Zwariowałeś? Jesteśmy tutaj sami, zwierzęta oszalały, wszystko idzie do diabła — zwariowałeś?

— Zostaję.

— Ja nie! Jeśli masz choć trochę rozumu, to pójdziesz ze mną!

Joe zawarczał.

– Zostaw — powiedział Brock. Nagle poczuł wielkie zmęczenie.

— Jak chcesz, to idź, ale ja zostaję. Nic mi nie będzie.

— Ale...

— Jutro zagonię do Martinsona część zwierząt, jeśli je weźmie.
Z resztą dam sobie radę.

Voss spierał się jeszcze chwilę, wreszcie się poddał, wziął jeepa i odjechał. Brock uśmiechnął się bezwiednie.

Sprawdził zagrodę byka. Brama została wyłamana. Skuteczność większości zagród polegała na tym, że zwierzęta nie wiedziały, że mogą je otworzyć. Cóż, najwyraźniej teraz już wiedziały.

— Będę musiał wziąć buldożer, żeby go pochować —

powiedział Brock. Mówienie na głos do Joe przychodziło mu coraz łatwiej. – Zrobię to jutro. Zjedzmy kolację, piesku, a potem poczytamy i posłuchamy muzyki. Chyba teraz jesteśmy tutaj sami.

ROZDZIAŁ 6

Miasto funkcjonowało jak skomplikowany organizm, ale Corinth nigdy dotąd nie doceniał jego złożonej i niepewnej równowagi. Teraz, gdy ta równowaga zniknęła, Nowy Jork osuwał się ku zamętowi i Śmierci.

Nielicznych pasażerów obsługiwało tylko kilka linii metra, w systemie awaryjnym. Pracownicy rozpierzchli się, zostali tylko ci najbardziej zdolni do poświęceń, choć także dla nich praca nagle stała się nudna i irytująca. Stacje były zaśmiecone, puste i ciemne, a pisk kół nielicznych pociągów brzmiał jak jęki potępieńców w piekle. Corinth do pracy chodził piechotą po brudnych ulicach, na których ruch był tylko strumykiem, a nie rzeką toczącą się tu wcześniej.

Przez głowę przemknęło mu wspomnienie sprzed pięciu dni: zapchane drogi, stalowe barykady, klaksony i krzyki, aż drżały szyby w oknach, powietrze pełne spalin prawie uniemożliwiające oddychanie i ślepa panika, tłum uciekający z miasta, które uznał za skończone, uciekający ze średnią prędkością pięciu mil na godzinę. Dwa samochody zetknęły się zderzakami, kierowcy wyskoczyli z nich i zaczęli walczyć, aż ich twarze przypominały krwawe maski. Nad głowami, jak wielkie muchy, bezsilnie krążyły policyjne helikoptery. Smutna była świadomość, że zwiększona inteligencja wyzwala w ludziach

zwierzęce zachowania.

Ci, którzy zostali — najwyżej jedna czwarta mieszkańców miasta — jakoś sobie radzili. Gaz, wodę i elektryczność starannie racjonowano. Ze wsi nadal docierało jedzenie, ale trzeba było brać, co się nawinęło i słono za to płacić. Sytuacja przypominała wodę w garnku, zbliżającą się do stanu wrzenia.

Wspomnienie sprzed trzech dni nie było bardziej optymistyczne: *kolejne zamieszki w Harlemie, strach przed nieznanym, gniew i zastarzałe poczucie niesprawiedliwości poderwało ludzi do walki, tylko dlatego, że niewytrenowane umysły nie potrafiły kontrolować swoich nowych mocy. Trzask płonących domów, gigantyczne czerwone płomienie chwiejące się na tle nocnego nieba, blask jak krew na tysiącach ciemnych twarzy, na tysiącach ciał walczących na ulicach, takie Obrazy stawały się codziennością. Nóż błyszczący i przeciągnięty po ludzkim gardle. Urwane wycie w huku ognia. Krzyk kobiety stratowanej przez biegnącą tłuszcę. Helikoptery szarpiące się i chwiejące w burzy nagrzanego powietrza unoszącego się znad płomieni. A rano puste ulice, gorzki zapach dymu i żar przeświecający przez powybijane okna.*

W chaosie ciągle jeszcze można było dostrzec jakieś pozory porządku. Ale jak długo się utrzymają?

Jakiś obszarpaniec ze zwichrzoną brodą wygłaszał tyradę na rogu ulicy. Wokół niego zgromadził się może tuzin osób słuchających go z dziwnym skupieniem. Corinth usłyszał słowa — „ponieważ zapomnieliśmy o odwiecznych podstawach życia, ponieważ pozwoliliśmy, aby naukowcy nas zdradzili, ponieważ wszyscy słuchaliśmy jajogłowych. Mówię wam, że w obliczu

wielkiej Jedni^[14] liczy się tylko życie, w którym wszyscy są jednym, a jedno jest wszystkim. Spójrzcie, przynoszę wam słowo powracającej...».

Corinth poczerwieniał i ominął tłumek na rogu, Czy to misjonarz kultu trzeciego Baala? Nie wiedział i nie miał ochoty zatrzymać się i sprawdzać. Nigdzie nie dostrzegł policjanta, który mógłby się tym zająć. Jeśli ta nowa religia zyska sobie w mieście zwolenników, będą kłopoty. Nieco się uspokoił, gdy zobaczył, że do pobliskiego kościoła katolickiego wchodzi jakaś kobieta.

Zza zakrętu wypadła taksówka i trąc bokiem o zaparkowany samochód zniknęła z hałasem. Kolejne auto wlokło się po ulicy, jego kierowca miał ściągniętą twarz, a pasażer trzymał w ręce broń. Wszędzie wyczuwało się strach. Sklepy po drugiej stronie ulicy były pozamykane; otwarty był tylko mały sklepik spożywczy, a jego właściciel stał za ladą z pistoletem za paskiem. W obskurnym wejściu do bloku siedział stary mężczyzna czytający Krytykę Kanta dziwnym, obłąkanym głosem, ignorując wszystko dookoła.

— Proszę pana, nie jadłem od dwóch dni.

Corinth popatrzył na postać, która wyłoniła się z alejki.

— Przykro mi — odparł. — Mam przy sobie tylko dziesięć dolców. Przy dzisiejszych cenach ledwo starczy na posiłek.

— Chryste, nie mogę znaleźć pracy...

— Przyjacielu, idź do ratusza. Dadzą ci pracę i dopilnują, abyś się najadł. Bardzo potrzebują ludzi.

— Co? Sprzątanie ulic, zbieranie śmieci? To już wolę zdechnąć!

— No to zdychaj — odciął się Corinth i ruszył szybciej. Czuł

uspokajający ciężar pistoletu w kieszeni płaszcza. Po tym, co widział, nie czuł szczególnej sympatii dla tego biednego typu.

Czego jednak można się było spodziewać? Typowy obywatel, człowiek, pracownik fabryki czy urzędnik, miał umysł ograniczony do zbioru werbalnych odruchów, a jego życie oznaczało egzystowanie z dnia na dzień, napełnianie brzucha, znieczulanie za pomocą kina i telewizji, coraz nowsze i coraz większe samochody, więcej niepotrzebnych i bardziej błyszczących przedmiotów, byle tylko nadać za Amerykańskim Stylem Życia. Nawet przed zmianą zachodnia cywilizacja ziała wielką pustką, nieuświadomionym poczuciem, że w życiu musi być coś więcej niż ulotne ja — a ideału wciąż nie udawało się osiągnąć,

I nagle, praktycznie w czasie jednej nocy, ludzka inteligencja wspięła się na jakiś niebywały poziom. Przed człowiekiem otworzył się cały nowy kosmos możliwości, wizji, myśli. Ujrzał swoje żalosne życie, trywialną pracę, ciasne i pozbawione znaczenia przekonania i nawyki — i poddał się.

Oczywiście nie wszyscy odeszli — nie była to nawet większość. Ale ci, którzy to zrobili, zdołali zachwiać całą strukturą cywilizacji opartej na technologiach. Jeśli stanie wydobywanie węgla, pracownicy stalowni i elektrowni nie będą mogli pracować nawet gdyby chcieli. Dodajmy do tego niepokoje spowodowane niezrozumiałymi emocjami, i...

W dół ulicy szła naga kobieta ze sklepowym koszykiem w ręce. Musiała to przemyśleć, wyobrażał sobie Corinth, i uznała, że ubranie w lecie jest niedorzeczne. Skorzystała z faktu, że policja ma inne zmartwienia, niż jej ubranie, a raczej jego brak.

Jej zachowanie samo w sobie było nieszkodliwe, ale niepokojące jako symptom. Wszak każde społeczeństwo z konieczności opiera się na konkretnych, mniej lub bardziej arbitralnych zasadach i ograniczeniach. Jeśli ludzie nagle sobie uświadomię, że prawa są arbitralne i nie wypływają z ich wewnętrznych przekonań, to zaczną przekraczać wszystkie zasady, które im się nie podobają.

Na schodku siedział skulony młody człowiek, ramionami obejmując kolana podciągnięte pod brodę. Kołysał się i zawodził cicho. Corinth przystanął.

— Co się stało? – zapytał.

— Boję się — oczy chłopaka były jasne i przytomne. — Nagle to do mnie dotarło. Jestem sam.

Corinth już miał się odezwać, ale usłyszał wyrzucane w panice słowa.

— Wszystko, co wiem, wszystko, czym jestem, jest tutaj, w mojej głowie. Wszystko istnieje dla mnie, ale tylko wtedy, kiedy o tym wiem. A któregoś dnia umrę — z kącika ust wypłynęła mu strużka śliny. — Któregoś dnia nadejdzie wielka ciemność nie będzie mnie — niczego nie będzie! Ty może nadal będziesz istniał, dla siebie – tylko jak mogę być pewny, że nie jesteś jedynie moim snem? — ale dla mnie nie będzie nic, nic, nic. Nigdy.

Z oczu popłynęły mu łzy, a Corinth odszedł.

Obłąd – tak, często miał do czynienia z tymi, którzy nie wytrzymali. Miliony ludzi nie mogły znieść nagłej ostrości pojmowania. Nie byli w stanie udźwignąć nowej siły i to doprowadziło ich do szaleństwa.

Mimo upału przeszył go dreszcz.

Instytut był jak raj. Wszedł do środka. Zobaczył strażnika siedzącego na stołku z tekstem z dziedziny chemii na kolanach, obok na krześle leżał karabin. Twarz, którą uniósł ku Corinthowi, była pogodna.

— Dzień dobry.

— Miałeś jakieś kłopoty, Jim?

— Jeszcze nie. Ale z tymi włóczęgami i fanatykami nigdy nic nie wiadomo.

Corinth przytaknął czując, że — przynajmniej częściowo — opuszcza go zdenerwowanie. Nadal funkcjonowali wokół racjonalni ludzie, którzy nie rzucili się z nagłą ku świeżo odkrytym gwiazdom, ale spokojnie zajęli się swoimi obowiązkami.

Windziarzem był siedmiolatek, syn jednego z pracowników Instytutu; szkoły były pozamykane.

— Cześć — powiedział wesoło. — Czekałem na pana. Jak Maxwellowi udało się dojść do tych równań?

— Mm? — Corinth popatrzył na książkę leżącą na siedzeniu. — Aha, badałeś zasadę działania radia? Cadogan jest raczej trudny jak na początek, powinieneś raczej poczytać...

— Widziałem schematy układów, proszę pana. Chcę wiedzieć, dlaczego działają, ale Cadogan podaje tylko równania.

Corinth przełożył mu tekst na rachunek wektorowy.

— Jak się z tym uporasz, przyjdź do mnie.

Wysiadł na siódmym piętrze uśmiechając się do siebie, ale jego uśmiech zbladł, kiedy ruszył w dół korytarza.

Lewis był w jego laboratorium, czekał na niego.

— Spóźniłeś się — burknął.

— Sheila – odparł Corinth.

Rozmowy nagle zaczęły toczyć się w nowym języku. Możliwości umysłu tak bardzo się zwiększyły, że wystarczyło jedno słowo, gest, grymas, aby ktoś znajomy zrozumiał wszystko w lot.

— Spóźniłeś się dzisiaj — dopowiedział Lewis. — Miałeś jakieś kłopoty?

— Późno wyszedłem ze względu na Sheilę — wyjaśnił Corinth. — Najwyraźniej, Nat, kompletnie sobie z tym nie radzi. Naprawdę się o nią martwię. Tylko co mogę zrobić? Już nie rozumiem ludzkiej psychiki, zmienia się zbyt mocno i zbyt szybko. Nikt nie rozumie. Wszyscy stajemy się sobie Obcy i to jest przerażające.

Lewis podniósł swoje ciężkie ciało.

— Chodź. Rossman jest tutaj i chce z nami pogadać.

Poszli korytarzem zostawiając Johanssona i Grunewalda pogrążonych w pracy: kontynuowali pomiary zmienionych stałych natury, kalibrowali przyrządy, przygotowywali się do ponownego podjęcia prac badawczych.

Wszystkie dyscypliny naukowe, uprawiane w tym budynku, zyskały nowe oblicze. Cybernetyka, chemia, biologia, cała psychologia — ludzie wręcz ograniczali sobie czas przeznaczony na sen, tyle było do zrobienia.

Szefowie wydziałów zebrali się w głównym pokoju konferencyjnym. Na końcu długiego stołu siedział Rossman, wysoki, szczupły i białowłosy, o surowych rysach twarzy. Po jego prawej stronie siedziała Helga Arnulfsen, po lewej Feliks

Mandelbaum. Przez chwilę Corinth zastanawiał się, co tutaj robi działacz związkowy, potem uświadomił sobie, że jest on zapewne przedstawicielem tymczasowych władz miasta.

– Dzień dobry państwu.

Rossman był wiktoriańsko kurtuazyjny, co nawet byłoby zabawne, gdyby nie to, że desperacko próbował trzymać się czegoś znanego i realnego, a taka forma najwyraźniej dawała mu takie poczucie.

— Zajmijcie proszę miejsca.

Ponieważ wszyscy byli obecni, Rossman od razu przeszedł do rzeczy.

— Właśnie wróciłem z Waszyngtonu. Zwołałem to zebranie, ponieważ czuję, że pilnie potrzebujemy wymiany pomysłów i informacji. Poczujecie się lepiej z tym, co mogę dodać do ogólnego obrazu, a ja z pewnością będę szczęśliwszy wiedząc, jakie znaleźliście naukowe wytłumaczenie. Razem możemy planować z głową.

— Tytułem wyjaśnienia — zaczął Lewis — zgodziliśmy się, że słuszna jest teoria doktora Corintha. Postuluje ona istnienie pola siłowego o częściowo elektromagnetycznym charakterze, generowanym przez oddziaływanie giromagnetyczne w jądrach atomowych w pobliżu centrum galaktyki. Promieniuje ono strumieniem stożkowym na zewnątrz. Tenże strumień był wystarczająco szeroki już na wiele lat świetlnych przed osiągnięciem naszej części przestrzeni. Jego działanie polega na zahamowaniu procesów elektromagnetycznych i elektrochemicznych, pośród których znaczące jest funkcjonowanie pewnych typów neuronów. Podejrzewamy, że

System Słoneczny, na orbicie wokół centrum galaktyki, wszedł w to pole siłowe wiele milionów lat temu — tuż po okresie kredy. Bez wątpienia wymarło wówczas wiele istniejących gatunków zwierząt. Tym niemniej życie jako całość przetrwało — systemy nerwowe zaadaptowały się, wydajnością kompensując siłę hamującą. W skrócie, wszystkie dzisiejsze formy życia są — lub były przed zmianą — mniej więcej tak samo inteligentne, jak byłyby bez tego.

— Rozumiem — kiwnął głową Rossman. — A potem słońce i planety wyszły z pola siłowego.

— Tak. Pole musi mieć raczej wyraźne granice, skoro zmiana dokonała się w przeciągu kilku dni. Jego obszar — od rejonu pełnego oddziaływania do rejonu, w którym nie występuje Ono wcale — ma być może szerokość raptem dziesięciu milionów mil. Z całą pewnością teraz nie znajdujemy się pod jego wpływem; stałe fizyczne od kilku dni są stabilne.

— Ale nasze umysły nie — powiedział beznadziejnie Mandelbaum.

— Wiem — wtrącił się Lewis. — Zaraz do tego dojdziemy. Dla Ziemi ogólnym efektem wyjścia z tego pola był, oczywiście, nagły wzrost poziomu inteligencji u każdej formy życia posiada mózg. Nagle zniknęła wstrzymująca siła, do działania której przyzwyczajony był każdy żyjący organizm.

Oczywiście brak tej siły spowodował ogromne zachwianie równowagi. Systemy nerwowe zaczęły wariować, próbując ustabilizować swoje funkcje na nowym poziomie; to dlatego wszyscy czuli się tak pobudzeni i przestraszeni. Układ fizyczny mózgu jest przystosowany do jednej prędkości — jednego

zestawu sygnałów neuronalnych; a teraz nagle prędkość wzrosła, ale struktura fizyczna została taka sama. Jednym słowem trochę potrwa, zanim się do tego przyzwyczaimy.

– Dlaczego nie umarliśmy? – spytał Grahivitch, chemik. – Można by pomyśleć, że nasze serca i cała reszta zaczną pracować jak szalone.

— Wpływ na autonomiczny system nerwowy był relatywnie niewielki — odparł Lewis. — Zależy to prawdopodobnie od typu komórek; komórek nerwowych, jak wiecie, jest wiele, a najwyraźniej i najsilniej na zmianę zareagowały tylko te, które znajdują się w korze mózgowej. Jednak nawet tam zakres funkcjonowania nie wzrósł znacząco — czynnik jest niski — ale procesy zachodzące w świadomości tak szczególne, że spowodowały wielką różnicę w tym, co nazywamy myśleniem.

– Ale przetrwamy?

— O tak, jestem pewien, że nie będzie żadnych fizjologicznych skutków — przynajmniej u większości ludzi. Niektórzy oszaleją, to pewne, jednak prawdopodobnie raczej z powodów psychologicznych, niż histologicznych.

— Czy w takim razie wejdziemy w kolejne takie pole siłowe? — zapytał Rossman.

— Wątpliwe — Odparł Corinth. — Bazując na mojej teorii Jestem raczej przekonany, że w każdej galaktyce może istnieć tylko jedno takie pole. Biorąc pod uwagę fakt, że aby okrążyć centrum galaktyki, słońce potrzebuje około milionów lat — zatem powinniśmy mieć ponad połowę tego okresu, zanim zaczniemy się martwić, że znów zgłupiejemy.

— Mhm, rozumiem, proszę państwa. Dziękuję bardzo. —

Rossman pochylił się, splatając szczupłe palce. — ‘fraz przekażę państwu, czego się dowiedziałem. Obawiam się, że to niewiele i że nie są to dobre wieści. Waszyngton to dom wariatów. Wiele kluczowych postaci opuściło swoje stanowiska; wydaje im się, że są w życiu ważniejsze kwestie, niż zajmowanie się sprawami państwa.

— No, boję się, że mają rację — uśmiechnął się Lewis sardonicznie.

— Bez wątpienia. Jednak musimy sobie uświadomić, że nawet gdybyśmy bardzo nie lubili obecnego systemu, nie zmienimy go w jedną noc.

— A jakie są wieści z zagranicy? — spytał Weller, matematyk.
— Co z Rosją?

— W obliczu ataku zbrojnego bylibyśmy bezradni — odparł Rossman — ale wywiad wojskowy wskazuje, że Sowieci mają własne kłopoty.

Westchnął.

— Jednak najpierw zajmijmy się tym, co najważniejsze. Musimy opanować nasz własny kryzys. Waszyngton z każdym dniem jest bardziej bezradny; coraz mniej ludzi słucha poleceń prezydenta, do dyspozycji ma on coraz mniejsze siły. W wielu rejonach już wprowadzono stan wojenny, ale jakiegolwiek próby jego egzekwowania wywołują jedynie wojnę domową. Reorganizację trzeba przeprowadzić na bazie sil lokalnych. To jest skrót uzyskanych przeze mnie wiadomości.

— Pracujemy nad tym tutaj, w Nowym Jorku — powiedział Mandelbaum. Wyglądał na zmęczonego dniami i nocami nieustającego wysiłku. — Zdołałem ułożyć się ze związkami.

Zawrzemy porozumienie dotyczące transportu i dystrybucji żywności i mamy nadzieję zebrać kilka oddziałów ochotniczej milicji, aby utrzymać względny porządek.

Odwrócił się do Rossmana.

— Jest pan dobrym organizatorem. Pozostałe pańskie przedsiębiorstwa idą na dno, a mamy pracę do wykonania. Pomoże nam pan?

— Oczywiście — skinął głową stary człowiek. — A co do Instytutu...

— Będzie działał dalej. Musimy zrozumieć, co się dokładnie stało i czego możemy się spodziewać w najbliższej przyszłości. Marny tysiące problemów do rozwiązania, i to jak najszybciej.

Rozmowa zeszła na szczegóły organizacyjne. Corinth nie miał dużo do powiedzenia. Za bardzo martwił się o Sheilę. Ostatniej nocy obudziła się z krzykiem.

ROZDZIAŁ 7

Przez szpary swojej krytej strzechą chaty szaman Wato śledził spowite kurzem postacie na drodze i mamrotał coś do siebie. M'Wanzi słyszał go przez szczęk broni i mocne uderzenia bębnow, gdy wysocy wojownicy maszerowali w tę i z powrotem.

— ...prawo podobieństwa może być wyrażone w formie ya albo nie—ya, tak więc takie przedstawienie tej formy magii dotyczy zasady ogólnej przypadkowości. Ale jak w to wpasować prawo dotyczące zarazy... ?

Przechodzący obok M'Wanzi rzucił mu zdumione spojrzenie. Niech sobie staruszek buduje zamki z piasku, jeśli chce. Strzelba na jego ramieniu stanowiła namacalną rzeczywistość i to mu wystarczało. 'To właśnie broń, a nie magia, wypełni starożytną przepowiednię.

Uwolnić czarnego człowieka! Wysłać białych ciemieńców z powrotem za morze! Od czasów jego młodości i po koszmarze przeżytych na plantacji, właśnie to stanowiło cel jego życia. Ale dopiero teraz...

To, co działo się w jego duszy nie przerażało go. Przyjął tę moc myślenia z zadowoleniem. Zdołał zdominować wszystkie plemiona, na wpół oszalałe ze strachu, gotowe pójść za przywódcą gdziekolwiek. Na przestrzeni tysięcy mil, Od dżungli Kongo do stepów na południu, torturowani, zniewoleni i

pogardzani ludzie unieśli zmęczone twarze ku nadziei niesionej wiatrem. Nadszedł czas powstania, trzeba działać teraz, zanim biały człowiek także zbierze siły — plan był gotowy, leżał na dnie duszy M'Wanzi Słonia. Kampanię zaplanowano na najbliższych kilka dni, subtelny język wygrał z prostackim językiem przywódców setek skonfliktowanych grup, powstała armia i oto nadszedł czas, aby się uwolnić!

Wyszedł na skraj dżungli, wokół niego grzmiały bębny. Przekroczył ścianę trzciny i w gorący cień lasu. Przemknął przed nim kolejny cień i zastygł w groteskowej pozie. Mądre brązowe oczy spoglądały z bezbrzeżnym smutkiem.

— Zebrałeś leśnych braci? — spytał M'Wanzi.

— Wkrótce nadejdą — odparła małpa.

To była wielka myśl M'Wanziego. Cała reszta – organizacja, planowanie kampanii, przy niej nie znaczyły nic: skoro ludzkie dusze nagle stały się większe, to dusze zwierząt także musiały urosnąć. Jego domysły potwierdziły się, gdy usłyszał przerażające opowieści o napadach na farmy przeprowadzanych z demoniczną przebiegłością przez słonie, ale gdy te doniesienia do niego dotarły, ze schwytanym szympansem pracował już nad wspólnym językiem znaków i pomruków. Małpy nigdy znacząco nie odbiegały inteligencją od ludzi, podejrzewał M'Wanzi. Dziś, w zamian za ich pomoc mógł im sporo zaoferować; czyż one także nie były Afrykanami?

— Mój leśny bracie, idź i powiedz swoim ludziom, aby się szykowali.

— Nie wszyscy tego chcą, bracie z sawanny. Trzeba ich przekonywać. To zabiera sporo czasu.

— Nie mamy czasu. Użyj bębnow, tak jak cię nauczyłem. Poślij wiadomość przez ziemię. Niech ludzie zbierają się w wyznaczonych miejscach.

— Będzie, jak sobie życzysz. Kiedy księżyc osiągnie pełnię, dzieci lasu uzbrojone w noże, dmuchawki i dzidy przybędą tutaj na twoje życzenie.

— Leśny bracie, uradowałeś moje serce. Idź szczęśliwie i nieś to posłanie.

Małpa odwróciła się i zręcznie wspięła na drzewo. Promień słońca załśnił na lufie strzelby przewieszanej przez jej plecy.



Corinth westchnął, ziewnął i wstał z za biurka odsuwając od siebie papiery. Nie odezwał się, ale dla jego asystentów pochylonych nad aparaturą badawczą, przesłanie było jasne: (do diabła z tym. Jestem zbyt zmęczony, by jasno myśleć. Idę do domu).

Johansson machnął ręką, co było równie jasne, jakby powiedział to na głos: (ja chyba jeszcze chwilę zostanę, szefie. Zaczyna nam ładnie wychodzić). Grunewald dodał krótkie skinienie.

Corinth automatycznie sięgnął po papierosa, ale kieszeń miał pustą. O tytoń teraz nie było łatwo. Miał nadzieję, że świat niedługo zacznie działać normalnie, ale z każdym dniem wydawało się to mniej prawdopodobne. co się dzieje poza granicami miasta? Kilka profesjonalnych i amatorskich stacji

radiowych utrzymywało szczątkową komunikację z Zachodnią Europą, obiema Amerykami i Pacyfikiem, ale reszta planety była pogrążona w ciemności — od czasu do czasu docierała wiadomość o jakimś akcie przemocy, a potem znów panowała cisza.

Wczoraj Mandelbaum ostrzegł go, aby miał się na baczności. Pomimo wszystkich zabezpieczeń misjonarze Trzeciego Ba'ala wkroczyli do miasta i nawracali na swą religię kogo popadnie. A nowa religia wyglądała na zdecydowanie orgiastyczną, pełną morderczej nienawiści do logiki, nauki i racjonalności — można się po niej spodziewać wyłącznie kłopotów.

Corinth szedł mrocznymi korytarzami. Z powodu koniecznych oszczędności działały tylko nieliczne stacje energetyczne, obsługiwane i pilnowane przez ochotników. Windy funkcjonowały tylko do zachodu słońca, więc zszedł siedem pięter po schodach. Przygniatała go samotność, więc gdy zobaczył światło w biurze Helgi zatrzymał się, zawahał i wreszcie zapukał.

— Proszę.

Otworzył drzwi. Helga siedziała przy zabałaganionym biurku, pisząc jakiś manifest. Nie znał symboli, których użyła, pewnie wymyśliła je sama i były bardziej efektywne, niż, konwencjonalne. Wciąż dobrze wyglądała, ale głęboki niepokój sprawił, że jej oczy zmatowiały.

— Witaj, Pete.

Jej uśmiech był zmęczony, ale ciepły.

– Jak się miewasz?

Corinth wypowiedział dwa słowa i zrobił trzy gesty;

zrozumiała jego intencje dlatego, że znała jego stare nawyki: (Och — w porządku. Ale ty — sądziłem, że przyłączyłaś się do Feliksa, żeby mu pomóc ogarnąć jego nowy zarząd).

(Owszem) odparła. (Ale tutaj czuję się lepiej i dla mojej pracy to równie dobre miejsce, jak każde inne. A przy okazji, kto zajął się moją dawną pracą?).

(Billy Saunders — ma dziesięć lat, ale to bystry dzieciak. Może jednak powinniśmy wziąć jakiegoś kretyna. Dla dziecka to może być za duże obciążenie fizyczne).

(Wątpię. I tak teraz nie ma zbyt wiele do roboty. Wy, chłopcy, od czasu zmiany współpracujecie bardzo gładko — w przeciwieństwie do reszty świata!).

— Nie wiem, czy to dla ciebie bezpieczne tak oddalać się od swojego mieszkania — Corinth zakołysał się niespokojnie.

— Słuchaj, odwiozę cię do domu. — Nie ma potrzeby.

W jej głosie pojawił się ostry ton, a Corinth uświadomił sobie niejasno, że Helga go kocha.

Wszystkie nasze uczucia stały się silniejsze. Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo ludzkie życie emocjonalne związane jest z mózgiem, o wiele bardziej, niż Życie emocjonalne zwierząt.

— Usiądź — zaprosiła go, odchylając się na fotelu. — Odpocznij przez chwilę. Uśmiechnął się słabo, opadając na krzesło.

— Szkoda, że nie mamy piwa — wymamrotał. (Byłoby jak za dawnych czasów).

— Dawne czasy — stracona niewinność Zawsze ich żałujemy, prawda? Zawsze będziemy się oglądać na naszą ślepotę z tęsknotą, której nowe pokolenie po prostu nie zrozumie. —

Bardzo delikatnie uderzyła pięścią w blat. Światło lśniło złotem w jej włosach.

– Jak posuwa się twoja praca? – spytała po chwili. Wokół nich panowała cisza.

— Zupełnie dobrze. Jestem w kontakcie z Rhayaderem w Anglii, rozmawiamy na falach krótkich. Nie mają łatwo, ale jakoś się trzymają. Paru tamtejszych biochemików pracuje z drożdżami i mają dobre wyniki. Mają nadzieję, że do końca roku potrafią się wyżywić, może nie będzie to bardzo smaczne, ale da się zjeść. Budują stacje syntezy pożywienia. Podrzucił mi parę informacji, które pasują do teorii pola hamującego – to wyjaśnia, w jaki sposób ono powstaje. Johansson i Grunewald pracują nad urządzeniem generującym takie pole na małą Skalę; jeśli im się to uda, będziemy wiedzieć, że nasza hipoteza jest słuszna. Potem Nat może tego użyć do szczegółowego badania efektów biologicznych. Co do mnie, zajmuję się rozszerzeniem ogólnej mechaniki relatywistycznej Rhayadera — dodaję nowe wariacje do teorii komunikacji.

— Jaki masz w tym cel, poza zaspokojeniem ciekawości?

— Praktyczny, zapewniam cię. Może uda nam się znaleźć sposób generowania energii atomowej z jakiegokolwiek materiału poprzez sterowany rozpad jąder atomowych: to byłby koniec problemów z paliwem. Może nawet znajdziemy sposób, aby podróżować szybciej, niż Światło. Gwiazdy... Cóż...

— Nowe światy. Albo może wrócimy do pola hamującego, daleko w kosmosie — dlaczego nie? Znów będziemy głupi. Może dzięki temu szczęśliwsi. Nie, nie, wiem, że nie możemy do tego wrócić.

Helga Otworzyła szufladę i wyciągnęła pogniecioną paczkę.

— Papierosa?

— Aniele! Jak udało ci się je zdobyć?

— Mam swoje sposoby — podała mu płonąca zapalną i sama od niej odpaliła papierosa. — Skuteczne.

Przez chwilę palili w ciszy, ale znali swoje myśli. Migają między nimi jak latarnia.

— Lepiej cię odprowadzę – powiedział Corinth. — Na zewnątrz nie jest bezpiecznie. Zwolennicy proroka...

— W porządku — odparła. — Tyle, że ja mam samochód, a ty nie.

— Od ciebie do mnie jest tylko kilka przecznic w bezpiecznej strefie.

Jak dotąd, nie udawało się patrolować całego miasta, więc władze skupiły się na konkretnych ulicach i strefach.

Corinth zdjął okulary i potarł oczy.

— W sumie to tego nie rozumiem — powiedział. — Relacje międzyludzkie nigdy nic były moją mocną stroną, i nawet teraz nic bardzo... No, dlaczego ten nagły wzrost inteligencji spowodował, że tak wielu ludzi wróciło do poziomu zwierząt? Dlaczego nie widzą... ?

— Nie chcą. — Helga zaciągnęła się mocno. — Abstrahując od tych, którzy popadli w obłąd, reszcie zostaje konieczność nie tylko myślenia jako takiego, ale myślenia o czymś. Masz miliony – setki milionów – ludzi, a w ich głowach przez całe życie nie powstała żadna oryginalna myśl. Nagle ich mózgi wskakują na wyższy bieg. Zaczynają myśleć – ale jakie mają podstawy? Wciąż trzymają się starych przesądów, przekonań, nienawiści, lęków i

chciwości, a większość ich nowej energii mentalnej marnuje się w procesie zawilej racjonalizacji. Wtedy pojawia się ktoś taki jak Trzeci Ba'al i oferuje przestraszonym i zdezorientowanym środek uspokajający; mówi im, że należy odrzucić cały ten okropny zamęt myśli i zapomnieć się w emocjonalnej orgii. To nie potrwa wiecznie, Pete, ale zmiana jest trudna.

— Taak... hmm... Musiałem uzyskać IQ w okolicach 500 — cokolwiek to znaczy — żeby wreszcie pojąć, na co liczą małe umysły. Przyjemna myśl.

Corinth skrzywił się i zgasił papierosa. Helga zebrała papiery i włożyła je do szuflady.

— Idziemy?

— Chyba tak. Już prawie północ. Obawiam się, że Sheila będzie się martwić.

Przeszli przez wyludniony hol, minęli strażników i wyszli na ulicę. Samotna latarnia rzucała słabe światło na samochód Helgi. Siadła za kierownicą i ruszyli cicho przez noc.

— Chciałabym – jej głos w ciemności był słaby. – Chciałabym być gdzieś daleko stąd. Gdzieś w górach.

Przytaknął, nagle chory z tęsknoty za Otwartym niebem i jasnym światłem gwiazd.

Ludzie pojawili się przed nimi tak nagle, że nic mieli Czasu na ucieczkę. W jednej chwili jechali przez pustą ulicę, a w następnej przeciskali się przez tłum. Ludzie wylali się z bocznych alejek, słyszeli tylko cichy pomruk głosów i szuranie tysięcy stóp. Światło z kilku latarni odbijało się w ich oczach i zębach. Helga zahamowała z piskiem opon.

Tuż obok rozległ się wibrujący okrzyk, który przerodził się w

głębokie skandowanie.

— Zabić jajogłowych!

Żywy nurt zafalował wokół samochodu, a Corinth poczuł gorące oddechy i usłyszał ochryple głosy.

Zza wysokich budynków wystrzelił słup ognia, coś się paliło. Światło wyglądało jak krew na głowie wbitej na tyczkę.

Musieli odwołać patrole, pomyślał w panice Corinth, ci ludzie musieli się wedrzeć do chronionej strefy i zniszczą ją, zanim przybędą posiłki.

Do okna od strony kierowcy przykleiła się brudna, brodata i cuchnąca twarz.

– Uch, kobieta! On ma tu kobietę!

Corinth wyciągnął z kieszeni płaszcz pistolet i wypalił. Poczuł w barku siłę odrzutu i pieczenie, gdy ziarenka prochu wbiły mu się w skórę. Twarz wisiała za oknem przez całą wieczność, zmieniona w miazgę krwi i potrzaskanych kości. Wreszcie się osunęła, a tłum zawył. Samochód zadygotał pod Jego naporem.

Corinth napiął mięśnie napierając na drzwi, próbując je otworzyć i wysiąść. Ktoś złapał go za nogi. Kopnął, czując, że trafił w czyjeś zęby i wstał. Jego twarz oświetliła łuna pożaru. Jakimś cudem zdołał wdrapać się na maskę auta. Zdjął okulary, nie zastanawiając się nawet, dlaczego to zrobił. Ogień, tłum i budynki zamieniły się w niewyraźne plamy.

– Posłuchajcie mnie! — krzyknął. – Słuchajcie mnie, ludzie Ba’ala!

Obok śmignął pocisk, poczuł jego podmuch, ale nie było czasu na strach.

— Słuchajcie słowa Trzeciego Ba’ala!

— Niech mówi! — w falującej, mamroczącej, nieludzkiej rzece rozległ się głos. – Słuchajcie jego słów.

— Pioruny, grzmoty i deszcz bomb! – krzyknął Corinth. – Jedzcie, pijcie i radujcie się, bo zbliża się koniec świata! Nie słyszycie, jak pod waszymi stopami jęczy ziemia? Jajogłowi odpalili wielką bombę atomową. Chcemy ich zabić, zanim ziemia rozpadnie się jak gnijący owoc. Jesteście z nami?

Zatrzymali się, mrużąc, szurając nogami, niepewni tego, co usłyszeli. Corinth ciągnął dalej, entuzjastycznie, ledwie świadomy tego, co mówi.

– ...zabić, obrabować i uprowadzić kobiety! Ogień, czysty ogień, niech obejmie naukowców, którzy odpalili wielką bombę atomową. Tędy, bracia! Wiem, gdzie się ukrywają. Za mną!

— Zabić ich!

Entuzjazm rósł, dziwnie obsceniczny między budynkami Manhattanu. Głowa na tyczce kiwała się dziko, ogień błyskał na jej zębach.

— Tam! — Corinth tańczył na masce, wskazując na Brooklyn. — Tam się ukrywają, ludzie Ba’ala. Widziałem bombę atomową na własne oczy i wiem, że koniec Świata jest bliski. Przysłał mnie sam Trzeci Ba’al, żebym was poprowadził. Niech jego pioruny spalą mnie żywcem, jeśli to nie jest prawda!

Helga nacisnęła klakson, którego potężny ryk przyprawił ich prawie o szaleństwo. Ktoś zaczął skakać niczym koza, inni dołączyli do niego i tłum zaczął wreszcie zmierzać w dół ulicy.

Rozdygotany Corinth zszedł na ziemię.

— Jedź za nimi — wysapał. — Nabiorą podejrzeń, jeśli za nimi nie pojedziemy.

— Jasne, Pete.

Helga pomogła mu wsiąść i ruszyła za tłumem. W światłach samochodu widzieli tylko mur ludzkich pleców. Raz po raz, aby ich ponaglić, naciskała klakson.

Corinth oddychał chrapliwie.

– Jazda — mruknął.

Helga skinęła głową, zawróciła i pognęła ulicą przed siebie. Za nimi słyhać było wrzaski, gdy z policyjnych helikopterów rozpylano gaz łzawiący.

Po długiej chwili Helga zatrzymała się przed mieszkaniem Corintha.

— Jesteśmy — powiedziała.

— Ale miałem zamiar odprowadzić cię do domu – powiedział Słabo.

– Odprowadziłeś. Poza tym powstrzymałeś te zwierzaki przed rozpętaniem piekła i uratowałeś nas. — Na jej ustach pojawił się drżący uśmiech, w oczach miała łzy. — Pete, to było wspaniałe. Nie wiedziałam, że jesteś zdolny do czegoś takiego.

— Ja też nie – powiedział, pokaszując.

— Może minąłeś się z powołaniem. No to — Zamilkła na chwilę. — No to, dobrej nocy.

— Dobranoc — odparł,

Pochyliła się lekko, usta miała rozchylone, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć. Potem zamknęła je i potrząsnęła głową. Trzaśnięcie drzwiami odbiło się głośnym echem na pustej ulicy.

Corinth stal i patrzył na oddalający się samochód. Potem odwrócił się powoli i wszedł do budynku.

ROZDZIAŁ 8

Powoli kończyły się zapasy — jedzenie dla niego samego, karma i sól dla tych zwierząt, które pozostały. Nie było prądu, a nie chciał zużywać paliwa w znalezionych lampach benzynowych. Brock uznał, że musi pojechać do miasta.

— Joe, zostań tutaj — powiedział. — Powinienem niedługo wrócić.

Pies skinął głową w niemal ludzki sposób. Szybko chwycił sens języka; Brock miał zwyczaj mówienia do niego, a niedawno zaczął przemyślany program edukacyjny.

— Miej oko na wszystko powiedział, spoglądając niespokojnie w stronę lasu.

Nalał benzyny do baku zielonego pickupa, wsiadł i wyjechał na drogę. Był chłodny, mglisty poranek, w powietrzu unosił się zapach deszczu, a linia horyzontu ginęła we mgle. Podążając drogą do miasta pomyślał, że wieś jest kompletnie wyludniona. Ile czasu minęło od zmiany — dwa miesiące? Może w mieście nikogo nie było.

Skręcając na wybetonowaną drogę stanową wcisnął gaz, aż motor zawył. Nie miał wielkiej ochoty na spotkanie z normalnymi ludźmi i chciał to już mieć za sobą. Czas, który spędził sam, był spokojny — miał mnóstwo ciężkiej pracy, owszem; ale kiedy nie był zbyt zajęty albo zbyt zmęczony, czytał i

myślał, badając możliwości swego umysłu który, jak podejrzewał, według standardów sprzed zmiany, był genialny. Powoli przyzwyczaił się do pustelniczego trybu życia — zawsze mogłoby być gorzej – i nie spieszył się do ponownego spotkania ze światem.

Kilka dni wcześniej podjechał do Martinsona, sąsiada, ale nikogo tam nie było. Farma była opuszczona i zamknięta. Poczuł się przez to tak upiornie, że nie zaglądał już do nikogo więcej.

Minął kilka domów stojących przy drodze, potem przejechał przez wiadukt i wjechał do miasta. Na ulicach nikogo nie było widać, ale domy wyglądały na zamieszkałe. Jednak większość sklepów była zamknięta, spoglądały na niego zabite deskami okna. Zadrżał.

Zaparkował przy supermarkecie A&P. Nie wyglądał wcale jak sklep. Był nieźle zaopatrzony, jednak nie widział etykietek z cenami, a mężczyzna za ladą nie wyglądał na sprzedawcę. Po prostu tam siedział, i — myślał?

Brock podszedł, jego kroki na podłodze brzmiały dziwnie głośno.

— Hm... przepraszam zaczął, bardzo cicho.

Mężczyzna uniósł głowę. W jego oczach błysnęło rozpoznanie, a na twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— O, witaj, Archie — powiedział z wyuczoną powolnością. — Jak się masz?

— W porządku, dziękuję, — Brock popatrzył na swoje buty, nie mogąc spojrzeć w spokojne oczy sprzedawcy. — Przeszedłem kupić kilka rzeczy.

— O? — w jego głosie pojawił się chłód. — Przykro mi, ale nie

posługujemy się już pieniędzmi.

— Ale, ja... — Brock wyprostował się i z trudem spojrzął tamtemu w twarz. — Tak, rozumiem. Rząd upadł, zgadza się?

— Niezupełnie. Po prostu stracił znaczenie, to wszystko — mężczyzna potrząsnął głową. — Na początku mieliśmy tu własne problemy, ale zreorganizowaliśmy się w oparciu o racjonalne zasady. Teraz sprawy idą w miarę gładko. Nadal brakuje nam rzeczy, które dostawaliśmy z zewnątrz, ale możemy się utrzymać niezależnie. Od tego, w razie potrzeby.

— Ekonomia socjalistyczna?

— Cóż, Archie — odparł mężczyzna — to tylko nazwa, biorąc pod uwagę, że socjalizm opierał się jednak na idei własności. Ale co właściwie znaczy pojęcie własności? Tylko tyle, że możesz zrobić co zechcesz z należącą do ciebie rzeczą. Zgodnie z tą definicją, na świecie nie istniała w zasadzie czysta własność. To raczej kwestia symbolu, umowy. Człowiek powiedział sobie „to jest mój dom, to jest moja ziemia” i poczuł się silny i bezpieczny; ponieważ „mój, moje” było symbolem stanu bycia, a on na ten symbol reagował. Teraz, no cóż... nie patrzymy już przez pryzmat samooszukiwania. Wcześniej spełniał swoją rolę w budowaniu szacunku do samego siebie i równowagi emocjonalnej, ale już go nie potrzebujemy. Nie ma powodu przywiązywania się do konkretnego kawałka gleby, skoro funkcja ekonomiczna, której służy w inny sposób, może być bardziej efektywna. Dlatego większość farmerów przeniosła się do miasta zajmując opuszczone domy tych, którzy zdecydowali się wyjechać.

— I wspólnie pracujecie?

— Z grubsza można to tak ująć. Ci, którzy mają zdolności do

mechaniki wymyślają maszyny. To zdumiewające, co można zrobić z silnikiem od traktora i paroma kawałkami złomu, jeśli masz mózg, który potrafi to wszystko poskładać we właściwy sposób.

Znaleźliśmy nasz poziom, przynajmniej chwilowo. Ci, którym się to nie podobało, w większości odeszli, a reszta jest zajęta opracowywaniem nowych reform społecznych, przystosowanych do naszych nowych osobowości. Mamy tu całkiem niezłe wyważony układ.

— Ale co robicie?

— Obawiam się — łagodnie odrzekł mężczyzna — że nie potrafiłbym ci tego wytłumaczyć.

Brock znów odwrócił oczy.

— No tak — powiedział wreszcie dziwnie zachrypniętym głosem. — Jestem sam w posiadłości Rossmana i kończą mi się zapasy. Poza tym będę potrzebował pomocy przy zbiorach. Co mam robić?

— Jeśli chcesz przystąpić do naszej społeczności jestem pewien, że znajdzie się miejsce.

— Nie, ja tylko chcę...

— Radziłbym ci z całego serca, żebyś do nas dołączył, Archie. Będziesz potrzebował wsparcia społeczności. Tu już nic jest bezpiecznie. Gdy zaczęła się zmiana, w pobliżu stał cyrk, dzikie zwierzęta uciekły i kilka z nich nadal biega na wolności.

Brock poczuł chłód.

— To musiało być... ekscytujące — powiedział powoli.

— Było — mężczyzna uśmiechnął się lekko. — Widzisz, na początku o tym nie wiedzieliśmy; mieliśmy dosyć własnych

zmartwień i nie dotarło do nas, że zwierzęta też się zmieniły, dopóki nie było za późno. Jedno z nich musiało otworzyć klatkę i wypuścić pozostałe zwierzęta, aby w ten sposób ukryć Swoją ucieczkę. Wokół miasta wałęsał się tygrys, porwał kilkoro dzieci i nie udało nam się go upolować — po prostu któregoś dnia zniknął. Gdzie? A co ze słoniami i... nie, Archie, sam nie jesteś bezpieczny — zamilkł na chwilę. — I mamy tu mnóstwo czysto fizycznej pracy. Lepiej przyłącz się do naszej społeczności.

— Do diabła! — poczuł w sobie nagły gniew, palący i gorzki. — Chcę tylko niewielkiej pomocy. Możecie w zamian wziąć część plonów. To przecież żaden dla was problem, skoro macie te sprytne nowe maszyny.

— Możesz spytać innych — powiedział mężczyzna. — Ja tutaj nie dowodzę. Ostateczna decyzja należy od Rady. Obawiam się jednak, że ty chcesz wszystko, albo nic. Nie będziemy ci się narzucać, jeśli tego nie chcesz, ale nie możesz spodziewać się dobroczynności z naszej strony. To kolejny przestarzały symbol. Jeśli chcesz się wpasować w ogólną ekonomię — w żadnym razie nie jest tyranią, daje więcej wolności, niż jakakolwiek istniejąca do tej pory — znajdziemy dla ciebie funkcję.

— W skrócie — powiedział Brock mocnym głosem — mogę być albo zwierzątkiem domowym i robić to, co mi się każe, albo pozostać człowiekiem, dzikim i ignorowanym przez resztę świata. Do diabła ciężkiego! — odwrócił się na pięcie. — Pocałujcie mnie gdzieś.

Wychodząc i wsiadając do ciężarówki dygotał. Najgorsze było to, pomyślał z rozpaczą, najgorsze było to, że mieli rację. Nie przetrwa długo jako parias. Kiedyś był opóźniony i to było w

porządku; nie wiedział wystarczająco dużo, aby zdawać sobie sprawę, co to znaczy. Teraz tak, i życie w podległości złamałoby go.

Ruszył z wściekłością, biegi zazgrzytały, a silnik zawył. Poradzi sobie bez ich pomocy, choćby nie wiadomo co. Skoro nie potrafi być żebrakiem i nie chce być zwierzątkiem domowym, w porządku, pozostanie dzikusem.

Wracał z lekkomyślną prędkością. Po drodze na polu zauważył maszynę: wielki, tajemniczy stwór wymachujący ramionami, pracujący pod nadzorem jednego znudzonego człowieka.

Pewnie zbudują jakiegoś robota na jego miejsce, gdy tylko dostaną części. I co z tego? Nadal miał dwie sprawne ręce.

Kawałek dalej droga biegła skrajem lasu. Wydawało mu się, że coś mignęło między drzewami, wielki szary kształt, który zaraz cicho się wycofał, ale nie był tego pewien.

Gdy zbliżał się do farmy, trochę zdołał się uspokoić, zresztą z natury miał spokojne usposobienie. Zatrzymał się i zaczął myśleć. Krowy dawały mleko, mógł mieć masło, może ser. Kury, które udało mu się połapać, znosiły jaja. Od czasu do czasu można zarżnąć owcę – nie, zaraz, dlaczego zamiast tego nie zapolować na te cholerne świnie? — dzięki temu na jakiś czas miałby mięso; wędzarnia była na miejscu. Mógł zebrać wystarczająco dużo siana, ziarna i kukurydzy — Tom i Jerry po prostu będą musiały pracować! — żeby przetrwać zimę. Gdyby skonstruował jakieś żarna, mógłby wytwarzać grubą mąkę i piec własny chleb. Wszędzie poniewierało się mnóstwo ubrań, butów, narzędzi. Problemem była sól, ale gdzieś musiała zostać, więc mógłby jej poszukać i po nią pojechać – i będzie musiał

oszczędzać paliwo i narąbać dużo drewna na zimę, sądził jednak, że da radę. W taki czy inny sposób, da sobie radę.

Uświadomił sobie czekający go ogrom pracy. Jeden człowiek! Jedna para rąk! Ale przecież kiedyś już tak było, ludzkość pokonała tę ciężką drogę. Jeśli obniży standard życia i przez jakiś czas będzie miał gorzej zbilansowaną dietę, chyba go to nie zabije.

No i miał mózg, który według norm sprzed zmiany był czymś niespotykanym. Już zaprzął ten umysł do pracy: najpierw ustalił plan działań na następny rok z okładem, a następnie wymyślił przyrządy, które ułatwiłyby przeżycie. Jasne — był w stanie temu poddać.

Wyprostował się i wcisnął gaz, chcąc jak najszybciej dostać się do domu i zacząć pracę.

Kiedy wjechał na drogę, hałas prawie go ogłuszył. Słyszał kwiki, chrząkanie i trzask tratowanego poszycia, w panice skręcił kierownicę, a ciężarówka aż się przechyliła. *Świnie obserwowały farmę i widziały, że wyjeżdżam...*

A on zapomniał zabrać broń.

Zaklął i z rykiem silnika ruszył dalej mijając dom i wjeżdżając na podwórze farmy. Zobaczył istne pandemonium. Świnie siały spustoszenie, jak małe, czarno—białe czołgi. Drzwi stodoły stały otworem, a one dopadły worków z paszą, porozrywały je, tarzały się w niej, niektóre wlokły całe worki do lasu.

Był tam także byk, musiał uciec, gdy zobaczył człowieka. Teraz parskął wściekle i ryczał, wokół przeraźliwie muczały krowy, które zerwały elektryczny pastuch i przyszły na farmę. Na podwórzu leżały dwie martwe owce, stratowane i porozrywane,

reszta musiała uciec w przerażeniu. A Joe...

— Joe — zawołał Brock. — Gdzie jesteś, piesku?

Padał deszcz, w zasadzie tylko mżawka, która zacierała widok i mieszała się z krwią na ziemi. Stary knur leżał w błocie i błyszczał jak stal. Gdy nadjechała ciężarówka uniósł głowę i zakwiczał.

Brock ruszył prosto w jego kierunku. Ciężarówka była teraz jego jedyną bronią. Knur odskoczył na bok, a Brock zahamował przed drzwiami stodoły. Zaraz otoczyły go świny, napierając na kola i boki, wychrzäkując swoją nienawiść. Byk opuścił głowę i zaczął grzebać kopytem w ziemi.

Joe zaszczekał rozpaczliwie z dachu kurnika. Krwawił, widocznie stoczył ciężką walkę, ale jakoś zdołał wspiąć się na budynek i ocalić życie.

Brock cofnął ciężarówkę, zawrócił i ruszył na stado. Rozstąpiło się przed nim, ale w tym miejscu było zbyt ciasno i nie mógł rozpędzić się na tyle, aby w nie uderzyć, a one się nie poddawały. Byk zaszarżował.

Nie było czasu na strach, ale Brock ujrzał śmierć. Zawrócił i ruszył przez podwórze. Byk ustawił się tak, że zderzenie czołowe było nieuniknione. Brock poczuł, jakby jakaś gigantyczna dłoń przycisnęła go do fotela.

Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Byk chwiał się, wciąż na nogach, ale ciężarówka była już bezużyteczna. Świny najwyraźniej zdawały sobie z tego sprawę i triumfalnie ruszyły w kierunku człowieka.

Skulił się w kabinie i zaczął grzebać pod siedzeniem. Leżał tam uspokajająco ciężki klucz z długą rączką.

— Dobra — wymamrotał. — Tylko tu chodźcie.

Coś wyłoniło się z lasu i mgły. Było szare, ogromne, sięgało nieba. Byk podniósł poobijany łeb i parsknął. Świnie przerwały zmasowany atak i na chwilę zrobiło się cicho.

Wystrzał ze strzelby padł jak uderzenie pioruna. Stary knur nagle zaczął biegać w kółko, oszalały z bólu. Kolejny wystrzał spowodował, że byk odwrócił się i pognał w stronę lasu.

Słoń, dotarło do otumanionego umysłu Brocka, słoń przyszedł na pomoc...

Wielki, szary kształt powoli wszedł pomiędzy świnie. Kręciły się niespokojnie, z oczami pełnymi nienawiści i przerażenia. Knur upadł na ziemię i leżał. Uchodziły z niego resztki życia. Słoń wygiął grzbiet i ruszył dziwnie zgrabnym biegiem. Świnie uciekły.

Brock siedział przez kilka minut, trzęsąc się tak bardzo, że nie mógł się poruszyć. Gdy wreszcie wysiadł, nadal z kluczem w ręce, słoń był w stodole i pożywiał się spokojnie. Przed Brockiem pojawiły się dwa nieduże, włochate kształty.

Joe zaszczekał anemicznie i przykuśtykał do swojego pana.

– Cicho, piesku — wymamrotał Brock. Stał na miękkich nogach i patrzył w pomarszczoną, brązową twarz szympansa, który trzymał strzelbę.

— Dobra — powiedział w końcu. Zimny deszcz chłodził mu policzki. — Okay, teraz ty tu jesteś szefem. Czego chcesz?

Szympanś przyglądał mu się przez długą chwilę. Był to samiec, jak zauważył, drugi był samicą. Gdzieś przeczytał i teraz to sobie przypominał, że pochodzące z tropików małpy nie za dobrze znoszą północny klimat. Musiały pochodzić z cyrku, o którym

mówił mężczyzna w sklepie, pomyślał, musiały ukraść broń i zabrać ze sobą słoń. Teraz...

Szympanś zadrżał. Potem, bardzo powoli, nie spuszcżając oczu z człowieka, położył broń na ziemi i pociągnął Brocka za kurtkę.

— Rozumiesz mnie? — zapytał człowiek. Był zbyt zmęczony, aby docenić fantastyczny aspekt tej sytuacji. — Znasz angielski?

Nie było odpowiedzi, poza tym, że małpa nadal ciągnęła go za kurtkę, niezbyt mocno, ale nagłaco. Po chwili dłoń o długich palcach wskazała na kurtkę, a potem na siebie i swoją towarzyszkę.

— Aha — powiedział łagodnie Brock. — Chyba rozumiem. Boicie się i potrzebujecie pomocy człowieka, ale nie chcecie wracać do klatki. Zgadza się?

Żadnej odpowiedzi. Ale w dzikich oczach widział błaganie.

— No tak — powiedział Brock — przybyłyście w samą porę, uratowałyście mi życie, nie zabiłyście mnie, choć mogłyście zrobić to bez trudu. — głęboki oddech. — A Bóg jeden wie, jak przydałaby mi się tutaj pomoc, wasza dwójka i słoń to byłoby naprawdę coś. i... dobrze. Jasne.

Zdjął swoją kurtkę i podał ją szympanśowi. Małpa zaszczębiotała miękko i nałożyła ją. Nie pasowała za dobrze i Brock musiał się roześmiać.

Potem przeciągnął się.

— Dobra. Niech będzie. Wszyscy razem będziemy dzikimi zwierzętami. Okay? Chodźmy do domu i zjedźmy coś.

ROZDZIAŁ 9

Vladimir Iwanowicz Paniuszkin stał pod drzewami pozwalając, aby deszcz kapał mu z hełmu na ramiona i ściekał po płaszczu. To był dobry płaszcz, po ostatniej bitwie ściągnął go z jakiegoś pułkownika i woda spływała po nim jak po kaczce. To, w dziurawych butach chlupotała mu woda, nie miało znaczenia.

Ze wzgórza miał widok na skraj lasu i dolinę, dalej wszystko było zamazane deszczem. O ile mógł dostrzec, nic nigdzie się nie poruszało, tylko wciąż padał deszcz. Nie słyszał nic poza jego jednostajnym szumem. Jednak według wskazań przyrzędów w pobliżu stacjonował oddział Armii Czerwonej.

Popatrzył na przyrząd w rękach popa. Przez zaparowaną szybkę igła była ledwie widoczna. Widział jednak, jak się porusza. Nie rozumiał działania tej rzeczy — pop ją zrobił — ale już wcześniej dawała ostrzeżenia.

— Vladimirze Iwanowiczu, powiedziałbym, że są jakiś kilometr stąd. — Broda popa kołysała się, gdy mówił. Była matowa od wilgoci i opadała sztywno na złachmanioną sutannę. — Przechodzą bokiem, nie zbliżają się do nas. Może Bóg myli ich ścieżki.

Paniuszkin wzruszył ramionami. Sam był materialistą. Ale skoro człowiek boży chciał pomóc w walce przeciwko sowieckiemu rządowi, chętnie przyjął tę pomoc.

— A może mają inne plany — odparł. — Uważam, że powinniśmy się skonsultować z Fiodorem Aleksandrowiczem.

— Nie powinien tyle pracować, mój synu — powiedział pop. — Jest bardzo zmęczony.

— Jak my wszyscy, przyjacielu — słowa Paniuszkińki były wyprane z emocji. — Ale to kluczowa operacja. Jeśli przebijemy się do Kirowogradu, to możemy odizolować Ukrainę od reszty kraju. Wtedy ukraińscy nacjonaści mogą powstać z nadzieją na powodzenie.

Zagwizdał cicho, wydobył z ust kilka nut o wielkim znaczeniu. Muzyka mogła być językiem. Powodzenie powstania w imperium sowieckim częściowo zależało od tajnych języków.

Z ociekających deszczem krzaków, w których zniknęły oddziały Paniuszkińki, wyłonił się Wrażliwy. Był mały jak na czternaście lat, a w oczach miał pustkę. Pop zauważył gorączkowy rumieniec na jego policzkach i przeżegnał się, mamrocząc modlitwę za chłopca. Wykorzystywanie go do tak ciężkiej pracy wywoływało w nim wielki smutek. Ale jeśli bezbożnicy mieli upaść, musiało to nastąpić wkrótce, i tacy Wrażliwi byli niezbędni. Stanowili niewykrywalne ogniwo łączące gniewnych ludzi od Rygi po Władywostok; najlepsi z nich byli szpiegami, jakich nigdy wcześniej nie miała żadna armia. Jednak wciąż wielu było takich, którzy stali za panami powodowani lojalnością, strachem, albo troską o własne interesy i to oni mieli broń. Dlatego rebelianci stworzyli zupełnie nową koncepcję wojny.

Ludzie nienawidzą swojego rządu, ale trwają przy nim, bo wiedzą, że ci, którzy protestują, giną. Ale jeśli ci wszyscy ludzie –

albo większość z nich — zbiorą się i zadziałają jak jedno ciało, rząd zdoła zastrzelić tylko kilku z nich. A rząd odcięty od swoich korzeni, ziemi i ludzi jest słaby, nie trzeba nawet miliona zbrojnych, by go zniszczyć.

— Tam jest Czerwona Gwiazda — powiedział Paniuszkin, wskazując kierunek w deszczu. — Fiodorze Aleksandrowiczu, możesz nam powiedzieć, co planują?

Chłopiec usiadł na błotnistym zboczcu wzgórza i zamknął oczy, Paniuszkin obserwował go ponuro. Wystarczająco trudna jest rola ogniwa łączącego tysiąc innych Wrażliwych na całym kontynencie. Sięganie do niechętnych umysłów mogło wyczerpać limit. Ale ktoś musi to robić.

— Oni... wiedzą, gdzie jesteśmy — głos chłopca zdawał się dochodzić z bardzo daleka. — Mają... przyrządy. Ich metal nas czuje. Oni... nie, to jest śmierć! Posyłają śmierć!

Otworzył oczy, zachłysnął się powietrzem i zemdłał. Pop przyklęknął, podniósł go i posłał Paniuszkinowi pełne wyrzutu spojrzenie.

— Pociski samonaprowadzające! — dowódca obrócił się na pięcie. — Więc teraz mają detektory, jak my. Ciekawych rzeczy się dowiedzieliśmy, co, ojczy? Zabierajmy się stąd, zanim nadlecą rakiety!

Zostawił wystarczająco dużo metalowych sprzętów, aby zmylić ich przyrządy i poprowadził ludzi wzdłuż pasma wzgórz. Gdy armia będzie się zajmowała odpalaniem rakiet skierowanych w ich obozowisko, On przeprowadzi atak na tyłach.

Z bożą pomocą albo bez niej, był prawie pewien, że atak się

powiedzie.



Feliks Mandelbaum ledwo zdążył usiąść, gdy odezwał się interkom.

– Gantry.

W głosie sekretarki było coś naglącego.

Gantry — nic mu nie mówiło to nazwisko. Westchnął i wyjrzał przez okno. Na ulicach wciąż czuło się chłód poranka, ale zapowiadał się upalny dzień.

W dole przesuwał się czołg broniący ratusza. Fala przemocy powoli opadała: w ubiegłym tygodniu schwytano proroka i kult Trzeciego Ba’ala zaczął się załamywać. Z gangami radzono sobie coraz skuteczniej, odkąd ochotnicza milicja urosła w siłę i doświadczenie. Do miasta wracał spokój. Nadal jednak nikt nie wiedział dokładnie, co dzieje się w innych dystryktach, a zanim uda się odzyskać pełną kontrolę, przez kraj przetoczy się niejedna jeszcze burza.

Mandelbaum oparł się wygodnie, rozluźniając napięte mięśnie. Ostatnio stale czuł zmęczenie, choć pozornie miał mnóstwo energii. Za dużo pracy, za mało czasu na sen. Nacisnął brzęczyk, dając znak, aby gość wszedł.

Gantry był wysoki i grubokościsty. Jego ubranie, choć dobrej jakości, niezbyt dobrze na nim leżało. Mówił z akcentem z północy stanu,

— Podobno teraz to pan rządzi miastem.

— Niezupełnie — powiedział Mandelbaum z uśmiechem. — Ja tylko staram się w miarę możliwości rozwiązywać problemy.

— Tak. Ale jeśli nie ma nic poza problemami, ktoś, kto je rozwiązuje, jest szefem.

W odpowiedzi Gantry'ego Mandelbaum wyczuł agresję. Nie próbował zaprzeczać, stwierdzenie w sumie było prawdziwe. Burmistrz zrobił wszystko, co w jego mocy, aby utrzymać normalne funkcjonowanie administracji. Mandelbaum był elastyczny, koordynował tysiące kłócących się elementów, tworzył podstawy polityki, a nowo utworzona rada miejska rzadko głosowała niezgodnie z jego sugestiami.

— Proszę usiąść — powiedział. — Jaki ma pan problem?

Jego błyskotliwy umysł już znał odpowiedź, ale potrzebował czasu i chciał, aby gość się wypowiedział.

— Reprezentuję stowarzyszenie farmerów z ośmiu hrabstw.

Przysłano mnie tutaj z pytaniem, dlaczego nas okradacie?

— Okradamy? — spytał Mandelbaum ze zdumieniem.

— Dobrze pan wie, o czym mówię. Nie wzięliśmy zapłaty w dolarach, więc próbowali wcisnąć nam obligacje miejskie. Ale ich też nie chcieliśmy, to powiedzieli, że zabiorą nasze plony.

— Wiem — powiedział Mandelbaum. — Niektórzy nie są zbyt taktowni. Przykro mi.

Gantry zmrużył oczy.

— Obieca pan, że nie wymierzą w nas broni? Mam nadzieję, ponieważ my także mamy broń.

— A macie również czołgi i samoloty? — spytał Mandelbaum. Czekał przez chwilę, aby znaczenie jego słów dotarło do rozmówcy i kontynuował. — Panie Gantry, w tym mieście zostało

sześć lub siedem milionów ludzi. Jeśli nie zdołamy zapewnić stałych dostaw żywności, będą głodować. Czy wasze stowarzyszenie pozwoli, aby siedem milionów niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci umarło z głodu, podczas gdy wy macie więcej jedzenia, niż możecie zjeść? Nie. Jesteście porządnymi ludźmi.

Nie moglibyście na to pozwolić.

— Nie wiem — odparł Gantry ponuro. — Po tym, co w zeszłym miesiącu wyprawiała ta tłuszcza uciekająca z miasta...

— Proszę mi wierzyć, rada miejska próbowała ich powstrzymać. Częściowo zawiedliśmy, panika była zbyt duża, ale udało nam się spowodować, że nie ruszyło na was całe miasto.

Mandelbaum złożył ręce jak do modlitwy.

— Gdybyście naprawdę byli potworami, pozwolilibyście tym ludziom umrzeć. Ale oni z pewnością nie czekaliby na to spokojnie. Prędzej czy później ruszyliby na was i to byłby koniec.

— Jasne. Jasne. — Gantry Splótł razem swoje duże, czerwone dłonie. Jakimś sposobem nagle znalazł się w defensywie. — To nieprawda, że my tam na wsi chcemy kłopotów. Po prostu... no, produkujemy dla was jedzenie, ale wy nam nie płacicie. Bierzecie je sobie i już. Wasze obligacje nic nie znaczą. Co możemy za nie kupić?

— Obecnie nic — szczerze odparł Mandelbaum. — Ale proszę mi wierzyć, to nie nasza wina. Ludzie tutaj chcą pracować. Na razie jeszcze nie jesteśmy wystarczająco zorganizowani. Kiedy to się uda, nasze obligacje będą oznaczały dla was ubrania i maszyny. Jednak jeśli pozwolicie nam głodować — co stanie się z waszym rynkiem zbytu?

— Wszystko to zostało powiedziane na spotkaniu stowarzyszenia — Odparł Gantry. — Ale jaką mamy gwarancję, że dotrzycie swojej części umowy?

— Panie Gantry, proszę posłuchać. Chcemy współpracować. Chcemy tego tak bardzo, że jesteśmy gotowi zaproponować waszym przedstawicielom miejsce w radzie miejskiej. Więc jak moglibyśmy wmawiać wam nieprawdę?

— Hmm... — Gantry zmrużył oczy. — Ilu mielibyśmy przedstawicieli?

Targowali się przez chwilę i wreszcie stanęło na czterech miejscach ze specjalnym prawem weta w konkretnych sprawach dotyczących polityki rolnej. Mandelbaum był pewien, że farmerzy się na to zgodzą: dał im pozory zwycięstwa.

Skrzywił się. Jak zdefiniować zwycięstwo? Prawo weta nie znaczyło nic, ponieważ polityka rolna i tak była bezdyskusyjna. Miasto, cały stan i naród zyskaliby na ujednoczeniu tak wielkich powierzchni gruntów. Być może nigdy nie uda się spłacić długów wobec farmerów — społeczeństwo zmieniało się tak gwałtownie, że za kilka lat miasta być może przestaną istnieć — ale to, choć godne ubolewania, było niezbyt istotne. Teraz liczyło się przetrwanie.

— North i Morgan — odezwał się głośnik.

Mandelbaum zebrał siły. To nie będzie łatwe. Naczelnik dzielnicy nadbrzeżnej i stuknięty polityczny teoretyk mieli własne ambicje i wielu zwolenników — zbyt wielu, aby uciszyć ich siłą. Wstał i zmusił się do uprzejmego przywitania.

North był tęgi, miał twardą twarz pokrytą fałdami tłuszczu; Morgan fizycznie był drobniejszy, a w jego twarzy dominowały

rozjarzone niezdrowo oczy. Wchodząc popatrzyli najpierw na siebie, a potem oskarżycielsko na Mandelbauma.

— Co to za pomysł, żeby nas tu ściągać o tej samej porze?

Chciałem się z panem zobaczyć prywatnie — warknął North.

— Przykro mi — powiedział nieszczercze Mandelbaum. — Musiało zajść jakieś nieporozumienie. Czy jednak moglibyście panowie usiąść na kilka minut? Może jakoś uda nam się to wyjaśnić.

— Tutaj nie ma żadnego „jakoś” — z irytacją powiedział Morgan. — Ja i moi zwolennicy mamy dość patrzenia, jak władze ewidentnie ignorują oczywiste zasady dynapsychologii. Ostrzegam, jeśli wkrótce nie zreorganizujecie kluczowych obszarów...

North odepchnął go bezceremonialnie i odwrócił się w stronę Mandelbauma.

— Słuchaj pan, w porcie Nowy Jork stoi bezużytecznie prawie sto okrętów, podczas gdy Wschodnie Wybrzeże i Europa chcą handlować. Moi chłopcy zaczynają się wkurzać, że nikt ich nie słucha.

— Ostatnio mieliśmy niewiele wiadomości z Europy — odparł Mandelbaum przepaszającym tonem. — Sytuacja na razie jest dla nas zbyt skomplikowana, by choćby próbować handlu przybrzeżnego. Czym mielibyśmy handlować? Gdzie znajdziemy paliwo dla tych okrętów? Przykro mi, ale...

Prawdziwy problem polega na tym, że nie możesz teraz robić swoich machlojek, pomyślał Mandelbaum.

— Wszystko wynika ze ślepego uporu — oświadczył Morgan. — Jak już wykazałem, integracja społeczna w myśl odkrytych

przeze mnie zasad psychologicznych wyeliminowałyby...

Twoim problemem jest to, że pragniesz władzy, ale zbyt wielu ludzi poszukuje panaceum, ostatecznej odpowiedzi, zimno pomyślał Mandelbaum. Brzmisz mądrze, więc sądzą, że jesteś mądry; niektórzy nadal chcą zbawcy na białym koniu, ale wolą, aby miał książkę pod pachę. Ty i Lenin!

— Przepraszam — powiedział na głos. — Panie North, jaką ma pan propozycję?

— Nowy Jork powstał jako miasto portowe i niedługo znów nim będzie. Tym razem chcemy, aby robotnicy mieli w tym swój sprawiedliwy udział. W końcu to dzięki nim ten port działa!

Innymi słowami, ty też chcesz być dyktatorem. Na głos powiedział z namysłem: — Obaj macie rację. Jednak musicie mieć świadomość, że nie można zrobić wszystkiego jednocześnie. Wydaje mi się, że obaj myślicie w podobny sposób. Może zawrzecie porozumienie i przedstawicie jednolite stanowisko? Wówczas będzie mi dużo łatwiej zaprezentować radzie wasze propozycje.

Blade policzki Morgana poczerwieniały.

— Banda spoconych robotli...

North zacisnął swoje wielkie pięści.

— Uważaj na język, chłoptasiu.

— No nie, panowie — powiedział Mandelbaum. — Obaj chcecie lepiej zorganizowanych władz, zgadza się? Wydaje mi się...

Hmmm. W dwóch parach oczu pojawiła się ta sama myśl. Szokująco łatwo udało się ją zaszcześcić. Razem może

moglibyśmy... a potem i tak mogę się go pozbyć.

Dyskusja trochę jeszcze trwała, ale w końcu North i Morgan porozumieli się. Mandelbaum niemal czuł ich pogardę; czy nigdy nie słyszeli o zasadzie „dziel i rządź”?

Poczuł smutek. Jak dotąd, ludzie aż tak bardzo się nie zmienili. Marzyciel z iskrą w oku po prostu budował wyższy zamek z piasku; twardy kanciarz nie znalazł słów, koncepcji ani wizji, które pozwoliłyby mu wznieść się ponad własną chciwość.

To nie potrwa długo. Za jakiś czas nie będzie żadnych Northów ani Morganów. Zmiana w nich samych, w całej ludzkości, zniszczy ich maluczkie dusze. Ale na razie zachowywali się jak groźne zwierzęta i jakoś musiał sobie z nimi poradzić.

Sięgnął po telefon.

— Halo, Bowers? Jak się miewasz? — Słuchaj, udało mi się doprowadzić do tego, że North i Morgan zawarli porozumienie. Przypuszczalnie planują coś w rodzaju Frontu Narodowego, chcą wejść do rady i przejąć wszystko siłą — taka rewolucja pałacowa, coup d'état^[15], czy jak chcesz to nazwać. — Tak. Zawiadam swoich agentów w obu partiach. Chcę pełnych raportów. Potem użyjemy tych samych agentów, aby napuścić ich na siebie nawzajem. — Tak, to porozumienie jest niestabilne. Jedno starannie obmyślane posunięcie i rzuca się na siebie. Potem, jak już milicja posprząta po tej wojnie gangów, możemy rozpocząć naszą własną kampanię propagandową. — Pewnie, to nie najlepszy czas, ale poradzimy sobie.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę mięśnie twarzy miał napięte ze zmartwienia. Właśnie skazał jakichś ludzi na śmierć.

Większość z nich ledwie wiedziała, o co chodzi. Ale nic nie

mógł na to poradzić. Może uda się ocalić życie i wolność kilku milionów — cena nie była wygórowana.

— Niełatwo być szefem — wymamrotał i spojrzał do terminarza. Do przyjazdu delegata z Albany miał jeszcze godzinę. To spotkanie też nie będzie łatwe. Mieszkańcy miasta codziennie łamali prawa stanowe i narodowe — byli zmuszeni to robić — i gubernator był wściekły. Chciał odzyskać władzę nad stanem. Nie było to życzenie pozbawione sensownych podstaw, ale na pewno nie teraz. A gdyby nawet to mu się udało, stare formy sprawowania władzy byłyby mniej więcej tak skuteczne, jak przekonywanie kogoś o wyższości świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkiej Nocy. Bardzo chciałby przekonać się do reprezentanta Albany, ale czuł, że to będzie bardzo trudne.

Jednak tymczasem, pomyślał, mam wolną godzinę. Przez kilka sekund wahał się, czy przyjrzeć się nowemu systemowi dostaw, czy usiąść nad planami zaprowadzenia jakiegoś prawa i porządku w Jersey. Wreszcie machnął ręką na obie kwestie i zabrał się za najnowszy raport o sytuacji wodnej.

ROZDZIAŁ 10

W laboratorium panował półmrok sprawiający, że pulsujące światło w sercu maszyny wyglądało na jaśniejsze niż w rzeczywistości, pulsowało niebiesko między różnymi zwojami i niewzruszonymi tarczami liczników. W jego blasku twarz Grunewalda wydawała się trupio blada.

— Tak — powiedział niepotrzebnie — to chyba to.

Pstryknął głównym wyłącznikiem, szum ucichł i światło zgasło. Przez chwilę stał, z zadumą przyglądając się uśpionemu szczurowi leżącemu między cewkami. Cienkie jak włos druciki łączyły jego ogolone ciało z miernikami, nad którymi pochylali się Johansson i Lewis. Lewis skinął głową.

— Aktywność neuronów znów podskoczyła — uważnie przyjrzał się wskazaniom oscyloskopu. — I to dokładnie w takim zakresie fal, jaki przewidywaliśmy. Stworzyłeś pole hamujące, brawo.

Potrzebne były jeszcze inne testy, trzeba przeprowadzić mnóstwo szczegółowych badań, ale to można zostawić asystentom. Główny problem został rozwiązany.

Grunewald wyciągnął grube, zaskakująco delikatne dłonie, podniósł szczura i zaczął odczepiać czujniki.

— Biedaczek — mruknął. — Ciekawe, czy robimy mu przysługę.

Corinth, przycupnięty na stołku, spojrział na niego z ukosa.

— Na co mu inteligencja? — perswadował Grunewald. — Uświadomi sobie nędzę swojego położenia, W gruncie rzeczy po co nam ona?

— A ty sam chciałbyś wrócić do poprzedniego stanu? — spytał Corinth.

— Tak — na kwadratowej twarzy Grunewalda pojawił się nagły upór. — Tak, chciałbym. Myślę zbyt dużo i zbyt jasno — wcale mi się to nie podoba.

— Może — wyszeptał Corinth — może masz trochę racji. Ta nowa cywilizacja — nie tyle jej technologia, ale cały system wartości, wszystkie marzenia i nadzieje — trzeba je zbudować na nowo, a to potrwa wiele pokoleń. Teraz jesteśmy dzikusami i prowadzimy jałowe życie. Nie tylko nauka liczy się w życiu.

— Nie — powiedział Lewis. — Ale naukowcy — artyści zapewne podobnie — przeżyli zmianę zachowując zdrowe zmysły przypuszczalnie dlatego, że mieli tę iskrę bożą, cel, coś, co istniało niezależnie od czynników zewnętrznych, czemu mogli się w całości poświęcić — na jego pulchnej twarzy pojawił się grymas. — Ponadto, Pete, jako stary wrażliwiec, jestem oczarowany nowymi możliwościami. Sztuka i muzyka, które dotąd mnie porywały, już nie istnieją, zgadza się, ale nie przestałem doceniać dobrego wina i kuchni; przeciwnie, moja percepcja weszła na wyższy poziom i odkrywam niuanse, których istnienia wcześniej nawet nie podejrzewałem.

To była dziwna rozmowa, niemal bez słów, prowadzona właściwie tylko za pomocą gestów i grymasów. Wreszcie jednak wrócili do problemów technicznych.

— No — powiedział Johansson — mamy swoje pole hamujące. Teraz wy, neurologicy, musicie to przebadać i dowiedzieć się, co może się stać z życiem na Ziemi.

— Aha — powiedział Lewis. — Jednak teraz nad tym nie pracuję, może tylko poza wymądrzaniem się. Bronzini i MacAndrews mogą się tym zająć. Ja dołączyłem do psychologów, to nie tylko bardziej interesujące, ale w tej chwili także ma większe znaczenie praktyczne. Zajmę się neurologiczno — cybernetycznym aspektem ich pracy.

— Nasza dawna psychologia jest praktycznie bezużyteczna — przytaknął Corinth. — Zmieniliśmy się tak bardzo, że już nie rozumiemy naszych motywacji. Dlaczego spędzam większość czasu tutaj, skoro powinienem być w domu i pomagać Sheili w uporaniu się z jej nowym stanem? Nie mogę się powstrzymać, muszę zbadać te nowe możliwości, ale — aby zacząć od nowa, na racjonalnych podstawach — musimy coś wiedzieć o ludzkiej dynamice. Jeśli idzie o mnie, teraz, gdy udało się nam wygenerować to pole, jestem podekscytowany jak dziecko. Rossman chce, abym zajął się pracą przy jego programie kosmicznym jak tylko uda mu się go zorganizować.

— Statek kosmiczny — podróże z prędkością ponadświatłą, co?

— Zgadza się. Przy użyciu aspektu mechaniki fal, której istnienia przed zmianą nawet nie podejrzewano. Wygenerujemy falę psi, która — zresztą nieważne, wyjaśnię to wam, jeśli znajdziecie chwilę i opanujecie analizę tensorową i algebrę matryc. Współpracuję przy tworzeniu planów statku, aktualnie czekamy na ludzi i materiały, aby zacząć budowę. Kiedy już

będziemy mieli ten statek, prawdopodobnie dotrzemy w każdy zakątek galaktyki.

Oto połączyły się dwa wątki.

— Ucieczka od nas samych — stwierdził Grunewald. — Ucieczka w kosmos.

Przez chwilę wszyscy zgromadzeni siedzieli pogrążeni w myślach. Wreszcie Corinth wstał.

— Idę do domu — powiedział szorstko.

Kiedy szedł w dół po schodach, w głowie kłębiły mu się setki myśli. Przede wszystkim myślał o Sheili, ale też o tym, co wyszeptała Helga, myślał o diagramach i równaniach, o porażającym ogromie kosmosu, przez który, niczym pyłek, mknęła Ziemia. Jakaś niezależna od niego część osobowości chłodno badała tę plątaninę myśli, próbował zrozumieć jak to wszystko działa i jak radzić sobie z nowymi możliwościami.

Na przykład język. Ludzie w Instytucie bez żadnej intencji, spontanicznie stworzyli nowy zestaw symboli komunikacyjnych, subtelnych i wyrazistych. Każdy gest był ważny, a mózg słuchacza bez świadomego wysiłku wypełniał luki i ogarniał wielopoziomowe znaczenie wypowiedzi. Nowy język był w zasadzie zbyt efektywny, docierał zbyt głęboko. Człowiek przyszłości całkowicie obnaży duszę i ciało, a Corinth nie był pewny, czy odpowiada mu ta wizja.

No i Sheila. Rozumieli się w pół słowa, mieli własny kod sprawiający, że ich rozmowy były niezrozumiałe dla kogoś z zewnątrz. A przecież na kuli ziemskiej istniały tysiące, miliony grup tworzących własne dialekty, których nie dzieliły z resztą świata. Trzeba będzie stworzyć jakiś język wspólny dla całego

globu.

Telepatia? Nikt już nie miał wątpliwości, że istnieje. Kiedy wreszcie ucichnie zamieszanie, trzeba dogłębnie zbadać poznanie pozazmysłowe. Tyle było do zrobienia, a życie jest tak okropnie krótkie!

Corinth zadrżał. Lęk przed Śmiercią był raczej reakcją nastolatka; wszyscy ostatnio zachowywali się jak nastolatki — nie, jak dzieci, wręcz niemowlęta.

W ciągu następnych kilku lat biologom na pewno uda się znaleźć sposób na wydłużenie ludzkiego życia, może nawet o setki lat. Ale czy naprawdę o to chodzi?

Wyszedł na ulicę i rozejrzał za samochodem, który zapewnił mu Rossman. Przynajmniej, pomyślał ironicznie, rozwiązał się problem parkingów. Koniec korków.

Ostatecznie koniec z Nowym Jorkiem. Istnienie wielkich miast nie miało już ekonomicznego uzasadnienia. Corinth pochodził z małego miasteczka, kochał góry, lasy i morze. Jednak w tym przeludnionym, twardym, nieludzkim, pełnym agresji i wspaniałym mieście było coś, co sprawiało, że w rodzącym się właśnie świecie zostanie po nim pustka.

Noc była gorąca. Koszula przykleiła mu się do skóry, samo powietrze wydawało się lepkie. Nad głową, pomiędzy ciemnymi budynkami i martwymi neonami słabo migotały błyskawice, a ziemia błagała o deszcz. Światła samochodu tworzyły tunel w ciemnościach.

Po ulicach poruszało się więcej samochodów, niż choćby tydzień wcześniej. Miasto powoli odzyskiwało spokój; wydawało się, że wojna gangów, stłumiona dwa tygodnie temu, była

ostatnim wybuchem przemocy. Racje żywnościowe nadal były skąpe, ale ludzie znów zabrali się do pracy i wszyscy jakoś żyli.

Corinth wjechał na parking na tyłach swojego mieszkania, obszedł budynek i wszedł frontowym wejściem. Z prądem było krucho, ale sztab zarządzający dostawami elektryczności Ostatnio pozwolił na uruchomienie windy. Dzięki i za to, nie lubił wchodzić po schodach na piętnaste piętro.

Mam nadzieję... Myślał o Sheili, ale nie dokończył wątku. Zmieniła się w chudego, biednego dzieciaka, źle sypiała, czasem budziła się z krzykiem i szukała go po omacku. Ciężko pracował, nie mógł spędzać z nią więcej czasu i bardzo tego żałował. Potrzebowała towarzystwa. Dobrze byłoby znaleźć jej jakąś pracę, miałyby zajęcie.

Kiedy wysiadł na swoim piętrze, korytarz był ciemny, ale spod drzwi jego mieszkania sączyło się światło. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że było później, niż zwykle. O tej porze Sheila zazwyczaj już spała. A więc i dziś nie mogła zasnąć.

Chwycił za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Załomotał w nie pięścią. Wydawało mu się, że usłyszał wewnątrz stłumiony krzyk i załomotał mocniej. Otworzyła drzwi tak gwałtownie, że prawie wpadł do środka.

— Pete, Pete, Pete! — z dygotem przywarła do niego. Obejmując ją ramionami czuł jej delikatne żebra tuż pod skórą. Miała matowe włosy, a w świetle lampy wydawała się bardzo blada. Kiedy uniosła twarz zobaczył, że płacze.

— Co się stało? — zapytał drżącym ze zdenerwowania głosem.

— To nerwy.

Wciągnęła go do środka i zamknęła drzwi. W koszuli nocnej i

szlafroku wyglądała bardzo młodo i żałośnie, ale w jej oczach była jakaś dojrzałość.

— Dość ciepło na szlafrok — powiedział.

— Było mi zimno — jej usta zadrżały.

Usiadł na fotelu i posadził ją sobie na kolanach. Otoczyła go ramionami i przytuliła się mocno. Poczul dreszcze przeszywające jej ciało.

— Niedobrze — powiedział. — To najgorszy z dotychczasowych twoich ataków.

— Nie wiem, co zrobiłam, że przyszedłeś tak późno — powiedziała bezbarwnie.

Zaczęli rozmawiać za pomocą słów i gestów, dźwięku i ciszy, wspólnych wspomnień należących tylko do nich dwojga.

— Za dużo myślałam — powiedziała mu. — Wszyscy ostatnio za dużo myślimy. (Najdroższy, pomóż mi! Zapadam się w ciemność i tylko ty możesz mnie uratować).

— Będziesz musiała do tego przywyknąć — odparł głucho. (Jak mogę ci pomóc? Wyciągam do ciebie ręce i napotykam pustkę).

— Masz siłę — zaszlochała. — Daj mi ją! (Mam koszmary za każdym razem, gdy zasypiam. Budząc się widzę rozmywający się w zimnie i nicości świat i ludzi, widzę, jak znikają na zawsze. Nie mogę znieść tej wizji).

— Nie jestem silny — odparł. — Po prostu jakoś sobie radzę. I ty też musisz.

— Przytul mnie mocno, Pete — załkała. Przywarła do niego, jakby był tarczą chroniącą ją przed ciemnością na zewnątrz i ciemnością w niej. — Nigdy mnie nie opuszczaj!

— Sheila — powiedział. (Ukochana żono, kochanko,

przyjaciółko). — Sheila, musisz się trzymać. To tylko kwestia innego sposobu myślenia — wizualizacji, łączenia danych i marzeń, które sama tworzysz. Nic więcej.

— Ale to zmienia mnie! — teraz była śmiertelnie przerażona. Walczyła z jakimś smutkiem. — Gdzie podział się nasz świat? Gdzie są nasze marzenia, plany i gdzie my jesteśmy?

— To już nie wróci — odpowiedział.

Pustka i nieodwołalność zdarzeń.

— Musimy radzić sobie z tym, co tu i teraz.

— Wiem, wiem — i nie mogę! — po jej policzkach popłynęły łzy. — Och, Pete, teraz płaczę bardziej nad tobą, niż nad sobą. (Może już nie potrafię cię kochać).

Próbował zachować spokój.

— Ucieczką od rzeczywistości jest Obłąd. Jeśli oszalejesz...

Nie do pomyslenia.

— Wiem — powiedziała. — Wiem to aż za dobrze, Pete. Przytul mnie mocno.

— To, że wiesz, nie pomaga ci — powiedział i zaczął się zastanawiać, czy inżynierom kiedykolwiek uda się znaleźć brakującą siłę ludzkiego ducha. Miał ochotę dać sobie spokój i czuł, że niewiele mu brakuje.

ROZDZIAŁ 11

Lato się kończyło, planeta zmierzała ku zimie. Pewnego ciepłego wieczora pod koniec września Mandelbaum usiadł z Rossmanem przy oknie. Gawędzili cicho i nieśpiesznie. Pokój był nieoświetlony, pogrążony w mroku nocy. W dali połyskiwały światłem miliony okien na Manhattanie. Nie migotały już. — jak niegdyś — szaleńcze iluminacje. Na niebie, na granicy widoczności lśniła blada, błękitna poświata. Nad Empire State Building niczym korona płonęła poświata, jakby zaszło tam małe słońce, a w powietrzu unosił się lekki zapach ozonu. Mężczyźni siedzieli w ciszy, odpoczywali, palili tytoń, który znów był dostępny, choć w niewielkich ilościach. Mandelbaum palił fajkę, a Rossman papierosa. Ogniki wyglądały jak czerwone oczy w mrocznym pomieszczeniu. Czekali na śmierć.

— Co z żoną? — zapytał Rossman z leciutkim wyrzutem. Można było to zrozumieć jako: (Nadal nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś o tym swojej żonie i dlaczego nie z nią spędzasz ten wieczór. To może być ostatnia noc waszego życia).

— Praca, miasto, czas — powiedział z zadumą i wzruszył ramionami. (Oboje mamy swoją pracę, Ona w centrum pomocy, a ja tutaj, w sztabie kryzysowym. Zresztą, nie powiedzieliśmy jeszcze miastu, wiemy to tylko ty, ja i jeszcze kilka osób. Lepiej, aby tak zostało, nie sądzisz?). *Nie moglibyśmy ich ewakuować, nie*

ma miejsca, do którego można się przenieść, a informacja o takiej próbie i tak trafiłaby do wroga jak zaproszenie do natychmiastowego wystrzelenia rakiet. Albo uratujemy miasto, albo nie; w tej chwili nie można zrobić nic, tylko czekać i mieć nadzieję, że obrona zadziała. (Nie chciałbym martwić mojej Liebchen — wystarczy, że martwi się naszymi dziećmi i wnukami. Niech będzie, co ma być. Jednak żałuję, że nie jesteśmy teraz razem, Sarah, ja i cała rodzina...) Mandelbaum kciukiem ubił tytoń w fajce.

(Ludzie z Brookhaven uważają, że pole zatrzyma falę uderzeniową i promieniowanie) zauważył Rossman. Pracowali w tajemnicy przez ostatni miesiąc z okładem, wyprzedzając atak. Miasta, które, jak sądzimy, zostaną zaatakowane, teraz są chronione — taką przynajmniej mamy nadzieję. (Ale to problematyczne. Żałuję, że musimy robić to w taki sposób).

— A w jaki?

Wiemy od naszych szpiegów, że Sowieci zbudowali międzykontynentalne rakiety atomowe i są zdesperowani. Wsparcie i pomoc dla powstańców przemycane są z Ameryki. Po raz ostatni spróbują zetrzeć nas z powierzchni ziemi, i sądzimy, że atak nastąpi dziś w nocy. Ale jeśli im się nie uda, dla nich oznacza to koniec. Zaprojektowanie i zbudowanie rakiet musiało wyczerpać ich ostatnie zasoby.

— Niech wyczerpią swoje siły na nas, podczas gdy rebelianci opanują kraj. Dyktatura już upadła.

— Ale co ją zastąpi?

— Nie wiem. Dla mnie te rakiety to ostatni oddech umierającego stworzenia. Czy to nie ty nazwałś kiedyś

dwudziesty wiek Erą Kiepskich Manier? Byliśmy tacy głupi — niewiarygodnie głupi! A teraz wszystko odchodzi.

— Nie zostanie nic.

Rossman zgasił papierosa i zapalił następnego. Krótki rozbłysk światła wydobył z mroku jego mizerną, drobnokościstą twarz.

— Och, tak — kontynuował — przyszłość w żaden sposób nie będzie przypominała przeszłości. Na podstawie naszych nowych możliwości przypuszczalnie narodzi się jakaś społeczność — albo społeczności — ale nie takie, jakie znaliśmy dotychczas. Może będą to zmiany i interakcje czysto abstrakcyjne, mentalne, na poziomie symbolicznym. Zaistnieją z całą pewnością, ale sądzę, że najbardziej rozwiną się te gorsze.

— Hm. — Mandelbaum mocno wystukał fajkę. — Pomijając fakt, że musimy zacząć praktycznie od podstaw, co nieuchronnie pociąga za sobą ryzyko błędu, to mimo wszystko dlaczego zaraz takie wizje? Obawiam się, że jesteś urodzonym pesymistą.

— Niewątpliwie. Urodziłem się w tym stuleciu i widziałem jego śmierć pośród krwi i szaleństwa. Już przed 1924 rokiem było jasne, że świat się stacza. Coś takiego z każdego zrobiłoby pesymistę. Uważam jednak, że mam rację. Ponieważ w efekcie człowiek został wepchnięty na powrót w kompletne barbarzyństwo. Nie, to nawet nie to; barbarzyństwo ma swój własny system. Człowiek wrócił do poziomu zwierzęcia.

Mandelbaum machnął ręką w kierunku miasta.

— Czy to jest zwierzę?

— Mrówki i bobry są dobrymi inżynierami. — *Albo były. Ciekawe, co teraz robią bobry.* — Przedmioty materialne naprawdę nie liczą się tak bardzo. Ich istnienie jest możliwe

tylko dzięki społecznemu zapleczu wiedzy, tradycji, potrzeb — są objawami, nie przyczynami. A nam zabrano całe to zaplecze.

Och, niczego nie zapomnieliśmy, nie. Ale nie ma to już dla nas wartości, poza tym, że jest to teraz narzędzie służące do przeżycia i ku wygodzie. Pomyśl o swoim własnym życiu. Jak teraz widzisz jego sens? Czym są wszystkie twoje dawne osiągnięcia? Bzdurą!

Czy czytanie dzieł wielkiej literatury sprawia ci teraz przyjemność? Czy sztuka cokolwiek ci przekazuje? Cywilizacja przeszłości, nauka, sztuka, przekonania i znaczenia są teraz tak nieadekwatne, że równie dobrze mogłyby nie istnieć. Nie marny już cywilizacji. Nie mamy celów, marzeń, pracy twórczej — niczego!

— Och, sam nie wiem — odparł Mandelbaum z lekkim podziwem. — Ja mam wystarczająco dużo zajęć, mam co robić przynajmniej przez kilka następnych lat. Musimy zacząć pracować na zasadach ogólnoświatowych, na nowo opracować ekonomie, politykę, opiekę medyczną, kontrolę populacji, ochronę... to wielka praca.

— Ale co potem? — naciskał Rossman. — Co zrobimy potem? Co będzie robić następne pokolenie, i jeszcze następne?

— Coś sobie znajdą.

— No, to ciekawe. Zadanie zbudowania stabilnego świata to herkulesowy wysiłek, ale obaj mamy świadomość, że leży to w możliwościach nowej ludzkości — w gruncie rzeczy to tylko kwestia lat. Ale co potem? Człowiek usiądzie i pograży się w błogim zadowoleniu. Strasznie puste życie.

— Nauka...

— O tak, naukowcy będą mieli swoje pięć minut. Rozmawiałem niedawno z kilkoma z nich. Podejrzewają, że potencjalny zakres zagadnień naukowych wcale nie jest nieograniczony. Sądzą, że różnorodność możliwych do odkrycia praw i zjawisk natury musi być skończona, sprowadzona do jednej uniwersalnej teorii — i że już dziś jesteśmy bliscy jej sformułowania. To nie jest coś, co kiedykolwiek uda się udowodnić ze stuprocentową pewnością, ale wygląda prawdopodobnie.

— Ale nie wszyscy możemy być naukowcami.

Mandelbaum popatrzył w ciemność. Jaka cicha jest noc, pomyślał. Odwrócił myśli od Sarah i dzieci.

— Dobrze, a co ze sztuką? Musimy rozwinąć malarstwo, rzeźbę, muzykę, literaturę, architekturę — i formy, o których nikt nigdy nawet nie śnił!

— Jeśli narodzi się właściwy rodzaj społeczeństwa. (Sztuka, na przestrzeni wieków, ma okropną tendencję do degeneracji, albo do zastygania w czystej imitacji przeszłości. Ponowne jej przebudzenie to nie byle jakie wyzwanie i znów, mój przyjacielu, wracam do tego, że nie wszyscy możemy być artystami.

— Nie? (Zastanawiam się, czy przypadkiem każdy człowiek nie zostanie artystą, naukowcem, filozofem...).

— Nadal potrzebni będą przywódcy, stymulacja i światowe symbole. (To obecnie podstawowy brak: nie znaleźliśmy symbolu. Nie mamy mitów, nie mamy marzeń. „Człowiek jest miarą wszechrzeczy” — no dobrze, ale jeśli ta miara jest większa, niż cokolwiek innego, to czy jest ona odpowiednia?).

— Nadal jesteśmy raczej małymi robaczkami. — Mandelbaum

machnął ręką na niebiesko pośniewające niebo. (Tam jest cały wszechświat, który na nas czeka).

— Sądzę, że masz początek odpowiedzi — powoli odparł Rossman. (Ziemia robi się za mała, a przestrzeń kosmiczna może być wyzwaniem i marzeniem, których potrzebujemy. Nie wiem. Wiem tylko, że powinniśmy je znaleźć).

Cicho zabrzęczał interkom. Mandelbaum wyciągnął rękę i przycisnął włącznik. Poczuł nagle zmęczenie. Powinien czuć napięcie, powinien drżeć z podekscytowania, ale zamiast tego czuł tylko znużenie i pustkę.

Maszyna zaskrzeczała.

— Automatyczny system na stacji kosmicznej donosi o wystrzeleniu rakiet z Uralu. Cztery z nich za około dziesięć minut osiągną Nowy Jork.

— Dziesięć minut! — zagwizdał Rossman. — Muszą mieć napęd atomowy.

— Niewątpliwie.

Mandelbaum wybrał numer obsługi pola w Empire State Building.

— Włączajcie swoją maszynę, chłopcy — powiedział. — Mamy dziesięć minut.

— Ile rakiet?

— Cztery. Na nasze zabezpieczenia muszą zużyć co najmniej trzy, więc to będą potężne ładunki. Pewnie z głowicami wodorowo—litowymi.

— Cztery, ha? Dobra, szefie. Życz nam szczęścia.

— Życzyć szczęścia wam? — Mandelbaum zaśmiał się sucho.

Mieszkańcom powiedziano, że projekt dotyczy

eksperymentalnego oświetlenia. Ale kiedy niebieska poświata stężała i utworzyła nad miastem dach ze światła, a syreny zaczęły wyć, musieli domyślić się prawdy. Mandelbaum myślał o mężach tulących do siebie żony i dzieci. Zastanawiał się, co innego można zrobić. *Modlić się? Raczej nie; jeśli w przyszłości powstanie jakaś religia, raczej nie będzie to animizm, to dobre dla ślepców. Walka o idee? Nie, to też kolejny, obalony mit. Chaos i panika? Może trochę.*

Przynajmniej Rossman dostrzegł prawdę, pomyślał Mandelbaum. W tej godzinie sądu ludzie nie mieli nic do roboty, mogli tylko krzyczeć ze strachu albo pochylić się nad ukochanymi i próbować osłonić ich własnym, słabym Ciałem. Tak naprawdę nikt nie może uznać, że umiera za coś ważnego. Jeśli ktoś pogrozi pięścią niebu, to będzie to tylko odruch.

– Pustka... Tak, pomyślał, chyba faktycznie potrzebujemy nowych symboli.

Rossman wstał, podszedł do szafki i wyjął z niej butelkę.

— To burgund z 1943. Oszczędzałem na specjalną okazję — powiedział. (Napijesz się ze mną?).

— Jasne — odparł Mandelbaum.

Nie dbał o wino, ale chciał pomóc przyjacielowi. Rossman się nie bał, był stary i wiele przeżył, ale było w nim jakieś zagubienie. Umrzeć jak gentleman — to także był swoisty symbol.

Rossman nalał wino do kryształowych kieliszków i z groteskową kurtuazją podał jeden Mandelbaumowi. Tręcili się i napili. Rossman znów usiadł, rozkoszując się smakiem.

— Piliśmy burgunda na naszym weselu — powiedział.

— Nie rońmy łez bez potrzeby — odpowiedział Mandelbaum.
— Ekran wytrzyma. To taka sama siła, jak ta, która trzyma razem jądra atomowe — we wszechświecie nie ma nic mocniejszego.

— Wypiłem za człowieka — zwierzę — powiedział Rossman. (Masz rację, to jego ostatni oddech. Ale w wielu aspektach był szlachetnym stworzeniem).

— Tak — odparł Mandelbaum. (Wynałazł najbardziej genialne rodzaje broni).

— Te rakiety... (Istotnie coś reprezentują. Są piękne, wiesz, czyste i błyszczące, zbudowane z prawdziwą starannością. Ludzkość potrzebowała wielu stuleci, aby dotrzeć do punktu, w którym wreszcie można je wykorzystać. To, że niosą śmierć jest czystym przypadkiem).

(Nie zgadzam się). Mandelbaum kaszlnął — był to jedyny dźwięk w wielkiej ciszy panującej dookoła.

W pokoju stał zegar z podświetlanymi cyframi. Wskazówka sekundowa przesuwiała się leniwie po okręgu, raz, drugi, trzeci. Empire State stał w Ciemności jak kolumna podtrzymująca niebieskawy łuk nieba. Pogrążeni w swoich myślach, Mandelbaum i Rossman siedzieli popijając wino.

Wreszcie nad ich głowami przemknął błysk, niebo wypełniło się żarem jak misa. Mandelbaum upuścił kieliszek na podłogę i oślepiiony osłonił oczy. Na skórze poczuł ciepło jak od promieni słonecznych. Zamrugał kilka razy. Nad miastem huczały pioruny.

...dwa, trzy, cztery.

Potem zapadła cisza, tylko gdzieś w oddali dudniło echo. Na pustych ulicach wzdychał wiatr, a wielkie budynki lekko drżały.

— Nieźle — stwierdził Mandelbaum. Nie czuł niczego szczególnego. Ekran zadziałał, miasto przetrwało — w porządku, mógł się zabrać na nowo do swojej pracy. Wybrał numer ratusza.

— Halo. Wszystko w porządku? Dobra, musimy się brać do roboty, sprawdzić, czy nie wybuchła panika i...

Kątem oka zobaczył, że Rossman siedzi nieruchomo, a na podłokietniku fotela stoi kieliszek z niedokończonym winem.

ROZDZIAŁ 12

Corinth westchnął i odsunął od siebie pracę. Wieczorny pomruk miasta niewyraźnie docierał przez Okno otwarte na październikowy chłód. Zadrżał lekko, ale wyciągnął papierosa, po czym usiadł na chwilę i zapalił.

Statki kosmiczne, pomyślał tępo. W Brookhaven budują pierwszy statek kosmiczny.

Jego własna część projektu dotyczyła obliczenia napięć między atomami podczas działania pola napędowego. Było to dość złożone zadanie, ale nie aż tak bardzo ważne, aby bez niego robotnicy nie mogli pracować nad samą konstrukcją. Był tam dzisiaj, widział, jak kadłub nabiera kształtu, jego perfekcyjna uroda napawała go dumą. Każda część statku, silnik, poszycie i drzwi, porty i kontrolki były dziełami inżynierii precyzyjnej, jakiej Ziemia dotąd nie widziała. Lubił myśleć, że jest częścią tej pracy.

Tylko...

Zaklął cicho gasząc papierosa w przepelnionej popielniczce i podniósł się. Zanosilo się na ciężką noc; potrzebował Helgi.

Przemierzał znajome korytarze Instytutu. Pracowali teraz zgodnie z dwudziestoczworgodzinnym grafikiem, tysiąc wolnych umysłów sięgających po horyzont, który nagle rozszerzył się poza wszelkie wyobrażenie. Zazdrościł młodym technikom. Byli

silni, mieli cel i stabilizację, przyszłość należała do nich i wiedzieli o tym. W wieku trzydziestu trzech lat czuł się wypalony.

Helga wróciła i ponownie objęła kierownictwo: pracowała na pełen etat, miała doświadczenie i chciała pomóc. Pomyślał, że za bardzo się eksploatowała i z niejakim poczuciem winy uświadomił sobie, że była to w dużej mierze jego wina. Nigdy nie wychodziła przed nim, ponieważ czasem miał potrzebę rozmowy z nią. Dziś właśnie miała miejsce jedna z takich sytuacji.

Zapukał. Skrzeczący głos w interkomie powiedział „proszę wejść”, a kiedy już wszedł, nie mógł nie dostrzec radości w jej głosie i blasku w oczach.

— Chodź ze mną na kolację, co? — powiedział.

W zdziwieniu uniosła brwi. Corinth poczuł, że powinien się wytłumaczyć.

— Sheila jest dzisiaj z panią Mandelbaum. Ona... Sarah... jest dobra dla mojej żony, ma wycucie, którego brakuje mężczyznom. Ja tam jestem zbędny, i...

— Jasne. — Helga zaczęła zbierać papiery i układać je na sterty. Jej biuro zawsze było schludne i bezosobowe, równie dobrze mogłaby je zajmować maszyna. — Dokąd pójdziemy?

— Wiesz, że ostatnio nigdzie nie bywam.

— No to spróbujmy Rogersa. Nowy klub nocny dla nowych ludzi — jej uśmiech był nieco kwaśny. — Przynajmniej mają tam przyzwoite jedzenie.

Wszedł do małej, przylegającej do biura łazienki, próbując uładzić pogniecione ubranie i zmierzwione włosy. Helga czekała w biurze. Przez moment patrzył na nią, rejestrował każdy

szczegół z dokładnością, o której kiedyś nie mógłby nawet marzyć. Nie mogli niczego przed sobą ukryć i — ona z charakterystyczną dla siebie uczciwością, on ze zmęczeniem i ulgą — przestali próbować. Potrzebował kogoś, kto go rozumiał i był od niego silniejszy, kogoś, z kim mógł porozmawiać, w kim miał oparcie. Pomyślał, że ona tylko dawała, a on tylko brał, ale nie mógł sobie pozwolić na utratę tego związku.

Wzięła go pod ramię i wyszli na ulicę. Ich płuca napełniło ostre, zimne powietrze. Wokół pachniało jesienią i morzem. Na chodniku wirowała garść suchych liści, zbliżał się mróz.

— Przejdźmy się — powiedziała, znając jego upodobania. — To niedaleko.

Kiwnął głową i ruszyli pustawą ulicą. Ponad lampami ulicznymi gęstniała noc, czarne klify Manhattanu majaczyły w mroku jak górskie zbocza. Ulicami niespiesznie przemykało kilkoro pieszych, sunęły nieliczne o tej porze samochody. Corinth pomyślał, że zmiana w Nowym Jorku obrazuje to, co przydarzyło się całemu światu.

— Jak praca Sheili? — spytała Helga.

Corinth znalazł żonie pracę w centrum pomocy w nadziei, że to poprawi jej samopoczucie. W odpowiedzi na pytanie Helgi bez słowa wzruszył ramionami. Wystawił twarz do wiatru pogwizdującego cicho między ciemnymi murami. Helga uszanowała jego milczenie; jeśli zechce się odezwać, ona będzie gotowa.

Nowy neon zapraszał do Rogers' Cafe. Weszli do środka, w błękitnawy półmrok, chłodny i świetlisty, jak gdyby powietrze absorbowало wyłącznie światło. Niezła sztuczka, pomyślał

Corinth, ciekawe, jak to robią? I zaraz wymyślił nową zasadę, na której to zjawisko musiało się opierać. Może jakiś inżynier nagle doszedł do wniosku, że woli być restauratorem.

Stoliki stały w większej odległości od siebie, niż to niegdyś bywało. Corinth zauważył, że zostały ustawione w spiralę zmniejszającą średnią liczbę kroków, które każdy kelner musiał zrobić między salą restauracyjną, a kuchnią. Była tam też maszyna na miękkich, gumowych kółkach. Przytoczyła się ku nim i wyciągnęła tabliczkę i rysik, aby zapisali zamówienie.

W karcie figurowało kilka dań mięsnych — jedzenie wciąż było racjonowane — ale Helga twierdziła, że szef kuchni serwuje przepyszną soję. Corinth zamówił ją dla nich obojga. A także, oczywiście, aperitif.

Nad białym obrusem zetknęli się kieliszkami. Była wpatrzona w jego oczy, czekała.

— Was hael.

— Drinc hael — odparł. — Obawiam się, że nasi następcy w ogóle nie będą rozumieć naszych przodków. Całe to wspaniałe, barbarzyńskie dziedzictwo będzie dla nich pozbawione znaczenia. Kiedy myślę o przyszłości, to czasem robi mi się zimno.

— Mnie też — mruknęła i wiedział, że na chwilę pozbyła się rezerwy, ale tylko po to, aby ułatwić mu zwierzenia.

W restauracji pojawiła się mała orkiestra. Corinth rozpoznał trzech muzyków, którzy przed zmianą byli sławni. Nieśli stare instrumenty, strunowe i dęte, jedną trąbkę, ale dostrzegł też kilka nowych. Dopóki nie odrodzą się filharmonie, jeśli to w ogóle nastąpi, nawet poważni artyści z pewnością będą zadowoleni, że

mają szansę zagrać w restauracji — a u Rogersa znajdują przynajmniej wdzięczną publiczność.

Popatrzył na klientów. Wyglądali zwyczajnie, robotnicy o stwardniałych dłoniach, przygarbieni urzędnicy i łysiejący profesorowie. Nowa sytuacja zatarła dawne różnice, wszyscy znów zaczęli od początku. Dominowały nieformalne ubrania, rozpięte koszule, wygodne spodnie i jeansy, tu i ówdzie pojawiał się w stroju jakiś krzykliwy eksperyment. Manifestowanie statusu za pomocą odpowiednich ubrań z każdym dniem traciło na znaczeniu.

Muzycy nie mieli dyrygenta. Grali jakby od niechcienia, jakby melodiami oplatali niewidzialną ramę. Muzyka była chłodna jak lód i zieleń północnych mórz. Złożony, fascynujący rytm układał się pod westchnieniami strun. Corinth zatracił się w nim na chwilę. Od czasu do czasu jakiś akord budził w nim niejasne emocje i wtedy zaciskał palce na kieliszku z winem. Kilka osób tańczyło. Za dawnych czasów taki wieczór nazywałby się zapewne jam session, ale to skojarzenie było już zbyt odległe i zbyt intelektualne. Kolejny eksperyment, pomyślał. Cała ludzkość eksperymentowała w poszukiwaniu nowych ścieżek w nieograniczonym nagle świecie.

Odwrócił się do Helgi i spostrzegł, że się w niego wpatruje. Zalała się rumieńcem, więc próbował rozmawiać z nią na bezpieczne tematy. Ale zbyt dobrze się rozumieli. Pracowali razem i znali się od dawna, mieli własny język, każde spojrzenie i każdy gest coś oznaczały, znaczenia łączyły się, zderzały i znów łączyły — jak w rozmowie z samym sobą.

— Praca? — zapytał na głos, co znaczyło: (Jak ci się pracowało

przez ostatnich kilka dni?).

— W porządku — odparła bezbarwnie. (Chyba zmierzamy do czegoś wielkiego. To pewnie najbardziej niezwykła praca w historii. Ale jakoś niezbyt mnie to obchodzi...).

— Miło cię dziś widzieć — powiedział. (Potrzebuję cię. Potrzebuję kogoś w tych ponurych dniach).

(Zawsze będę czekać), powiedziały jej oczy.

Niebezpieczny temat. Zmień go.

— co sądzisz o tej muzyce? Wydaje mi się, że zmierzają ku formie bardziej odpowiedniej dla... nowego człowieka — zapytał szybko.

— Może i tak — wzruszyła ramionami. — Ja jednak wolę starych mistrzów. Byli bardziej ludzcy.

— Wiesz, Helgo, zastanawiam się, czy nadal jesteśmy ludźmi.

— Tak — odparła. — Zawsze będziemy sobą. Wciąż wiemy, co to jest miłość i nienawiść, strach i odwaga, śmiech i złość.

— Ale czy te emocje ciągle są takie same? — zadumał się. — Nie wiem.

— Może masz rację — powiedziała. — Jest mi coraz trudniej wierzyć w to, w co chciałabym wierzyć.

Kiwnął głową i uśmiechnął się. (Tak, Oboje to wiemy, prawda? My i cały świat).

Westchnął i zacisnął na chwilę pięści.

— Czasami żałuję, że... Nie. To Sheilę kocham.

(Za późno, prawda, Pete?) powiedziały jej oczy. (Za późno dla nas obojga).

— Zatańczymy? — zapytał.

— Pewnie. (Och tak, bardzo chętnie!).

Wstali i ruszyli na parkiet. Kiedy ramieniem otoczył ją w talii poczuł siłę, jakby ją z niej czerpał. Obraz matki? zadrwił jego umysł. Nieważne. Muzyka docierała teraz pełniej, czuł we krwi jej dziwny rytm. Helga była niemal jego wzrostu, ale nie widział jej twarzy. Nie był dobrym tancerzem, pozwolił, aby prowadziła, ale przyjemność płynącą z rytmicznych poruszeń odczuwał teraz bardziej, niż przed zmianą. Przez moment żałował, że nie jest dzikusem i nie może szalonym tańcem wyrazić swojego żalu.

Nie, dla niego jest za późno. Był dzieckiem cywilizacji – nawet teraz; urodził się za stary. W takim razie co robić, jak pomóc żonie, która osuwa się w szaleństwo?

Ach, Miłości moja, czy ty i ja moglibyśmy spiskować przeciwko Losowi — co za dziecinada.

Muzyka umilkła i wrócili do swojego stolika. Maszyna podała zamówione potrawy. Corinth pomógł Heldze usiąść, a sam z ponurą miną zaczął bawić się jedzeniem na talerzu. Spojrzała na niego badawczo.

— Chodzi o Sheilę? — spytała. (Nie najlepiej z nią ostatnio, zgadza się?).

— Nie. (Dziękuję, że pytasz). — Corinth skrzywił się. (Praca pomaga jej zapełnić czas, ale nie jest w niej dobra. Zaczęła widzieć różne rzeczy, a jej sny w nocy...).

Och, moje udręczone kochanie!

— Ale dlaczego? — (Ty i ja, większość z nas już przywykła do nowej sytuacji, już nie jesteśmy podenerwowani; zawsze sądziłam, że Sheila jest bardziej stabilna, niż ktokolwiek z nas).

— Jej podświadomość... — (wpada w szaleństwo, jej świadomość nie potrafi tego kontrolować, a martwienie się

objawami tylko pogarsza sprawę...). — Po prostu nie jest stworzona do takiej siły umysłu, nie radzi sobie z tym.

Ich spojrzenia się spotkały: Coś zniknęło bezpowrotnie, dawna niewinność, odebrano ją nam i oto stoimy nadzy w obliczu naszej samotności.

Helga podniosła głowę: (Musimy się z tym zmierzyć. Jakoś musimy funkcjonować). Ale ta samotność!

(Zaczynam za bardzo na tobie polegać. Nat i Feliks są pogrążeni we własnej pracy. Sheila nie ma już sił, za długo walczy ze sobą. Zostałaś mi tylko ty, a to nie jest dla ciebie dobre).

(Nie przeszkadza mi to). To wszystko, co mam, nie mogę już dłużej ukrywać się sama przed sobą.

Ich dłonie zetknęły się na stole. Potem Helga powoli cofnęła rękę i potrząsnęła głową.

— Boże! — Corinth zacisnął pięści. — (Gdybyśmy tylko wiedzieli o sobie więcej! Gdyby normalnie funkcjonowali psychiatrzy!).

(Może już niedługo tak będzie. Prace trwają). — A jak twoja własna praca?

— Chyba nieźle. — (DO wiosny będziemy mieli dla siebie gwiazdy. Ale co w tym dobrego? Jaki możemy mieć pożytek z gwiazdę). — Corinth zapatrzył się w swoje wino. — Jestem lekko pijany. Za dużo mówię.

— Nieważne, kochanie.

Spojrzał na nią.

— Helgo, dlaczego nie wyjdiesz za mąż? Znajdź sobie kogoś. Nie możesz mi pomóc. Nikt nie może. Na twarzy miała upór.

— Lepiej wyrzucić mnie ze swojego życia — nalegał szeptem.

— A ty wyrzuciłbyś Sheilę? — spytała.

Mechaniczny kelner przyturlał się cicho i pozbierał naczynia. Corinth pomyślał, że w zasadzie apetyt nie powinien mu dopisywać. Żal zwyczajowo oznaczał brak apetytu. Ale jedzenie było dobre. W końcu jedzenie to też kompensacja, jak picie i sny na jawie, praca czy cokolwiek innego.

(Musisz wytrzymać) powiedziały oczy Helgi. (Cokolwiek się stanie, musisz to przetrwać przy zdrowych zmysłach).

Po chwili odezwała się głośno, wypowiedziała trzy słowa o przytłaczającym znaczeniu.

— Pete, Czy ty... (chciałbyś polecieć tym statkiem kosmicznym?).

— Hm?

Spojrzał na nią z takim wyrazem twarzy, że zaczęła się Śmiać. Po chwili znów się odezwała, poważnie i jakoś bezosobowo.

— Lot jest przewidziany dla dwóch osób. — (To w większości zautomatyzowany statek, wiesz. Nat Lewis rozmawiał ze mną, ma dla mnie miejsce, biolog jest potrzebny. Problem Życia gdzieś we wszechświecie...).

— Nie wiedziałem, że masz wpływ na to, kto poleci — powiedział lekko drżącym głosem.

— Oficjalnie nie. — (W praktyce, skoro w większej części to projekt Instytutu, mogę włączyć kogokolwiek z odpowiednimi kwalifikacjami. Nat chciał, abym...).

Wymienili uśmiechy. Mógłbyś wybrać gorzej, a ja lepiej.

— Ale oczywiście potrzebny jest tam fizyk. — (Wiesz o tym projekcie tak dużo jak inni i równie dużo dla niego zrobiłeś).

— Ale... — potrząsnął głową. — Chciałbym... — (Nie, dostatecznie mocne słowo nie istnieje. Za taką możliwość oddałbym szansę na nieśmiertelność. Kiedy byłem dzieckiem, w letnie noce kładłem się na plecach i marzyłem patrząc na wschodzący księżyc i czerwone oko Marsa). — Ale jest Sheila. Innym razem, Helgo.

— To nie będzie długa podróż — powiedziała. — (Pewnie kilka tygodni kręcenia się wokół najbliższych gwiazd, testowanie napędu i sprawdzenie kilku teorii astronomicznych. Nie sądzę, aby to było bardzo ryzykowne — inaczej nie pozwoliłabym ci lecieć). *Jeśli polecisz, każdej nocy będę zaciskać dłonie i patrzeć w zimne niebo.* (Uważam, że powinieneś wykorzystać taką szansę, dla spokoju własnego umysłu. Pete, teraz jesteś jak zabłąkana dusza. Musisz znaleźć coś większego niż twoje problemy, coś ważniejszego, niż cały nasz nieistotny świat).

Uśmiechnęła się.

— Może musisz znaleźć Boga.

— Ale mówię ci, Sheila...

— Zanim statek wystartuje minie jeszcze kilka miesięcy. — (W tym czasie wszystko może się zdarzyć. Jestem też na bieżąco z najnowszymi badaniami psychiatrycznymi. Opracowano nowy, obiecujący sposób leczenia).

Sięgnęła nad stołem i dotknęła jego ramienia.

— Pete, przemyśl to.

— Dobrze — odparł dosyć szorstko.

Zdawał sobie sprawę, że oferowała mu wielką szansę na odmianę losu, na przerwanie zakłętą kręgu zmartwień i przygnębienia. Ale to nie miało znaczenia. Wyszli na ulicę.

Popatrzył w niebo, zobaczył na nim kilka migoczących słońc i poczuł dreszcz podniecenia.

Gwiazdy! Wielkie nieba, gwiazdy!

ROZDZIAŁ 13

W tym roku śnieg spadł wyjątkowo wcześnie. Któregoś ranka Brock wyszedł z domu i cały świat był biały. Stał przez chwilę patrząc na pola, wzgórza i zasypane drogi, na linię horyzontu ginącą w stalowej mgle. Poczł się tak, jakby nigdy wcześniej nie widział zimy, ani bezlistnych, czarnych drzew na tle nieba, dachów ciężkich od śniegu i malowanych mrozem okien, ani ponurego kruka siedzącego na czarnym słupie telefonicznym. W istocie, pomyślał, nigdy nie widziałem — nie w taki sposób.

Śnieg sprawił, że zrobiło się cieplej, ale oddech wciąż unosił się w powietrzu kłębamii pary. Brock poczuł szczypanie na twarzy. Klasnął w ręce, dźwięk rozległ się w ciszy jak wystrzał.

— No, Joe, wygląda na to, że utknęliśmy tutaj na następne pół roku — powiedział głośno. — Białe Święto Dziękczynienia, nie zdziwiłbym się, gdyby Wielkanoc też była biała.

Pies spojrzał na niego, rozumiał wprawdzie większość słów, ale nie miał wielkich możliwości wypowiedzenia się. Potem instynkt wziął górę, pies dokazywał i szczeakał radośnie, budząc przy okazji całą farmę.

Z domu wyszła niewielka, przysadzista postać. Była tak opatulona, że tylko proporcje ramion i nóg wskazywały, że nie była człowiekiem. Postać wzdrygnęła się i szybko podeszła do Brocka.

— Zimno — zagała. — Zimno, zimno, zimno.

— I Obawiam się, będzie jeszcze zimniej, Mehitabel — powiedział Brock i położył dłoń na ubranej w futrzaną czapkę głowie szympanasy. Cały czas się bał, że małpy nie przetrwają zimy. Zrobił dla nich, co mógł — dopasował ubrania i zlecał prace w domu albo w stodole, gdzie było ciepło — ale z ich płucami nadal nie było najlepiej.

Miał wielką nadzieję, że przeżyją. Pomimo wrodzonej trzpiotowości i lenistwa, ciężko z nim pracowały; sam mógłby nie zdążyć z przygotowaniem do zimy. Były jednak kimś więcej, były przyjaciółmi — mógł z nimi porozmawiać w dziwnym dialekcie, który sobie wypracowali. Nie miały wprawdzie zbyt wiele do powiedzenia, a ich niewielkie umysły nie potrafiły skupić się dłużej na jednym temacie, ale nie był już samotny. Wystarczyło usiąść i popatrzeć, jak bawią się w sali gimnastycznej, którą dla nich urządził, mógł się śmiać, a śmiech stał się rzadkim towarem.

Ciekawe, że Mehitabel radziła sobie lepiej z pracami na farmie, podczas gdy jej kolega Jimmy sprawdzał się lepiej w gotowaniu i pracach domowych. Nie miało to większego znaczenia. Były silnymi i sprytnymi pomocnikami we wszystkim, co robiły.

Począł przez podwórze, zostawiając ślady stóp na dziewiczej bieli i otworzył drzwi do stodoły. W półmroku pomieszczenia uderzyła go fala zwierzęcego ciepła i ich mocny, odurzający zapach. Mehitabel weszła za nim i zaczęła nakładać siano i kukurydzę dla inwentarza — piętnastu krów, dwóch koni i słonia Jumbo. Brock zabrał się za dojenie.

Zwierzęta, które z nim zostały, ze spokojem akceptowały nowy porządek. Brock skrzywił się. Ufały mu, był dla nich kimś w rodzaju nieformalnego boga, a dziś będzie musiał zawieść ich zaufanie. Nie ma sensu odkładać tego dłużej, to tylko wszystko utrudni.

Drzwi znów się otworzyły i do środka z hałasem wszedł Wuh—Wuh. Znalazł stołek dojarcki i przyłączył się do Brocka. Nic nie powiedział i wykonywał swoją pracę mechanicznie, ale to nie było nic niezwykłego. Brock sądził, że Wuh—Wuh nie potrafi mówić, wydawał jedynie nieartykułowane chrząknięcia, dzięki którym zyskał przydomek.

Imbecyl przyplątał się kilka tygodni wcześniej, obdarty, brudny i wygłodzony. Musiał uciec z jakiegoś domu opieki — mały, pokręcony garbus w nieokreślonym wieku, z przekrzywioną głową i pustką w oczach. Inteligencja Wuh—Wuh z pewnością zwiększyła się, jak każdemu, ale nie zmieniało to faktu, że był niedorozwinięty i fizycznie, i mentalnie.

Mieszkańcy farmy nie powitali go z wielką wylewnością. Większość ciężkich prac związanych ze zbiorami mieli już za sobą i wystarczająco martwili się o zapasy na zimę. Konieczność nakarmienia kolejnej gęby nie napawała ich radością.

— Zabiję go, szefie — powiedział Jimmy sięgając po nóż.

— Nie — odparł Brock. — Nie możemy być tak bezwzględni.

— Robię to szybko i łatwo — skrzywił się Jimmy, sprawdzając kciukiem ostrze. Miał w sobie czarującą bezpośredniość rodem prosto z dżungli.

— Nie. W każdym razie jeszcze nie.

Brock uśmiechnął się ze znużeniem. Ciągle był zmęczony,

zawsze było coś do zrobienia. *Jesteśmy zagubionymi owcami, a ja najwyraźniej zostałem baranem — przewodnikiem. Wszyscy musimy żyć w świecie, który nas nie chce.*

— Potrzebujemy dużo drewna na opał — dodał po chwili.

Wuh—Wuh spisywał się w miarę dobrze, był nieszkodliwy, zwłaszcza odkąd Jimmy — przypuszczalnie za pomocą kija — wyplenił z niego pewne niepożądane nawyki. Brock uświadomił sobie jak wielu ludzi jemu podobnych musi walczyć o przetrwanie, ponieważ cywilizacja jest zbyt rozwinięta i już do niej nie pasują. W końcu, myślał, jakoś się zbiorą, stworzą własną społeczność i...

No dobrze, musiał przyznać sam przed sobą. Był samotny. Czasami depresja wynikająca z samotności przybierała formę myśli samobójczych. W tym zimnym świecie nie spotkał nikogo, kto byłby do niego podobny i pracował za darmo, nie licząc środków niezbędnych do przetrwania. Potrzebował więzi.

Skończył dojenie i wyprowadził zwierzęta na wybieg. Woda w poidle zamarzła, ale Jumbo stłukł trąbą cienką warstwę lodu i zwierzęta zebrały się dookoła, aby się napić. Później trzeba będzie poprosić słonia, żeby przyniósł więcej wody ze zbiornika awaryjnego. Jumbo zrobił się dość włochaty; Brock nigdy dotąd nie zastanawiał się, ile sierści może mieć słoń, jeśli nie ściera jej o drzewa, albo nie usuwają jej ludzie.

Podszedł do sterty siana przy wybiegu dla owiec. Zbudował wokół niej szczelne ogrodzenie, aby powstrzymać stado przed pożarciem wszystkiego naraz, ale płotek już nie pomagał. Zastanawiał się, jakie dziwaczne myśli kłębią się w tych wąskich czaszkach.

Nawet przed zmianą owce były zwierzętami o własnej osobowości. Znał każdą z nich tak dobrze, jak mógłby znać przyjaciela, gdyby go miał. Wesoła, bystra Georgina zawsze w ruchu, przepychana z kąta w kąt nieśmiała Psyche, stara gruba Marie Antoinette zawsze zadowolona i zawsze coś przeżuwiająca, Jogirl tańcząca radośnie w śniegu — i Napoleon, stary baran o zakręconych rogach, po królewsku majestatyczny i aż nadto świadom swojej dominacji. Jak mógłby zabić którąś z nich?

Ale nie miał wyjścia. On sam, Joe i Wuh—Wuh nie mogli obywać się tylko sianem, grubą mąką, owocami i warzywami składowanymi w piwnicy; Jimmy i Mehitabel też mogłyby zjeść rosół — były jeszcze skóry i tłuszcz, a nawet same kości warto było zatrzymać.

Tylko którą wybrać?

Nie przepadał za Georginą, ale była najsilniejsza i nie mógł jej zabić, potrzebował jej krwi do odbudowania stada. Uroczą Jogirl, Marie Antoinette trącającą jego dłoń, kokietkę Margy czy dzielną Eleanor — którą ze swoich przyjaciółek miałby zjeść?

Och, zamknij się, powiedział do siebie. Zdecydowałeś już dawno temu.

Zagwizdał na Joe i otworzył bramę wybiegu. Owce popatrzyły na niego z ciekawością.

— Joe, przyprowadź Psyche — powiedział.

Pies wystrzelił do przodu jak miedziany płomień. Mehitabel wyszła z kurnika i czekała cicho na to, co musiała zrobić. W ręce trzymała nóż.

Joe szturchnął Psyche, lekko uszczypnął ją w bok, aż owca spojrzała na niego z nieśmiałym zastanowieniem. Pies szczeknął,

głośny i wyraźny dźwięk rozszedł się w mroźnym powietrzu. Psyche ruszyła wreszcie przez śnieg w stronę bramy. Tam przystanęła i popatrzyła na Brocka.

— Chodź, malutka — powiedział. — Tędy.

Zamknął bramę. Joe prowadził Psyche za kurnik, żeby stado jej nie widziało.

Świnie były twarde, przebiegłe i często zabijały swoich pobratymców. Owce nie. Brock pomyślał, że jeśli zimą kilka z nich wyjdzie i nie wróci, reszta po prostu zaakceptuje to bez wielkich ceregieli. Jeśli człowiek nadal zamierzał pozbawiać swoje zwierzęta Życia, to będzie musiał w końcu wymyślić im jakąś — cóż, religię — która wymaga Składania ofiar.

Brock zadrżał na samą myśl. Nie był przygotowany na rolę Molocha. Człowiek był wystarczająco zły i nie musiał dodatkowo zmieniać się w krwiożerczego boga.

— Tutaj, Psyche — powiedział.

Stała cicho i patrzyła na niego. Zdjął rękawiczki, Owca polizała jego palce, język miała ciepły i mokry. Gdy podrapał ją za uszami zabeczała cicho i podeszła bliżej.

Nagle uzmysłowił sobie ogrom tragedii wszystkich zwierząt. Nie były przystosowane do takiej inteligencji. Człowiek miał ręce, dłonie, umiał mówić, był ze swoim mózgiem oswojony. Ta świadomość nagle go przytłoczyła, chociaż jego intelekt był przecież potencjalnie nieograniczony.

Pozostałe stworzenia żyły dotąd w harmonii, kierowały się instynktem w odwiecznym rytmie świata. Inteligencji miały akurat tyle, aby przetrwać. Były tępe, ale nie wiedziały o tym; nie prześladowały ich żadne urojenia, tęsknoty, samotność czy nuda.

Teraz nagle znalazły się w świecie abstrakcji przekraczającej ich zdolność rozumienia. To odbierało im równowagę. Silniejszy niż u ludzi instynkt zmienił się nagle w coś obcego, a mózg nieprzystosowany do komunikacji na poziomie człowieka nie mógł sobie z tym poradzić.

Zobojętnienie na okrucieństwo sprawiło, że Brock czuł gorycz w ustach. Nie mógł skupić wzroku, ale poruszał się z szybkością drapieżnika. Stanął za owcą, przygniótł ją i obnażył jej gardło do cięcia. Psyche zabeczała, a w jej oczach zobaczył strach przed śmiercią. Potem owca zeszywniała, szarpnęła się krótko i było po wszystkim.

— Zajmij... zajmij... — Brock wstał. — Zajmij się tym sama, Mehitabel, dobrze?

Z dziwnym trudem wypowiadał słowa.

— Przyślę ci Wuh—Wuh do pomocy. Mam inne rzeczy do zrobienia.

Odszedł powoli, potykając się lekko. Joe i Mehitabel wymienili niepewne spojrzenia. Dla nich była to tylko praca; nie wiedzieli, dlaczego ich przywódca płakał.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy przybył prorok, Wang Kao był pogrążony w pracy. Ziemia wokół wioski była zamarznięta i zasypana śniegiem. Był środek zimy, ale przecież wiosna nadejdzie — kto wtedy zaorze pole, jeśli wszystkie woły uciekły? Będzie zmuszony zaprząć do pługów mężczyzn, kobiety i dzieci, a Wang Kao chciał im ulżyć na ile to tylko możliwe. W poszukiwaniu łożysk kulkowych rozłożył na części traktor — i tak nie było paliwa, a traktor był jedyną pozostałością po komunistach. Nagle w wiosce podniósł się krzyk, Od pól zbliżał się ktoś obcy.

Wang Kao westchnął i odłożył swoją pracę. Poczłapał przez mroczną kuźnię, złapał strzelbę i kilka nabojów, na plecy naciągnął watowany, niebieski płaszcz. Broń, jak dobry przyjaciel, towarzyszyła mu przez wiele setek mil zanim armia podniosła bunt i wreszcie mógł wrócić do domu. Tu i ówdzie wciąż kręciły się oddziały komunistów i ludzie, z których głód uczynił bandytów. Nie mógł mieć żadnej pewności, którym z nich okaże się przybysz. Ostatni obcy przybył w błyszczącym samolocie by oznajmić, iż kraj ma nowy rząd, a każdy człowiek może być teraz wolny. Jednak rząd był bardzo odległy i bardzo słaby, a ludzie w razie potrzeby musieli się bronić sami.

Sąsiedzi czekali na zewnątrz, drżąc na zimnie. Niektórzy — jak on — mieli broń palną, reszta była uzbrojona w noże, pałki i

widły. Z ich nozdrzy unosiły się obłoczki pary. W drzwiach domów stały kobiety, dzieci i starcy, gotowi szukać tam schronienia w razie potrzeby.

Wang Kao przeszedł przez śnieg.

— To tylko jeden człowiek — powiedział. — Nie widzę, żeby miał broń.

— Jedzie na osle i prowadzi innych — odparł jego sąsiad.

Było w tym coś dziwnego. Od wielkiej zmiany ktoś zdołał podporządkować sobie zwierzę? Wang Kao poczuł mrowienie na karku.

Przybysz był raczej stary. Uśmiechnął się łagodnie i wszyscy po kolei opuścili broń. Miał na sobie lekkie ubrania, jakby to było lato. Zbliżył się i pozdrowił ludzi przyjaźnie. Nikt się nie odezwał, czekali w milczeniu.

— Nazywam się Wu Hsi — powiedział — i mam dla was wiadomość, która może okazać się cenna.

— Wejdźcie, panie — zaprosił go Wang Kao — i przyjmijcie naszą skromną gościnę. Musi wam być okropnie zimno.

— Ależ nie — odparł obcy. — To część mojej wiadomości. Ludzie nie muszą marznąć, nawet jeśli nie mają grubej odzieży. Trzeba tylko wiedzieć, jak to zrobić.

Przełożył jedną nogę przez kłęb osła i pochylił się. Lekki, chłodny powiew poruszył jego wiotką, szarą brodą.

— Jestem jednym z wielu — kontynuował. — Mój mistrz nas nauczył, a teraz idziemy i uczymy innych. Mamy nadzieję, że niektórzy staną się prorokami.

— A czego uczycie, panie? — spytał Wang Kao.

— Chodzi tylko o właściwe wykorzystanie umysłu — odparł

Wu Hsi. — Mój mistrz był nauczycielem w Fenchow, a gdy nadeszła wielka zmiana ujrzał, że to zmiana w ludzkim myśleniu. Przystąpił więc do poszukiwania najlepszych sposobów użycia nowej mocy. Na razie to skromne początki, ale mamy przecucie, że możemy przysłużyć się całemu światu.

— Panie, przecież teraz każdy z nas potrafi myśleć szybciej i intensywniej — powiedział Wang Kao.

— Tak, z pewnością znalazłem się pośród wartościowych ludzi, może jednak moje niewiele znaczące słowa okażą się objawieniem. Pomyślcie tylko, jak często umysł i wola przewyciężają słabość ciała. Pomyślcie, jak ludzie potrafią przetrwać chorobę, głód i zmęczenie, podczas gdy każde inne stworzenie już dawno by umarło. Pomyślcie o ile większa mogłaby to być moc, jeśli tylko człowiek potrafiłby jej użyć.

— Tak. — Wang Kao skłonił się. — Widzę, jak przewyciężacie chłód zimy.

— Dziś nie jest aż tak zimno. Nic nam się nie stanie, bo potrafimy sprawić, że krew zachowuje odpowiednią temperaturę. To drobiazg. — Wu Hsi wzruszył ramionami. — Lepiej działający umysł może więcej zrobić z ciałem; ja, na przykład, mogę wam pokazać jak sprawić, aby rana przestała krwawić i boleć. Albo jak porozumiewać się ze zwierzętami i zaprzyjaźniać się z nimi. Znam sposoby na zapamiętanie najmniejszego drobiazgu, który kiedykolwiek zobaczyłem; sposoby na to, aby nie mieć żadnych uczuć, ani pragnień poza tymi, które umysł uważa za dobre; metody porozumiewania się bez otwierania ust; potrafię kształtować prawdziwy świat bez popadania w przesadę — to, moim skromnym zdaniem, na

dłuższą metę może się wam przydać najbardziej.

— Istotnie, panie, przydałyby się nam takie sposoby, ale na razie jesteśmy głodni — oświadczył Wang Kao z respektem. — Czy zechcesz wejść i dzielić z nami posiłek?

To był wielki dzień dla wioski i wielkie wieści przyniesione przez tak niepozornego posłańca. Wang Kao pomyślał, że wkrótce nastanie wielki dzień dla całego świata. Zastanawiał się, jak ten świat będzie wyglądał za dziesięć lat i nawet jego cierpliwa dusza nie mogła się tego doczekać.



Niebo było ciemne i mroźne, choć noc rozświetlały miliony gwiazd. Droga Mleczna wyglądała jak morze światła, gigantyczny Orion lśnił w bezkresnej otchłani, wokół było cicho i zimno.

Przestrzeń rozciągała się wokół statku jak ocean. Ziemskie słońce zmniejszało się w miarę, jak oddalali się od planety. Teraz była tylko noc, cisza i monumentalne, błyszczące piękno niebios. Patrząc na gwiazdy, na płonące ognie, doświadczając przytłaczającej izolacji, Peter Corinth czuł w duszy lęk. Patrzył w kosmos rozciągający się poza granice wyobraźni, wyobrażał sobie kolejne i jeszcze kolejne światy pełne tajemnic i przepychu.

Może musisz odnaleźć Boga.

Może właśnie go odnalazł.

Corinth odwrócił się do metalicznego, ciepłego wnętrza kabiny i westchnął z wdzięczności za jej skończoność. Lewis siedział gapiąc się na wykresy i żując niezapalone cygaro. Na jego

okrągłej, rumianej twarzy nie było śladu lęku. Nucił coś, ale Corinth wiedział, że nie ma ochoty na żarty.

Biolog lekko kiwnął głową. (Działa jak złoto. Napęd psi, ekrany, grawitacja, wentylacja, serwomechanizmy — mamy Świątą łódkę!).

Corinth usiadł w fotelu składając się jak scyzoryk i opierając ręce na jednym kolanie. Dotarli do gwiazd — triumfalne, być może największe osiągnięcie w historii. Zapiszą się w niej na zawsze, powodowani pędem nie pozwalającym człowiekowi usiedzieć na jego małej planetce. Jednak nie czuł jakoś euforii zdobywcy. Przytłaczał go ogrom wszechświata.

Och, zawsze wiedział, że kosmos jest ogromny ponad wszelkie wyobrażenie, ale to była tylko sucha, pozbawiona treści teoria, dziesięć do potęgi którejś i nic więcej. Teraz zaś sam był jego częścią. Już nigdy nie będzie tym samym człowiekiem.

Prowadzony przez moc potężniejszą od rakiet, przekraczającą einsteinowskie ograniczenia prędkości, statek wykorzystywał masę samego wszechświata, ale kiedy podróżuje się szybciej od światła, pojęcie prędkości przestaje mieć znaczenie. Znajdowali się w położeniu, którym zajmowała się nowa, dość enigmatyczna gałąź matematyki. Statek generował własne, wewnętrzne pole pseudograwitacji, a jego paliwem była sama masa — jakakolwiek masa, zamieniona w energię, 9×10 do potęgi dwudziestej ergów na gram. Jego ekrany kompensowały efekt Dopplera, a zaburzenia ukazywały nagą chwałę wszechświata. Nie mogliby jej podziwiać nie chroniąc oczu. Pojazd niósł, chronił i karmił swój delikatny, organiczny ładunek, a ci, którzy nim podróżowali jak bogowie, mieli świadomość własnej śmiertelności. W

niewytłumaczalny sposób to ich uspokajało.

A jednak statek wyglądał, jakby był niedokończony. Jakby budowniczowie chcieli tysiąc lat cywilizacji zamknąć w kilku miesiącach pracy. Montowane w pośpiechu, ale świetnie wyposażone komputery i roboty sprawiały, że był właściwie automatyczny. Ludzie na pokładzie w swoich zmienionych umysłach mogli prowadzić obliczenia równie szybko i skutecznie jak każda dotąd skonstruowana maszyna. Rozwiązywali równania różniczkowe tylko po to, aby mieć kontrolę nad systemami. W projekcie wyczuwało się niemal desperacki pośpiech, niejasną świadomość, że nowi ludzie muszą szybko wyznaczyć granicę. Następny statek będzie już inny, większość zmian oprze się na danych zgromadzonych przez tę właśnie, pionierską załogę.

— Promień kosmiczny jest stały — powiedział Lewis. Kadłub i pola ochronne statku były najeżone instrumentami pomiarowymi. (Podejrzewam, że to na dobre Obala teorię o tym, że życie zrodziło się pod wpływem słońca).

Corinth kiwnął głową. Wszechświat — a przynajmniej fragment, który spenetrowali — by pełen naładowanych cząsteczek, mknących przez przestrzeń z nieznanymi kierunków do równie nieznanymi celów. Czy w ogóle miały jakieś określone punkty wyjściowe? Może są integralną częścią kosmosu, jak gwiazdy i mgławice. Bardzo chciałby to wiedzieć.

— Myślę — powiedział — że nawet krótkie wypady do tego małego wycinka galaktyki obalą większość dawnych teorii astrofizycznych. (Będziemy musieli stworzyć całą nową kosmologię).

— Założę się, że biologię też — mruknął Lewis. (Od zmiany bez przerwy się nad tym zastanawiam i teraz ośmielam się twierdzić, że istnienie form życia nieopartych na węglu jest możliwe). — Ano, zobaczymy.

Zobaczymy — Co za magiczne zdanie!

Na zbadanie samego Systemu Słonecznego potrzeba kilku dekad. Sheila — Corinth nie miał potrzeby nadawania imion swoim dziełom, ale zachował dość sentymentalizmu, aby nazwać statek imieniem swojej żony — już podczas testów była na Księżycu. Jej prawdziwa podróż rozpoczęła się od lotu nad trującym piekłem Wenus smaganej wiatrami, potem przystanek na Marsie — Lewis prawie oszalał zobaczywszy adaptacje pewnych form roślinnych, a potem ruszyli dalej. Podczas jednego, niewiarygodnego tygodnia widzieli dwie planety i zostawili je za sobą. Za sobą zostawili też gwiazdozbiór Herkulesa: mieli zamiar określić położenie skraju pola hamującego; potem Alfa Centauri, aby się przekonać, czy najbliższa sąsiadka Słońca ma planety, i z powrotem do domu. Wszystko w ciągu miesiąca!

Kiedy wrócę, będzie już prawie wiosna...

W dniu startu na północnej półkuli nadal trwała zima. Poranek był zimny i ciemny. Nisko sunące po stalowym niebie chmury przypominały dym. Zasłonięte śnieżną mgłą budynki Brookhaven były prawie niewidoczne, a miasto w ogóle zniknęło za mgłą.

Żegnało ich tylko kilka osób. Oczywiście przyszli Mandelbaumowie, w kilku warstwach ciepłych ubrań wyglądali na starych i obdartych; wysoka sylwetka Rossmanna tkwiła

sztywno gdzieś obok nich, przyszło też kilkoro przyjaciół, kilku pomocników z laboratoriów, i to wszystko.

Przyszła również Helga ubrana w kosztowne futro, topniejący śnieg na jej ciasno upiętych blond włosach przypominał małe diamenty. Jej chłód wiele Corinthowi powiedział, zastanawiał się, jak długo będzie stała tam po odlocie statku, ale uścisnęli sobie dłonie i nie powiedzieli ani słowa. Potem zaczęła rozmawiać z Lewisem, a Corinth został z Sheilą.

W zimowym płaszczu wyglądała na małą i kruchą. Bardzo straciła na wadze, jej drobne kości niemal przebijały skórę, oczy w wychudzonej twarzy wyglądały na ogromne. Ostatnio stała się bardzo cicha, siadała i patrzyła jak gdyby poprzez niego i cały czas lekko drżała. Trzymał jej szczupłe dłonie i próbował ją uspokoić.

— Nie powinienem cię zostawiać, kochanie — powiedział głosem pełnym troski.

— To nie potrwa długo — odparła bezbarwnie. Nie miała makijażu, a jej usta były bledsze, niż powinny. — Chyba już mi lepiej.

Kiwnął głową. Psychiatra, Kearnes był pulchnym mężczyzną w typie ojcowskim i miał umysł jak brzytwa. Przyznał, że jego terapia jest eksperymentalna, zapuszcza się w nieznaną czeluść nowego ludzkiego umysłu, ale z niektórymi pacjentami osiąga niezłe rezultaty. Absolutnie odrzucał barbarzyńskie metody leczenia mózgu za pomocą operacji i wstrząsów elektrycznych. Twierdził, że okres izolacji od bliskich daje pacjentowi czas na przeprowadzenie koniecznej oceny...

(— Zmiana spowodowała bezprecedensowy szok dla każdego

organizmu posiadającego układ nerwowy — powiedział doktor Kearnes. Szczęśliwcy — ci o silnej woli, zdecydowani, ludzie o zainteresowaniach będących raczej kwestią wyboru lub konieczności dyktowanej z zewnątrz, a nie z wewnątrz, ci, dla których intensywne myślenie zawsze było procesem naturalnym i przyjemnym — zasadniczo przystosowali się bez większego trudu; podejrzewam jednak, że do śmierci wszyscy będziemy nosić blizny po tym szoku. Ale ci, którym mniej się poszczęściło, wpadli w neurozę, która — w wielu przypadkach — przerodziła się w głęboką psychozę. Pańska żona, doktorze Corinth — powiem wprost — jest niebezpiecznie bliska obłądu. Jej dawne życie, generalnie pozbawione intelektualnych bodźców i raczej ograniczone, nie przygotowało jej na tak nagłą i radykalną zmianę osobowości; nie ma dzieci, o które mogłaby się martwić, ani problemów dotyczących przetrwania. To sprawiło, że wszystkie jej procesy myślowe skupiły się na niej samej i na tym, co się z nią dzieje. Dawne przyzwyczajenia, kompensacje, mechanizmy obronne tkwiące w nas wszystkich, przestały być użyteczne, a nie potrafi znaleźć sobie nowych. Zamartwianie się objawami naturalnie je wzmacnia i tworzy błędne koło. Myślę jednak, że mogę jej pomóc; w swoim czasie, gdy uda się już to wszystko ogarnąć, powinniśmy doprowadzić do jej całkowitego wyleczenia... Kiedy? Skąd mam wiedzieć? Ale pewnie w ciągu kilku lat, przy obecnym tempie rozwoju nauki; a tymczasem pani Corinth powinna choć częściowo odzyskać poczucie szczęścia i równowagi).

— Tak...

W jej oczach nagle pojawiło się przerażenie.

— Och, Pete, kochany, kochany, uważaj tam na siebie! Wróć do mnie!

— Wrócę — powiedział i zagryzł wargę.

(— Tak, to byłoby dla niej wspaniale — jak sędzę — gdyby udał się pan na tę ekspedycję, doktorze Corinth. Martwienie się o pana jest zdrowsze, niż rozmyślanie o tym, co podsuwa jej własny, umęczony umysł. Odwrócenie jej uwagi na pewno pomoże. Z natury nie jest introwertyczką...).

Na chwilę przed Światem ukryła ich chmura śniegu. Pocałował ją i wiedział, że przez wszystkie nadchodzące lata będzie pamiętał jak zimne i drżące były jej wargi.

Ziemia pod nogami zadudniła głębokim, głuchym dźwiękiem, jakby planeta zadygotała z zimna. Na niebie zapłonęła rakietka transatlantycka wysłana do Europy z misją w sprawie nowego porządku świata. Corinth patrzył na Sheilę. Strząsając śnieg z jej włosów poczuł pod palcami ich dziecięcą miękkość. Wezbrał w nim smutek.

— Gdy znów wrócę do domu — kochanie, a co to będzie za powrót! — spodziewam się, że zastanę cię w dobrej formie, znajdziesz robota do prac domowych i będziesz cała dla mnie. Nie chcę, aby cokolwiek nam przeszkadzało.

Ale naprawdę myślał: Najukochańsza, bądź tam dla mnie tak, jak zawsze byłaś, jesteś całym moim światem. Nie będzie między nami mroku, jesteś dzieckiem Światła, bądźmy razem tak, jak kiedyś byliśmy. Inaczej wszystko, na zawsze będzie pustką.

— Pete, postaram się — wyszeptała. Dłonią dotknęła jego twarzy. — Pete — powiedziała pytająco.

Przez wiatr przebił się szorstki głos Lewisa.

— Wszyscy na pokład!

Corinth i Sheila potrzebowali czasu dla siebie i wszyscy to uszanowali. Kiedy wreszcie stanął w śluzie powietrznej i machał na pożegnanie, był już wysoko nad ziemią. Sylwetka Sheili na tle spiętrzonego śniegu wydawał się bardzo mała.



Sol była najjaśniejszą gwiazdą, jaką zostawili za sobą, niemal ginęła w mnogości słońc w pobliżu orbity Saturna. Pomimo przebytej przez statek odległości gwiazdozbiory się nie zmieniły. Ogromny krąg Drogi Mlecznej i dalekie, tajemnicze zwoje innych galaktyk polśniewały równie daleko, jak wówczas, gdy przodek człowieka uniósł oczy ku niebu i zadziwił się. Nie istniał czas, ani odległości, istniał jedynie ogrom przemijających mil i lat.

Sheila z prędkością podświetlną ostrożnie posuwała się naprzód. Na obrzeżach pola hamującego Lewis i Corinth przygotowali sondy badawcze, które zostaną wystrzelone w rejon o największym natężeniu pola.

Lewis chichotał radośnie nad szczurami w klatce, zamierzał umieścić je w jednej z torped. Patrzyły na niego paciorkowatymi oczami, jakby wiedziały co się święci.

— Biedne maluchy — powiedział Lewis. — Czasami czuję się jak drań. — Skrzywił się lekko. — Przez resztę czasu też, ale to zabawne.

Corinth nie odpowiedział. Patrzył na gwiazdy.

— Problem z tobą jest taki — oświadczył Lewis sadowiąc się w

fotelu — że bierzesz życie zbyt poważnie. Zawsze tak było, a od zmiany nie pozbyłeś się tego nawyku. Natomiast ja — a ja jestem, oczywiście, doskonały z definicji! — zawsze znajdę sobie powód, żeby poprzeklinać albo popłakać, ale generalnie tylko dla zabawy. Jeśli istnieje jakiś bóg — a od zmiany zaczynam myśleć, że to możliwe, może mam bogatszą wyobraźnię — to Chesterton miał rację przypisując mu poczucie humoru. Młasnął.

— Biedny stary Chesterton! Szkoda, że nie dożył zmiany. Zobaczyłby paradoksy, o jakich nawet mu się nie Śniło!

Dzwonek alarmowy przerwał jego monolog. Poderwali się, wpatrując się w światelko wskaźnika mrugające jak czerwone oko. Obaj jednocześnie poczuli falę zawrotów głowy. Corinth przytrzymał się podłokietników swojego fotela i walczył z mdłościami.

— Pole... zbliżamy się do strefy... — Lewis nacisnął guzik na skomplikowanym panelu kontrolnym. Mówił grubym głosem. — Musimy się stąd zabierać...

Cała wstecz! Ale to nie było takie proste w zmaganiach z polem, którego istnienie współczesna nauka tylko podejrzewała. Corinth potrząsnął głową powstrzymując wymioty i pochylił się, aby pomóc. Ten włącznik — nie, ten drugi...

Bezradnie popatrzył na konsolę. Igła przekroczyła czerwony znak, przekroczyli prędkość światła i wciąż przyspieszali. To ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzył. Co robić?

Lewis potrząsnął głową. Twarz spływała mu potem.

— Fala poprzeczna — wysapał. — Leć po stycznej...

W napędzie psi nie było stałych. Wszystko było zmienne, stanowiło wypadkową wielu komponentów uzależnionych od

potencjalnych gradientów i od siebie nawzajem. Ustawienie „naprzód” przy nowych warunkach mogło okazać się „wstecz”. Wiedział, że istniała jakaś niejasna zasada, według której można obliczyć nieprzyczynowy chaos pojedynczych elektronów, krzywe prawdopodobieństwa, niewyobrażalną złożoność wszechświata gwiazd, planet i myślących ludzi. Przez mózg Corintha przemknął ciąg równań.

Zawroty głowy minęły. Z rosnącym przerażeniem popatrzył na Lewisa.

— Myliliśmy się — wybełkotał. — Pole tworzy się szybciej, niż sądziliśmy.

— Ale... Ziemia potrzebowała sporo czasu, żeby się z niego wydostać z relatywną prędkością...

— W takim razie musieliśmy wejść w inną część stożka, ostrzej zaznaczoną; a może to pole robi coś z czasem...

Corinth uświadomił sobie, że Lewis gapi się na niego z otwartymi ustami.

— Hm? — powiedział, powoli!

— Powiedziałem... co ja powiedziałem? — serce Corintha zaczęło łomotać w panice. Powiedział trzy czy cztery słowa, zrobił kilka znaków, ale Lewis go nie zrozumiał.

Oczywiście, że nie! Nie byli już tak inteligentni, jak wcześniej, żaden z nich.

Corinth poczuł suchość w ustach. Wolno, prostą angielszczyzną powtórzył to, co miał na myśli.

— A tak, tak — przytaknął Lewis, zbyt spanikowany, aby powiedzieć coś więcej.

Mózg Corintha jakby pływał w kleju. Nie znalazł innego

określenia. Spadał w ciemność, nie mógł myśleć, z każdą upływającą sekundą pogrążał się w zwierzęcej tępocie.

Cała wiedza umknęła jak zdmuchnięta wiatrem. Nieświadomie weszli w pole opuszczone przez Ziemię, to ich spowolniło, wracali do stanu sprzed zmiany. Statek wchodził w pole coraz głębiej, w obszar coraz silniejszego oddziaływania, a oni nie mieli dość inteligencji, aby nim sterować.

Następny statek będzie lepiej zabezpieczony, pomyślał pośród chaosu. Domyślał się, co się stało — ale co nam z tego przyjdzie?

Znów wyjrzał na zewnątrz; gwiazdy falowały mu przed oczami. *Pole, myślał w panice, nie znamy jego kształtu ani zasięgu. Chyba wychodzimy z niego po stycznej, wkrótce może wyjdziemy ze stożka — albo może utkniemy tu na następnych sto lat. Sheila!*

Opuścił głowę, zbyt przytłoczony fizycznym cierpieniem, nagłą zmianą nie pozwalającą myśleć i zapłakał. Statek przemierzał ciemność.

ROZDZIAŁ 15

Dom stał na Long Island, ponad szeroką plażą schodzącą do morza. Niegdyś plaża należała do posiadłości, świadczyły o tym nadal rosnące tam drzewa i mur odgradzający ją od świata.

Roger Kearnes zatrzymał samochód pod portykiem i wysiadł. Uderzyło go przenikliwe, mokre zimno, zadrżał lekko i wsadził ręce do kieszeni. Nie było wiatru, tylko śnieg sypiący bezszelestnie z niskiego nieba, osiadający na szybach i topniejący na ziemi jak łyż. Pomyślał ze zniecierpliwieniem, że wiosna chyba nigdy nie nadejdzie.

Otrząsnął się i zadzwonił do drzwi. Miał pracę do wykonania. Musiał zajrzeć do swojej pacjentki.

Sheila Corinth otworzyła drzwi. Wciąż była chuda, w bladej, dziecięcej twarzy błyszczały wielkie, ciemne oczy; ale już nie drżała, była starannie uczesana i włożyła sukienkę.

— Dzień dobry — powiedział z uśmiechem. — Jak się dziś miewasz?

— Och... w porządku — nie patrzyła mu w oczy. — Wejdiesz?

Poprowadziła go świeżo odmalowanym korytarzem, co jednak nie wprowadziło radosnej atmosfery, na którą liczył Kearnes. Ale nie można mieć wszystkiego. Sheila powinna uważać się za szczęściarę mając dla siebie cały dom i miłą starszą kobietę — ociążałą umysłowo — do pomocy i towarzystwa. Wprawdzie jej

mąż był teraz ważną osobistością, ale w tych warunkach to i tak było dużo.

Weszli do salonu. Na kominku płonął ogień, za oknami rozciągała się plaża i ocean.

— Proszę usiąść — powiedziała Sheila obojętnie. Usadowiła się w fotelu i siedziała bez ruchu, wpatrując się w okno. Kearnes podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Jak gwałtownie toczyły się fale! Nawet tutaj słyszał, jak rozbijają się o brzeg, toczą kamienie, miażdżą je jak puste skorupki. Na horyzoncie było szaro i białe, fale niczym białogrzywe konie stawały dęba i znów galopowały, prawie słyszał ich głośnie rżenie!

Przestał o tym myśleć i otworzył teczkę.

— Mam dla ciebie kilka książek — powiedział. — Teksty z dziedziny psychologii. Powiedziałaś, że cię interesują. — Tak. Dziękuję.

Jej głos był wyprany z wszelkich emocji.

— Teraz oczywiście są beznadziejnie nieaktualne — ciągnął. — Ale dadzą ci obraz podstawowych zasad. Sama musisz określić, na czym polega twój problem.

— Chyba wiem — odparła. — Teraz mogę myśleć jaśniej. Widzę, jaki zimny jest wszechświat i jacy jesteśmy mali... — popatrzyła na niego z lękiem. — Żałuję, że potrafię o tym myśleć!

— Jeśli uda cię opanować swoje myśli, będziesz z tego zadowolona — powiedział łagodnie.

— Chciałabym, żeby wrócił stary świat — odpowiedziała.

— Był okrutny — odparł. — Lepiej nam bez niego.

Kiwnęła głową. Ledwie słyszał jej szepta.

— O żołnierzu, leżący cicho na mrozie, w twoich włosach jest

szron, a w twych oczach ciemność. Niech nastanie ciemność.

Zanim zdążył się zmartwić, znów się odezwała.

— Ale kochaliśmy i mieliśmy nadzieję. Pamiętasz,, ludzie w małych kawiarniach śmiali się w zapadającym zmroku, słuchali muzyki i tańczyli, pili piwo i jedli kanapki z serem i ciasto o północy, mieliśmy łodzie, martwiliśmy się o podatek dochodowy, mieliśmy nasze własne żarty, było nas dwoje. Gdzie jest teraz Pete?

— Niedługo wróci — powiedział szorstko Kearnes. Nie chciał jej przypominać, że statek miał już dwa tygodnie spóźnienia. — Nic mu nie jest. Musimy myśleć o tobie.

— Tak — z powagą zmarszczyła brwi. — Wciąż do mnie przychodzą. Cienie, słowa znikąd. Czasami mają sens. — Możesz mi je powtórzyć? — zapytał.

— Nie wiem. To dom na podłużnej wyspie, wyspie czasu i tęsknoty, gdzie jest Pete?

Odprężył się nieco. Ta wypowiedź miała więcej sensu niż słowa, które powtórzyła mu ostatnio. Co to było? Lecz kiedy wszystko jest w mocy mrozu i czasu tak ciemnego, że bezświatłość ma ciężar, powiedz mi, co leży głębiej. Może w ciszy i odosobnieniu zaczęła odzyskiwać równowagę.

Nie był pewien. Za dużo się zmieniło. Jej neurotyczny umysł wędrował po krainach, do których nie miał wstępu, nowe wzory po prostu nie zostały jeszcze utrwalone. Pomyślał jednak, że mimo wszystko Sheila zachowywała się nieco normalniej.

— Nie powinnam z nimi igrać, wiem — powiedziała gwałtownie. — To niebezpieczne. Jeśli weźmiesz je za rękę poprowadzą cię przez chwilę, ale już nie wypuszczą.

— Cieszę się, że sobie to uświadomiłaś — powiedział. — Musisz ćwiczyć umysł. Myśl o nim jak o narzędziu, jak o zwykłym mięśniu. Skup się na tym, co ci powiedziałem o procesach logicznych i ogólnej semantyce.

— Dobrze — zachichotała. — Triumfalne odkrycie tego, co oczywiste.

— No — zaśmiał się — wróciłaś przynajmniej na tyle, żeby robić złośliwe uwagi.

— O tak — złapała nitkę wystającą z tapicerki. — Ale gdzie jest Pete?

Uchylił się od odpowiedzi i przeprowadził z nią rutynowy test na skojarzenia słowne. Jego wartość diagnostyczna była praktycznie zerowa — za każdym razem słowa przyjmowały odmienne konotacje — ale mógł dodać rezultaty do zbieranych przez siebie danych. Kiedyś wreszcie zbierze dość materiału i odkryje wzorzec. Nowa n—wymiarowa technika mapowania wyglądała obiecująco, może da spójny obraz.

— Muszę już iść — powiedział wreszcie. Poklepał ją po ramieniu. — Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy, albo tylko towarzystwa, wystarczy do mnie zadzwonić.

Nie podniosła się, siedziała patrząc na niego, aż zniknął za drzwiami. Potem westchnęła. Nie lubię pana, doktorze, pomyślała. Wyglądasz jak buldog, który kiedyś mnie ugryzł, setki lat temu. Ale tak łatwo cię oszukać!

W jej głowie dźwięczała stara piosenka.

„Pani, on nie żyje, odszedł już,

*Nie żyje już. i odszedł;
U jego głowy murawa zielona,
U stóp gładz”.*

Nie, powiedziała temu, kto śpiewał w jej głowie. Odejdź.
Morze warczało i mrucało, wiatr miotał śniegiem w okna.
Czuła, jakby świat kończył się na niej.

— Pete — wyszeptała. — Pete, kochanie, tak bardzo cię
potrzebuję. Proszę, wróć.

ROZDZIAŁ 16

Wyszli z pola, ale następne minuty były straszne.

— Gdzie jesteście?

Wokół statku migotała nieznana konstelacja, a cisza była tak niesamowita, że ich własne oddechy wydawały się zbyt głośne i chrapliwe.

— Nie wiem — jęknął Lewis. — I nie obchodzi mnie to. Daj mi spać, dobra?

Przetoczył się przez ciasną kabinę i padł na koję, trzęsąc się z niemocy. Corinth patrzył na niego przez chwilę poprzez mgłę zasłaniającą mu oczy, po czym odwrócił się do gwiazd.

To niedorzeczne, powiedział do siebie stanowczo. Znowu jesteś wolny. Twój mózg znowu działa z pełną mocą. Więc go użyj!

Jego ciało dygotało z bólu. Człowiek nie jest stworzony do takich zmian. Jak to możliwe, że wytrzymali nagły skok do obezwładniającej ciemnoty, nudę dni zlewających się w tygodnie, statek gnający bez kontroli przed siebie? A potem w jednej chwili, powrót do czystej przestrzeni i systemu nerwowego funkcjonującego znowu na najwyższych obrotach — dziw, że ich to nie zabiło.

To minie, to minie, ale tymczasem statek cały czas gna i pędzi przed siebie, a Ziemia oddala się z każdą sekundą. Trzeba go zatrzymać!

Siedział ściskając podłokietniki fotela, znów walcząc z nudnościami.

Spokój, opanuj się, uspokój serce, rozluźnij mięśnie i niech wszystko powoli wraca do normy.

Pomyślał o czekającej na niego Sheili i ten obraz stał się jedynym stałym punktem w jego wirującym wszechświecie. Czuł, jak stopniowo wracają mu siły. Walczył świadomie, próbował powstrzymać się od spazmatycznego łapania powietrza. Udało się, serce samo zwolniło. Mdłości przeszły, dygot ustał, wzrok się rozjaśnił, Peter Corinth był wreszcie w pełni świadomy.

Podniósł się, poczuł w kabinie kwaśny odór wymiocin i włączył maszynę sprzątającą. Wyjrzał na zewnątrz i ogarnął wzrokiem niebo. Statek w ślepym pędzie wiele razy zmieniał prędkość i kierunek lotu, mogli być gdziekolwiek, ale...

Tak, tam był Obłok Magellana, duch pośród nocy, ta dziura w czerni musiała być Workiem Węgla, bezgwiezdny fragment Drogi Mlecznej, a wielka mgławica w Andromedzie — Sol musiała znajdować się mniej więcej w tamtym kierunku. Potrzebowali około trzech tygodni lotu z maksymalną szybkością; potem oczywiście rozejrzą się po okolicy i znajdą tego zwykłego, żółtego karła, który był słońcem. Wystarczy kilka dni, najwyżej tygodni. Najwyżej miesiąc!

Niczego nie przyspieszy, trzeba opanować nerwy. Emocje są stanem psychofizjologicznym, a więc można je kontrolować. Corinth odepchnął od siebie gniew i żal, skupił się na spokoju i rozsądku. Odzyskał kontrolę nad sobą i zajął się korektą kursu. Kilkoma ruchami dłoni zatrzymał statek, obrócił go i skierował w stronę Sol.

Lewis twardo spał, a Corinth go nie budził. Niech prześpi szok ponownego przystosowania. I tak potrzebował trochę prywatności, musiał się zastanowić.

Wrócił myślami do koszmarnej tygodni w polu. Wtedy wydawało im się, że poprzednie życie na Ziemi to jakiś sen. Ledwie mogli sobie przypomnieć, co robili; nie potrafili myśleć i czuć tak, jak tamte osoby, którymi niegdyś byli. Wydarzenia, które zreorganizowały świat i fakt zbudowania statku w kilka miesięcy były zbyt złożone dla człowieka o mentalności zwierzęcia. W niedługim czasie ich rozmowy i desperackie plany zmieniły się w apatię i rozpacz. Czekali tępo na uwolnienie, lub śmierć.

No proszę, pomyślał Corinth tym zakamarkiem umysłu, który radził sobie jednocześnie z tuzinem rzeczy, *no i w końcu zostaliśmy uwolnieni.*

Siedział i patrzył na oszalamiający spektakl niebios. Świadomość, że zmierza do domu, wciąż jest żywy i przy zdrowych zmysłach, dawała mu głębokie zadowolenie. Jednak chłód, którym się otoczył w akcie samoobrony, uciskał go jak zbroja. Zrzuci ją we właściwym czasie, ale na razie czuł się tym przytłoczony.

Powinien był przewidzieć, że do tego dojdzie. Bez wątpienia ktoś na Ziemi już to odkrył, ale przy tak zaburzonej komunikacji świat jeszcze się o tym nie dowiedział. Historia ludzkości jest zapisem niekończącej się walki między instynktem a inteligencją, reszta to nieświadomy rytm organizmu i wykreowane wzorce. Tu zaś nastąpił ostateczny triumf umysłu.

Spadło to na niego nagle, jednak szok związany z osiągnięciem

pełnej aktywności neuronalnej nie przytłoczył go zbyt. Cała reszta ludzkości odczuje to wkrótce — może nie tak gwałtownie, ale już niedługo.

Zmiana w ludzkiej naturze, a wraz z nią zmiana sposobu funkcjonowania w społeczeństwie, przekraczała jego wyobraźnię. Człowiek nadal będzie miał motywację do różnych działań, nadal będzie aktywny w różnych dziedzinach, ale będzie świadomie dokonywał wyboru. Ludzka osobowość przystosuje się do intelektualnych wymagań danej sytuacji. Człowiek nie będzie robotem, ale też w najmniejszym stopniu nie będzie przypominał siebie z przeszłości. Wraz z rozwojem nowych technik znikną choroby psychosomatyczne, nawet fizyczne problemy ze zdrowiem w dużym stopniu poddadzą się woli; koniec z bólem, każdy będzie mógł przyswoić sobie tyle wiedzy medycznej, ile będzie trzeba po to, aby zająć się sobą, więc lekarze nie będą potrzebni.

A ostatecznie — nie będzie śmierci?

Nie, nie posuwajmy się aż tak daleko. Człowiek wciąż był bardzo skończonym tworem. Nawet teraz miał najróżniejsze naturalne ograniczenia. Prawdziwie nieśmiertelny człowiek w końcu załamałby się pod ciężarem własnego doświadczenia, możliwości jego systemu nerwowego zostałyby wyczerpane.

A jednak ludzkie życie trwające wiele stuleci jest możliwe; tym samym widmo starzenia, powolnej dezintegracji ciała i umysłu, jest możliwe do uniknięcia.

Człowiek podlega zmianom — człowiek intelektu — to nieskończoność!



Gwiazda nieco przypominała Sol — była nieco większa, nieco bardziej czerwona, ale miała planety, a jedna z nich była podobna do Ziemi. Corinth wprowadził statek w atmosferę po nocnej stronie.

Detektory omiotły powierzchnię. Nie wykryły żadnego promieniowania przekraczającego normę, co oznaczało brak energii atomowej; były tam miasta, budynki lśniły chłodnym światłem, były jakieś maszyny, fale radiowe. Urządzenia na statku zarejestrowały głosy płynące przez noc — może później uda się rozszyfrować język.

Mieszkańcy, fotografowani w ułamkach sekund, gdy statek przelatował bezgłośnie nad ich głowami, byli humanoidalnymi, dwunożnymi stworzeniami o ciałach pokrytych zielonkawym futrem, z sześcioma palcami u rąk i o zdecydowanie nieludzkich głowach. Miasta były niemal tak zatłoczone, jak stary Nowy Jork. Forma była obca, ale życie, potrzeby, sposób funkcjonowania wyglądały podobnie jak na Ziemi.

Człowiek o błyskotliwej inteligencji nie jest sam w ogromie czasu i przestrzeni — oto potwierdzają się hipotezy. Corinth raczej przychylnie patrzył na te dziwne stworzenia, dobrze im życzył, ale były tylko kolejnym gatunkiem fauny lokalnej. Po prostu zwierzętami.

— Wyglądają na znacznie rozsądniejszych, niż my w starych czasach — powiedział Lewis, kiedy statek kołował nad kontynentem. — Nie widzę śladów wojen, ani przygotowań; może z nich zrezygnowali jeszcze przed osiągnięciem poziomu

pozwalającego budować odpowiednie maszyny.

— A może to ogólny stan planety — zasugerował Corinth. — Jeden naród podbił planetę i wchłonął wszystkie inne narody. Musielibyśmy przeprowadzić trochę badań, aby się czegoś dowiedzieć, ale ja nie zamierzam zatrzymywać się tu w tym celu.

Lewis wzruszył ramionami.

— Powiedziałbym, że jesteś usprawiedliwiony. W takim razie zabierajmy się stąd — szybka runda po dziennej stronie i znikamy.

Pomimo narzuconego sobie opanowania, Corinth musiał zwalczyć narastającą w nim furię wynikającą z konieczności czekania. Lewis miał rację, powinni zbadać przynajmniej gwiazdy leżące w pobliżu trasy powrotnej. Nikogo na Ziemi nie zabije kilka dodatkowych tygodni oczekiwania na ich powrót, a zebrane informacje mogą okazać się cenne.



Kilka godzin po wejściu w atmosferę Sheila znów ruszyła ku gwiazdom. Planeta szybko została z tyłu, słońce zmalowało i zniknęło, cały żyjący świat — jego ewolucja, historia, walka, chwała i zagłada, marzenia, nienawiść i lęki, nadzieja, miłość i oczekiwanie, cała wielowarstwowa egzystencja milionów czujących istot — wszystko pochłonęła ciemność.

Corinth wyjrzał na zewnątrz i znów poczuł dreszcz przerażenia. Kosmos był zbyt duży. Nieważne, że człowiek przemierzał go z taką łatwością, nieważne, jak daleko dotrze w

najbliższych wiekach i w jakim stopniu go opanuje, to i tak będzie tylko króciutki błysk w zakamarku wielkiej ciszy. Nawet mały pyłek galaktycznego kurzu był niewyobrażalnie wielki, jego umysł go nie ogarniał; nawet za milion lat pozostanie niezbadany; błyszczące wyspy gwiazd rozciągały się dalej i dalej, poza granice wyobraźni. Nawet jeśli człowiek sięgnie poza granice kosmosu, nie ogarnie tego bezmiaru.

Ta myśl go otrzeźwiła, poczuł pokorę. Krzepiąca była świadomość, że wyzwania istnieć będą zawsze; zimny ogrom może wzbudzi w ludziach poczucie wspólnoty, zaczną może dawać sobie nawzajem poczucie bezpieczeństwa, być może dzięki temu będą łaskawszy dla każdego przejawu życia.

Panującą na statku ciszę przerwał Lewis.

— Odwiedziliśmy dziewiętnaście planet, na czternastu z nich żyją istoty przejawiające inteligencję.

Corinth pomyślał o tym, co widzieli: o górach, oceanach i lasach wielu światów, o życiu rozkwitającym w chwale albo tylko walczącym o przetrwanie, i o rodzącym się rozumie próbującym okiełznać ślepią naturę. Widzieli fantastyczną różnorodność cywilizacji: przygarbionych barbarzyńców z ogonami, wyjących na bagnach; delikatne i łagodne stworzenia, szare jak grafit, z niewiadomego powodu hodujące wielkie kwiaty; świat spustoszony wojną atomową, ogarnięty historyczną nienawiścią; widzieli stworzenia o kształtach centaurów, szybujące między planetami własnego słońca; potwory oddychające wodorem na lodowatej, trującej, gigantycznej planecie, które wytworzyły trzy odrębne gatunki, taka dzieliła je przestrzeń; napotkali cywilizację dwunogów wyglądających niemal jak ludzie,

tworzących społeczeństwo tak sztywno zorganizowane, że zniknęła tam wszelka indywidualność, a mrówcza rutyna zastąpiła myślenie; widzieli małe, ryjkowate stworki mieszkające w tropikalnym raju, hodujące wyspecjalizowane rośliny zaspokajające wszystkie ich potrzeby; nację pogardzającą bogactwem i władzą, tworzącą z pasją dzieła sztuki. Och, we wszechświecie istniała ogromna, nieogarniona różnorodność, ale Corinth dostrzegał w niej pewną prawidłowość.

— Jestem pewien, że niektóre z tych ras są starsze od nas — klarował Lewis. — Jednak, zauważ Pete, żadna z nich nie jest znacząco inteligentniejsza od nas przed zmianą. Rozumiesz, co to oznacza?

— Dziewiętnaście planet — a gwiazd w tej galaktyce są setki miliardów, zaś zgodnie z teorią większość z nich ma planety — mizerna to próbka.

— Człowieku, pomyśl! Można spokojnie założyć, że na drodze normalnej ewolucji, dana rasa osiąga pewien poziom inteligencji i na tym koniec. Żadna z tych gwiazd nie znajdowała się w polu hamującym, przecież wiesz.

To ma sens. Współczesny człowiek nie różni się tak bardzo od homo sapiens. Podstawową zdolnością inteligentnych gatunków jest raczej adaptowanie środowiska, aby zaspokajało potrzeby, a nie adaptowanie siebie do środowiska. Stąd taki właśnie efekt — myślący gatunek może utrzymać dość stałe warunki egzystencji. Sprawdza się to zarówno w odniesieniu do Eskimosa w igloo, jak i do nowojorczyka w klimatyzowanym mieszkaniu; jednak technologia budowy maszyn, o ile dany gatunek ją stworzy, sprawia, że warunki fizyczne stają się stabilniejsze. Rolnictwo i

medycyna stabilizują środowisko biologiczne. W skrócie rzecz ujmując — kiedy jakiś gatunek osiągnie inteligencję dawniej reprezentowaną przez przeciętne IQ od 100 do, powiedzmy, 150 to nie ma potrzeby, aby dalej rozwijał inteligencję.

Corinth kiwnął głową.

— W końcu tworzy się sztuczne mózgi do rozwiązywania problemów, z którymi nie radzą sobie zwykle, niczym nie wspomagane umysły — powiedział. — Na przykład komputery; jakkolwiek pisanie odnosi się do tej samej zasady. Oczywiście rozumiem, co chcesz powiedzieć.

— Och, to nie wszystko — dodał Lewis. Jak wiesz, fizyczna struktura układu nerwowego ma swoje ograniczenia. Mózg jest raczej duży, więc ścieżki neuronowe są diabelnie długie. Po powrocie do domu popracuję nad tą teorią, jeśli ktoś inny na to nie wpadnie.

Ziemia, oczywiście, to osobny przypadek obecność pola hamującego sprawiła, że podstawowa biochemia ziemskiego życia uległa zmianie. My także mamy swoje strukturalne ograniczenia, ale ze względu na tę różnicę są one szersze. Dlatego istnieje możliwość, że jesteśmy najbardziej inteligentnym gatunkiem we wszechświecie — a w każdym razie w tej galaktyce.

— Mhm, może i tak. Oczywiście w tym polu było też wiele innych gwiazd.

— I nadal są. Nowe muszą w nie wchodzić praktycznie co dnia. Boże, jak mi żal myślących gatunków na tych planetach! Cofają się do poziomu kretynów — wiele społeczności pewnie po prostu wymiera, bo nie potrafią przetrwać bez umysłów. Ziemia

miała szczęście; weszła w to pole, zanim pojawiła się na niej inteligencja.

— W takim razie wiele planet musi być w podobnym położeniu — wytknął Corinth.

— No, możliwe — przyznał Lewis. — Mogą istnieć rasy, które tysiące lat temu doszły do naszego poziomu i tam się zatrzymały. Jeśli tak, to w końcu je znajdziemy, chociaż galaktyka jest tak wielka, że może to zabrać mnóstwo czasu. I harmonijnie przystosujemy się do siebie nawzajem — uśmiechnął się krzywo.

— Mimo wszystko, logiczny umysł jest tak zmienny, a fizyczność może stać się dla nas tak nieważna, że bez wątpienia uznamy te istoty za podobne do nas — nieważne, jak wyglądałyby ich ciała. Jak by ci się podobało, gdyby twój partner był, powiedzmy — wielkim pająkiem?

Corinth wzruszył ramionami.

— Nie miałbym żadnych obiekcji.

— Nie, oczywiście, że nie. Takie spotkanie mogłoby być zabawne. I już nie będziemy sami we wszechświecie... — Lewis westchnął. — Jednak, Pete, musimy spojrzeć na to realnie. Bardzo niewiele z czujących gatunków istniejących w tej galaktyce miało tyle szczęścia, co my. Możemy natknąć się na tuzin pokrewnych ras, albo na sto — nie będzie to wielka liczba. Nasz typ umysłu jest bardzo samotny.

Skierował wzrok ku gwiazdom.

— Mimo wszystko może się okazać, że ta unikalność jest jakoś kompensowana. Wydaje mi się, że zaczynam dostrzegać rozwiązanie realnego problemu: co człowiek obdarzony supermózgiem zrobi ze swoimi mocami, co uzna za warte swoich

wysiłków? Cały czas się zastanawiam, czy nie ma jakiejś przyczyny — nazwijmy ją Bogiem — która to wszystko spowodowała.

Corinth przytaknął z roztargnieniem. Wyglądał przez okno, jakby chciał wzrokiem przebić lata świetlne i znaleźć planetę zwaną Ziemią.

ROZDZIAŁ 17

Wiosna nadeszła późno, ale teraz powietrze było ciepłe, a drzewa pokryły się zieloną mgiełką młodych liści. Dzień był zbyt ładny, aby spędzić go w biurze. Mandelbaum pożałował, że zobowiązuje go do tego pozycja. Zabawniej byłoby wyjść i pograć w golfa, o ile najbliższe pole wystarczająco podeschło. Ale jako szef administracji rejonu obejmującego dawne stany Nowy Jork New Jersey i Nową Anglię, miał swoje obowiązki.

Kiedy wreszcie ruszy pełną parą produkcja ekranów pogodoochronnych, przeniesie swoje biuro gdzieś na wieś i będzie pracował pod gołym niebem. Na razie jednak musiał zostać w mieście. Nowy Jork umierał, jego istnienie nie miało ani ekonomicznego, ani społecznego sensu. Setki ludzi opuszczały miasto każdego dnia.

Wszedł do biura, przywitał się z obsługą i poszedł do swojego gabinetu. Czekala na niego zwyczajowa sverta raportów, ale ledwie zaczął je przeglądać, gdy zadzwonił telefon. Zaklął podnosząc słuchawkę — sprawa musiała być pilna, skoro jego sekretarka połączyła rozmowę.

— Halo — warknął.

— Mówi William Jerome.

William Jerome był kierownikiem projektu fabryki żywności na Long Island. Przed zmianą był inżynierem i nadal pracował w

swoim zawodzie, ale na wyższym poziomie.

— Potrzebuję rady — kontynuował — a pan wydaje mi się najrozsądniejszym człowiekiem w okolicy.

Mówił nieco chropowato, podobnie zresztą jak Mandelbaum; Obaj ćwiczyli niedawno opracowany wspólny język.

Miał prostą, logiczną strukturę, dawał możliwość precyzyjnego wyrażania się za pomocą niewielkiej liczby słów. Prawdopodobnie stanie się międzynarodowym językiem biznesu i nauki, a może nawet poezji; upubliczniono go jednak dopiero tydzień wcześniej.

Mandelbaum zmarszczył brwi. Praca Jerome'a w tej chwili była najważniejsza na świecie. Musiał jakoś nakarmić dwa miliardy ludzi. Zakłady syntetyzujące pożywienie bez trudu zapewnią odpowiednią, choć może niezbyt porywającą dietę; najpierw jednak trzeba je zbudować.

— Co tym razem? — zapytał. — Kolejne kłopoty z Fort Knox?

Złoto było teraz metalem przemysłowym, cennym ze względu na jego właściwości przewodzenia prądu i inercję, a Jerome potrzebował go mnóstwo.

— Nie, wreszcie zaczęli je przywozić. Chodzi o pracowników. Buntują się i może dojść do strajku.

— A czego chcą? Wyższych zarobków?

Głos Mandelbauma tchnął sarkazmem. Problem pieniędzy nie został do końca rozwiązany, i nie zostanie, dopóki na całym świecie nie wejdzie w życie nowy standard rozliczeniowy. Mandelbaum ustanowił tymczasem własny, lokalny system – wypłatę w świadectwach, które można wymieniać na jedzenie i usługi. Tylko tyle można było zrobić: dawanie pieniędzy byłoby

pustym gestem.

— Nie, nie o to chodzi. Rzecz w tym, że nie chcą pracować po sześć godzin dziennie. Wbijanie gwoździ i mieszanie cementu jest dość ogłupiające. Wyjaśniłem, że skonstruowanie robotów do takich prac zajmie trochę czasu, ale chcą wolnych dni natychmiast. Co zrobię, jeżeli wszyscy zgodzą się na minimalny standard życia, usiądą i zaczną kłócić się o filozofię?

Mandelbaum się skrzywił.

— Czas wolny także podnosi poziom życia. Bill, musisz sprawić, żeby chcieli zostać w pracy.

— Tak... ale w jaki sposób?

— No, nie wiem, może puścić przez głośniki wykłady z różnych dziedzin? Albo jeszcze lepiej, daj każdemu odbiornik i słuchawki i niech sami wybierają, czego chcą słuchać — dyskusji, symfonii, czy czegokolwiek. Zadzwoń do Columbi, żeby szybko przygotowali coś takiego.

— Masz na myśli audycje radiowe?

— Nie, bo zostaną w domach i będą słuchać. Nadamy to w godzinach pracy i wyłącznie w miejscu budowy.

— Hmm... — Jerome się zaśmiał. — To może się udać!

— Pewnie. Dowiedz się, czego chłopcy chcą i daj mi znać. Zajmę się resztą.

Inżynier się rozłączył. Mandelbaum nabił fajkę i wrócił do swoich papierów. Oby wszystkie kłopoty dały się rozwiązać tak łatwo. Na przykład kwestia dojazdów. Teraz każdy człowiek wraz ze swym psem chciał mieszkać na wsi, a to powodowało kłopoty z transportem i komunikacją, nie wspominając o naruszeniu praw własności do ziemi. Takich problemów nie

można załatwić Od ręki, a skarg nie ubywało. Potem jeszcze sprawa...

— O'Banion — odezwał się interkom.

— Hm? A tak. Był umówiony, zgadza się? Proszę go wpuścić.

Brian O'Banion przed zmianą był zwyczajnym gliną; w czasie najgorszego chaosu pracował z siłami cywilnymi; teraz był lokalnym szefem Obserwatorów. Nadal jednak był dużym Irlandczykiem o czerwonej twarzy i zwięzły wspólny język dziwnie brzmiał w jego ustach.

— Potrzebuję więcej ludzi — oświadczył. — Znów mam za dużo pracy.

Mandelbaum wydmuchnął chmurkę dymu i zastanowił się. Obserwatorzy byli jego własnym pomysłem, jakkolwiek idea szeroko się rozprzestrzeniła i prawdopodobnie zostanie przyjęta przez rząd międzynarodowy. Funkcjonowanie społeczeństwa wymaga stałego przepływu ogromnych ilości informacji, każdego dnia trzeba je korygować, aby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Obserwatorzy zbierali je w różny sposób: najwięcej efektów przynosiło obserwowanie ludzi, wmieszanie się w tłum i udawanie zwykłego obywatela, rozmowy i logiczne wyciąganie wniosków.

— Brian, rekrutacja i szkolenie trochę potrwa — powiedział Mandelbaum. — A do czego dokładnie ich potrzebujesz?

— No, po pierwsze mamy kwestię umysłowo niedorozwiniętych. Chciałbym przydzielić do tego zadania kilku dodatkowych ludzi. To nie jest łatwa praca; nadal wielu z nich kręci się samopas, wiesz, powinni zostać odnalezieni i dyskretnie poprowadzeni w stronę tych nowych, małych kolonii.

— Same kolonie powinny być uważniej pilnowane i chronione przed wszelką niepożądaną ingerencją — tak. Prędzej czy później musimy zdecydować, co z nimi zrobić. To jednak nierozzerwalnie łączy się z decyzją, co zrobimy sami ze sobą, a tu nadal jest mnóstwo do przemyślenia. Dobrze, coś jeszcze?

— Wpadłem na ślad... czegoś. Nie wiem, czego dokładnie, ale to chyba coś dużego i myślę, że to coś dzieje się tutaj, w Nowym Jorku.

Mandelbaum zachował spokój.

— Co to takiego, Brian? — zapytał cicho.

— Nie wiem. To może nawet nie jest sprawa kryminalna. Ale to coś naprawdę dużego. Mam sygnały z paru krajów. Wyposażenie laboratoriów i materiały naukowe są gdzieś przekazywane jakimiś określonymi kanałami i ślad po nich ginie — i to jawnie.

— No i? Przecież naukowcy nie muszą nam się spowiadać.

— Wiem. Ale na przykład Obserwatorzy ze Szwecji coś wysłedzili. Ktoś w Sztokholmie potrzebował pewnego rodzaju tuby próżniowej, urządzenia bardzo szczególnego rodzaju. Producent wyjaśnił, że cały zapas, ze względu na małe zapotrzebowanie był bardzo niewielki i został wykupiony przez kogoś innego. Domniemany nabywca skontaktował się z kimś innym, z agentem działającym w imieniu kogoś, kogo nigdy nie widział. To zainteresowało Obserwatorów i sprawdzili każde laboratorium w kraju; żadne z nich nie kupiło tych urządzeń, więc przypuszczalnie zostały wysłane prywatnym samolotem, albo coś w tym rodzaju. Poprosili Obserwatorów z innych krajów, żeby to sprawdzili. Okazało się, że nasi celnicy zauważyli

skrzynkę takich tub na lotnisku Idlewild. To zapaliło mi czerwone światło w głowie, więc próbowałem się dowiedzieć, gdzie podziały się te nieszczęsne tuby. Bezskutecznie — ślad po nich zaginął.

Sam zacząłem więc wypytywać Obserwatorów na całym świecie i odkryłem kilka podobnych przypadków. Na przykład w Australii znikają części statków kosmicznych, a w Kongo ładunki uranu. To może nic nie znaczyć, ale jeśli przedsięwzięcie jest legalne, po co ta tajemnica? Potrzebuję więcej ludzi do pomocy przy tej sprawie. To nie wygląda dobrze.

Mandelbaum skinął głową. Jeśli to jakiś szalony, niebezpieczny eksperyment z jądrami atomowymi, może zniszczyć całe podlegające mu terytorium. Mógł to być także jakiś bardziej złożony plan. Trudno coś wyrokować na tym etapie zdarzeń. — Dostaniesz ich — oświadczył.

ROZDZIAŁ 18

Wczesne lato zamieniło pierwszą nieśmiałą zieleń liści w rozbuchany gąszcz prześwietlony słońcem, tańczący z wiatrem; godzinę wcześniej padał deszcz i lekki, chłodny wiaterek strząsał drobne krople z drzew; wróble harcowały na długich, pustych ulicach; kontury czystych, cichych budynków rysowały się wyraźnie na tle jasnego, niebieskiego nieba, w tysiącach okien w oślepiających błyskach odbijało się poranne słońce.

Miasto wyglądało jakby jeszcze się nie zbudziło. Między cichymi drapaczami chmur spacerowało kilku zwyczajnie ubranych mężczyzn i kobiet; niektórzy byli prawie nadszy. Zniknął gdzieś gorączkowy pośpiech dawnych dni. Od czasu do czasu aleją przejechał pojedynczy samochód, albo ciężarówka. Wszystkie pojazdy poruszały się z napędem nowego typu. Dzięki temu powietrze bez spalin i pyłu było niemal krystalicznie przejrzyste. Słoneczny poranek pachniał niedzielą, choć był sam środek tygodnia.

Obcasy Sheili stukały głośno po chodniku. Drażnił ją ten dźwięk. Mogła go stłumić zwalniając kroku, ale nie chciała tego. Nie mogła.

Grupa dziesięcioletnich mniej więcej chłopców wybiegła z opuszczonego sklepu i pognała dalej, w dół ulicy. Młode mięśnie wciąż potrzebowały ćwiczeń, ale Sheilę przygnębiało to, że

chłopcy nie krzyczeli. Czasami myślała, że właśnie najtrudniejsze do zniesienia są dzieci. Nie zachowywały się jak dzieci.

Ze stacji kolejowej do Instytutu było daleko. Mogła zaoszczędzić energię i pojechać metrem. Tylko po co? Na myśl o tym, że miałyby zostać uwięziona w metalowej klatce z nowymi Ziemianami, przeszedł ją dreszcz. Na powietrzu czuła się swobodniej, prawie jak na wsi. Miasto spełniło swoją rolę, teraz umierało, a mury wokół niej były obojętne jak górskie zbocza. Była sama.

Po ulicy przesunął się cień, jakby chmury. Spojrzała w górę i zobaczyła długi, metalicznie szary kształt bezgłośnie znikający między wieżowcami. Może udało się opanować grawitację. I co z tego?

Minęła dwóch mężczyzn siedzących w drzwiach, usłyszała strzępek ich rozmowy.

— ...umierająca estetyka — zmiana.

Jeden z mężczyzn wykonał lekki gest dłonią.

— Wiedersehen — westchnienie.

— Negacja: makrokosmos, ego, entropia. Znaczenie ludzkości.

Przyspieszyła kroku.

Budynek Instytutu wyglądał bardziej obskurnie niż gigantyczne budowle przy Piątej Alei. Może dlatego, że nadal był intensywnie wykorzystywany; nie miał ich monumentalnej godności. Sheila weszła do holu. Nikogo tam nie było, w głębi stała tylko mrużąca, tajemnicza rzecz, złożona z mrugających światełek i błyszczących rurek. Ruszyła w stronę windy, zawahała się i skręciła na schody. Wolą nie wiedzieć, co zrobili z windą — może była w całości zautomatyzowana, może

reagowała na polecenia wydawane za pomocą myśli, może obsługiwał ją pies.

Na siódmym piętrze, oddychając ciężko, wyszła na korytarz. Nie zmienił się, to już dużo — ludzie tutaj mieli coś innego do zrobienia. Zniknęły tylko dawne jarzeniówki, teraz samo powietrze — a może ściany, sufit i podłoga — mżyło światłem. W tej bezcieniowej poświacie trudno było określić odległość.

Przełykając strach, zatrzymała się przed drzwiami dawnego laboratorium Pete'a. *Głupia*, powiedziała do siebie, *przecież cię nie zjedzą. Ale co robili w środku? Co robią teraz?*

Napinając mięśnie zapukała do drzwi.

— Proszę wejść.

W zaproszeniu usłyszała ledwie wyczuwalne wahanie.

Przekręciła klamkę i weszła.

Pomieszczenie prawie się nie zmieniło. To może okazać się najtrudniejsze do ogarnięcia. Jakieś nieużywane i zakurzone urządzenie stało w kącie, nie wiedziała, do czego służą te wszystkie przedmioty zapełniające trzy stoły. Ale kiedy za starych czasów odwiedzała męża, było tak samo, wszędzie stało mnóstwo urządzeń, których w swojej ignorancji po prostu nie zauważała. To nadal było to samo duże pomieszczenie z oknami otwartymi na jasne niebo, odległe doki i magazyny. Na wieszaku na Ścianie wisiał wysłużony kitel, w powietrzu unosił się nikły zapach ozonu i gumy. Na biurku Pete'a nadal leżały jego książki; metalowa zapalniczka do papierosów — podarowała mu ją na Gwiazdkę dawno temu — powoli pokrywała się śniedzią, krzesło było lekko odsunięte, jakby wyszedł tylko na chwilę i zaraz miał wrócić.

Grunewald uniósł wzrok znad papierów mrugając krótkowzrocznymi oczami, tak właśnie go zapamiętała. Wyglądał na zmęczonego, był bardziej przygarbiony, niż kiedyś, ale kwadratowa twarz okolona jasnymi włosami nie zmieniła się. Pomagał mu młody, ciemny mężczyzna. Nie znała go.

Przywitał ją niezgrabnym gestem. (Ależ, pani Corinth! co za nieoczekiwana przyjemność. Proszę wejść).

Drugi mężczyzna coś mruknął i Grunewald pomachał do niego. (To jest) — Jim Manzelli — powiedział. (Chwilowo mi pomaga. Jim, to jest) — Pani Corinth. (Żona mojego dawnego szefa).

Manzelli kiwnął głową i dodał zwięźle: (Miło mi panią poznać). Miał oczy fanatyka.

Grunewald podszedł do niej, wycierając brudne ręce.

— Co (panią sprowadza, pani Corinth?).

Odpowiedziała powoli, czując w gardle dławiący strach.

(Chciałam tylko) — się rozejrzeć. (Nie będę “ram przeszkadzać) zbyt długo.

Miała rozbiegane oczy, nerwowo splatała palce, jakby błagała o zrozumienie.

Grunewald spojrział na nią uważnie i wtedy zobaczyła wyraz jego twarzy.

Jesteś taka chuda! Widzę w tobie coś dziwnego, nie wiem co to jest, i twoje roztrzęsione ręce. Biedactwo, jest ci ciężko, prawda? Wszyscy za nim tęsknimy. Konwencjonalnie dodał: (Mam nadzieję, że przewyciężyła pani) — Chorobę?

Sheila przytaknęła.

(Gdzie jest) — Johansson? — spytała. (Bez niego i bez Pete’a

laboratorium nie wyglądało tak samo).

(Wyjechał pomagać) — Chyba w Afryce. (Przed nami ogromna praca, zbyt ciężka, zbyt niespodziewana).

(Zbyt przytłaczająca!).

Kiwnął głową: (Tak). Oczy skierował na Manzellego.

Manzelli popatrzył na Sheilę badawczo. Zadrżała, a Grunewald rzucił partnerowi pełne wyrzutu spojrzenie.

(Przyjechałam) — Dziś z Long Island. — Uśmiechnęła się gorzko i skinęła głową. (Tak, oni sądzą, że można mnie wypuścić. Przynajmniej nie mogą mnie zamknąć pod przymusem. Za dużo dzieje się wokół nas, aby przejmować się kimś takim jak ja).

Grunewald lekko pobladł.

(Przyszła się pani pożegnać, prawda?).

(Chciałam) — Zobaczyć (to) miejsce (jeszcze raz, tylko na chwilę. Spędził tu tyle czasu).

Wezbrało w niej nagłe błaganie.

— On nie żyje, prawda?

Wzruszył bezradnie ramionami.

(Trudno powiedzieć. Ale jego statek ma miesiąc opóźnienia, a tylko jakaś wielka katastrofa mogłaby go zatrzymać. Mogli wpaść w) — Pole hamujące (gdzieś w kosmosie, pomimo wszystkich środków ostrożności).

Sheila przeszła powoli obok niego. Podeszła do biurka Pete'a i zacisnęła palce na oparciu jego krzesła.

Grunewald kaszlnął.

(Czy pani) opuszcza naszą cywilizację?

Potwierdziła tępo. Jest dla mnie za duża, za zimna i zbyt obca.

(Nadal jest) — dużo do zrobienia — powiedział.

Potrząsnęła głową. (Nie dla mnie. To nie jest praca, której chcę, albo którą rozumiem).

Zabrała zapalniczkę, wrzuciła ją do torebki i uśmiechnęła się lekko.

Grunewald i Manzelli znów popatrzyli na siebie. Tym razem to Manzelli dał znak przyzwolenia.

(Pracujemy) nad czymś (co mogłoby panią zainteresować) — powiedział Grunewald. *Dać ci nadzieję. Zwrócić ci przyszłość.*

Jej brązowe oczy były niemal puste. Pomyślał, że jej twarz wygląda jak biały papier naciągnięty na kości, jakby jakiś chiński artysta namalował piórkiem delikatne, niebieskie linie żył na dłoniach i czole.

Niezdarnie próbował wyjaśnić, co miał na myśli. Od chwili wylotu statku natura pola hamującego została szczegółowo zbadana. Nawet przedtem można było generować pole w sposób sztuczny i badać jego działanie; teraz Grunewald i Manzelli zabrali się wspólnie za próbę wytworzenia takiego pola na dużą skalę. Nie potrzebowali wielkich urządzeń; a potem, gdy pole już powstanie, do utrzymania potrzebnej mocy powinna wystarczyć energia słoneczna uzyskana przez zastosowanie dezintegratora nuklearnego.

Projekt był zdecydowanie nieoficjalny: sytuacja została mniej więcej opanowana i naukowcy, którzy nie byli zaangażowani w nic innego mogli pracować nad tym, nad czym chcieli, a o materiały nie było trudno. Pewna mała organizacja pomagała zdobyć to wszystko, co było im potrzebne; Grunewald i Manzelli w Instytucie robili tylko testy, sama budowa trwała gdzie indziej. Ich praca wydawała się nieszkodliwa, mało skomplikowana w

porównaniu z innymi pracami badawczymi. Nikt nie przykładał do tego wagi, ani nie zagłębiał się w szczegóły wykraczające poza ogólne wyjaśnienia Grunewalda.

Sheila patrzyła na niego niepewnie. Grunewald zastanawiał się, gdzie błądzi jej umysł.

— Dlaczego? — spytała. — co wy tu naprawdę robicie?

Manzelli uśmiechnął się krzywo.

(Czy to nie jest oczywiste? Jesteśmy tu, aby) — Zbudować orbitalną stację kosmiczną. (I zostawić ją tam). — Generatory pola umieścić (na niej. Poprowadzimy ludzkość z powrotem w) — stare czasy.

Nie zapłakała, ani nie westchnęła, ani nawet się nie zaśmiała. Jedynie kiwnęła głową, jakby przedstawili jej niejasną wizję pozbawioną znaczenia.

(Czy to ucieczka od rzeczywistości — na ile jesteś przy zdrowych zmysłach?) — pytały oczy Grunewalda.

(Jakiej rzeczywistości?) — spojrzała na niego.

Manzelli wzruszył ramionami. Wiedział, że Sheila nikomu o tym nie powie, na tyle ją znał i na to liczył. Skoro nie okazała szalonej radości, na co miał nadzieję Grunewald, to nie było jego zmartwienie.

Sheila przeszła na drugą stronę pomieszczenia. Znajdujące się tam urządzenia wyglądały jak aparatura medyczna. zobaczyła stół z paskami po bokach, drukarkę z miernikiem natężenia, jakąś maszynę przycupniętą na końcu blatu...

— Co to takiego? — zapytała. Po tonie jej głosu powinni się zorientować, że już wie, ale byli zbyt skupieni na własnych oczekiwaniach.

— Zmodyfikowane urządzenie do aplikowania wstrząsów elektrycznych — Odparł Grunewald. Wyjaśnił, że w pierwszych tygodniach po zmianie podejmowano próby badania funkcjonalnych aspektów inteligencji poprzez systematyczne niszczenie komórek kory mózgowej u zwierząt i mierzenie wyników. Szybko je jednak zarzucono jako niehumanitarne i zasadniczo bezużyteczne.

— Sądziłem, że pani (o tym) wie — skończył. — (Odbywało się to) na wydziałach biologii i psychologii, gdy Pete (jeszcze tu był. Pamiętam, że) bardzo protestował (przeciwko temu. Nie żalił się?).

Kiwnęła słabo głową.

— (Zmiana sprawiła, że) ludzie stali się okrutni — powiedział Manzelli. — (Teraz) nie są. (A w każdym razie, już nie. Stali się kimś innym, niż wcześniej, a pozbawieni intelektualnych korzeni utracili dawne nadzieje i dawną miłość. Chcemy odbudować znaczenie słowa „ludzki”).

Sheila odwróciła się od paskudnej, czarnej maszyny.

— Do widzenia — powiedziała.

— Ja... no... — Grunewald popatrzył w podłogę. — Będziemy w kontakcie, prawda? (Proszę dać nam znać, gdzie pani jest, bo kiedy wróci Pete...).

Uśmiechnęła się bez przekonania.

(On nigdy nie wróci. Ale dobrze. Do zobaczenia).

Wyszła przez drzwi na korytarz. Tuż obok klatki schodowej mieściła się łazienka. Na drzwiach nie było oznaczeń „Męska” czy „Damska”, nawet Zachód pozbył się tej pruderii. Weszła do środka i spojrzała w lustro. Twarz, na którą patrzyła, była pusta,

cienkie i matowe włosy zwisały w strąkach do ramion. Próbowwała przyglądzić je wodą, chociaż nie wiedziała, po co, zresztą nie dbała o to. Potem zeszła schodami na parter.

Drzwi do pokoju dyrektora stały otworem, wpuszczając powietrze z zewnątrz. W środku stały jakieś cicho pracujące maszyny, przypuszczalnie zamiast pracowników sekretariatu wykonywały ich pracę. Sheila przeszła przez pierwszy pokój i zapukała do drzwi wewnętrznego biura.

Helga Arnulfsen smutnymi oczami spojrzała znad biurka. Ona także zeszczupłała, uświadomiła sobie Sheila. Była ubrana mniej formalnie, niż kiedyś, jednak na pierwszy rzut oka wydawała się silna i elegancka jak zawsze. W jej nieco zachrypniętym głosie było zaskoczenie.

— Sheila!

— Jak się masz?

— Wejdz. (wejdz, siadaj. Dawno cię nie widziałam).

Helga uśmiechnęła się, obeszła biurko i podała Sheili rękę, ale palce miała chłodne.

Nacisnęła guzik i drzwi się zamknęły.

(Teraz mamy) — prywatność — powiedziała. (To znak, że nie chcę, aby mi przeszkadzano).

Postawiła krzesło przed Sheilą i usiadła zakładając jedną szczupłą nogę na drugą.

— No, dobrze (cię widzieć. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz). *Nie wyglądasz dobrze, biedne maleństwo.*

— Ja... — Sheila splatała i rozplatała dłonie, aż wreszcie złożyła je na torebce trzymanej na kolanach. — Ja... (Dlaczego tu przyszedłam?).

Oczy Helgi mówiły: (Ze względu na Pete'a).

Skinęła głową: (Tak. Tak, to musi być to. Czasami nie wiem, dlaczego... Ale obie go kochamy, prawda?).

— Tylko ty go obchodzisz — powiedziała Helga bez emocji. *I ty go ranisz. Twoje cierpienie bardzo go zasmuciło.*

Wiem. To w tym wszystkim było najgorsze. — Nie był tym samym człowiekiem — powiedziała Sheila. (Za bardzo się zmienił, jak cały świat. Nawet kiedy go obejmowałam, wymykał się, sam czas mi go odbierał). — Straciłam go, zanim umarł.

— Nie. Miałaś go, to zawsze byłaś ty. — Helga wzruszyła ramionami. — cóż, życie toczy się dalej (choć okrojone. Jemy i oddychamy, śpimy i pracujemy, bo nie mamy innego wyjścia).

— Jesteś silna — powiedziała Sheila. (Dałaś sobie radę tam, gdzie mnie się nie udało).

— Och, jakoś sobie radzę — odparła Helga.

— Wciąż masz przyszłość przed sobą.

— Tak, pewnie tak.

Sheila uśmiechnęła się drżącymi wargami. (Mam więcej szczęścia, niż ty. Ja mam przeszłość).

— Może wrócą — powiedziała Helga. (Nie wiadomo, co się z nimi stało. Masz odwagę czekać?).

— Nie — powiedziała Sheila. — Może wrócą ich ciała (ale nie Pete. Za bardzo się zmienił, a ja nie mogę zmienić się wraz z nim. A nie chcę być mu ciężarem).

Helga położyła dłoń na ramieniu Sheili. Jakże było szczupłe! Można by policzyć kości.

— Poczekaj — powiedziała. — Terapia (się rozwija. Może ci pomóc). — Normalność wróci (w ciągu, no...) najwyżej kilku lat.

— Nie sędę.

W chłodnych, błękitnych oczach Helgi pojawił się cień ledwie skrywanej pogardy. *Chcesz dożyć przyszłości? Tak w głębi serca, naprawdę chcesz dotrzymać nam kroku? — co jeszcze (możesz zrobić) poza czekaniem? Oprócz popełnienia Samobójstwa...*

— Nie, tego też nie chcę. (Nadal istnieją góry, głębokie doliny, błyszczące rzeki, słońce i gwiazdy). — Znajdę swój... sposób na przystosowanie.

(Jestem w kontakcie z) — Kearnesem. (On) uważa, że (zrobiłaś) postępy.

— Och, tak. — Nauczyłam się to ukrywać. W tym nowym świecie jest za dużo oczu. — Helgo, nie przyszłam tutaj, żeby rozmawiać o mnie. (Przyszłam tylko po to, żeby powiedzieć) — Do widzenia.

— Dokąd (się wybierasz? Muszę mieć z tobą kontakt, jeśli wróci).

— Napiszę (i dam ci znać).

— Albo przekaż wiadomość do Obserwatora. (System pocztowy wyszedł z użycia).

To też? Pamiętam starego pana Barnveldta, idącego ulicą w niebieskim uniformie, byłam wtedy małą dziewczynką. Zawsze miał dla mnie cukierki.

— Posłuchaj, robię się głodna — powiedziała Helga. (Może pójdziemy na) — Lunch?

(Nie, dziękuję, nie mam ochoty). Sheila wstała.

— Żegnaj, Helgo.

— Sheila, nie mów „żegnaj”. Zobaczymy się jeszcze, na pewno będziesz czuła się już dobrze.

— Tak — powiedziała Sheila. — Z pewnością. Jednak żegnaj.

Wyszła z budynku. O tej porze na zewnątrz było trochę więcej ludzi, wmieszała się w tłum. Po drugiej stronie ulicy znalazła wnękę, w której mogła się schronić.

Nie miała poczucia, że rozstała się z czymś. Czuła pustkę, jakby żal, samotność i zagubienie pożerające się wzajemnie. W jej umyśle nadal pełno było cieni, ale już jej nie przerażały. Prawie było jej ich żal. Biedne duchy! One też wkrótce umrą.

Zobaczyła, że z budynku wychodzi Helga i idzie w dół ulicy, do jakiegoś miejsca, w którym samotnie coś zje zanim wróci do pracy. Sheila uśmiechnęła się, lekko potrząsając głową. Biedna, zapracowana Helga!

Z budynku Instytutu wyszli Grunewald i Manzelli, pogrążeni w rozmowie ruszyli w tę samą stronę. Serce Sheili zatrzepotało. Dłonie miała zimne i mokre. Zaczekała, aż mężczyźni znikną jej z oczu, po czym przeszła przez ulicę i weszła z powrotem do Instytutu.

Jej kroki na schodach odbijały się głośnym echem. Oddychała głęboko próbując się uspokoić. Doszła na siódme piętro, zatrzymała się na minutę próbując odzyskać samokontrolę. Potem ruszyła korytarzem do laboratorium fizycznego.

Drzwi były uchylone. Znów się zawahała, spoglądając na niedokończoną maszynę stojącą wewnątrz. Czy Grunewald nie mówił jej o jakimś fantastycznym planie...? Nieważne. To nie mogło się udać. On i Manzelli musieli być szaleni, banda recydywistów.

Czy ja jestem szalona? Zastanowiła się. Jeśli tak, to czuła w sobie dziwną siłę. Musiała jeszcze chwilę pomyśleć o tym, co

miała zamiar zrobić.

Maszyna do wstrząsów elektrycznych leżała jak obezwładnione zwierzę. Sheila zaczęła ją podłączać, pracowała szybko i sprawnie. Przypomniał jej się Pete i jego wybuch gniewu na wieść o tym, że jej użyto. Jednak coś się przebiło przez jej alienację; a Kearnes był zachwycony dając jej wszystkie teksty, o które prosiła, cieszył się, że znalazła coś, co ją zainteresowało. Znow się uśmiechnęła. Biedny Kearnes! Jakże go okpiła.

Maszyna zaszumiała i zaczęła się nagrzewać. Z torebki wyciągnęła małe zawiniątko i rozpakowała je. Wyjęła strzykawkę, igłę, butelkę anestetyku, maść przewodzącą prąd, sznurek do włącznika, aby móc go przesunąć zębami. I jeszcze timer. Musiała ustalić bezpieczny czas, bo kiedy proces zostanie zatrzymany, będzie nieprzytomna.

Może to nie zadziała. Bardziej prawdopodobne, że jej mózg po prostu się usmaży. Nawet gdyby tak się stało, co z tego?

Uśmiechnęła się robiąc sobie zastrzyk. Zegnaj, słońce, zegnajcie, niebieskie niebo, chmury, deszcz, śpiewające ptaki. Zegnajcie i dziękuję.

Rozebrała się, położyła na stole i przykleiła elektrody do ciała. Były zimne. Skórzane pasy łatwo się zaciskały, gorzej z prawym ramieniem — ale i na to była przygotowana. Przyniosła długi pasek z zatraskowym zapięciem, przeciągnęła go pod stołem i omotała wokół nadgarstka. Teraz była unieruchomiona.

Pociemniało jej w oczach, gdy narkotyk zaczął działać. Jak dobrze jest zasnąć.

Teraz — jedno szybkie szarpnięcie zębami.

PIORUN I OGIEŃ I CIEMNOSC

ROZPACZ I PRZERAZENIE I BŁYSKAWICA
BÓL BOL BÓL

ROZDZIAŁ 19

Halo Ziemia. Peter Corinth wzywa Ziemię ze Statku Kosmicznego I, na kursie do domu. Szum i pomruk kosmicznych zakłóceń brzmiał jak mowa gwiazd. Ziemia lśniła jak błękitny diament na tle nocy, księżyc mżył zimnym blaskiem perły na piersi galaktyki, słońce spowijały płomienie.

— Halo Ziemia. Odbiór. Odbiór. Czy mnie słyszycie?

Witaj, Sheila!

Planeta przed nimi ogromniała. Napęd statku mrucał i huczał, elementy kadłuba drżały od naporu energii, cząsteczki metalu wibrowały. Corinth uświadomił sobie, że on także się trzęsie, ale nie chciał się kontrolować, nie teraz.

— Halo Ziemia — powtarzał monotennie do radia. Lecieli znacznie poniżej prędkości światła i sygnał ich wyprzedzał.

— Halo Ziemia, czy mnie słyszycie? Tutaj Statek Kosmiczny I na kursie do domu zgłasza się z przestrzeni kosmicznej.

Lewis burknął coś, co znaczyło: (Może od naszego startu przestali używać radia. Przez tyle miesięcy...).

Corinth potrząsnął głową.

— Jestem pewien, że wciąż prowadzą jakiś nasłuch.

Odwrócił się do mikrofonu.

— Halo Ziemia, Ziemia, zgłoś się. Czy ktokolwiek na Ziemi mnie słyszy?

— Jeśli jakiś radioamator — założę się, że będzie to pięciolatek w Rosji, Indiach, albo Afryce — to usłyszy, będzie musiał skontaktować się ze stacją, która nas odbierze — powiedział Lewis. — A to potrwa. Pete, zrelaksuj się.

— Kwestia czasu! — Corinth odwrócił się na fotelu. — Pewnie masz rację. I tak dotrzemy do planety w ciągu kilku godzin. Ale chcę, żeby nam przygotowano prawdziwe powitanie!

— Tuzin ostryg i dużo soku z cytryny — rozmarzył się Lewis. — Oczywiście, reńskie wino... powiedzmy, rocznik 1937. Krewetki w świeżym majonezie i bagietka z masłem. Wędzony węgorz i jajko na twardo na pumperniku, i nie zapominajmy o szczypiorku...

Corinth uśmiechnął się, chociaż myślami był już z Sheilą, gdzieś w miejscu pełnym słońca. Ta wymiana banalnych marzeń krzepiła, dawała ciepło, nawet jeśli to tylko kilka słów bez znaczenia i parę rozanielonych min. Przez całą podróż spierali się jak pijani bogowie, badali swój intelekt; w gruncie rzeczy był to tylko sposób na wypełnienie dźwiękiem wszechogarniającej, mrocznej ciszy. Teraz wracali do domu.

— Halo, Statek Kosmiczny I.

Runęli do odbiornika. Głos był słaby, zakłócały go szumy pochodzące ze słońca i gwiazd, ale bez wątpienia był ludzki. Głos domu.

— Coś takiego — wyszeptał w zdumieniu Lewis — on ma nawet akcent z Brooklynu.

— Halo, Statek Kosmiczny I. Zgłasza się Nowy Jork. Czy mnie słyszycie?

— Tak — odpowiedział Corinth ze ściśniętym gardłem i czekał

na odzew płynący z odległości milionów mil.

— Diabło długo was nie było — oświadczył głos konwersacyjnym tonem, jakby wracali ze zwykłej wycieczki. — Musiałem wziąć poprawkę na efekt Dopplera — musicie lecieć naprawdę szybko, pali się, czy co?

Nie wspomniał o inżynieryjnym geniuszu, dzięki któremu w ogóle mogli się skomunikować; teraz to i tak nie miało znaczenia.

— Gratulacje! Wszystko w porządku?

— Tak — odparł Lewis. — Mieliśmy pewne kłopoty, ale wracamy w jednym kawałku i spodziewamy się odpowiedniego powitania.

Zawahał się przez moment.

— Co tam na Ziemi?

— Nieźle. Ale założę się, że jej nie poznacie. Wszystko zmienia się tak szybko, a jaka to ulga znów rozmawiać po angielsku, jak kiedyś. Pewnie robię to po raz ostatni. A swoją drogą, co do diabła działa się z wami?

— Później to wyjaśnimy — krótko odpowiedział Corinth. — Jak tam nasi... przyjaciele?

— Chyba w porządku. Słuchajcie, jestem tylko technikiem w Brookhaven, nie jestem wtajemniczony. Ale przekażę wiadomość, gdzie trzeba. Pewnie lądujecie tutaj?

— Tak, za jakieś... — Corinth szybko przeliczył w pamięci kilka równań. — Sześć godzin.

— W porządku, przygotowujemy... — głos zanikł. Złapali jeszcze jedno słowo — zespół... — i zapadła cisza.

— Halo, Nowy Jork, straciliście sygnał — powiedział Corinth.

— Daj spokój, co? — powiedział Lewis. — Wyłącz to po prostu.

— Ale...

— Czekaliśmy tak długo, że możemy poczekać jeszcze sześć godzin. Nie ma sensu tak się spinać.

— Hmm... no... — ustąpił Corinth. — Halo, Nowy Jork. Halo Ziemia. Statek Kosmiczny I odmeldowuje się. Bez odbioru.

— Chciałem porozmawiać z Sheilą — dodał.

— Kolego, będziesz miał na to mnóstwo czasu — odpowiedział Lewis. — Myślę, że powinniśmy jeszcze poobserwować napęd. Jego zapis jest nieco nierówny, nie wiem, co to może znaczyć. Nikt nigdy nie używał czegoś takiego, to mogą być skumulowane efekty...

— Może zmęczenie kryształów — powiedział Corinth. — Dobra, wygrałeś.

Odwrócił Się do swoich przyrządów.

Ziemia była coraz większa. Całe lata Światłne pokonywali w kilka godzin, a teraz wlekli się do domu z prędkością zaledwie kilkuset mil na sekundę; nawet ich nowe, szybsze reakcje nie były tak błyskawiczne, żeby opanować prędkości transświatłne w pobliżu planet. Ten statek będzie przypuszczalnie ostatnim pojazdem o podobnym ograniczeniu, pomyślał Corinth. Przy fantastycznym tempie rozwoju technologicznego po zmianie, następny powinien być doskonały: to tak, jakby drugim latającym samolotem braci Wright był odrzutowiec. Wyobrażał sobie, że jeszcze zdąży zobaczyć, jak inżynieria osiąga stan ostateczny, sięga granic wyznaczonych przez prawa natury. Dlatego człowiek musi znaleźć sobie nowy obszar dla intelektualnych igraszek. Pomyślał, że wie, co to będzie. Popatrzył na planetę z czułością. Wydała mu się śliczna. Ave

atque vale!^[16]

Przy podchodzeniu do dziennej strony sierp księżycyca zmienił się w nierówny, Zasłonięty chmurami dysk. Powoli przesunął się pod statek i wreszcie usłyszeli pierwszy zgrzyt rozcinanego powietrza. Przemknęli nad połącią zalanego księżycowym blaskiem Pacyfiku i ich oczom ukazał się brzask nad Sierra Nevada. Pod nimi rozciągała się Ameryka, wielka, zielona i piękna, Missisipi w pofałdowanej ziemi wiła się jak srebrna ścieżka. Potem po skosie zeszli w dół, aż z morza wyłoniły się wieże Manhattanu.

Serce Corintha wyrywało się z piersi. Spokojnie, powiedział sobie, uspokój się i czekaj. Mamy czas. Poprowadził statek w stronę Brookhaven, na lądowisko. Zobaczył spoczywającą na nim błyszczącą sylwetkę. A więc prace nad nowym statkiem już się rozpoczęły.

Poculi lekki wstrząs przy zetknięciu kadłuba z podłożem. Lewis sięgnął do konsoli i wyłączył silniki. Gdy zamarły, Corinhowi w uszach zadzwoniła nagła cisza. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zżył się z tym dźwiękiem.

— Dalej!

Zanim Lewis zdołał się podnieść, wyskoczył ze swojego fotela i przeszedł przez wąską kabinę. Palce mu drżały, kiedy wprowadzał zawiły kod zwalniający elektroniczny zamek. Wewnętrzne drzwi otworzyły się gładko, potem zewnętrzne, aż wreszcie wciągnął w płuca haust słonego powietrza znad morza.

Sheila! Gdzie jest Sheila? Zszedł po drabinie na dół, jego sylwetka wyraźnie odcinała się od metalowego kadłuba. Był nierówny i szorstki, w tak długiej i dalekiej podróży pokrył się

dziwnymi, krystalicznymi wzorami. Dotarł na dół, zachwiał się i przewrócił, ale podniósł się, zanim ktokolwiek zdążył podejść.

— Sheila — zawołał.

Feliks Mandelbaum podszedł do niego z wyciągniętymi ramionami. Wyglądał bardzo staro. Był wyraźnie zmęczony, jakby wypalony. Ujął dłonie Corintha, ale nie odezwał się.

— Gdzie jest Sheila? — wyszeptał Corinth. — Gdzie ona jest?

Mandelbaum potrząsnął głową. Teraz ostrożnie schodził Lewis. Rossman, odwracając wzrok od Corintha, poszedł go przywitać. Inni ruszyli za nim — tylko ludzie z Brookhaven, nie widział żadnych bliskich przyjaciół i nikt nie patrzył mu w oczy.

Corinth poczuł suchość w ustach, próbował przełknąć ślinę.

— Nie żyje? — spytał.

Wokół niego szumiał wiatr, mierzwiąc mu włosy.

— Nie — odparł Mandelbaum. — Ani nie jest szalona. Ale... — potrząsnął głową i twarz pomarszczyła mu się z troski. — Nie.

Corinth wziął głęboki wdech. Widzieli jego determinację. Nie pozwoliliby sobie na rozpacz.

— Dalej — powiedział. — Powiedz mi.

— To stało się jakieś sześć tygodni temu — powiedział Mandelbaum. — Podejrzewam, że nie mogła już wytrzymać. podłączyła się do maszyny do elektrowstrząsów.

Corinth bardzo powoli kiwnął głową. — I zniszczyła sobie mózg — dokończył.

— Nie. Niezupełnie, choć przez chwilę tak to wyglądało. — Mandelbaum ujął go za ramię. — Ujmijmy to w taki sposób: jest dawną Sheilą, sprzed zmiany. Mniej więcej.

Corinth był niejasno świadomy wiatru niosącego Świeży, żywy

zapach morza.

— Chodź, Pete — powiedział Mandelbaum. — Zabiorę cię do niej.

Corinth ruszył za nim.



Kearnes, psychiatra, spotkał się z nimi w Bellevue. Jego twarz pozbawiona wyrazu przypominała kawałek drewna, nie znać było na niej poczucia winy, ale też Corinth go nie winił. Zrobił, co mógł, a że nie posiadał odpowiedniej wiedzy, leczenie się nie powiodło; to tylko fakt, nic więcej.

— Nabrała mnie — powiedział. — Sądziłem, że jest coraz silniejsza. Nie zdawałem sobie sprawy do jakiego stopnia może się kontrolować osoba obłąkana, nawet Ze zmienionym systemem nerwowym. Ani jak bardzo było jej ciężko. Żadna z osób, które przetrwały zmianę nigdy się nie dowie, jaki to koszmar dla tych, którzy się nie przystosowali.

Ciemność i upadek, a Sheila jest sama.

— A więc nie była całkiem przy zdrowych Zmysłach, kiedy to zrobiła? — spytał Corinth głosem wypranym z emocji.

— A czym są zdrowe zmysły? Być może zrobiła jedynie to, co można było zrobić w tej sytuacji. Czy wątpliwe widoki na wyleczenie, o ile nauczymy się, jak to robić, Są warte takiej egzystencji?

— Jakie były efekty?

— Przyznaję, że błędziliśmy po omacku. W wyniku konwulsji

złamała kilka kości, a gdyby nie została znaleziona na czas, umarłaby. — Kearnes położył dłoń na ramieniu Corintha. — Zniszczenia tkanki nerwowej nie były duże, ale oczywiście była to tkanka w najważniejszej części mózgu.

— Feliks powiedział mi, że... szybko wraca do zdrowia.

— O, tak. — Kearnes uśmiechnął się krzywo, jakby poczuł w ustach coś kwaśnego. — Trudno nam zrozumieć psychologię sprzed zmiany. Od tego czasu stosowałem potrójne podejście opracowane przez Gravensteina i de la Garde'a. Reewaluację symboliczną, neurologię cybernetyczną i koordynację somatyczną. W układach obwodowych zostało dość komórek mogących przejąć funkcje zniszczonej części. Przy właściwej pomocy, gdy minie psychoza, może będzie mogła stąd wyjść w ciągu trzech miesięcy.

Wziął głęboki wdech. — Będzie normalnym, zdrowym człowiekiem sprzed zmiany, z IQ około 150.

— Rozumiem — powiedział Corinth. — Dobrze... jakie są szanse doprowadzenia jej do stanu, który obecnie jest normalny?

— Zanim będziemy w stanie odtworzyć system nerwowy, minie kilka lat, w najlepszym razie. Wie pan zapewne, że system nerwowy się nie regeneruje, nawet przy użyciu sztucznej stymulacji. Konieczne będzie sztuczne stworzenie samego życia. Aby wyhodować komórkę ludzkiego mózgu, trzeba skupić miliardy lat ewolucji, a do tego zduplikować dokładnie genom pacjenta, a nawet wtedy... wątpię.

— Rozumiem.

— Może ją pan odwiedzić, byle krótko. Powiedzieliśmy jej, że pan żyje.

— Co zrobiła?

— Rozpląkała się, oczywiście. To dobry objaw. Jeśli nie będzie się za bardzo ekscytować, może pan z nią zostać przez pół godziny.

Kearnes podał mu numer pokoju i wrócił do swojego biura.

Corinth wsiadł do windy, a potem ruszył długim, cichym korytarzem pachnącym różami i deszczem. Drzwi pokoju Sheili były otwarte. Zawahał się, zaglądając do środka. Pokój wyglądał jak leśna polana pełna zarośli i drzew, wokół cicho świergotały ptaki w gniazdach; gdzieś szumiał wodospad, a w powietrzu unosił się zapach ziemi i roślin. Piękna iluzja, pomyślał, ale skoro ją uspokaja...

Wszedł do środka i podszedł do łóżka stojącego pod rozświetloną słońcem wierzbą.

— Witaj, kochanie — powiedział.

Najdziwniejsze było to, że wcale się nie zmieniła. Wyglądała jak w dniu, kiedy się pobrali, była młoda i śliczna, z włosami wijącymi się miękko wokół wciąż jeszcze nieco bladej twarzy, z oczami pełnymi blasku. Biała koszula nocna, puchata szmatka z jej własnej garderoby sprawiała, że wyglądała na nastolatkę.

— Pete — powiedziała.

Podszedł i delikatnie ją pocałował. Zareagowała nieco sztywno, jakby był kimś obcym. Rękami pogładziła go po twarzy. Zauważył, że nie ma na palcu obrączki.

— Żyjesz — powiedziała z zachwytem. — Wróciłeś. — Wróciłem do ciebie — odparł i usiadł na brzegu łóżka.

Potrząsnęła głową.

— Nie — odpowiedziała.

— Kocham cię — powiedział bezradnie.

— Ja też cię kochałam.

Jej głos był cichy, odległy, w oczach zobaczył rozmarzenie. — Dlatego właśnie to zrobiłam.

Wyprostował się, walcząc o zachowanie spokoju. W głowie mu huczało.

— Nie pamiętam cię zbyt dobrze — powiedziała. — Pewnie mam trochę uszkodzoną pamięć. Wszystko wydaje się takie Odległe, a ty jesteś jak sen, który kochałam — uśmiechnęła się. — Pete, ależ jesteś chudy! I w jakiś sposób twardy. Wszyscy zrobili się twardzi.

— Nie — powiedział. — Wszyscy się o ciebie troszczą.

— To nie jest dawny rodzaj troski. Nie taki, jaki znałam. A ty nie jesteś już Petem.

Uniosła się na łóżku, mówiła teraz nieco głośniej.

— Pete umarł podczas zmiany. Patrzyłam, jak umiera. Jesteś miłym człowiekiem i boli mnie, kiedy na ciebie patrzę, ale nie jesteś Petem.

— Kochanie, uspokój się — poprosił.

— Nie mogłam z tobą być — powiedziała — i nie mogłam być dla ciebie — czy dla siebie — takim brzemieniem. Teraz wróciłam do dawnej siebie. I nie masz pojęcia, jakie to cudowne. Samotne, ale cudowne. Jest w tym spokój. — Wciąż cię pragnę — powiedział.

— Nie. Nie kłam. Nie widzisz, że to niepotrzebne? — Sheila uśmiechnęła się uśmiechem odległym o tysiące lat. — Siedzisz tutaj tak po prostu, twarz masz nieruchomą — nie jesteś Petem. Ale życzę ci jak najlepiej.

Wtedy zrozumiał, czego potrzebowała i załamał się. Ukląkł przy jej łóżku i zapłakał, a ona uspokajała go najlepiej, jak potrafiła.

ROZDZIAŁ 20

Na środkowym Pacyfiku, w pobliżu równika, leży wyspa bardzo oddalona od świata ludzi. Dawne szlaki żeglugowe i późniejsze korytarze powietrzne wiodły poza jej horyzontem. Atol należał do słońca, wiatru i mew.

Po pewnym czasie wyspa poznała rodzaj ludzki. Zbudowała ją powolna, ślepa cierpliwość koralowców, dnie i noce zmieniały mokre polipy w glebę, a wiatr z daleka przynosił nasiona roślin, które znalazły tu swój dom. Fale przyniosły kilka orzechów kokosowych, z których wyrosły potężne drzewa. Wyspa by samotna przez setki lat, aż któregoś dnia, zza obrzeża Świata przyplęnęło canoe.

Polinezyjczycy, wysocy, piękni i brązowi podróżowali w poszukiwaniu krainy Hawaiki^[17]. Ich skórę pokrywała sól i nie zastanawiali się wiele przemierzając tysiące mil bezkresnej wody, skoro mieli gwiazdy prowadzące ich przez wielkie morze i silne ramiona do wiosłowania, tohika, hioha, noki, itoki! Wyciągnęli swoje łodzie na brzeg i złożyli ofiarę Nan o zębach rekina, wpletli w długie włosy kwiaty hibiskusa i tańczyli na plaży; rozejrzeli się po wyspie i uznali, że jest dobra.

Potem odpłynęli, ale po roku — a może po dwóch, albo trzech, przecież ocean jest wielki, a czas niezmierny — wrócili z innymi, przywieźli świnie i swoje kobiety, i tej nocy na plaży

wysoko w niebo strzelał ogień. Później wyrosła tam wioska, w wodzie bawiły się nagie, brązowe dzieci, a rybacy ze śmiechem wypływali na lagunę przez sto, a może dwieście lat, zanim na wyspę przybył biały człowiek.

Wielkie canoe z białymi skrzydłami kilka razy zatrzymało się przy rajskiej wyspie. Nie należała do ważnych punktów na mapie świata, była jednak wystarczająco kusząca, by zostawić tam ładunek ospy, odry i gruźlicy. Piękni, brązowi ludzie prawie zniknęli. Nadszedł czas uprawy orzechów kokosowych, religii, ubrań i konferencji międzynarodowych mających na celu ustalenie, czy atol należy do Londynu, Paryża, Berlina czy Waszyngtonu — wielkich wiosek po drugiej stronie świata.

Osiągnięto wreszcie *modus vivendi*^[18] w sprawie kokosów, religii, tytoniu i szkunerów handlowych. Wyspiarze byli nawet dość zadowoleni, jakkolwiek nadal trapiły ich różne bolączki; jeden z tamtejszych młodych mężczyzn, który w wyniku skomplikowanego splotu okoliczności studiował w Ameryce, wrócił bardziej świadomy i wzdychał do dawnych czasów. Ale ludzie tylko śmiali się z niego. Mieli bardzo mgliste wspomnienia z tamtych lat skutecznie stłumione przez misjonarzy.

Potem w jakimś biurze po drugiej stronie świata ktoś zdecydował, że wyspa jest potrzebna. Można na niej zbudować bazę marynarki, albo stację eksperymentalną — biali ludzie albo prowadzili wojny, albo je przygotowywali. Nie wiadomo do końca, ani nie ma to już znaczenia, po co i komu potrzebny był atol. Teraz nie ma tam ludzi, a mewom jest wszystko jedno. Krajowców przeniesiono w inny rejon świata i resztę życia spędzili na tęsknocie za domem. Nikt się tym nie przejmował,

wyspa była potrzebna, by bronić wolności człowieka. Wreszcie starsze pokolenie wymarło, a młodsze zapomniało. Tymczasem biały człowiek nadal przeszkadzał mewom stawiając budynki i wypełniając lagunę statkami.

Aż wreszcie, z nieznanego powodu wyspa została porzucona. Może ze względu na jakiś traktat, a może z powodu przegranej wojny, albo kryzysu ekonomicznego. Pozostawiono ją na pastwę deszczu, wiatru i nieustępliwych pnączy. Razem rozpoczęły dzieło zniszczenia.

Przez kilka stuleci człowiek zakłócał łańcuch dni i nocy, deszczu i słońca, ciszy i huraganów, ale teraz znów odszedł. Fale przelewały się przez plażę, uderzały o rafę, powolne prądy morskie podmywały ją, ale pracowite polipy nic przerywały swojej pracy. Wyspa przetrwa miliony lat, więc nie śpieszyły się. W ciągu dnia w wodzie pluskały się ryby, pod chmurami kołowały mewy, drzewa i bambusy rosły tworząc dziki gąszcz; nocą księżyc rzucał chłodne światło na fale przyboju, a za wielkim rekinem patrolującym wodę ciągnął się fosforyzujący szlak. I zapanował spokój.



Śmigłowiec przeczesywał ciemność. Niewidzialne palce radaru badały ziemię, od czasu do czasu z przestrzeni dobiegał stłumiony głos.

— W dół... tędy... Okay, ostrożnie.

Pojazd siadł na polanie. Wyskoczyło z niego dwóch ludzi.

Zniknęli pośród niewyraźnych cieni w księżycowej nocy. Jeden z nich odezwał się z nosowym, australijskim akcentem.

— Doktorze Grunewald, doktorze Manzelli, przedstawiam panom majora Rosowskiego, Sri Ramavashtara, pana Hwanga Pu — Yi...

Przedstawił wszystkich zebranych.

Nie tak dawno temu spotkanie w takim gronie byłoby bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe: rosyjski oficer, hinduski mistyk, francuski filozof i religioznawca, irlandzki polityk, chiński komisarz, australijski inżynier, szwedzki finansista — zupełnie, jakby Ziemia ogłosiła zebranie w celu zorganizowania cichego powstania. Jednak żaden z nich nie był już tym, kim kiedyś. Łączyła ich tęsknota za utraconym światem.

— Przywiozłem aparaturę kontrolującą — powiedział energicznie Grunewald. — Co z ciężkim sprzętem?

— Wszystko jest na miejscu. Możemy zaczynać w każdej chwili — odparł Irlandczyk.

Grunewald spojrział na zegarek.

— Jeszcze kilka godzin do północy — powiedział głośno. — Będziemy gotowi do tej pory?

— Raczej tak — odparł Rosjanin. — Prawie wszystko już złożyliśmy.

Zeszli na plażę. Gestem wskazał wielki kształt kołyszący się na wodzie w zalanej księżycowym światłem lagunie. Kilka miesięcy temu wraz z przyjacielem kupił parowiec. Razem odpowiednio go zmodyfikowali i we dwóch pozęglowali dookoła świata. Była to niezbyt trudna część zadania dla dwóch zdeterminowanych ludzi martwiących się o umierającą cywilizację. Przepłynęli

przez Bałtyk, zabrali część ładunku ze Szwecji, po drodze do ustalonego celu zahaczyli również o Francję, Włochy, Egipt i Indie. Od kilku dni prace nad statkiem kosmicznym i jego ładunkiem szybko się posuwały.

Przybój huczał głębokim, mocnym dźwiękiem i wprawiał w drżenie ziemię pod nogami. Bryzgi wody unosiły się ku niebu. Pod butami skrzypiał piasek, kawałki koralu i muszli, palmy i bambusy szumiały cicho w lekkim wietrze, a przez mrok przemknęła zaniepokojona papużka.

Gęste pnącza oplatały ruiny starych baraków. Grunewald czuł zapach kwiatów i ciężką wilgoć gnijącego drewna — były tak intensywne, że zakręciło mu się w głowie. Dalej stały namioty, a nad nimi górowała sylwetka statku kosmicznego.

Była piękna, jak kolumna lśniącego lodu celująca w stronę gwiazd. Grunewald popatrzył na z dziwną mieszaniną uczuć: z dumą zdobywcy, zachwytem nad jej urodą i z zadumą — już wkrótce nie będzie rozumiał logiki, która umożliwiła zaprojektowanie i zbudowanie czegoś tak pięknego w tak krótkim czasie.

Popatrzył na Manzellego.

— Zazdrozczę ci, przyjacielu — powiedział.

Obsługę statku przewidziano dla kilkorga ludzi. Wyprowadzą go na orbitę, dokończą prace związane z konfiguracją i uruchomieniem generatora, który miał na pokładzie. Potem muszą umrzeć, ponieważ nie było czasu na opracowanie planu ich powrotu.

Grunewald czuł, że czasu jest coraz mniej. Na ukończeniu był następny statek kosmiczny, a kolejne budowano praktycznie

wszędzie. Nie można już zatrzymać ekspansji rodzaju ludzkiego. Dziś przygotowano ostatnią nadzieję ludzkości; jeśli zawiedzie, nie będzie następnej szansy.

— Myślę — powiedział — że przed wschodem słońca cały świat zapłacze z ulgi.

— Nie — Odparł praktycznie Australijczyk. — Zamieni się w gniazdo szerszeni. Trzeba trochę poczekać, aby ludzie uświadomili sobie, co udało się ocalić.

Przyjdzie na to czas, mnóstwo czasu. Statek został wyposażony w takie systemy obronne, że rozpracowanie ich zajmie człowiekowi sprzed zmiany co najmniej jedno stulecie. Roboty zniszczą wszelkie inne urządzenia wysłane z Ziemi. Ludzie złapią oddech, przypomną sobie dawne życie, tamte emocje i pierwszą miłość. Potem nie zechcą niszczyć generatora.

Śmigłowiec z Ameryki został rozładowany, jego delikatny ładunek przeniesiono na miejsce. Skrzynie spoczęły na ziemi, a Grunewald i Manzelli zaczęli je ostrożnie otwierać. Ktoś włączył reflektor — księżyc i ocean rozplynęły się w jego ostrym, białym świetle.

Nie widzieli, że nad ich głowami przesunął się długi, bezszelestny kształt. Zawisł nad nimi jak rekin pływający po niebie, pilnujący terytorium. Spojrzeli w górę dopiero wtedy, gdy niemal z nutką żalu, przemówił do nich łagodny głos.

— Przykro mi was rozczarować, ale dosyć już zrobiliście.

Grunewald gwałtownie poderwał głowę i ujrzał nad sobą błysk stali. Serce zamarło mu w piersi. Rosjanin wyrwał z kabury pistolet i wypalił. Strzały rozległy się głośno, ale nie uczyniły żadnej szkody. Odezwały się tylko wyrwane ze snu ptaki

miotające się pośród palm.

Manzelli zaklął, obrócił się na pięcie i wpadł do wnętrza statku. Na jego pokładzie była broń, która mogła usunąć zagrożenie. Grunewald, nurkując w poszukiwaniu osłony zobaczył obracającą się wieżyczkę statku celującą w niebo. Wiedział, że działo było załadowane pociskami nuklearnymi!

Od strony unoszącego się nad nimi wroga rozbłysnął promień potężnego, oślepiającego światła. Lufa działa zaślniła bielą i opadła. Palec zniszczenia przesunął się powoli po burcie statku, aż dotarł do napędu grawitacyjnego. Tam zatrzymał się na kilka minut, aż ludzie poczuli na twarzach żar topniejącego metalu.

Gigantyczna pochodnia wodorowa — Grunewald był w szoku. Teraz nic z tego nie będzie...

Ściany okaleczonego statku zaczęły się jarzyć na czerwono. Szwed krzyknął i zdarł z palca obrączkę. Manzelli z płaczem wyskoczył ze statku. Pole siłowe zamarło, maszyny zaczęły stygnąć. W patrzących na dzieło zniszczenia mężczyznach coś pękło. Manzelli rozdzierająco szlochał.

Wrogii pojazd — teraz widzieli, że był to statek kosmiczny — pozostał na swoim miejscu. Mała tratwa antygrawitacyjna oderwała się od kadłuba i wolno spłynęła na ziemię.

Grunewald zrobił krok do przodu i zatrzymał się.

— Feliks — powiedział martwym głosem. — Pete. Helga.

Mandelbaum kiwnął głową. Pojedynczy reflektor rzucał na jego twarz ostry, czarny cień. Czekał na tratwie, podczas gdy trzech potężni mężczyźni — w starym świecie byli detektywami — podeszli do konspiratorów i pozbierali porzuconą broń. Była tak gorąca, że nie mogli utrzymać jej w rękach. Mandelbaum

dołączył do policji na ziemi. Corinth i Helga poszli za nim.

— Chyba nie sądziliście, że to wam się uda — powiedział Mandelbaum zmęczonym głosem. Potrząsnął głową. — Obserwatorzy mieli was na oku prawie od samego początku. Zdradziła was cała ta konspiracja.

— To dlaczego pozwoliliście nam dojść tak daleko? — spytał Australijczyk. Głos miał ochrypły z gniewu.

— Częściowo po to, aby powstrzymać was przed zrobieniem większych szkód, a częściowo po to, abyście doprowadzili nas do ludzi o podobnych poglądach — odparł Mandelbaum. — Czekaliśmy, aż będziecie gotowi, i wkroczyliśmy.

— To złośliwość — stwierdził Francuz. — Właśnie taki rodzaj działania, podstępny, z zimną krwią, jest efektem zmiany. Pewnie uważacie, że jedyną inteligentną i słuszną reakcją jest nasza śmierć.

— Skądże — powiedział łagodnie Mandelbaum. — W gruncie rzeczy, w zasięgu pola siłowego rozgrzewającego metal zastosowaliśmy tłumik. Nie chcieliśmy, aby coś wybuchło i poraniło was. W końcu musimy się dowiedzieć, kto za tym stoi. Poza tym wszyscy macie wielkie umysły, mnóstwo energii i odwagi — to wielka wartość. Nie z waszej winy zmiana odebrała wam rozum.

— Odebrała rozum! — Rosjanin splunął i zadygotał. — I kto to mówi? My jesteśmy obłąkani?

— Cóż — powiedział Mandelbaum — jeśli przekonanie, że garstka ludzi ma prawo podejmować decyzje za całą ludzkość i przekonywać o ich słuszności przy użyciu siły, nie jest obłądem, to w takim razie czym jest? Jeśli rzeczywiście macie problem,

odpowiednio wcześniej można przedstawić go światu.

— Świat oślepl — powiedział z godnością Hindus. — Nie dostrzega już prawdy. Sam utraciłem poczucie nieskończoności, które niegdyś miałem, jednak przynajmniej zdaję sobie z tego sprawę.

— Masz na myśli to — chłodno odparł Mandelbaum — że twój umysł stał się zbyt silny, aby wejść w rodzaj transu, który w gruncie rzeczy był cofnięciem się do wcześniejszej fazy rozwoju, ale nadal go potrzebujesz.

Hindus pogardliwie wzruszył ramionami.

Grunewald spojrział na Corintha.

— Pete, sądziłem, że jesteś moim przyjacielem — wyszeptał. — Zwłaszcza po tym, co zmiana zrobiła z twoją żoną myślałem, że zrozumiesz...

— On nie ma z tym nic wspólnego — powiedziała Helga robiąc krok naprzód i ujmując ramię Corintha. — Grunewald, to ja cię wskazałam. Pete przyjechał tu dzisiaj jako fizyk. Ktoś musi zająć się waszą aparaturą i zrobić z niej jakiś pożytek. *Terapia zajęciowa — Och Pete, Pete, tak bardzo cię zraniono!*

Corinth potrząsnął głową i odezwał się szorstko, z gniewem, który nie licował z jego łagodnością.

— Nie kłopotz się szukaniem dla mnie usprawiedliwień. Gdybym wiedział, co planujecie, zrobiłbym to sam. Pomyśl, kim stałaby się Sheila, gdyby wróciły stare czasy?

— Wyleczymy was — powiedział Mandelbaum. — Sądzę, że nowe techniki psychiatryczne szybko wam pomogą.

— Wolałbym, żebyś mnie zabił — oświadczył Australijczyk.

Manzelli wciąż płakał. Łkania niemal go rozrywały.

— Dlaczego tego nie widzicie? — spytał Francuz. — Czy wszystkie wielkie zwycięstwa człowieka przeszłości nic nie są warte? Zanim w ogóle znalazł Boga, wy zmieniacie go w opowieść starej niani? co możecie mu zaoferować w zamian za splendor sztuki, którą stworzył, za dzieło jego rąk i małe przyjemności po całym dniu pracy? Zmieniacie go w maszynę liczącą, za nic macie ciało i duszę usychające pośród równań.

Mandelbaum wzruszył ramionami.

— Zmiana nie była moim pomysłem — powiedział. — Jeśli wierzysz w Boga, wygląda to raczej na jego robotę, jego sposób, żeby pchnąć nas o krok do przodu.

— To intelektualny punkt widzenia — odparł Francuz. — Dla ograniczonego, nadętego profesora to bez wątpienia postęp.

— Czy ja wyglądam jak profesor? — burknął Mandelbaum. — Wytapiałem stal, kiedy ty czytałeś swoją pierwszą książkę o cudach natury. Ty pisałeś o grzechu dumy, ja biłem się z terrorystami. Kochałeś lud pracujący, ale nie zapraszałeś do stołu jego przedstawicieli, prawda? Gdy młody Jean Pierre, który przed wojną był studentem teologii, został przyłapany na szpiegowaniu, wytrzymał dwadzieścia cztery godziny pomimo tortur, którym poddali go Niemcy, dając reszcie z nas szansę na ratunek. Ty w tym czasie, o ile pamiętam, bezpiecznie mieszkałeś w Stanach i pisałeś teksty propagandowe. Na miłość boską, dlaczego tacy jak wy nigdy nie próbują robić tego, o czym tyle gadają?

Poczuł dawną przyjemność z walki, znużenie nagle gdzieś uleciało. Podniósł głos, artykułował słowa twardo, jak młot uderzający o stal.

— Wasz problem polega na tym, że boicie się zmierzyć z życiem. Zamiast kształtować przyszłość, kultywujecie przeszłość, ona została miliony lat z tyłu. Straciliście dawne iluzje i nie potraficie stworzyć sobie nowych i lepszych.

— Z amerykańską iluzją „postępu” na czele — odciął się Chińczyk.

— Czy ktoś w ogóle o tym mówi? To też zostało zapomniane, przestarzała bzdura — kolejna idea zrodzona z głupoty, chciwości i samozadowolenia. Jasne, odarto nas z całej przeszłości. Jasne, uczucie obnażenia i samotności jest okropne. Naprawdę sądzicie, że człowiek nie odnajdzie nowej równowagi? Sądzicie, że nie jesteśmy w stanie zbudować nowej kultury, otoczyć się pięknem, czerpać przyjemności i snuć marzeń? Właśnie teraz wydostaliśmy się z kokonu! Uważacie, że ludzie mający siłę i nadzieję, ludzie wszystkich ras, na całym świecie — chcą powrotu? Otóż powiadam wam, nie chcą. A sam fakt, że działaliście w tajemnicy świadczy o tym, że zdajecie sobie z tego sprawę.

Co stary świat miał do zaoferowania dziewięćdziesięciu procentom przedstawicieli ludzkiego gatunku? Ciężką harówkę, ignorancję, choroby, wojny, prześladowania, biedę i strach, od dnia żalosnych narodzin po dzień żalosnej śmierci. Jeśli miałeś szczęście urodzić się w bogatszym kraju, mogłeś napełnić brzuch i dostać kilka błyszczących zabawek, ale nie było w tobie nadziei, wizji, celu. To, że cywilizacje waliły się w gruzy jedna po drugiej świadczy o tym, że nie pasowaliśmy do takiego modelu; z natury jesteśmy dzikusami. Teraz mamy szansę zatrzymać błędne koło historii i ruszyć — nikt nie wie dokąd, nikt nawet nie próbuje

zgadywać, ale otworzyły nam się oczy, a wy znów chcecie je zamknąć!

Mandelbaum zamilkł, westchnął i odwrócił się do swoich ludzi.

— Zabierzcie ich, chłopcy — powiedział.

Grupę spiskowców spokojnie poprowadzono na tratwę — nikt się nie szarpał, nikt nie krzyczał. Mandelbaum stał i patrzył jak tratwa powoli unosi się w górę i niknie w czeluściach statku. Potem odwrócił się w stronę długiego, metalowego kadłuba leżącego na ziemi.

— Co za heroiczne przedsięwzięcie! — mruknął potrząsając głową. — Daremne, ale heroiczne. To dobrzy ludzie. Mam nadzieję, że leczenie nie potrwa długo.

Corinth uśmiechnął się krzywo.

— Oczywiście, my mamy absolutną rację — powiedział.

Mandelbaum kaszlnął.

— Przepraszam za ten wykład — odparł. — To stary nawyk. A że znajduję w tym moralną słusność... cóż, my, gatunek ludzki, powinniśmy to wkrótce przeboleć.

Corinth spoważniał.

— Jakiś rodzaj moralności trzeba mieć — stwierdził odkrywczco.

— Pewnie. Musisz też mieć motywację, żeby w ogóle robić cokolwiek. Nadal jednak uważam, że jesteśmy ponad pychę, która pchała ludzi na krucjaty, kazała palić na stosach heretyków i zamykać dysydentów w obozach koncentracyjnych. Potrzebujemy więcej honoru jednostkowego, a mniej zbiorowego.

Mandelbaum ziewnął i przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu kości.

— Podróż była długa, a na koniec nawet nie stoczyłem porządnej bitwy — powiedział.

Tratwa znów zsuwała się w dół.

— Muszę się przespać. Tym bałaganem możemy zająć się rano. Idziesz?

— Jeszcze nie — Odparł Corinth. — Jestem zbyt zmęczony. (Chcę pomyśleć). Pójdę na plażę.

— W porządku. — Mandelbaum uśmiechnął się prawie z czułością. — Dobranoc.

— Dobranoc.

Corinth odwrócił się i opuścił polanę. Helga towarzyszyła mu bez słowa.

Wyszli z dżungli i stanęli na piasku przypominającym lód w chłodnym, księżycowym świetle. O rafę rozbijały się fale, ocean płonął i migotał odbitym blaskiem księżyca, na kryształowym, nocnym niebie jarzyły się wielkie gwiazdy. Corinth czuł na twarzy ostry, wilgotny i słony morski wiatr. Dżungla szemrała i szeptała tajemniczo, pod nogami cicho szeleścił piasek. Rejestrował to wszystko z nadnaturalną ostrością, jakby pozbawiono go wszystkiego, co stanowiło jego osobowość, czuł się jak puste naczynie.

Spojrzał na Helgę. Stała przy nim i trzymała go za ramię. Jej twarz odcinała się ostro w otaczającej ich ciemności, a włosy — nie upięła ich — białe w mżącym, nierealnym świetle trzepotały swobodnie na wietrze. Ich dwa cienie połączyły się w jeden, długi i błękitnawy na skrzącym się piasku. Czuł rytm jej oddechu.

Nie musieli rozmawiać. Rozumieli się bez słów, dzielili pracę i myśli, zawsze tak było, teraz po prostu stali w ciszy. Mówiło do nich morze, wielkie pulsowanie fal, huk ich uderzeń o rafę, szum, gdy się cofały. Wiatr mruczał i syczał.

Grawitacja (słońce, księżyc, gwiazdy, wielka jedność czasu i przestrzeni)

+ Siła Coriolisa (planeta wiruje w nieskończonym tańcu pokonując mile i lata)

+ Pływy oceanu (mącą się, mieszają, huczą w wąskich cieśninach, pienią się na skałach)

+ Różnica temperatur (światło słońca jak ciepły deszcz, lód i ciemność, chmury, mgły, wiatr i burza)

+ Procesy wulkaniczne (ogień głęboko w trzewiach planety, ruchy niewyobrażalnych mas skalnych, dym i lava, wypiętrzanie się nowych gór o ramionach przyprószonych śniegiem)

+ Reakcje chemiczne (ciemna, tłusta ziemia, zanieczyszczone powietrze, potem znów czyste, skały czerwone, niebieskie i ochrowe, życie, marzenia, śmierć, ponowne narodziny i nadzieje)

ZNAK RÓWNOŚCI

To jest nasz świat.

Człowiek patrzący na ocean czuł pustkę i zmęczenie. W poszukiwaniu pocieszenia zwrócił się do stojącej obok kobiety, jakby zawsze należała do niego.

— To łatwe — powiedział, a słowa i ton oznaczały: (To było zbyt łatwe, dla nas i dla nich. Ludzie mieli w sobie ogień świętego ducha. To powinno było zakończyć się inaczej. Ogniem i furią, gniewem, zniszczeniem i dumnym zwycięstwem człowieka

wobec potęgi bogów).

— Nie — odparła. — Tak jest lepiej.

Dodała cicho, spokojnie: (To litość i zrozumienie. Już nie jesteśmy dzikimi zwierzętami zatapiającymi kły w ciałach naszych ofiar).

Tak. To jest przyszłość. Zapomnij o bitewnej chwale.

— A czym jest nasze jutro? — zapytał. (Stoimy na gruzach świata patrząc w pusty wszechświat i musimy go czymś napełnić. Nie ma nikogo, kto mógłby nam pomóc).

— Chyba, że istnieje przeznaczenie (Bóg, los, ludzka odwaga) — powiedziała.

— Może istnieje — zadumał się. — Świadomie, czy nie, dano nam wszechświat.

Popatrzyła na niego uważnie. Wiedziała, że aby jej odpowiedzieć, musi zebrać całą pozostałą w nim odwagę.

(Czy mamy prawo go wziąć? Jeśli sami siebie uczynimy strażnikami planet, to będziemy lepsi, niż Grunewald — zdany na Ślepy przypadek, na beznamiętne okrucieństwo w pogoni za szansą, na zamieszanie w biednej, szalonej głowie?).

— Teraz będzie inaczej — powiedział. — Będziemy strażnikami wolności, niewidzialnymi i nierozpoznawalnymi, a nie tyranami narzucającymi arbitralnie swoją wolę. Powstanie nowa, nasza cywilizacja, a to jest, być może, jedyne zadanie warte poświęceń.

Wspaniale przeznaczenie! Dlaczego więc czuję żal? I dlaczego pod powiekami pieką łzy?

Powiedziała to, co musiała powiedzieć.

— Kilka dni temu wypisano Sheilę.

Płaczę nad tobą, mój ukochany.

— Tak — przytaknął. — Widziałem. (Wybiegła na zewnątrz jak mała dziewczynka. Uniosła ręce do słońca i roześmiała się).

— Znalazła swoją własną odpowiedź. Teraz ty musisz znaleźć swoją.

Jego umysł trzymał się przeszłości.

— Nie wiedziała, że ją obserwowałem.

Był chłodny, jasny poranek. Z drzewa na głowę spadł jej czerwony liść klonu. Kiedyś dla mnie wplatała kwiaty we włosy.

— Już zaczęła mnie zapominać.

— Zasugerowałeś Kearnesowi, aby jej w tym pomógł — powiedziała. — To wymagało niesłychanej odwagi. Aby być dobrym, trzeba mieć mnóstwo odwagi. Czy masz dość siły, aby być dobrym dla samego siebie?

— Nie — odparł. — Nie chcę przestać jej kochać. Przykro mi, Helgo.

— Sheila będzie miała opiekę — powiedziała. — Nie wie o tym, ale Obserwatorzy będą ją śledzić. Na północ od miasta leży Anguish, kolonia dla opóźnionych umysłowo. Ostatnio pomagaliśmy im bez ich wiedzy. Przywódca to dobry człowiek, silny i łagodny. Świeża krew Sheili będzie dobrym nabytkiem dla rasy.

Corinth nie odpowiedział.

— Pete — ponagliła go — teraz musisz pomóc sobie.

— Nie — powiedział. — Ale ty też możesz się zmienić, Helgo. Możesz trzymać się z dala ode mnie.

— Nie, potrzebujesz mnie — odparła. — Pete, teraz to ty boisz się zmierzyć z życiem.

Zapadła długa cisza, szumiał tylko wiatr i morze. Księżyc wisiał nisko nad horyzontem, jego światło padało na ich twarze. Corinth odwrócił się, zadrżał i wyciągnął ramiona.

— Pomóż mi! — powiedział i wziął ją za rękę. — Sam sobie nie poradzę. Pomóż mi, Helgo.

Nie ma więcej słów. Nigdy nie ma odpowiednich słów.

Ich umysły się spotkały, popłynęły razem. Dzielili swoją siłę i walczyli o uwolnienie się od przeszłości.

Kochać, szanować i wspierać, póki śmierć nas nie rozłączy.

To stara historia, pomyślała. Najstarsza i najlepsza opowieść na Ziemi, dlatego opowiadano ją w starym języku. Morze, szum fal, migoczące gwiazdy — a nawet księżyc w pełni.

ROZDZIAŁ 21

Ciągle była jesień, ale w powietrzu czuło się już zimę. Opadłe liście leżały w stertach pod gołymi, czarnymi drzewami i podrywały się z każdym powiewem wiatru. Na tle wszechobecnej szarości lasu gdzieniegdzie tylko błyszczało kilka plam żółci, brązu i szkarłatu.

Pod chmurami przemykały wielkie klucze dzikich gęsi w drodze na południe. W tym roku na niebie panował większy ruch — pewnie jest mniej drapieżników, pomyślał Brock. Słyszał z góry stłumione, pełne zadumy gęganie. Niebo było blade i przejrzyste, słońce zsyłało na pustą ziemię promienie nie dające ciepła. Silny wiatr wydymał na nim ubranie i hałasował wśród gałęzi drzew.

Szedł powoli od strony domu, depcząc zwiędłą trawę. Joe tańczył wokół jego nóg, z szopy dochodził dźwięk uderzeń młota o metal. Mehitabel i Ma budowali destylator gazu drzewnego; dla nich była to duża frajda, a mógł się przydać, bo dostawy paliwa były bardzo mizerne. Niektórzy ludzie pojechali do miasta, inni odsypiali niedzielny obiad. Brock był sam.

Pomyślał, że mógłby się zatrzymać i pogawędzić chwilę z Mehitabel. Nie, jednak nie, pozwoli jej spokojnie pracować; jej umiejętności konwersacyjne i tak były dość ograniczone. Zdecydował, że przejdzie się po lesie; było późne popołudnie, a

dzień zbyt ładny, aby siedzieć w domu.

Z domku dla pracowników wyszła Ella Mae i zaśmiała się na jego widok.

— Dzień dobry — powiedziała.

— Uch, dzień dobry — odparł. — Jak się masz?

— Dobrze — odpowiedziała. — Wejdiesz do środka? Nikogo teraz nie ma.

— Nie, dzięki — powiedział. — Ja, ehm, muszę sprawdzić ogrodzenie.

— Mogę iść z tobą? — zapytała nieśmiało.

— Lepiej nie — powiedział. — Wiesz, chodzi o świnię. Nadal mogą się tu kręcić.

Wodniste, niebieskie oczy Elli Mae wypełniły się łzami i pochyliła zniekształconą głowę.

— Nigdy do mnie nie zagładasz — pożaliła się.

— Zajrzę, gdy będę mógł — odpowiedział pospiesznie. — Po prostu jestem okropnie zajęty. Wiesz, jak to jest.

Uciekł tak szybko, jak tylko mógł.

Trzeba jej znaleźć męża, pomyślał. Nawet teraz muszę gdzieś żyć ludzie do niej podobni. Nie mogę pozwolić, żeby mnie tak ścigała, to zbyt trudne dla nas obojga.

Uśmiechnął się krzywo. Przywództwo głównie mu ciążyło. Był szefem, planistą, nauczycielem, lekarzem, spowiednikiem — a teraz swatką!

Pochylił się i dużą, szorstką dłonią pogładził Joe po głowie. Pies polizał go po nadgarstku i radośnie zamachał ogonem. Czasami człowiek czuł się okropnie samotny. Nawet taki przyjaciel jak Joe nie zaspokajał wszystkich potrzeb. Swoją

izolację czuł niemal jak fizyczny ból w tym wietrznym dniu pełnym ostrego Światła i opadających liści, w dniu pożegnania, jakby cała ziemia wyjeżdżała ze swojego letniego domku i oddalała się gdzieś nieznaną drogą.

Nie, koniec z takimi myślami, upomniał sam siebie.

— Chodź, Joe, idziemy na spacer.

Pies wyprężył ciało w pięknej postawie i spojrzał w niebo. Brock podążył za jego spojrzeniem. Błysk metalu był tak jasny, że zaboląły go oczy.

Statek powietrzny — czy coś w tym rodzaju. I ląduje!

Stał z rękami zaciśniętymi w pięści, czuł na skórze zimny wiatr i słyszał jak wyje pomiędzy gałęziami drzew. Serce w piersi wydawało mu się absurdalnie wielkie. Zadrżał pomimo grubej kurtki i poczuł, że pocą mu się dłonie.

Spokojnie, powiedział sobie. Spokojnie. Dobra, to jeden z Tamtych. Nie ugryzie cię. Jak dotąd nikt nas nie skrzywdził i nikt nas nie niepokoił.

Pojazd siadł na ziemi tak cicho, jak spadający liść. Był pełen wdzięku, mały i jajowaty. Brock nie dostrzegł żadnego napędu. Wolno i sztywno ruszył w jego stronę. Za pasem miał rewolwer, ale czuł się z nim głupio, jakby przyłapano go na dziecinnej zabawie.

Poczuł nagły przypływ goryczy. *Niech biorą nas takimi, jakimi jesteśmy. Niech mnie szlag, jeśli będę miły dla jakiegoś cholernego niedzielnego turysty.*

Pojazd zamigotał i na wylot przeszedł przez niego mężczyzna. *Na wylot!* W pierwszej chwili Brock był niemal rozczarowany. Mężczyzna wyglądał tak zwyczajnie! Był średniego wzrostu,

niedco grubawy, o nijakiej twarzy, ubrany w zwyczajny garnitur. Na widok Brocka uśmiechnął się.

— Dzień dobry.

— Dobry.

Brock się zatrzymał, szurając stopami i patrząc w ziemię. Joe wyczuł niepokój swojego pana i warknął lekko.

Przybysz wyciągnął rękę.

— Nazywam się Lewis, Nat Lewis. Jestem z Nowego Jorku. Mam nadzieję, że wybaczysz mi to wtargnięcie. Przesłał mnie John Rossman. Nie czuje się najlepiej, inaczej przybyłby osobiście.

Brock potrząsnął jego ręką, niedco uspokojony wzmianką o Rossmanie. Staruszek zawsze był wobec niego uczciwy, a zachowanie Lewisa nie budziło zastrzeżeń. Brock zmusił się, żeby spojrzeć mu w oczy i przedstawić się.

— Tak, poznaję cię z opisu Rossmana — powiedział Lewis. — Jest ciekaw, jak sobie tutaj radzicie. Spokojnie, nie ma zamiaru domagać się zwrotu swojej własności; to tylko przyjacielska ciekawość. Pracuję w jego Instytucie i szczerze mówiąc, sam byłem ciekaw, więc przyjechałem, żeby się rozejrzeć.

Brock uznał, że lubi Lewisa. Mówił raczej wolno, powrót do starego sposobu komunikacji musiał być dla niego niejakim wysiłkiem, ale nie wyczuwał w nim poczucia wyższości.

— Z tego co słyszę, robisz tu świetną robotę — powiedział Lewis. — Nie wiedziałem, że wy... no... że my... — zająknął się Brock.

— Och, trochę uporaliśmy się z własnymi kłopotami, teraz możemy wam pomóc. A kłopotów było mnóstwo, wierz mi. W

sumie nadal są. Mogę poczęstować cię papierosem?

— Hmm... no... — Brock przyjął papierosa, ale go nie zapalił. Nie miał tego nawyku. Ale mógł dać papierosa komuś innemu. — Dzięki.

Lewis zapalił papierosa zapalniczką — działała nawet w tym mocnym, ostrym wietrze.

— Na pewno zauważyłeś, że wszystkie miasta w okolicy zostały ewakuowane — powiedział wypuszczając z zadowoleniem chmurkę dymu.

— Tak, kilka miesięcy temu — odpowiedział Brock. — Zabieramy stamtąd wszystko, czego potrzebujemy.

— Och, w porządku. Taki był zamysł; w gruncie rzeczy, jeśli chcecie, możecie zająć którekolwiek z nich. Komisja do spraw kolonii uznała, że będzie najlepiej, jeśli zostanieie uwolnieni Od tak, hm, przytłaczających sąsiadów. Ludziom było wszystko jedno; na obecnym etapie rozwoju każde miejsce jest dobre.

Na twarzy Lewisa pojawiła się zaduma.

— To nasza cena: straciliśmy intymność wynikającą z przywiązania do miejsca.

To przyznanie się do słabości sprawiło, że Brock się rozluźnił. Podejrzewał, że zagranie było celowe, ale jeśli nawet...

— Ci, którzy trafili tutaj, często byli delikatnie naprowadzani — ciągnął Lewis. — Będą inni, jeśli ich zechcecie. Sądzę, że przyda wam się pomoc, a im przyda się dom i poczucie bezpieczeństwa.

— To... miło z waszej strony — odparł powoli Brock.

— Ech, to drobiazg. Nie myśl, że chronimy was przed każdym niebezpieczeństwem, albo że wszystko za was robimy. To nie jest

prawda, i nigdy tak nie będzie. My tylko... powiedzmy, że raz na jakiś czas stwarzamy pewne możliwości. Ale to od was zależy, czy z nich skorzystacie.

— Rozumiem.

— Nie możemy wam bardziej pomóc. Mamy za dużo do zrobienia, a za mało rąk do pracy. I nasze drogi zanadto się różnią.

Ty i ja znaleźliśmy się na rozwidleniu dróg, ale przynajmniej możemy podać sobie ręce i się pożegnać.

Krótką przemowa miała w sobie jakieś ciepło. W Brocku coś stopniało i uśmiechnął się. Nie cieszyła go wizja najazdu bezlitosnych bogów i nie uśmiechało mu się życie w charakterze czyjejś zabawki. Lewis nie ukrywał faktu, że się różnią, ale też nie wynosił się z tego powodu; w tym, co powiedział, nie było poczucia wyższości.

Podczas rozmowy spacerowali po polu. Do Lewisa doszedł dźwięk młotków. Spojrzał pytająco na Brocka.

— Jest tam szympanśca i pewien osobnik niedorozwinięty umysłowo, budują aparat do destylacji gazu z węgla drzewnego, musimy czymś zasilać nasze maszyny — wyjaśnił Brock. Słowo „niedorozwinięty umysłowo” nie bolało — już nie. — To nasz dzień wolny, ale sami nalegali.

— Ilu ich wszystkich masz?

— Och, zaraz, dziesięciu mężczyzn i sześć kobiet w wieku od piętnastu do mniej więcej sześćdziesięciu lat. Mentalnie to przekrój od imbecyla do kretyna. Urodziło się też kilkoro dzieci. Oczywiście trudno określić, gdzie kończy się człowiek, a zaczyna zwierzę. Małpy i pies Joe z pewnością są bardziej inteligentne i

pożyteczne od imbecyli.

Joe pomachał ogonem, wyglądał na zadowolonego.

— Wszystkich traktuję jednakowo; każdy z nich robi to, do czego się nadaje i dzielimy się efektami pracy.

— Więc jesteś przywódcą, tak?

— Pewnie tak. Zawsze szukają we mnie przewodnika. Nie jestem najbystrzejszy ze wszystkich, ale nasi dwaj intelektualisci są... cóż... mało efektywni.

Lewis kiwnął głową.

— Często tak bywa. Czysta inteligencja zabiera osobowość, siłę charakteru, albo po prostu umiejętność podejmowania decyzji i trzymania się ich.

Popatrzył przenikliwie na swojego towarzysza.

— Wiesz,, jesteś urodzonym przywódcą.

— Tak? Po prostu staram się pracować możliwie najlepiej.

— Cóż — kaszlnął Lewis. — Powiedziałbym, że na tym polega rola przywódcy.

Rozejrzał się po budynkach, a potem popatrzył na horyzont.

— Zbudowaliście tutaj szczęśliwą, małą społeczność — powiedział.

— Nie — odparł Brock szczerze. — Nie za bardzo szczęśliwą.

Lewis popatrzył na niego unosząc brwi, ale nic nie powiedział.

— Jesteśmy zbyt realistyczni, żeby czuć się komfortowo — powiedział Brock. — Może to przyjdzie później, kiedy lepiej się przystosujemy, ale na razie musimy ciężko pracować, aby utrzymać się przy życiu. Musimy nauczyć się żyć z pewnymi nieprzyjemnymi aspektami życia — jak choćby z tym, że niektórzy są zdeformowani, albo uwielbiają zarzynać te biedne

zwierzęta...

Przerwał i zauważył, że znów zacisnął pięści. Spróbował zmusić się do uśmiechu.

— Jesteś żonaty? — indagował dalej Lewis. — Wybacz moje wścibstwo, ale mam powody, aby o to pytać.

— Nie. Nie bardzo wiem, do czego miałyby się to teraz przydać. Nieważne, i tak mam za dużo na głowie.

— Rozumiem...

Lewis milczał przez chwilę. Przeszli obok stosu kolb kukurydzy, przy którym deska ułożona na dwóch beczkach tworzyła ławkę osłoniętą od wiatru. Usiedli bez słowa i patrzyli jak powoli gaśnie dzień. Joe przysiadł nieopodal, obserwując ich bystrymi, brązowymi oczami.

Wreszcie Lewis zgasił papierosa i znów się odezwał. Patrzył przed siebie, nie na Brocka, a jego głos brzmiał nieco marzycielsko, jakby mówił do siebie.

— Ty i twoje zwierzęta robicie to, co można zrobić najlepszego w nowej sytuacji — powiedział. — Ogólnie rzecz biorąc, nie jest różowo. Chciałbyś, żeby wróciły dawne czasy?

— Nie, ja nie — odpowiedział Brock.

— Tak myślałem. Bierzesz tę rzeczywistość i nieskończone możliwości, jakie ze sobą niesie. Potrafisz sprawić, że jest dobra. Brock, odłam mojej rasy próbuje robić to samo, ale być może to wy poradzicie sobie lepiej. Nie wiem. Może nigdy się nie dowiem — pewnie nie dożyję.

Ale chcę ci coś powiedzieć. Byłem w kosmosie — pośród gwiazd — i nadal wysyła się tam ekspedycje. Dowiedzieliśmy się, że galaktyka tętni życiem, a wszystkie jego formy przypominają

dawne życie na Ziemi: jest tam wiele kształtów, wiele cywilizacji, ale nigdzie nie uświadczysz stworzenia podobnego do człowieka. Przeciętne IQ całego wszechświata pewnie nie przekracza setki. Za wcześnie, aby to stwierdzić z całą pewnością, ale mamy powody, by tak sądzić.

Co my, tak zwana normalna ludzkość, możemy zrobić z naszą mocą? Gdzie znajdziemy coś na tyle dużego, abyśmy poczuli się mniejsi i nieważni? Kto i co postawi przed nami zadanie, dzięki któremu poczujemy dumę? Sądzę, że odpowiedź stanowią gwiazdy. Och, nie chcę przez to powiedzieć, że mamy zamiar zbudować galaktyczne imperium. Podbój kosmosu to dziecinada, to już mamy za sobą. Nie chcę też powiedzieć, że zostaniemy aniołami stróżami tych niepoliczonych światów, że będziemy je prowadzić i strzec ich, aż żyjące na nich stworzenia staną się bezradne i nie poradzą sobie bez pomocy. Nie, nic z tych rzeczy. Stworzymy naszą cywilizację na nowo, rozciągniemy ją między gwiazdami, będzie miała własne zamierzenia, sztukę, walkę, miłość i nadzieję — środowisko człowieka to nadal przede wszystkim człowiek.

Sądzę jednak, że ta cywilizacja będzie miała cel. Po raz pierwszy człowiek naprawdę dokądś zmierza i myślę, że ten nowy cel po milionach lat obejmie całe życie w osiągalnym wszechświecie. Ostateczna harmonia będzie niewyobrażalna.

Nie będziemy bogami, ani nawet przewodnikami. Ale niektórzy z nas będą stwarzać okazje. Dopilnujemy, aby zło nie rozpanoszyło się za bardzo, aby nadzieja i szansa pojawiały się wtedy, kiedy będą najbardziej potrzebne. W kosmosie żyją miliony czujących istot, kochają, walczą, śmieją się, płaczą i

umierają tak, jak niegdyś człowiek. Nie, nie będziemy ucieleśnieniem Losu; ale możemy być Szczęściem. A może nawet Miłością.

Lewis uśmiechnął się do siebie bardzo ludzkim uśmiechem.

— Nieważne. Za dużo mówię. Jesienne powietrze uderza do głowy jak wino — odwrócił się do Brocka. — Chcę przez to powiedzieć, że my — nasz rodzaj — nie zostaniemy tutaj, na Ziemi.

Brock bez słowa kiwnął głową. Wizja była zbyt oszałamiająca, aby coś mówić.

— Nie będziemy was niepokoić — powiedział Lewis. — A za kilka lat, gdy wszystko będzie gotowe, znikniemy. Ziemię zostawimy wam i zwierzętom. Wszyscy będziecie wolni. Wasze przeznaczenie znajdzie się w waszych rękach. A jeśli raz po raz trafi się wam łut szczęścia... cóż, to się zawsze zdarza.

— Dziękuję — wyszeptał Brock.

— Nie dziękuj ani mnie, ani nikomu innemu. To tylko logika wynikająca z okoliczności. Ale życzę wam wszystkiego najlepszego, każdemu z was.

Lewis wstał i ruszył w stronę swojego pojazdu.

— Muszę już wracać — zatrzymał się. — Kiedy przyleciałem, nie byłem z tobą do końca uczciwy. To nie ciekawość Rossmana mnie tutaj przywiodła; równie dobrze mógł o was zapytać komisję do spraw kolonii, albo sam do was wpaść. Chciałem się tutaj rozejrzeć osobiście, ponieważ... no, do waszej społeczności niebawem dołączy nowa osoba.

Brock popatrzył na niego ze zdziwieniem. Lewis przystanął przed pojazdem.

— To moja stara przyjaciółka — powiedział. — Jej historia jest raczej tragiczna, Sama ci opowie, jeśli zechce. Ale to naprawdę cudowna dziewczyna i wszyscy którzy ją znają chcą, aby była szczęśliwa.

Metalowy pojazd zamigotał. Lewis ujął rękę Brocka.

— Do widzenia — powiedział zwyczajnie i wszedł do środka. Chwilę później jego wehikuł był już wysoko na niebie.

Brock patrzył za nim dopóki nie zniknął.

Gdy odwrócił się w stronę domu, słońce było już nisko i zaczął odczuwać zimno. Trzeba dziś napalić w kominku. Może mogliby wypić trochę piwa, skoro przybywał nowy rekrut, a Jimmy zagrałby na gitarze, i pośpiewaliby trochę. Znali tylko awanturnicze piosenki, nie można się spodziewać więcej po pionierach, ale było w nich ciepło, niezłomność i poczucie wspólnoty.

Wtedy ją zobaczył i aż serce w nim zamarło. Po prostu szła przed siebie. Nie była wysoka, jej sylwetka pod ciężkim ubraniem była wiotka i silna zarazem, brązowe włosy powiewały wokół młodej i łagodnej twarzy usianej złotymi piegami. Na plecach niosła zawiniątko. Musiała spędzić w drodze wiele dni. Przez chwilę stał w bezruchu, potem rzucił się biegiem w jej kierunku; gdy już przed nią stanął, nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

— Dzień dobry — odezwała się nieśmiało.

Uklonił się niezdarnie. Nie był świadomy tego, że był postawnym mężczyzną, niezbyt przystojnym, ale wzbudzającym zaufanie.

— Słyszałam, że można tu znaleźć schronienie — powiedziała.

— Tak — potwierdził. — Idziesz z daleka?

— Z Nowego Jorku.

Zadrżała lekko. Brock zastanawiał się, co jej się tam mogło przydarzyć. A może to tylko zimno. Wiatr gwizdał i wył ponuro.

— Mam na imię Sheila — przedstawiła się.

— A ja jestem Archie... Archie Brock.

Miała mocny uścisk dłoni. Nie była przestraszona i przypuszczał, że nie jest tak bystra jak on, ale miała na pewno dość inteligencji i woli, aby stawić czoła zimie na farmie.

— Witaj. Przybycie kogoś nowego to zawsze wielkie wydarzenie. Jednak możesz uznać nas za dziwnych, no i wszyscy musimy ciężko pracować.

— Nie boję się pracy — odparła. — Nie sędzę, żebym jeszcze kiedykolwiek czegoś się bała.

Wziął jej tobolek i ruszyli na farmę. Niebo na zachodzie zasnuło się czerwienią, złotem i delikatną, zielonkawą mgiełką.

— Miło mi cię poznać. Mówiłaś, że jak się nazywasz?

— Sheila — odpowiedziała. — Po prostu Sheila.

Ramię przy ramieniu, z psem i wiatrem u nóg szli drogą w stronę domu. Tam było schronienie.

PRZYPISY OLŚNIENIE

[1] *Hubris (gr.) — arogancka duma*

[2] *Nemesis — grecka bogini zemsty*

[3] *Ate — w mitologii greckiej córka Zeusa i bogini niezgody Eris; Jest uosobieniem zaślepienia prowadzącego do zbrodni, jak i kary za złe czyny.*

[4] *Hausfrau — (niem.) — Kobieta domowa*

[5] *O.S.S. — Office of Strategic Services (ang. Biuro Służb Strategicznych) — agencja wywiadowcza Stanów Zjednoczonych działająca w latach 1942 — 1945. Poprzednik CIA.*

[6] *Emergency Committee Of Atomic Scientists (EC„AS) został założony przez Alberta Einsteina i Leo Szilarda w 1946 r. Miał za zadanie uświadamiać opinię publiczną o zagrożeniach związanych z rozwojem broni nuklearnej i propagować jej pokojowe użytkowanie.*

[7] *United World Federalists — po II wojnie Światowej na całym świecie zaczęły powstawać organizacje, których celem było*

stworzenie „nowego porządku” zapobiegającego wybuchowi kolejnej wojny. *World Federalist Movement (WFM)* został założony w 1947 r. w Szwajcarii, sekretariat organizacji znajduje się w Nowym Jorku. Organizacja zrzesza ludzi pracujących nad umocnieniem struktur demokratycznych na całym świecie. *3 Progressive party — Partia Postępu*; założył ją w USA w 1912 r. Theodor Roosevelt. Postulował walkę z korupcją i daleko posunięte zmiany w strukturach władzy, co miało prowadzić do swobodnego rozwoju gospodarki.

[8] *Brookhaven National Laboratory* — multidyscyplinarne laboratorium naukowe w USA (stan Nowy Jork, hrabstwo Suffolk), w centralnej części wyspy Long Island. Założone po drugiej wojnie Światowej na miejscu wcześniejszej bazy wojskowej Camp Upton miało za zadanie prowadzić badania nad pokojowym wykorzystaniem energii jądrowej.

[9] *Et tu, Brute* — (łac.) „I ty, Bnltusie, przeciwko mnie?”, słowa Cezara wypowiedziane przed Śmiercią.

[10] *Anschluss Österreichs* — (pol. przyłączenie Austrii) — wcielenie Austrii do III Rzeszy dokonane w dniu 12 marca 1938.

[11] W 1912 roku Alexis Carrel, francuski chirurg i laureat Nagrody Nobla, zaczął hodować komórki z serca zarodków kurzych i przez ponad 20 lat utrzymywał tę hodowlę w swoim laboratorium w *Rockefeller Institute for Medical Research* w Nowym Jorku. Ten eksperyment wzbudził powszechne zainteresowanie możliwością wykorzystania nauki do

przedłużania ludzkiego życia. Carrel wspólnie z lotnikiem Charlesem Lindberghiem rozpoczął prace nad prototypem płuco—serca, aparatu zastępującego pracę serca, na przykład w czasie operacji.

[12] Lewis Carroll „Alicja w Krainie Czarów”, przekład Maciej Słomczyński

[13] Liebchen (niem.) — kochanie

[14] Jednia — W filozofii neoplatoników Jednia jest pełnią bytu i emanuje z siebie swoje odbicie w postaci Rozumu. Jednia jest absolutnie pełna i doskonała.

[15] Coup d'état (franc.) — zamach stanu

[16] Ave atque vale! (łac) — witaj i żegnaj zarazem — z Katullusa (Pieśni, 101).

[17] Hawaiki — maoryska nazwa mitycznej krainy, skąd mają się wywodzić niektóre ludy polinezyjskie.

[18] Modus vivendi (łac.) — współżycie (państw, ugrupowań)